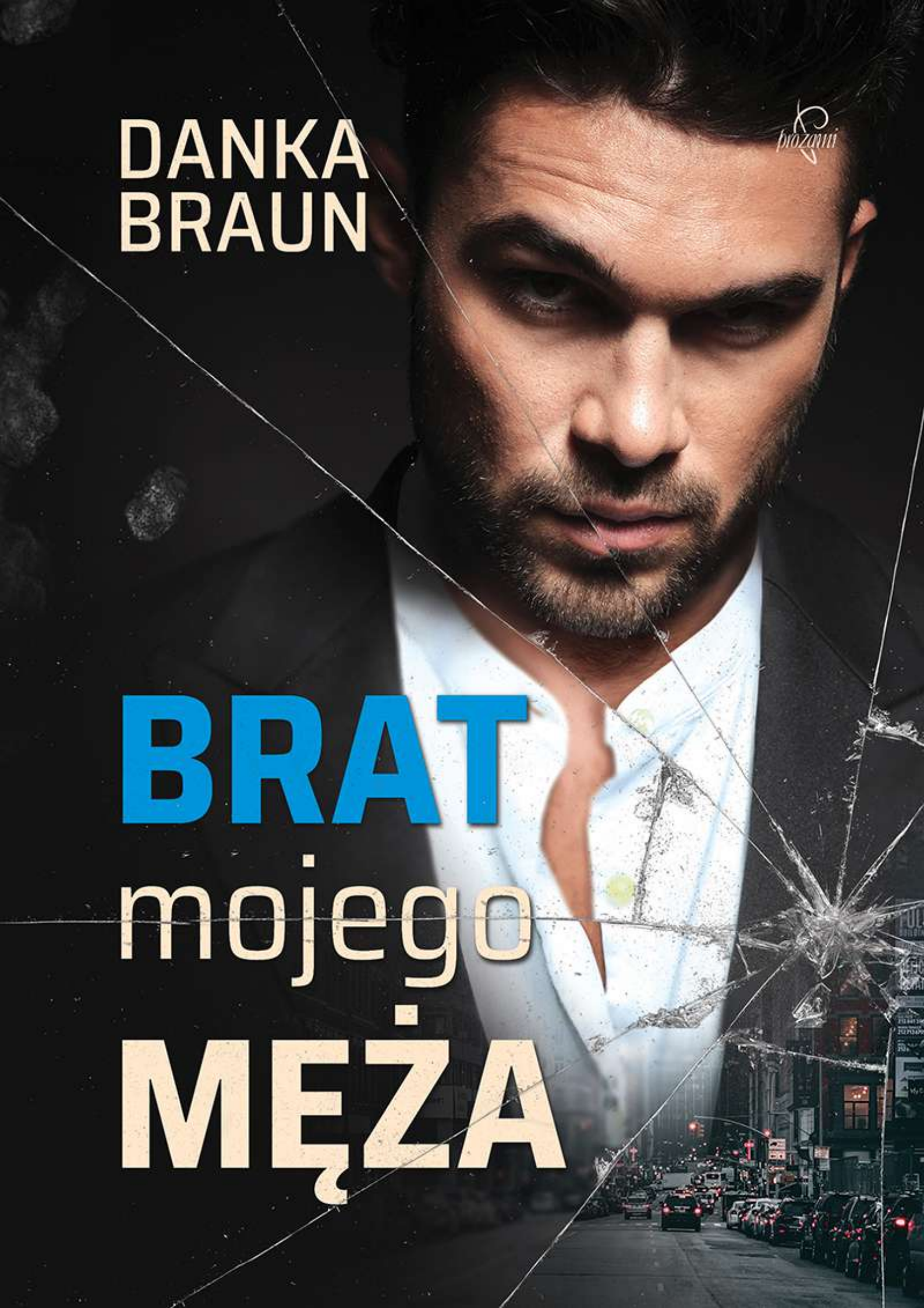


DANKA  
BRAUN

prozanti

**BRAT**  
mojego  
**MĘŻA**



**BRAT**  
mojego  
**MEŻA**

DANKA BRAUN



# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Prolog. Grudzień 2019

CZĘŚĆ PIERWSZA. DIANA I PAWEŁ

Rozdział 1. Pięć miesięcy później

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

CZĘŚĆ DRUGA. DIANA I PIOTR

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

### CZĘŚĆ TRZECIA. PIOTR I PAWEŁ

Rozdział 29

Rozdział 30. Piotr

Rozdział 31. Piotr

Rozdział 32. Piotr

Rozdział 33. Piotr

Rozdział 34

Rozdział 35. Piotr

Rozdział 36. Piotr

Rozdział 37. Piotr

Rozdział 38. Piotr

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41. Piotr

Rozdział 42. Piotr

Rozdział 43. Piotr

Rozdział 44. Piotr

Rozdział 45

Rozdział 46. Piotr

Rozdział 47. Piotr

Rozdział 48

Rozdział 49. Piotr

### CZĘŚĆ CZWARTA. CISOWSCY

Rozdział 50

Rozdział 51

Rozdział 52

Rozdział 53

Rozdział 54

Rozdział 55. Diana

Rozdział 56. Diana

Rozdział 57. Diana

Rozdział 58

Rozdział 59

Rozdział 60

Epilog. Rok później

Wydawnictwo poleca

Copyright © by Grupa Wydawnicza Literatura Inspiruje Sp. z o.o., 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone

*All rights reserved*

Książka ani żadna jej część nie mogą być publikowane ani w jakikolwiek inny sposób powielane w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody wydawcy.

*Redakcja:* Sylwia Drożdżyk-Reszka

*Korekta:* Justyna Jakubczyk, Agnieszka Brach

*Projekt graficzny okładki:* Marta Grabowska

*DTP:* Justyna Jakubczyk

*Zdjęcie na okładce:* Copyright © feedough (iStock)

ISBN 978-83-67173-22-3

Gdańsk/Warszawa 2022

Wydawnictwo Prozami

[zamowienia@literaturainspiruje.pl](mailto:zamowienia@literaturainspiruje.pl)

[www.prozami.pl](http://www.prozami.pl)

[www.literaturainspiruje.pl](http://www.literaturainspiruje.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

*Mojej Mamie, Wiesławie Kluczewskiej*  
*– najwierniejszej czytelniczce moich książek*

# Prolog

## Grudzień 2019

Paweł Cisowski pogłośnił radio i nacisnął pedał gazu. Rozgłosnia puszczała jego ulubioną piosenkę Tiny Turner. Spojrzał na zegar na tablicy rozdzielczej, była 22:10. Zadzwoiła komórka. Odebrał.

– Cześć. Jadę do ciebie, powinienem być za pół godziny – powiedział do telefonu. – Dlaczego późno? Mamy przed sobą całą noc. Czeka nas niezła zabawa. Czy to ważne, co jej powiedziałem? Grunt, że zaraz się zabawimy. – Na chwilę zamilkł, wsłuchując się w słowa po drugiej stronie linii. – Naprawdę? Super. Dobrze, wstąpię na stację benzynową i kupię wódkę. Ile? Dwie? A ile prezerwatyw? – Zaśmiał się. – Dlaczego nie? Kondomy zawsze są potrzebne. No to na razie.

Odłożył telefon i zaczerpnął głęboko powietrza. Jakoś dziwnie się czuł, dlatego otworzył okno w samochodzie, ale po chwili zamknął, gdy poczuł mroźny powiew. Zrobiło mu się zimno. Cholera, czy to nie przeziębienie? Jeszcze tego brakowało, żeby zachorować teraz, kiedy wszystko ma się zmienić. Przyszłość rysowała się w fantastycznych kolorach. Paweł poczuł w sobie nagłą falę ekscytacji. Koniec z nudą. Żegnaj, stagnacja. Teraz będzie inaczej. Przed nim nowy początek, nowe życie. Uśmiechnął się do swoich myśli.

Znowu ogarnęło go błogie znużenie. Nagle coś zabrzęczało w aucie. Kurwa, nie tylko ja zaczynam szwankować, lecz także moja audica – pomyślał. Żeby tylko dojechać na miejsce, nie-dobrze by było wzywać lawetę. W Krakowie trzeba będzie wybrać się do warsztatu. Zwiększył ogrzewanie. Po chwili wnętrze audi wypełniło się przyjemnym ciepłkiem. O, teraz jest dobrze. Bardzo przyjemnie... Baaardzo... Nie zauważył, gdy samochód skręcił w lewo, zjeżdżając na drugi pas jezdni.



Poczuł dopiero zderzenie z drzewem i... ból. Okropny ból. Ale trwało to chwilę. Na szczęście śmierć przyszła szybko.

# **Część pierwsza**

**Diana i Paweł**

# Rozdział 1

## Pięć miesięcy później

Dziś jest wyjątkowo zimno. Dawno nie było tak mroźnego maja. Wracam z Olkusza. Musiałam zrobić zakupy. Pandemia pandemią, ale jeść trzeba, a w sklepiku Sawickiej nie ma zbyt dużego wyboru. Dodaję gazu, żeby pokonać wzniesienie, i podjeżdżam pod nasz dom. Pilotem otwieram bramę wjazdową i parkuję na podjeździe. Drzwi domu się otwierają i widzę w nich buźkę Kariny.

– Mamusiu, kupiłaś mi czekoladki i kredki do malowania?

– Wejź szybko do środka, bo się przeziębisz – mówię do córeczki.

– Nie przeziębę się, bo jest już wiosna.

– Ale jest zimno.

Z tyłu za Kariną ukazuje się masywna postać pani Wandy.

– Nie da się jej upilnować. Gdzie masz pantofle? – woła kobieta.

– Mamy ogrzewanie podłogowe, można chodzić boso – przekomarza się nasza młodsza latorośl.

Co za zwariowana pogoda, maj, a my musimy jeszcze ogrzewać dom – smutna refleksja przelatuje mi przez głowę. Na myśl o rachunku za gaz i elektryczność od razu robi mi się gorąco. Nie wiem, jak długo możemy liczyć na wspaniałomyślną pomoc twojego ojca. Na razie przelewa co miesiąc na moje konto trzy tysiące złotych, ale nie wiadomo, jak długo będzie to robił, ma przecież żonę. Młodą żonę, która ma wyjątkowo duże wymagania finansowe. Za trzy tysiące mogłaby sobie kupić nową torebkę lub fajne nowe buty – ona przecież musi mieć wszystko z najwyższej półki, drogie i firmowe.

Wciąż się zastanawiam, jak taki inteligentny człowiek jak mój teść mógł poślubić tę pazerną imbecylkę. Nie musiał się z nią żenić, wystarczyłoby, gdyby co miesiąc wpłacał na jej konto zadowalającą ją sumkę. Przy odpowiednich pertraktacjach mógłby zaoszczędzić dużo forsy.

Nie powinnam jej osądzać, bo czy byłam od niej lepsza? Zachodząc w ciążę, też liczyłam na to, że podpiszesz cyrograf przed ołtarzem.

Wchodzę do strefy kuchennej i rozpakowuję zakupy. Nasz dom jest duży, wygodny i ładnie urządzone. Otwarta przestrzeń strefy dziennej sprawia wrażenie przestronności. Cieszę się, że udało mi się zablokować twój pomysł, gdy planowałeś wyłożyć całą podłogę marmurem. Na moją prośbę, zaakceptowaną przez twojego ojca, zrobiliśmy to tylko w holu, kuchni i jadalni, a w saloniku daliśmy drewno.

Nie miałam dużo do powiedzenia w kwestii wystroju wnętrz, bo to ty ze swoim ojcem wszystko finansowaliście i dlatego zawsze decyzja należała do was. Na szczęście dekoratorka wnętrz miała dobry smak i gust podobny do mojego, dzięki temu czuję się tu dobrze.

Na blat szafek kuchennych wskakuje Filuś, jak zwykle ciekawy, co kupiłam. Nie muszę go przeganiać, bo robi to za mnie pani Wanda.

– A kysz, wstrętny kocie! – woła. – To najgłupszy kot, jakiego widziałam. Strasznie go rozpieściliście. Kto to widział pozwalać mu na łożenie po blatach i stołach.

– Nie pozwalamy, niestety nie mam zdolności pedagogicznych, bo mnie nie słucha – wzdycham. – Pawła też nie słuchał.

– Za bardzo się z nim certolisz, niech łapie myszy i nornice, a nie zajada się przysmakami. Ten kot ma lepiej niż dzieci w Afryce.

– Chyba tak, pani Wando. – Siadam zmęczona na krześle przy stole.

– Zrobić ci kawy? Specjalnie na ciebie czekałam, żebyśmy mogły razem ją wypić. Wczoraj upiekłam ciasto i udało mi się uratować kawałek przed łakomstwem mojego Leszka.

– Pani Wandziu, co ja bym bez pani zrobiła? Jak to dobrze, że panią mam.

To była prawda. Najlepsze, co mnie spotkało w Żuradzie Leśnej, to sąsiedztwo. Kupno działki od Leszka Kieresa było najlepszym twoim pomysłem, Pawle. Zarówno pan Leszek, jak i jego żona zawsze byli wspaniałymi sąsiadami. Od początku okazywali nam życzliwość i chęć pomocy. Sam fakt, że sprzedali nam bardzo tanio parcelę, świadczył o ich przyjaźni i sympatii do nas. Wiem, że pan Leszek był kuzynem twojej mamy i przyjacielem ojca, ale to wcale go nie obligowało do pozbywania się ładnej działki za połowę rynkowej ceny. Słyszałam, że jego żonie nie za bardzo to pasowało, ale postawił na swoim, bo to on wniósł ziemię do ich małżeństwa. Mimo to lubiłam panią Grażynę i nigdy nie czułam do niej żalu, że chciała zarobić więcej na sprzedaży nieruchomości. Przykro mi było, gdy zabił ją nowotwór. Była dla mnie niczym ciocia. Trochę mniej serca mam dla Marceliny. Zawsze sprawiała rodzicom kłopoty, ale po śmierci matki stała się wyjątkowo ciężkim przypadkiem. Współczuję panu Leszkowi i pani Wandzie, że muszą znosić jej humory i wybryki. Wszystko wskazuje na to, że znowu zawali rok. Wywalili ją z medycyny, ale na farmacji też ma problemy z zaliczaniem egzaminów. Zdziwiłbyś się, jak się ostatnio zmieniła. Zawsze brałaś ją w obronę i usprawiedliwiałaś jej niewłaściwe zachowanie, ale teraz sam stwierdziłbyś, że postępuje paskudnie. Może jestem dla niej zbyt surowa, ale oburza mnie sposób, w jaki traktuje swoją babcię – ja nigdy się tak nie zachowywałam w stosunku do mojej. Wiem, że utrata matki była dla niej wielką traumą, ale

to nie usprawiedliwia jej chamskich odzywek i roszczeniowej postawy.

– Diana, zejdź na ziemię – słyszę słowa pani Wandy. – Znowu błądzisz myślami.

– Myślałam o Marcelinie. Jest w domu czy pojechała do Krakowa?

Czoło pani Wandy marszczy się i kobieta wzdycha.

– Chyba pojechała, bo nie widzę jej samochodu. Wyludziła od ojca dwa tysiące złotych i się zmyła. Przecież teraz, w czasie pandemii, wszystkie zajęcia są prowadzone zdalnie. Powinna zrezygnować z wynajętego mieszkania i mieszkać tutaj z ojcem i babką.

– Pani Wandziu, młodzi wolą mieszkać sami. Co ona by robiła w Żuradzie?

– A co ma do roboty w Krakowie? Przecież jest lockdown. Wszystko pozamykane. I restauracje, i kina, i teatry. Znowu suszy Leszkowi głowę, żeby kupił jej mieszkanie.

– Inwestycja w nieruchomości w dużych miastach jest dobrym interesem. Gdyby nawet Marcelina wróciła do Żurady Leśnej, mieszkanie można wynająć.

– I tu się mylisz, Diana. Teraz wcale nie jest tak łatwo o najemców. Leszka znajomy z Krakowa, który ma kamienicę w Śródmieściu, narzeka, że nie ma komu wynająć trzech mieszkań. Przez pandemię studenci wrócili do swoich domów i coraz więcej ludzi pracuje zdalnie.

– Przecież pandemia nie będzie trwała wiecznie – mówię, siedząc w fotelu i popijając kawę. – Jeśli lokale stoją wolne, to dlaczego wzrosła cena nieruchomości? Mieszkania w Krakowie ostatnio bardzo podrożały.

– Skąd wiesz?

Nie od razu odpowiadam.

– Pyszne ciasto, pani Wandziu. Ten sernik to z sera mielonego?

– Nie zagaduj. – Kobieta nie spuszcza ze mnie wzroku. – Chcesz się przenieść do Krakowa?

Odchrząkuję w pięść i odwzajemniam spojrzenie.

– Coraz częściej się nad tym zastanawiam. Kiedy obronię pracę magisterską, rozejrzę się za jakimś zajęciem, a w Krakowie dużo łatwiej znaleźć dobrą pracę niż w Olkuszu.

– Przecież tłumaczenia możesz robić tutaj, teraz wszystkie firmy preferują pracę zdalną. Gdzie ci będzie lepiej niż w Żuradzie? Co zrobisz z dziećmi?

– Racja, pani Wandziu, tu mam panią, a w Krakowie nie miałabym nikogo. Ale... ten dom... Tu wszystko mi się kojarzy z Pawłem.

– To zrób mały remont, przemaaluj ściany, poprzestawiaj meble. Wtedy dom będzie wyglądał trochę inaczej. Leszek po śmierci synowej za moją radą wszystko pozmieniał.

– Wiem, widziałam. Ale to dla mnie takie trudne...

– Doskonale cię rozumiem. Kiedy uporasz się już z żalobą, rzeczywiście powinnaś ułożyć sobie życie na nowo. Chyba Henryk nie powinien mieć nic przeciwko temu. – Zmarszczyła brwi. – Hmm, tak rozpaczał po śmierci Lidii, ale dość szybko się pocieszył.

– No nie tak szybko, dopiero po pięciu latach.

– Nie zarzucam mu, że się powtórnie ożenił, ale wziąć sobie na żonę dziewczynę w wieku synów to już przesada.

– Nie tak całkiem w wieku synów, przecież Paweł był młodszy od Patrycji o całe pięć lat. – Chociaż staram się powiedzieć to lekkim tonem, wyczuwa się sarkazm.

– Heniek na starość całkiem ogłupiał! Sama nie wiem, co bym wolała, czy żeby mój Leszek do końca życia był wdow-

cem, czy żeby ożenił się z taką młodą latawicą. Ale mimo wszystko chyba wolałabym to pierwsze. Chociaż wstydu by mi oszczędził. – Znowu westchnięcie. – Chciałabym, żeby kiedyś się ponownie ożenił, ale z odpowiednią kobietą. Nie jest dobrze być samemu na tym świecie. Kiedy mnie zabraknie, nie będzie miał kto o niego zadbać.

– Pani Wandziu, pan Leszek jeszcze długo nie będzie sam. Jest pani w świetnej formie, dożyje pani setki. Oprócz tego ma Marcelinę.

– Wolałabym, żeby to mnie Pan Bóg zabrał, a nie moją synową. To niesprawiedliwe, gdy młodzi umierają, a starzy wciąż żyją.

– Pani Wandziu, wcale nie jest pani stara, co to jest siedemdziesiąt dziewięć lat. Do setki daleko.

– Powiedz lepiej, dlaczego chcesz się wyprowadzić z Żurady. Nie wiem, czy by się to spodobało twojemu teściowi.

– To jest nasz dom, nie teścia. Pawła i mój.

– Ale Henryk go sfinansował.

– Nie do końca. Paweł przez ponad dziesięć lat był jego wyrobnikiem. To on załatwiał większość zagranicznych kontraktów. Ja też mam jakiś wkład, bo to ja spotykałam się i negocjowałam z Niemcami, najlepszymi jego kontrahentami. Przecież mój teść zna tylko rosyjski i trochę francuski.

– No cóż, kiedy studiował, nie przywiązywano dużej wagi do znajomości języków obcych. Żyliśmy zamknięci w socjalistycznej enklawie, tylko język rosyjski był pomocny w karierze zawodowej.

– Wcale nie. W latach siedemdziesiątych, za czasów Gierka, Polacy zaczęli więcej podróżować. Studenci jeździli za granicę do pracy, turyści do Bułgarii i Jugosławii...



– Ty mnie tu nie ucz, gdzie Polacy jeździli za Gierka, chyba lepiej znam ten temat. Jugosławia była traktowana jak kraj dewizowy, trzeba było mieć paszport i zaproszenie albo odpowiednią ilość dolarów na koncie. Też byłam w Jugosławii na urlopie w tamtych czasach. – Wanda marszczy brwi. – Znowu odbiegamy od tematu. Nie tylko Heńkowi się nie spodoba twój pomysł sprzedaży domu, mojemu Leszkowi również. Nie po to odstąpił wam parcelę za półdarmo, żeby jacyś obcy ludzie tu mieszkali. Mnie też by się to nie podobało.

– Pani Wandziu, nie podjęłam jeszcze żadnej decyzji, tylko zadzwoniłam do biura nieruchomości. Proszę się nie martwić, mieszkania w Krakowie bardzo poszły w górę. Takie mieszkanie, jakie by mnie interesowało, kosztuje mniej więcej pół miliona, a za dom wzięłabym najwyżej siedemset tysięcy. Nie za bardzo się to opłaca. I nie wiadomo, czy w ogóle by się trafił jakiś kupiec na dom.

– Tylko siedemset tysięcy? To oburzające! Przecież dom jest nowy i pięknie urządzone, no i działka dwadzieścia arów.

– Liczy się miejsce. W Krakowie taki dom kosztowałby drugie tyle albo nawet więcej.

Do pokoju wchodzi nasza córeczka. Staje przede mną z nadąsaną buzią.

– Mamusiu, daj mi czekoladkę, bo jestem głodna.

– Karinko, już podaję zupę. – Zrywam się z fotela.

– Ale ja jestem głodna na czekoladkę, nie na zupę.

– Dziś jemy zupę ogórkową, którą bardzo lubisz.

– Już nie lubię zupy ogórkowej. Lubię czekoladki, które kupiłaś w sklepie.

– Czekoladki będą na deser, gdy już zjesz zupę i mięsko z ziemniaczkami i surówką – mówię, idąc do strefy kuchennej.

Pani Wanda wraca do siebie, a ja podaję na stół zupę i biorę się do obierania ziemniaków. Zawsze jemy najpierw pierwsze danie, drugie podaję dopiero po godzinie. Do jadalni schodzi z piętra nasz syn, Igor. Jak na dziesięciolatka jest wyjątkowo duży i zaradny. I bystry. I inteligentny. Doskonale daje sobie radę z nauką zdalną, nie muszę przy nim sterczeć przed komputerem.

– Znowu ogórkowa? – mówi, robiąc niezadowoloną minę.

– Dlaczego „znowu”? Jedliśmy ją dwa tygodnie temu.

– Właśnie że nie. – Wyjmuję z kieszeni smartfon i włącza aplikację Kalendarz. – Ogórkowa była w ubiegły czwartek.

– Wtedy była z ziemniakami, dziś jest z ryżem – prostuję. – Czy musisz zapisywać wszystko, co jemy?

– Muszę. To dowód, że mamy zbyt monotony jadłospis – mówi, z obrzydzeniem biorąc do ręki łyżkę. – Mamo, powinnaś nam urozmaicić jedzenie. Przeczytałem w internecie, że tak radzą dietetycy. Zdrowa dieta powinna być urozmaicona. Dawno nie robiłaś frytek i pierogów.

– Rzeczywiście frytki to najzdrowsza potrawa!

– Naprawdę mamusi? – podchwytuje Karina. – To ja też chcę jeść zdrowo. Zrób nam frytki na obiad.

– Mama żartowała. – Syn wzrusza ramionami.

Moje dzieci nie za bardzo odczuwają brak twojej obecności. To chyba dobrze, prawda? Karinka przez pierwsze tygodnie po twojej śmierci dopytywała, jak jest w niebie, czy są tam czekoladki i coca-cola, a dla dużych panów piwo. O niebie opowiadała im pani Wanda, ale każde z nich inaczej odbierało jej opowieści. Igor, który zaliczył już pierwszą komunię, do kwestii nieba i piekła podchodził bardziej filozoficznie, natomiast Karinka z pułapu swoich czterech lat wszystko brała bardzo dosłownie. Interesowało ją, jak wygląda niebo, kiedy zmarłym wyrastają skrzydła i kiedy przemieniają się oni

w anioły, czy anioły śpią w łóżkach, czy na kwiecistej łące i czym bawią się aniołki dzieci. Z kolei Igor się zastanawiał, czy anioł od razu po śmierci ma zlecone zadanie opiekować się kimś na ziemi, czy musi ukończyć jakiś kurs lub szkolenie i czy opieką objęci są tylko krewni, czy również obcy ludzie. Nie uzyskał zadowalającej go odpowiedzi od katechety, dlatego wypytywał panią Wandę, która była najbardziej obeznana w kwestiach wiary katolickiej. Kobieta nie przepadała za tego typu pytaniami, przede wszystkim tymi zadawanymi przez Igora, bo czterolatkę łatwiej było zadowolić odpowiedzią, ale dużo trudniej bystrego i dociekliwego dziesięciolatka, który umie korzystać z internetu. To ja odsyłam dzieci do pani Wandzi z tego typu pytaniami, uzasadniając, że ona lepiej im wytłumaczy sprawy wiary i nieba, bo kiedyś była nauczycielką.

Staram się nie demonizować problemu twojej śmierci. Nie chcę, żeby nasze dzieci żyły w atmosferze ciągłej żałoby, permanentnego smutku i lęku przed umieraniem. Trochę bagatelizuję aspekt śmiertelności, przedstawiając im kres ludzkiego istnienia w mitologiczno-biblijnym ujęciu. Niech wierzą w niebiańską tęczę, którą każdy człowiek kiedyś przekroczy jako granicę starego i nowego życia. W założeniu: to nowe życie będzie lepsze niż to na ziemi. Chcę złagodzić im traumę sieroctwa, po co mają oplakiwać utratę ojca i jego tragiczne odejście. Niech wierzą, że znajduje się teraz w lepszym świecie i że kiedyś znowu się z nim spotkają.

Pani Wandzia i pan Leszek popierają moje podejście do dzieci w kwestii twojej śmierci, ale mój teść ma trochę inne zdanie. Wyrzuca mi, że nie pożegnałam z powagą i żalem jego syna, że nie kultywuję pamięci o nim, że stępiam u dzieci poczucie straty, że... Tych zarzutów w stosunku do mnie jest bardzo wiele. Nigdy nie byłam pupilką twojego ojca i nigdy za mną nie przepadał. Wiem, że odradzał ci ślub, radząc płacić tylko alimenty. W trakcie tych prawie jedenastu lat naszego małżeństwa nie udało mi się zdobyć jego sympatii, wciąż

traktował mnie z pewnym dystansem. A teraz, po twojej śmierci, czuję się jak intruz w jego rodzinie. Gdyby nie Kieresowie, nie miałabym w Żuradzie Leśnej żadnej przyjaznej mi duszy. Chyba miałeś rację, mówiąc, że mam problemy w nawiązywaniu bliskich relacji z innymi ludźmi. Nigdy nie miałam prawdziwej przyjaciółki. Ani w szkole, ani na studiach, ani w Żuradzie. Rzeczywiście jest ze mną coś nie tak. Kiedyś moją jedyną przyjaciółką była babcia, a teraz jest nią pani Wanda. Nie umiem nawiązać dobrego kontaktu ze swoimi rówieśniczkami, ale nieźle dogaduję się z mężczyznami; w szkole i na studiach nie miałam koleżanek, tylko kolegów. Teraz też jedynym życzliwym mi człowiekiem – nie licząc Kieresów – jest Darek Drewniak. Wiem, że nigdy nie przepadałeś za policjantami, ale Darek jest miłym i uczynnym człowiekiem. Dużo mi pomógł po twoim pogrzebie. Przyjeżdżał do nas, pomagał mi z odśnieżaniem podjazdu, naprawił mi auto. Pani Wandzi nie za bardzo się to podobało, bo zaczęły krążyć po Żuradzie plotki na mój temat. Uważa, że nie wypada, żebym przyjmowała w domu mężczyznę, gdy mąż jeszcze nie ostygł w grobie. Ostrzega mnie, żeby się nie powtórzyło to samo, co było z moją mamą.

## Rozdział 2

Ach, ta moja mama. W ogóle jej nie pamiętam, miałam trzy lata, kiedy umarła, a piętnaście, gdy się dowiedziałam o jej niechlubnej przeszłości. Do dziś pamiętam sytuację, kiedy poznałam historię mojej mamy Urszuli i prawdziwy powód naszej wyprowadzki z Żurady Leśnej do Golkowic. Wcześniej babcia mi mówiła, że wyjechały, ponieważ pragnęła wrócić w rodzinne strony, by spędzić razem ze swoją matką jej ostatnie lata życia. Niebawem się okazało, że tych lat nie było wiele, bo zaledwie siedem. Słabo pamiętam prababcię; kiedy umarła, byłam siedmiolatką zaabsorbowaną końcem wakacji i nadchodzącą zmianą w swoim dziecięcym życiu – zbliżającą się szkołą. Nie chodziłam do przedszkola, ponieważ nie miał mnie kto tam zaprowadzać, dlatego do powrotu babci z pracy opiekowała się mną prababcia.

Zacznijmy od początku. Moją babcią była Celina Barczyk z domu Rytel. Urodziła się w 1940 roku. W przeciwieństwie do innych mieszkańców wsi nie miała liczego rodzeństwa, tylko starszego o pięć lat brata Władka. Dzieciństwo i młodość spędziła w Golkowicach, w malowniczej wiosce pod Wieliczką. Mimo urodziwej twarzy i zgrabnej figury długo nie wychodziła za mąż. Prababcia uważała, że przyczyną były jej wygórowane oczekiwania, bo absztyfikantów miała wielu, ale żaden miejscowy chłopak jej nie pasował. Z natury Celina była romantyczką, wciąż czekała na tego jedyne, wymarzonego, dlatego pomimo skończonych dwudziestu siedmiu lat nadal pozostawała panną – dla prababci i innych mieszkańców wsi: starą panną. Chociaż nie skończyła studiów, udało jej się znaleźć pracę przewodnika w kopalni soli w Wieliczce. Właśnie tam poznała swojego przyszłego męża, Staszka Barczyka, który przyjechał z wycieczką pracowniczą zorganizowaną przez Olkuską Fabrykę Naczyń Emaliowanych. Piękna przewodniczka od razu wpadła Staszкови w oko, dlatego dwa dni pó-

źniej znowu zjawił się pod kopalnią; tym razem przyjechał nie zakładowym autokarem, tylko motocyklem junak. Przystojny, elegancki i wygadany, bardzo podobał się Celinie, chociaż był od niej młodszy o trzy lata. Nie spodobał się natomiast jej rodzinie. Pomimo czyhającego na Celinę staropanieństwa rodzice i brat nie pozwolili jej spotykać się z „żuradziakiem”. Kiedy ukochany ponownie zajechał pod jej dom, brat Władek, który już się ożenił i pozostał na ojcowiznie, pełniąc rolę gospodarza, bezpardonowo wyprosił go za drzwi. Celina nie posłuchała mądrych rad rodziny i wciąż potajemnie spotykała się ze Staszkiem. Nieobecność w domu tłumaczyła godzinami nadliczbowymi w pracy.

Barczyk przyjeżdżał na swoim motocyklu do Wieliczki regularnie dwa razy w tygodniu. Najpierw większość czasu spędzali w kawiarniach, ale wkrótce Staszek zaczął optować za bardziej ustronnymi miejscami spotkań, co niebawem poskutkowało nieplanowaną ciążą. Zrozpaczona Celina długo zatajała przed rodziną swój błogosławiony stan, a kiedy się wydało i wybuchła wielka awantura, uniosła się honorem i opuściła rodzinny dom. Na szczęście Staszek zachował się honorowo i obiecał się z nią ożenić. Przywiózł ją do swojej matki, z którą mieszkał w niewielkiej drewnianej chatynce w Żuradzie Leśnej. Jego ojciec i starsi bracia zginęli w czasie wojny. Kiedy stara Barczykowa się dowiedziała, że wybranka jej syna nie tylko była od niego starsza o trzy lata, lecz także spodziewała się dziecka, od razu wyrobiła sobie o przyszłej synowej niepochlebny opinię. Chociaż niebawem wzięli ślub cywilny, a kościelny dwa miesiące później, Celina w oczach mieszkańców Żurady długo uchodziła za latawicę spod Wieliczki.

Niedługo trwało, by młoda mężatka zrozumiała, że rodzina miała rację, odradzając jej „żuradziaka”. Staszek, owszem, był przystojny, elegancki i rozmowny, ale miał również dużo wad, takich jak lenistwo oraz zamiłowanie do wódki i hazardu. Nie tylko nic nie robił w domu ani wokół niego, lecz także na ten

dom nie dawał żadnych pieniędzy. Zaraz po urodzeniu córki Celina zmuszona była powierzyć dziecko teściowej i iść do pracy, żeby zarobić na utrzymanie siebie, dziecka i męża. Pomimo posiadania dyplomu zdanej matury nie znalazła etatu w biurze. Musiała się zadowolić stanowiskiem przy taśmie produkcyjnej w Olkuskiej Fabryce Naczyń Emaliowanych. Jej nowe zajęcie było nużące, a zarobki niewysokie, ale zaspokajały podstawowe potrzeby rodziny. Praca na zmiany, dojazd na rowerze i brak wygód w domu nie nastrajały optymistycznie do życia, mimo to Celina nie narzekała. Sytuacja trochę się poprawiła, gdy z Olkusza zaczęły kursować podmiejskie autobusy. Udało jej się również zaoszczędzić trochę pieniędzy na doprowadzenie do domu bieżącej wody, ale na prawdziwą łazienkę musiała jeszcze trochę poczekać.

Babcia szybko zauważyła, że rodzina Barczyków uplasowała się na dole drabiny społecznej i była traktowana przez mieszkańców wsi jako gorszy sort. Staszek miał opinię pijaka i nieroba, a jego żona otrzymała etykietkę latawicy. Dopiero gdy Urszula poszła do szkoły, zaczęto inaczej patrzeć na Celinę, bo na zebraniach szkolnych odkryto, że żona pijaka Staszka to miła i niegłupia kobieta. A gdy zaczęła angażować się w pracę społeczną, zdobyła w oczach mieszkańców Żurady nawet pewien autorytet. Wybrano ją przewodniczącą trójki klasowej, a potem przewodniczącą komitetu rodzicielskiego. Zaangażowanie w problemy szkoły zbliżyło towarzysko Celinę z dyrektorką szkoły Wandą Kieres. Najpierw ich znajomość ograniczała się jedynie do spraw dotyczących uczniów, ale niebawem wkroczyła również w sferę prywatną. Domy obu kobiet znajdowały się w dość sporej odległości od siebie, ale rowerami można ją było pokonać w ciągu kilku minut. Wkrótce Wanda Kieres stała się pierwszą prawdziwą przyjaciółką Celiny. Teraz babcia miała już do kogo się pożalić na gderliwą teściową oraz na męża alkoholika i hazardzistę. Chociaż w tym czasie kasyna jeszcze do Polski nie zawitały i nie było

ruletki ani żarłocznych automatów, to równie skutecznie można było przegrać pieniądze w domu któregoś sąsiada.

Z roku na rok Staszek Barczyk staczał się coraz bardziej. Nie tylko nie przynosił do domu żadnych pieniędzy, lecz także podkradał je żonie. Kiedy po wielu upomnieniach wyrzucono go z fabryki, a Celina odmówiła mu zaskórniaków, zaczął wynosić z domu co cenniejsze przedmioty. Najpierw sprzedał jej złote pierścionki, które kiedyś dostała od rodziców, potem spieniężył swoją ślubną obrączkę, a wkrótce później również obrączkę żony. Akurat ta ostatnia strata niezbyt Celiną wstrząsnęła, bo potraktowała ten eksces jako symboliczny koniec ich małżeństwa, ale wyniesienie z domu telewizora i radia wyjątkowo ją oburzyło.

Mimo wielu wad Stach nie był awanturnikiem ani agresorem, nigdy nie podniósł ręki ani na żonę, ani na córkę. Jednakże wstyd za męża palił Celinę niczym dotkliwe razy. Wstydziała się za niego przed sąsiadami, przed współpracownikami w fabryce, a najbardziej przed Wandą. Ta jednak szybko wybiła jej z głowy poczucie wstydu.

– Nie bądź głupia, Celinko, przecież to nie twoja wina, że twój mąż to pijak – mówiła.

– Właśnie że jestem głupia, bo nie posłuchałam rodziny. Oni od razu się na nim wyznali, a ja, zakochana idiotka, pozwoliłam mu się omamić.

– Nie pierwsza i nie ostatnia – mruknęła Wanda. – Przestań się nim przejmować, myśl o sobie i Urszulce. Powinnaś go rzucić.

– Łatwo ci mówić. Co wtedy pocznę ze sobą i dzieckiem?

Rzeczywiście babcia znalazła się w prawdziwym impasie. Nie mogła się rozwieść z mężem, ponieważ nie miałyby gdzie mieszkać. Dom, choć stary i bez wygód, zapewniał jednak schronienie jej i córce. Do Golkowic nie miała powrotu, bo rodzina, podpuszczana przez bratową, zerwała z nią wszelkie



kontakty. Ciężki to był czas dla mojej babci, niejedną noc przepłakała w poduszkę. W latach siedemdziesiątych nie było poradni uzależnień ani terapii AA, gdzie mogłaby szukać pomocy. Bagatelizowano problem alkoholizmu, nie traktowano go w kategoriach choroby. Alkoholik i pijak dla większości ludzi oznaczało to samo. Z czasem Celina zrozumiała, że nie jest w stanie wpłynąć na męża, żeby przestał pić. Nie pomagało ani wtedy, gdy go o to prosiła, ani gdy straszyla rozwodem. Na początku małżeństwa Stach po każdym pijackim incydencie przeproszał i obiecywał poprawę, ale z biegiem lat już tego nie robił. Chociaż nigdy jej nie uderzył, to stawał się coraz bardziej agresywny słownie. Obawiała się, że kiedyś ta agresja przyjmie postać rękoczynów. Dlatego przestała reagować na jego pijackie zaczepki, nie krzyczała na niego, tylko czekała, by usnął. Teściowa winą za pijaństwo syna obarczała synową. Według niej Stach pił wódkę, bo był nieszczęśliwy z żoną. Na zmianę jej nastawienia do synowej nie pomagały pochlebne zdania o Celinie wygłaszane przez sąsiadów i innych mieszkańców Żurady – stara Barczykowa wiedziała lepiej.

Celina coraz bardziej tęskniła za Golkowicami i za rodziną. Nie miała odwagi pojechać tam w odwiedziny, bo listy i kartki świąteczne przez nią wysyłane nie doczekały się odpowiedzi. Wstyd jej było przyznać się do porażki, dlatego informowała ich o swoim życiu w dość lakoniczny sposób. Potem przestała pisać listy, ale kartki świąteczne nadal wysyłała. Później się okazało, że całą korespondencję przechwytywała bratowa i trzymała w tajemnicy. Dopiero pogrzeb ojca doprowadził do ponownego spotkania Celiny z rodziną. Brat, nie znając jej adresu, pojechał do Olkuskiej Fabryki Naczyń Emaliowanych, przekonany, że spotka tam szwagra. Dowiedziawszy się, że Stach już tam nie pracuje, natomiast pracuje siostra, zostawił dla niej w kantorku wiadomość o śmierci i dacie pochówku ojca.

Na pogrzeb Celina pojechała jedynie z dziewięcioletnią córką, bez męża, który już rano zdążył się upić i spał na tapcza-

nie. Celina ze łzami w oczach padła w ramiona swojej matki, już bez łez uściskała brata, natomiast bratowej powiedziała tylko zdawkowe „dzień dobry”. Śmierć ojca, wspólna modlitwa nad grobem i późniejsza stypa ponownie zbliżyły skłóconą rodzinę. Kiedy Celina, mocno bijąc się w pierś, okazała skruchę i przyznała się do głupoty swoich wyborów, matka i brat łaskawie wybaczyli jej ucieczkę z domu i ponownie przyjęli na łono rodziny. Bratowa dostała ostrą reprymendę zarówno od teściowej, jak i męża za ukrywanie korespondencji Celiny. Moja babcia, chcąc załagodzić rodzinny konflikt, wspaniałomyślnie wybaczyła bratowej, ale żal i uraza tkwiły w niej długo.

Po pogrzebie ojca relacje rodzinne zostały ponownie nawiązane. Teraz babcia nie tylko co miesiąc jechała do Golkowic, lecz także kontaktowała się z bratem telefonicznie, dzwoniąc ze swojego kantorka do kantorka zakładu, w którym pracował brat, ponieważ w obu domach nie było telefonów.

Chociaż teściowa nie doceniała Celiny, to doceniono ją w pracy i awansowano na brygadzystkę. Babcia zaczęła więcej zarabiać i odkładać pieniądze na upragnioną łazienkę. Oszczędności trzymała w banku i w piwnicznej skrytce z obawy, żeby Stach się do nich nie dostał. Kiedy pewnej zimowej nocy jej pijany mąż, wracając od kolegi z Mazańca, przewrócił się i zmarł w lesie na kość, nie przeżyła traumy z powodu jego śmierci. Więcej – poczuła ulgę, że wreszcie uwolniła się od pijaka. Natomiast dużo bardziej utratę Stacha przeżyła jego matka i... wkrótce dołączyła do syna.

Celina odetchnęła. Nareszcie była wolna. Cały rok chodziła w żałobnej czerni i wystawiła na ich grobie piękny pomnik. I zaczęła żyć. Normalnie żyć. Bez stresu, wstydu, lęku o pieniądze. Oszczędności wystarczyły na wyremontowanie starej chatynki. Dom drewniany, bo drewniany, ale już niebawem zaczął przypominać domostwo godne dwudziestego wieku.

Pomimo pustych półek w sklepach i braków w zaopatrzeniu udało się jej kupić spod lady wszystkie sanitarne utensylia i zrobić upragnioną łazienkę. Nareszcie babcia i jej córka, zamiast korzystać ze sławojki, mogły usiąść wygodnie na klozecie, a poobijaną balię, w której się myły, zastąpiła elegancka wanna. Nie tylko łazienka stała się dumą Celiny, lecz także cały świeżo wyremontowany domek. Odnowiła stare meble i ozdobiła okna uszytymi własnoręcznie firankami i zasłonami. Dywany, bibeloty i wiszące na ścianach zdjęcia w ramkach dodawały wnętrzu ciepła, co zostało nagrodzone przez odwiedzających ją sąsiadów licznymi komplementami. Nawet Wanda pochwaliła dobry gust i kreatywność koleżanki, stwierdzając, że to najciekawiej urządzony dom w Żuradzie. W latach siedemdziesiątych mało kto przywiązywał wagę do wystroju wnętrza. Zaczęły się braki w sklepach i nie było skąd czerpać inspiracji, ponieważ nie było pism poświęconych wnętrzarstwu. Dom Wandy, jak większość budynków w Żuradzie, był zbudowany z pustaków cementowo-żuźlowych robionych własnym sumptem i miał dach przykrytym eternitem. Większość tych budowli w następnych latach doczekało się dodatkowego piętra, gdy któreś z dzieci założyło własną rodzinę.

Dopiero teraz Celina mogła zaprosić do siebie swoich krewnych. Przyjechali matka i brat z bratową oraz trójka ich dzieci. Entuzjazm Celiny prysł, gdy Maryśka skrytykowała jej dom.

– Phi, drewniany? Kto to widział remontować taką ruinę. Lepiej było zburzyć i wybudować porządny, murowany.

– Domy drewniane są ciepłe i bardziej przyjazne zdrowiu niż z hasia. – Hasiem nazywano gwarowo pustaki z żuźłu.

– Okienka są małe. I kto to widział mieć białą podłogę, przecież wszyscy malują farbą olejną w kolorze orzecha – krytykowała dalej Maryśka.

– Właśnie tak poprzednio były pomalowane deski. Najpierw zamierzałam ściągnąć farbę i wymalować lakierem bezbarwnym, ale się nie dało, bo podłoga była popękana i ze starych desek, dlatego łatwiej było mi użyć białego lakieru. Dzięki temu w domu zrobiło się dużo jaśniej. – Celina wciąż zaciekle broniła swoich pomysłów. – Wszystkim się podoba mój domek. Nawet mojej koleżance nauczycielce.

Brat z bratową nazajutrz wyjechali, ale matka Celiny została jeszcze cały tydzień, by spędzić więcej czasu z wnuczką.

Czas leciał, Urszulka rosła jak na drożdżach, ale przysparzała też coraz więcej problemów. Chociaż była bardzo zdolna, nie chciało jej się uczyć, często wagarowała i dość szybko zaczęła się interesować chłopakami i alkoholem. Po raz pierwszy upiła się do nieprzytomności na swoim komersie w ósmej klasie, ale już wcześniej razem z chłopakami popijała tanie wino. Celina była załamana zachowaniem córki. Zawstydzona i bezradna. Na wywiadówkach nieraz musiała wysłuchiwać przykrych słów na temat dziewczynki. Najbardziej zawstydzają ją uwagi Wandy.

– Celina, nie wiem, co ci poradzić, ale postaraj się jakoś dotrzeć do Urszuli. Szkoda dziewczyny. Jest bystra, ale niesforna i leniwa. No i te jej wyskoki. Za wcześnie na chłopaków i alkohol! Piętnastolatki jeszcze nie powinny umawiać się z chłopcami, nie wspomnę o alkoholu. Dobrze, że komers się odbył już po zakończeniu szkoły, bo jako dyrektorka nie mogłabym dać jej świadectwa, widząc ją pijaną w sztok. Nawet żaden chłopak tak się nie upił jak Ula. Nie wiem, co się z nią stanie w liceum. Chyba powinna wybrać inną szkołę. Może powinnaś posłać ją do ekonomika lub jakiejś zawodówki, żeby zdobyła zawód?

– Nie. Wandziu, przecież wiesz, że Urszulka jest bardzo zdolna. Musi skończyć studia – powiedziała twardo babcia. – Mnie się nie udało, ale ona skończy.

– Hmm, nie wiadomo, czy zda egzaminy wstępne do liceum – mruknęła Wanda. – Ma duże braki.

– Nie martw się, przypilnuję jej.

Rzeczywiście Celina wprowadziła słowa w czyn. Wzięła dwa tygodnie urlopu i nie spuszczała z córki oka. Razem z nią uczyła się rozwiązywać zadania z matematyki i razem z nią omawiała lektury szkolne. Opłacało się, bo dziewczyna zdała dobrze egzamin i dostała się do liceum ogólnokształcącego w Olkusz.

Niestety przewidywania Wandy co do Urszuli spełniły się już w drugiej klasie. Tutejsi nauczyciele nie byli tak wyrozumiali jak w Żuradzie. Kiedy zobaczyli, jak na jednej z dyskotek dziewczyna przewraca się pijana, wyrzucili ją ze szkoły. Dzięki pomocy Wandy i jej znajomościom udało się umieścić Ulę w liceum ekonomicznym. Nie pomogły prośby ani groźby matki, dziewczyna również w nowej szkole wagarowała i zaniedbywała naukę. Tylko dzięki bystrości umysłu i ciągłym wizytom jej matki w pokoju nauczycielskim udało jej się zdać maturę.

Niestety wraz z dyplomem ukończenia szkoły Urszula przyniosła matce jeszcze jedną rzecz – test ciążowy z dwiema kreškami.

## Rozdział 3

Rozmyślania o babci i mamie przerywa mi pisk hamulców mercedesa teścia, który zajeżdża pod nasz dom. Z samochodu wychodzi Henryk Cisowski i pokonując kilka schodków, jest już pod naszymi drzwiami. Muszę przyznać po raz enty, że twój ojciec nadal jest przystojnym mężczyzną. Mimo sześćdziesięciu pięciu lat wciąż się dobrze prezentuje. Ma bujne, chociaż już mocno szpakowate włosy i krzepką postawę silnego, odważnego faceta. Nawet kilka dodatkowych kilogramów nie umniejsza jego męskiej urody. Bijące od niego charyzma i władza jeszcze bardziej uatrakcyjniają jego aparycję męczyzny, któremu się w życiu powiodło. Patrycja nie jest jedyną kobietą, która skusiłaby się na miejsce przy jego boku i w jego łóżku. Nawet nie jest do tego konieczny gruby portfel ani obietnica obrączki.

Twój ojciec jak zwykle zmierzył mnie chłodnym spojrzeniem i również chłodno powitał.

– Dzień dobry, Diano. Gdzie są dzieci? Zamierzam je zabrać na małą wycieczkę.

– Dokąd chce je pan zabrać? Jest pandemia, wszystko poza-  
mykane.

Nigdy nie odważyłam się zwracać do niego per tato, jak wcześniej sugerowałeś. A kiedy ożenił się z Patrycją, mógłby to odebrać jak małą złośliwość. Nasze dzieci oczywiście mówiły do niego „dziadziusiu”, ale miały mały problem z tytułowaniem jego nowo poślubionej żony. Patrycja była starsza ode mnie zaledwie o osiem lat, a od ciebie tylko pięć. Z przyjemnością i złośliwą satysfakcją słuchałam, gdy Igor nazywał ją babcią. Zauważyłam, że z biegiem lat robił to coraz częściej i nawet podpuszczał siostrę, żeby szła w jego ślady. Czterdzie-  
stoletnia Patrycja, która wciąż chciała uchodzić za dwudzie-  
stolatkę, odbierała to jako zamierzoną złośliwość – i wcale się

nie myliła. Jednak Karinka robiła to nieświadomie, naśladowując brata, ale nie znając jego ukrytych zamiarów. Patrycja wzbierała się przed takim tytułowaniem, szczególnie gdy dzieci robiły to w obecności obcych ludzi, jej protesty jednak nie poskutkowały.

– Karinko, nie jestem twoją babcią, przecież nie urodziłam twojego taty. Mówcie mi „ciociu”.

– Babciu, ale jesteś żoną naszego dziadziusia, a więc nie możesz być ciocią – mówiła Karinka.

– Ale babcie są stare, a ja nie jestem jeszcze stara – odpowiadała z uśmiechem Patrycja.

– Niedługo się zestarzejesz – zripostowała nasza córka. – Wszyscy się starzeją.

Patrycja niezbyt się spisywała w roli babci; w ogóle nie przepadała za dziećmi, nawet nie za bardzo się upierała, żeby mieć własne. Kiedy Henryk sprzeciwił się ponownemu ojcostwu, mówiąc, że jest na to za stary, nie przekonywała go, żeby zmienił zdanie. Chyba rzeczywiście są kobiety, które nie mają zakodowanego w swoim DNA genu prokreacji. Patrycja ponad macierzyństwo przekładała spokój, dobrą figurę i brak obowiązków. Jej problemy zawężyły się do dbania o urodę i prowadzenia wygodnego życia żony zamożnego mężczyzny. Największym walorem, który cenila u faceta, była wielkość jego portfela, a nie penis. Nie zwracała zbyt dużej uwagi ani na PESEL, ani wygląd właściciela portfela, wystarczyło, jeśli mąż był w stanie spełniać jej finansowe zachcianki, natomiast przyjemności natury fizycznej były dla niej mało ważne. Według mnie ta kobieta nigdy nikogo nie kochała. Nie utrzymywała kontaktów ani z dwiema siostrami, ani z matką. Jej krewni tylko raz przyjechali do Żurady, na jej ślub cywilny. Ślubu kościelnego nie było, ale to nie miało dla Patrycji żadnego znaczenia, bo cyrograf zdobyty w USC uprawniał ją do konta i majątku Henryka.

Teść nie był na tyle przezorny, żeby wyjść z propozycją intercyzy – czego wkrótce pożałował. Kiedy już mu minął szal namiętności, a oczy zaczynały dostrzegać oprócz superfigury i ładnej buźki również wady ukochanej, nie mógł tak łatwo wyplątać się z małżeńskich kajdan, chociaż niejednokrotnie miał na to ochotę. Musiał zaakceptować w swoim domu i życiu stałą obecność pięknej Patrycji, starając się, by ta obecność była dla niego jak najmniej uciążliwa. Spotykali się jedynie przy stole w jadalni, i to nie zawsze, natomiast przy ławie w salonie już dużo rzadziej. Teść miał swój pokój, w którym spędzał większość wolnego czasu. Tutaj serfował w internecie, tu oglądał telewizję i tu spał, bo fascynacja wdziękami żony dawno już minęła. Małżonkowie nawet korzystali z innych łazienek, żeby nie wchodzić sobie w drogę. Z tego, co zauważyłam, ten układ zadowalał obie strony. Sporny był tylko jeden punkt – Henryk starał się bronić konta bankowego przed zakusami rozrzutnej żony, a Patrycja wkładała dużo wysiłku intelektualnego, żeby to konto systematycznie czyścić.

Henryk nigdy nie był dla mnie serdecznym teściem, od pierwszego spotkania czułam jego niechęć. Może tę awersję spowodowała ciąża, bo wiem, że odradzał ci ożenek. Nawet test DNA potwierdzający twoje ojcostwo, który kazał wykonać przed ślubem, nie zmienił jego nastawienia do mnie. Nie pomagały żadne moje wysiłki próbujące zmienić ten stan. Ani moje oddanie jego synowi i wnukom, ani moja usłużność i nadskakiwanie jemu i jego połowicy. Wciąż na mnie patrzył przez pryzmat niechęci i nieuzasadnionego uprzedzenia. Nie mógł mi nic zarzucić. Dom zawsze był posprzątany, ogród zadbane, domownicy dobrze nakarmieni i ubrani. A kiedy zjawiał się u nas jaśnie pan teść, traktowałam go jak króla odwiedzającego domostwo poddanych. Zabawiałam go, komplementowałam, podziwiałam i dziękowałam... Aż pewnego dnia przestałam to wszystko robić. Poddałam się. Widząc, że moje wysiłki są daremne, po prostu zaakceptowałam *status quo*. Nie



ma sensu walczyć z wiatrakami. Teść nie lubi swojej synowej i nic na to nie można poradzić.

Po twojej śmierci jego negatywne nastawienie nie uległo zmianie, a może nawet jeszcze bardziej się pogłębiło. Mimo to pomagał mi finansowo, przelewając na moje konto co miesiąc trzy tysiące złotych; pokrywał również część opłat związanych z utrzymaniem domu. Nie wiedziałam, jak długo to potrwa, dlatego starałam się znaleźć stabilne źródło utrzymania. Pomogła mi w tym dobra znajomość angielskiego i niemieckiego. Pandemia i opieka nad dziećmi trochę ograniczały moje możliwości zawodowe, mimo to znalazłam posadę rekruterki w pewnej niemieckiej firmie, w niepełnym wymiarze godzin. Pieniądze twojego ojca nie są darowizną, tylko zapłatą za pracę, jaką dla niego wykonuję, utrzymując kontakt mailowy i telefoniczny z niemieckimi kontrahentami. Wcześniej ty, Pawle, się tym zajmowałeś, teraz pałeczka została mnie przekazana, bo Henryk Cisowski nie mógł się pochwalić lingwistycznymi osiągnięciami. Miał dyplom magistra inżyniera AGH, ale urodził się w epoce niemoty lingwistycznej, kiedy znajomość języków obcych nie była tak pożądana jak teraz. Peerelowskie wykształcenie nie było nastawione na to, żeby polscy obywatele mieli częsty kontakt z innymi nacjami. Nie tylko władze, lecz także sami obywatele nie za bardzo się garnęli do poszerzania znajomości języków obcych. W obozie socjalistycznym język Puszkina wystarczył, żeby się można było porozumieć. Wyjazdy do strefy dewizowej były obwarowane różnymi przeszkodami. Gierek trochę to zmienił i otworzył granice dla posiadaczy paszportów i dewiz, ale motywacja nie była aż tak silna, żeby się uczyć języków. Do tej grupy mało zmotywowanych absolwentów szkół wyższych należał niewątpliwie mój teść. Ale dzięki jego ignorancji językowej zawsze czuję miłe ciepło, bo chociaż w tym jednym punkcie jestem lepsza od pana Henryka Cisowskiego.

Twój ojciec może nie jest najlepszym teściem, natomiast zawsze był i nadal jest idealnym dziadkiem. Nieraz odnosiłam

wrażenie, że więcej uczucia żywił do wnuków niż do syna. Może dlatego, że jeszcze nie zdążyli go rozczarować? Henryk ma w sobie duże pokłady wyrozumiałości, cierpliwości i oddania, ale ukierunkowane jedynie na wnuków, bo w stosunku do innych ludzi nie posiada ich za grosz. Zawsze był bardzo surowym i wymagającym ojcem, teściem i szefem, ale dziadkiem jest cudownym. Nasze dzieci go ubóstwiają.

Również teraz, widząc dziadka, rzucają się na niego jak pies na swojego pana.

– Dziadziusiu, zobacz, jaki obrazek narysowałam. To nasz Filuś. – Karinka pokazuje coś, co bardziej przypomina koźkę niż kota. – Ładny?

– Bardzo. I bardzo podobny do waszego kotka. Też jest czarny.

Rzeczywiście w tym ma rację, bo podobieństwo zostało zachowane tylko pod względem kolorystycznym.

– Dziadziusiu, przeszedłem trzeci etap w grze, którą mi ostatnio kupiłeś – chwali się Igor.

– Tak? Niemożliwe! Ja bym w życiu tego nie zrobił.

I w tym również ma rację mój teść, bo nie umie przejść żadnego etapu. Tak jak ja.

– Ubierajcie się, jedziemy do Kalwarii do wujka i cioci – mówi.

– Oni zjedli dopiero zupę – protestuję delikatnie.

– Po drodze wstąpimy do McDonalda.

– Hurra! – woła entuzjastycznie Karinka. – A babcia jedzie z nami?

– Nie – odpowiada twój tato i się uśmiecha. On, tak jak ja, również bardzo lubi, gdy dzieci nazywają Patrycję „babcia”.

Z moim teściem nie ma dyskusji – jeśli zarządzi wyjazd moich głodnych pociech do Kalwarii Zebrzydowskiej, to muszą jechać. Wiem, że pod opieką dziadka krzywda im się nie stanie. A ja w tym czasie trochę sobie od nich odpocznę. Cisza w domu i słodkie lenistwo są niekiedy najlepszą pigułką szczęścia. Kilka godzin spokoju to odpowiednik smacznego deseru.

Tego dnia postanawiam nie gotować obiadu. Wolę zadowolić się skromną kanapką z pomidorem, niż spędzać dwie godziny w kuchni. Ale dzięki pani Wandzie nie jest mi dane być tego dnia głodną. Gdy tylko samochód twojego taty znika z naszego podjazdu, słyszę melodyjkę komórki.

– Diana, nie gotuj obiadu, tylko wpadnij do nas. Kończę lepić pierogi z mięsem.

– Super! – wołam entuzjastycznie. – Kiedy mam przyjść? Może pomóc pani w lepieniu?

– Nie ma w czym pomagać, jestem już na finiszu. Przyjdź za godzinkę.

Punktualnie o trzeciej staję przed drzwiami Kieresów z butelką adwokata. Pani Wanda nie przepada za alkoholem, ale kieliszek likieru jajecznego sprawia jej przyjemność. Drzwi otwiera mi Leszek Kieres. Syn pani Wandzi ma rysy trochę podobne do rysów matki. Szczupła twarz, wysoko zaznaczone kości policzkowe i brązowe śmiejące się oczy. Kiedyś był szatynem, ale teraz na jego głowie przeważa kolor gołębi. Nie może pochwalić się tak gęstą czupryną jak Henryk Cisowski, ma wysokie czoło, które coraz bardziej przybliża się do czubka głowy. Mimo to nadal może się podobać kobietom, chociaż nie jest tak przystojny jak twój ojciec. Reprezentują inny typ urody. Twój ojciec kojarzy się z macho, natomiast Kieres z profesorem uniwersytetu. Pan Leszek nie jest naukowcem. Skończył medycynę, ale nigdy nie leczył ludzi. Ma w zwyczaju żartować, że dlatego został patologiem, żeby nie wysłuchiwać

narzekań pacjentów i nie brać na swoje barki odpowiedzialności za skuteczność leczenia. Mówiąc serio, obrał tę specjalizację, ponieważ tylko tam były wolne miejsca. Jego profesja najmniej podoba się pani Wandzie, bo się nie może pochwalić przed koleżankami lekarskimi osiągnięciami jedynaka, który zamiast ratować życie pacjentom, kroi nieboszczyków. Ale pan Leszek nie narzeka. Wbrew naturze swojej profesji zawsze jest uśmiechnięty i pogodnie nastawiony do ludzi.

– Obcując na co dzień z umarłymi, człowiek bardziej docenia sens istnienia – lubi mówić. – Każda forma życia jest piękna.

Chociaż od śmierci jego żony minęło już pięć lat, nie szuka nowej miłości.

– Po co mi kobieta? Mam mamę i córkę. Mama dba o mnie i o dom, a córka o moje konto bankowe. Mama pilnuje mojej diety, każe mi się zdrowo odżywiać, żebym nie przytył, a Marcelina odchudza mój portfel, żebym się nie przemęczał, dźwigając go w kieszeni – często żartuje.

Pana Leszka nie interesują teraz kobiety, natomiast one wciąż się przy nim kręcą, bo nadal jest pociągającym mężczyzną – wizualnie, intelektualnie i finansowo. Być żoną lekarza, nawet od nieboszczyków, to przecież niezła partia.

– Fajnie, że nas odwiedziłaś. – Wita mnie uśmiechem. – Zrazem zawołam Marcelinę na obiad.

– Myślałam, że Marcelina jest w Krakowie. Nie widzę jej samochodu.

– Stoi w garażu.

Idę do kuchni, żeby pomóc pani Wandzie podać do stołu.

– Gdzie jemy? W pokoju czy tutaj? – pyta.

– Tutaj, bo sami swoi – mówię.

Należę do stałych bywalców domu Kieresów. Za życia żony pana Leszka też tu bywałam, ale po jej śmierci, gdy pani Wanda przeprowadziła się do syna, wpadam tu codziennie – żeby coś wziąć albo podać lub wypić i zjeść. Zawsze uważałam i nadal uważam, że największą zaletą naszego domu jest sąsiedztwo.

– Cześć, Diana – słyszę głos wynurzającej się ze swojego pokoju Marceliny. – Jeśli przyszłaś, to mam nadzieję, że potem nie będę musiała sprzątać kuchni – bąka pod nosem.

– Marcelina, jak się zachowujesz?! – Pan Leszek marszczy brwi.

– Po prostu nie mam czasu, bo zaraz po obiedzie muszę jechać do Krakowa.

Dziewczyna siada przy stole, a ja zaczynam nakrywać do obiadu. Zawsze staram się pomóc pani Wandzi w kuchni. W ogrodzie również, gdy zachodzi taka potrzeba.

Marcelina z naburmuszoną miną odgarnia blond włosy na plecy.

– Nie trzep mi tu nad stołem kudłami – mruczy pod nosem jej babcia. – Trzeba było je związać.

– Tak? A czemuż to Dianie nigdy tego nie powiesz? Ona też ma długie kudły.

– Ale jej nie wypadają, a tobie tak. Potem muszę je wyławiać z talerzy i garnków. Mówiłam ci, żebyś ich nie farbowała, bo będą wypadać.

– Wypadanie włosów nie ma nic wspólnego z farbowaniem. Tak mi powiedziała znajoma taty, pani dermatolog.

Marcelina jest wysoką, ładną dwudziestoczerolatką, rozpieszczoną i bardzo roszczeniową. Kiedy umarła jej matka, była w klasie maturalnej. Traumą związaną ze śmiercią rodzi-

cielki zawsze umiała odpowiednio wykorzystać. I nadal to robi.

Pierogi są pyszne, zjadam podwójną porcję. Po obiedzie Marcelina jedzie do Krakowa, a my w trójkę siadamy w fotelach przed telewizorem. Kawka, pyszny sernik i wino są dopełnieniem kulinarnej uczyty.

– O Boże, jaka jestem pełna – stwierdzam, przyjmując wygodniejszą pozycję. – Pani Wandziu, przez panią przytyję.

– Daleko ci do przytycia, jesteś chudsza od Marceliny.

– Ależ skąd, już prawie wróciłam do wagi sprzed pogrzebu – oznajmiam i zaraz pochmurnieję.

– Widzę u ciebie sińce pod oczami – zauważa pan Leszek. – Nadal masz problemy ze snem?

– Tak.

– Czy te tabletki, które ci dałem, nie pomagają?

– Już mi się skończyły.

– To zaraz dam ci nowe, mam w apteczce.

– Nie chcę się uzależnić.

– Nie powinny uzależnić, to ziołowe pastylki – mówi, a potem dodaje: – Powinnaś zacząć się z kimś spotykać. Nie mam na myśli mężczyzn, bo na to może jeszcze za wcześnie, ale może zaproś jakąś koleżankę... Albo gdzieś jedź...

– Teraz, w pandemii? – Wzruszam ramionami. – Nie mam koleżanek.

– No to jedź chociażby do Krakowa. Zawsze to jakaś rozrywka. Pospaceruj po rynku, wypij kawę pod parasolem. Kup sobie coś ładnego. Bo ja wiem... zrób coś, co sprawiłoby ci przyjemność. Przecież nigdzie się nie ruszasz, tylko dom i dzieci.

– Na razie jest zimno, pojedę, gdy się ociepli.

Przebywam u Kieresów do momentu powrotu moich dzieci. Widząc kwaśną minę teścia, wzdygam w duszy. Dlaczego on mnie tak nie lubi? Jaka szkoda, że moim teściem nie jest pan Leszek. Ale Kieresowie to też w pewnym sensie rodzina. Ojciec Kieresa był bratem babci Pawła. Moja teściowa, Lidia, była ulubioną kuzynką Leszka.

Ciekawa jestem, Pawle, czy twoja mama też by mnie nie polubiła tak jak twój ojciec.

Wracam do domu, kładę dzieci do łóżka i siadam w fotelu ze słuchawkami w uszach. Mam dość na dziś filmów, wolę posłuchać audiobooka. Jak zwykle odkładam moment pójścia do łóżka. Nienawidzę teraz nocy.

Kiedy czuję, że oczy mi się zamykają, idę do łazienki, by się przygotować do snu. Moją sypialnią od dnia twojej śmierci nadal jest pokój gościnny. Ty miałeś swój gabinet, ja też wywalczyłam dla siebie własne sanktuarium. Z początku w tym pomieszczeniu miała być garderoba, ale wyprosiłam, żeby wstawić tu okno, a funkcję garderoby przejęła duża szafa kupiona w IKEA. W tej małej izdebce nazywanej szumnie pokojem gościnnym mieści się oprócz łóżka i komody tylko małe biurko, ale dzięki temu mogę odizolować się od reszty domowników, jeśli mam taką potrzebę. Teraz nie potrafię spać w łóżku, które kiedyś z tobą dzieliłam. Po prostu nie mogę. Od czasu twojej śmierci wchodzę tam bardzo rzadko, tylko po ubrania, które wiszą w szafie.

Zapalam lampkę stojącą na małym okrągłym stoliczku. Napełniam karafkę świeżą wodą, kładę telefon, chusteczki do nosa oraz tabletki nasenne i apap. Rzadko z nich korzystam, ale muszę je mieć w zasięgu ręki. Po godzinie słuchania audiobooka gaszę światło. Teraz czekam na sen. Czekam, czekam, a on nie nadchodzi. Tak jak to bywa w każdą noc. Nie chcę zostać sam na sam ze swoimi myślami i wspomnieniami, dlatego ponownie włączam audiobooka.

## Rozdział 4

Do Krakowa jadę dopiero w czerwcu. Jest piękny upalny dzień, chyba powinnam go lepiej spożytkować – na przykład jechać z dziećmi nad wodę albo do lasu. Wybieram jednak Kraków, bo muszę odwiedzić uczelnię i zrobić tomografię głowy. Lekarz neurolog zainteresował się moją bezsennością, dlatego dał mi skierowanie na badanie. Tym razem jadę samochodem, a nie busem, jak zazwyczaj – no cóż, krakowskie korki i problem z parkowaniem powodują, że przeważnie wybieram zbiorową formę podróżowania. Badanie mam zleczone w nowo otwartym szpitalu uniwersyteckim na Jakubowskiego, dlatego wybieram dłuższą, ale szybszą trasę przez obwodnicę. Po wykonaniu badania i spotkaniu na uczelni z promotorem postanawiam zastosować się do rad pana Leszka i pójść na Rynek Główny. Nie spieszy mi się do domu, bo dzieci zostały pod dobrą opieką pani Wandy, dlatego siadam w ogródku kawiarnianym, by zamówić kawę i lody.

Jak dobrze znowu tu być. Obserwować ludzi leniwie sunących chodnikiem lub spieszących nie wiadomo dokąd. Przyglądać się stadku gołębi pałaszujących ziarna pszenicy, którymi poczęstował ich jakiś wspaniałomyślny spacerowicz. Słuchać dźwięków hejnału dolatującego ze szczytu wieży Mariackiej. I wdychać atmosferę tego czarownego zakątka hałaśliwego miasta. Uwielbiam Kraków. Ale od święta. Na co dzień wolę spokojną Żuradę, gdzie czas płynie wolniej, wszyscy się znają i trudno się ukryć ze swoimi sekretami. Akurat to ostatnie mało mi się podoba.

Trochę mi głupio siedzieć samej, tym bardziej że wciąż lustrują mnie wścibskie oczy faceta z sąsiedniego stolika. Nie jestem nastrojona na zawieranie nowych przygodnych znajomości, dlatego ignoruję jego spojrzenie i zaczepny uśmiech, który mi przesyła co chwilę. Wyjmuję smartfona i wchodzę na Facebooka. Popijając kawę, przeglądam nowe posty. Czując



szczypanie oczu, wyłączam telefon i zaczynam obserwować przechodniów, którzy leniwym krokiem spacerują po rynku.

Nagle moje spojrzenie rejestruje znajomą sylwetkę. Wysoka męska postać, gęste ciemne włosy i barczyste ramiona. Te same ruchy, ten sam chód. I ta sama twarz. Kilka razy mrużę powiekami. To przecież niemożliwe. To nie możesz być ty! Ty nie żyjesz! Czuję, jak krew odpływa mi z twarzy, a serce wali niczym zwariowany perkusista. Wstaję gwałtownie i rzucając się w tamtą stronę.

– Paweł! – wołam. – Paweł!

Zatrzymuje mnie mocny uścisk na ramieniu.

– Hola, hola, paniusiu – słyszę lodowaty męski głos. – Gdzie się pani wybiera? Wcześniej trzeba zapłacić rachunek.

Oszołomiona patrzę na kelnera. Wyrywam się mu.

– Nigdzie się nie wybieram, po prostu zauważyłam znajomego. Nie widzi pan, że moja torebka wisi na krześle?

– Proszę nie chwalić się swoją niefrasobliwością. Torebki trzeba pilnować, bo personel nie odpowiada za kradzieże.

Spoglądam w kierunku, gdzie cię widziałam. Już cię tam nie ma.

Wzdycham i wracam na miejsce. Płacę rachunek, chociaż nie dopiłam jeszcze kawy.

– Przepraszam, że przeszkodziłem w spotkaniu znajomego – bąka kelner udobruchany napiwkami.

– To nie był mój znajomy. To był mój zmarły mąż.

Mina kelnera jest bezcenna.

– No tak, teraz wszystko rozumiem – mówi, uciekając oczami w bok. – Przepraszam, że przeszkodziłem w złapaniu ducha.

Podnoszę na niego oczy, dopiero teraz uświadamiam sobie znaczenie moich słów. Odgarniam włosy z czoła i głupawo się uśmiecham.

– Wydawało mi się, że to dawny znajomy.

– A więc nie duch? – Teraz kelner też się uśmiecha. – Czy coś pani podać? Mamy wspaniałą mrożoną herbatę.

– Na razie dziękuję. Nie zjadłam jeszcze lodów.

Długo nie mogę się otrząsnąć i dojść do siebie. Gdyby nie to, że nie żyjesz, byłam gotowa postawić na szali nawet swoją głowę, że widziałam ciebie. Może duchy istnieją? Może osoby zmarłe nie od razu opuszczają ten padół, tylko przebywają między nami? Przypominam sobie obejrzone filmy o takiej tematyce; *Uwierz w ducha*, *Poltergeist*, *Szósty zmysł*. Albo ta komedia romantyczna *Jak w niebie* z Markiem Ruffalo i Reese Witherspoon. Może ty również masz jeszcze coś do załatwienia na ziemi? Ale dlaczego nigdy nie ukazałeś mi się w naszym domu, tylko tu, w Krakowie, w biały dzień? Przecież godziną duchów jest północ, a nie środek dnia.

Nagle zastygam – to przecież tutaj się poznaliśmy! Tu, na rynku. Ty byłeś klientem, a ja cię obsługiwałam. I to zdarzyło się tak jak teraz, popołudniem. Znowu robi mi się słabo. Wypijam ostatni łyk kawy.

To jednak nie ty byłeś wtedy na rynku. Przekonuję się o tym tydzień później na olkuskim cmentarzu. Tak jak w każdy piątek jadę na twój grób, żeby podlać pelargonie rosnące w doniczkach. Z konewką wody i nowymi wkładami do zniczy kieruję się w stronę dwóch brzoź, pod którymi znajduje się twój grób. Zostałeś pochowany w grobowcu rodzinnym razem z twoją mamą. To nie ty miałeś leżeć obok niej, zająłeś miejsce swojego ojca. Zaraz po śmierci żony mój teść wykupił kwaterę i wybudował okazały podwójny nagrobek z grafitowego mar-

mur: dla zmarłej małżonki i dla siebie. Tymczasem jego syn wepchał się tu bez kolejki, zakłócając chronologię umierania.

Idę szybkim krokiem z głową wypełnioną myślami o tobie, wspominając nasz ostatni dzień. Po drodze wstępuję na grób moich nieznanych krewnych z Żurady, który kiedyś pokazała mi pani Wanda – mojego dziadka i pradziadków. Wcześniej dbała o niego babcia Celina i co roku przyjeżdżała tu na Wszystkich Świętych, ale mnie nigdy ze sobą nie zabierała. Nie wiem dlaczego. Zawsze mi mówiła, że nie było sensu odwiedzać kwatery ludzi, których nie znałam. Wstyd się przyznać, ale przed ślubem nigdy nie byłam w Olkuszu ani w Żuradzie, chociaż to tylko czterdzieści kilometrów od Krakowa.

Na grobie Barczyków nie zabawiam długo, wymieniam tylko wkłady w zniczach i odmawiam krótką modlitwę.

Teraz kieruję się w stronę miejsca twojego wiecznego odpoczynku. Idę szybko, nie rozglądam się na boki. Zbliżam się do twojej kwatery i nagle zastygam... Widzę ciebie. To jesteś ty! Na rynku w Krakowie widziałam cię tylko przez moment, ale teraz mam możliwość przyjrzeć ci się dłużej i dokładniej. To ty! Ta sama twarz, ta sama sylwetka, jedynie inne ubranie. Wcześniej nigdy nie widziałam na tobie tej koszuli ani spodni.

Stoisz przy swoim grobie nieruchomy jak pomnik, z przymkniętymi oczami i spuszczoną głową.

Kawałek dalej ja również przystaję, ze wzrokiem utkwionym w ciebie. Mrugam kilkakrotnie, nie do końca przekonana, czy to nie omam wzrokowy. Ale nie znikasz, wciąż tam jesteś. Robi mi się słabo, nogi mam jak z waty. Czuję, jak odpływa ze mnie krew. Serce zaczyna gwałtownie pracować, żeby dostarczyć ciału nową dawkę tlenu.

– Paweł – szepczę tak cicho, że nikt nie ma prawa tego usłyszeć.

Ale ty słyszysz. Bo jesteś duchem. Odwracasz twarz w moją stronę i nasze spojrzenia się krzyżują. Widzę pewne wahanie, ale zaraz to mija. Błady uśmiech pojawia się w kącikach twoich ust... Boże, to ty!

– Dzień dobry – słyszę twój głos. Ten sam, nic niezmienny. Postać zbliża się do mnie. – Ty jesteś Diana, prawda? Żona Pawła? Jestem Piotr, jego brat. – Ta dziwna postać wyciąga rękę na powitanie.

Nagle czar pryska. To, co nierealne, znowu staje się realnością.

– To nie ty... – szepczę. Ale nie podaję mu ręki.

Jego dłoń przez chwilę zawisa w powietrzu, a potem wraca do reszty ciała.

Stojący przede mną mężczyzna odchrząkuje w tę dłoń, teraz złożoną w pięść.

– Myślałaś, że to Paweł? Jesteśmy bliźniakami jednojajowymi. – Czoło mu się marszczy. – To znaczy, byliśmy... – Jego głos się załamuje, a z piersi wydobywa się ni to westchnienie, ni to jęk. – Nic ci o mnie nie mówiono? – pyta po chwili jakoś tak smutno. – Nie wiedziałaś, że Paweł ma brata bliźniaka?

Nabieram głęboko do płuc powietrza.

– Mówiono, ale nie przypuszczałam, że... jesteście tacy sami. – Odgarniam dłonią włosy z czoła. – Przepraszam za swoje zachowanie, ale mnie zaskoczyłeś. Bardzo.

– Nigdy nie widziałaś naszych wspólnych zdjęć?

– Nie. Paweł nigdy mi ich nie pokazywał, a wasz ojciec...

– Wiem, całkiem mnie wykreślił ze swojego życia. – Chwila ciszy. – Syn Piotr to temat tabu – bąka sarkastycznie. – Cały nasz ojciec. – Brzmi to gorzko i bardzo smutno.

Stoimy naprzeciw siebie w milczeniu. Pierwsza powracam do rzeczywistości. Wyjmuję z reklamówki świeczki i wkładam

je do zniczy. Potem wodą z konewki podlewam czerwone perlargonie. Ściereczką wycieram marmurową płytę, w duchu jak zwykle narzekając, że teść wybrał ciemny kamień, na którym widać kurz. Bardziej praktyczny byłby jasnopopielaty granit, ale twój ojciec uważał, że ten jest bardziej elegancki i dużo ładniejszy. Mój wzrok pada na twoje zdjęcie zatopione w marmurze, a potem na twarz twojego brata.

– Jesteście identyczni – mówię do ciebie, Pawle, ale twój brat myśli, że do niego.

– Tak, byliśmy bardzo do siebie podobni. Ale nie identyczni.

W tym momencie dzwoni moja komórka. To pani Wanda z pytaniem, kiedy wrócę, bo musi jechać do przychodni na zabiegi. Całkiem zapomniałam o tych masażach, ale jej telefon wybawia mnie teraz od dalszej rozmowy z twoim bratem. Nie mam ochoty z nim rozmawiać ani na niego patrzeć.

– Muszę wracać do domu, bo opiekunka do dzieci musi jechać do przychodni – mówię.

– To dzwoniła Kieresowa?

– Skąd wiesz? – dziwię się.

Wzrusza ramionami.

– Paweł mi mówił, że sąsiadujecie z wujkiem Leszkiem.

– Widzę, że utrzymywaliście ze sobą kontakt.

– Tak. Czy to takie dziwne, przecież jesteśmy braćmi. – On też używa czasu teraźniejszego, ale zaraz się poprawia. – Byliśmy... – Znowu twarz mu się zasepia.

– A więc do widzenia, może kiedyś się jeszcze spotkamy.

– Właśnie *à propos* spotkania, czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać? – pyta. – W Żuradzie jestem *persona non grata*, to może w jakiejś restauracji?

Waham się, tak naprawdę to nie mam ochoty na spotkanie z twoim bratem. Bardzo źle się czuję, patrząc na twoją twarz i słuchając twojego głosu należącego do innego człowieka.

– Nalegam. Chciałbym porozmawiać o wielu sprawach, a nie mam z kim. – Brzmi to trochę niezręcznie, dlatego szybko dodaje: – Zależy mi na rozmowie z tobą, a nie z kimś. – W jego głosie wyczuwam napięcie.

Wzdycham. Nie wypada mi odmówić.

– Dobrze, możemy się spotkać, ale nie w Olkuszu.

– To gdzie? W Krakowie?

– Może w połowie drogi do Krakowa? Na trasie jest hotel z restauracją Chochołowy Dwór. Wiesz, gdzie to jest?

– Tak. Ten obiekt z wozem strażackim przed wejściem? To kiedy?

– Najbardziej pasuje mi piątek po południu.

## Rozdział 5

Wieczorem wpada do nas pani Wanda.

– Ależ mnie wymęczyła ta masażystka – mówi. – Posturę ma taką jak ty i do tego jest sporo od ciebie niższa, a w rękach ma tyle siły co August II Mocny. Chyba czytałaś *Hrabinę Cosel*?

Pani Wandzia jak zwykle lubi sprawdzać moją wiedzę. Uwielbia oglądać *Milionerów* i złośliwie komentować złe odpowiedzi uczestników teleturnieju.

– Czytałam – odpowiadam znużona dniem. – Wiem, że August Mocny rękami wyginał podkowy.

– Wszystko mnie teraz boli – narzeka kobieta.

– Jeszcze dwa zabiegi i pani ciało przyzwyczai się do tych męczarni.

– Wiem. Coś taka markotna?

– Markotna? Nie... tylko... Spotkałam dziś na cmentarzu brata Pawła.

– Co? To on jest w Polsce? Od kiedy?

– Nie wiem. Gdy go ujrzałam nad grobem, to myślałam, że Paweł wyszedł spod płyty nagrobnej. On jest identyczny jak Paweł!

– Tak, przecież byli bliźniakami jednojajowymi. Nie wiedziałaś o tym? Wcześniej nigdy go nie widziałaś? Dlaczego? Gdy poznałaś Pawła, on jeszcze był w Polsce.

– Paweł nigdy nie przedstawił mi swojego brata. Wspominał, że są bliźniakami, podobnymi do siebie, ale nie przypuszczałam, że identycznymi! Oni wszystko mają takie same. Nawet ruchy, sposób chodzenia i uśmiech. To... to jest przerażające! Jakbym rozmawiała z duchem.

– Rzeczywiście czasami trudno ich było rozpoznać. Rozróżniałam ich po tym, że Piotrek miał pieprzyk koło nosa jak Roger Moore.

– Roger Moore? Któż to taki?

– Aktor starszego pokolenia, już nie żyje. Grał w serialu *Święty*. Był też Jamesem Bondem, ale nam tych filmów wtedy nie pokazywano. Umarł kilka lat temu. Ale w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych był bożyszczem kobiet. Piotrek miał pieprzyk w tym samym miejscu, na lewym policzku koło nosa. I nawet podobny był do Simona Templara, to znaczy do Rogera Moore'a. Wysoki, ciemnowłosy, z niebieskimi oczami.

– A Paweł nie był podobny do tego Moore'a?

– Wtedy Paweł nosił okulary i czesał się do góry, a nie na bok jak Piotrek. No i ubierał się inaczej. Zawsze chodził do szkoły w marynarce, a Piotrek w swetrze lub bluzie.

– Gdy poznałam Pawła, też miał okulary, a potem wzrok mu się poprawił i nie musiał już ich nosić. Albo nie nosił przez próżność – wzdycham.

– Różnili się również charakterami. Piotrek był łobuzem i rozrabiaką. Wszystkie psoty w szkole były jego udziałem. Natomiast Paweł był jego przeciwieństwem. Zawsze grzeczny i dobrze przygotowany do nauki. Śmiałyśmy się w pokoju nauczycielskim z tej jego marynarki, bo który chłopak w podstawówce chodzi w marynarce. Ale ta marynarka i okulary pasowały do jego charakteru. Zapowiadał się na naukowca. Miał u mnie zawsze piątkę z fizyki i chemii. Może i by nim został, gdyby nie...

– Moja ciąża – dopowiadam.

– Widocznie nie było mu pisane zostać na uczelni. Tyle się wtedy wydarzyło... – Wzdycha. – Co słysząc u Piotrka?

– Nie wiem, krótko ze sobą rozmawialiśmy. Może w piątek dowiem się więcej, bo zaproponował mi spotkanie.



- Randkę? – Pani Wandzia marszczy czoło.
- Ależ skąd! Chce ze mną porozmawiać, bo nie ma z kim. Chyba chce się dowiedzieć czegoś o ojcu.
- Lepiej, żeby się nie pokazywał Henrykowi na oczy, bo nie wiadomo, jak by się to skończyło.
- Nie wie pani, o co im poszło? Dlaczego tak się pokłócili, że nie był nawet na pogrzebie własnego brata, i to brata bliźniaka?
- Z Australii to kawał drogi. Nie wiem nawet, czy Heniek powiedział mu o śmierci Pawła.
- Pani Wandziu, nie mogę tego zrozumieć, jak ojciec może tak nienawidzić własnego syna?
- No cóż, z Piotrkim zawsze Cisowscy mieli problemy, nieraz zaszedł im za skórę. Już w naszej podstawówce było z niego niezłe ziółko, a w liceum i na studiach było jeszcze gorzej. W końcu przebrała się miarka i Heniek miał go dość.
- Moja babcia nigdy nie znienawidziła mojej mamy, chociaż mama dużo bardziej dała jej w kość – mówię. – No ale mój teść nie zna słowa „wybaczam”.
- Nie można nikogo osądzać, gdy się nie zna dokładnie wszystkich faktów.
- Ale cóż takiego mógł zrobić Piotrek, jeśli własny ojciec nawet po ponad dziesięciu latach nadal go nie chce znać? Naprawdę nie znacie przyczyny? Nic wam Cisowski nie powiedział? Nawet panu Leszkowi?
- Nie, nawet Leszkowi. Ale czemu się tak dziwisz, przecież Paweł też ci nie powiedział.
- Nie powiedział, bo mu ojciec zakazał nawet wymawiać imię Piotrka. W naszym domu nie było żadnych jego zdjęć. Czy to nie dziwne?

Pani Wanda znowu wzdycha.

– No cóż, Henryk jest bardzo uparty. Jak się na kogoś uweźmie, to trudno go przekonać do zmiany opinii. Chyba sama o tym wiesz, bo odczułaś to na własnej skórze – podsumowuje.

Przez chwilę panuje milczenie. Przerywa je Kieresowa.

– Uważaj na Piotrka, z niego zawsze był ancymonek. Wątpię, czy się zmienił na lepsze. Był dużo gorszy od Pawła.

Dużo gorszy od Pawła – powtarzam w myśli. Dużo gorszy od Pawła.

– Pani Wandziu, czego się pani obawia? Że pójdę z nim do łóżka? Czy że się w nim zakocham?

– Ależ wy, młodzi, jesteście bezpośredni! – Uśmiecha się. – No cóż, ostrzegam cię, bo jeśli nadal jest podobny do Pawła, to wciąż jest bardzo przystojny. Młodą Cisowską Bozia nie poskapiła ani urody, ani sprytu. Ty dla Pawła też kiedyś straciłaś głowę, żeby się to teraz nie powtórzyło, bo wpadłabyś z deszczu pod rynnę. Zresztą, jak by to przed ludźmi wyglądało! A Heniek to chyba dostałby zawału.

– Pani Wandziu, proszę się nie obawiać. Idę tam z przymusu.

## Rozdział 6

Nasze dzieci już śpią. Dziś nie siadam w fotelu, by posłuchać audiobooka, tylko kieruję się do twojego gabinetu. Od twojej śmierci byłam tu tylko raz, przed Wielkanocą, żeby odkurzyć dywan, zetrzeć podłogę i umyć okno. Nie życzyłeś sobie, żebym tu wchodziła, a ja umiem uszanować czyjąś prośbę i prywatność. Uważam, że każdy z nas powinien mieć własną przestrzeń niedostępną dla innych. Mnie też by się nie podobało, gdybyś zaglądał do mojego pokoiku. Teraz jednak otwieram przedtem zamknięte dla mnie drzwi i wchodzę do środka. Tu był twój azyl, twoje małe królestwo, jak miałeś w zwyczaju mówić o tym miejscu. Teraz muszę naruszyć twoją sferę prywatności. To nie tylko ciekawość. To potrzeba.

Podchodzę do biurka. Wszystko tu pozostało bez zmian. Jakby czas się zatrzymał, bo mu to nakazałeś. Patrzę na otwartą klapę laptopa. Sprawia wrażenie, że przed chwilą serfowałeś w necie. Prawie codziennie to robiłeś. Ja już spałam, a ty schodziłeś do tego pokoju i siedziałeś przed komputerem. Ciekawa jestem, jakie strony otwierałeś, z kim pisałeś na Facebooku i co cię interesowało. Chciałabym kliknąć ikonkę historii i poznać cię lepiej. Tak mało o sobie wiedzieliśmy. Teraz dopiero to do mnie dociera. Nie znam jednak hasła, nie mogę utworzyć twojego profilu. Próbuję wpisać różne słowa, które mi przychodzą do głowy, ale wciąż widzę tylko czarny ekran i okienko do wpisania hasła. Ani imiona dzieci i twoich bliskich, ani ważne daty nie wpuszczają mnie do twojej wirtualnej przestrzeni. Po kilku nieudanych próbach rezygnuję.

Teraz staram się otworzyć szuflady biurka, ale one również bronią się przed wścibskimi intruzami. Wstaję i podchodzę do regału. Powieści, podręczniki i albumy. Przeglądam te ostatnie. Są tu zdjęcia naszej rodziny. Nasz ślub, chrzciny dzieci i komunia Igora. Wszystkie fotki w albumach są z ostatnich lat, oprócz zdjęcia ślubnego rodziców. Młody,

przystojny Henryk z ciemnymi włosami i czarnym wąsem stoi obok ślicznej szatynki z bujną fryzurą na modę lat osiemdziesiątych. Tworzą razem piękną i szczęśliwą parę. Twarz Lidii Cisowskiej nie jest mi obca, bo galerię z jej zdjęciami zdobią niejedną ścianę w domu teścia. Nawet byłam trochę zdziwiona, że Patrycja na to przystała, ale widocznie stwierdziła, że nie ma sensu być zazdrosną o nieboszczkę. Twój ojciec lubi otaczać się bliskimi, cały dom jest ozdobiony rodzinnymi fotkami. Najwięcej jest zdjęć naszych dzieci, są też zdjęcia twoje i Henryka z Patrycją. Nawet dla mnie znalazło się tam miejsce. Nie zauważyłam jednak żadnej fotografii twojego brata.

Z tyłu za rodzinnymi albumami dostrzegam przymocowany do ścianki regału mały haczyk, a na nim wiszący klucz. Biorę go i wkładam do dziurki w zamku jednej z szuflad. Wchodzi bez trudu. Próbuję zrobić to samo z innymi szufladkami i szafką przy biurku – klucz pasuje do wszystkich skrytek. Teraz twoje skarby stają przede mną otworem. W szufladach oprócz przedmiotów biurowych znajdują się pliki dokumentów posortowane w odpowiednie teczki. Pobieżnie tam zaglądam, ale nie znajduję tego, czego szukam. Natomiast w szafce zauważam albumy i pudełka ze zdjęciami. Na wszystkich fotografiach oprócz ciebie jest również twój brat. Najpierw przeglądam wolumen z najstarszymi fotkami, gdy byliście małymi dziećmi. Ty i twój braciszek tuż po urodzeniu, w kościele podczas chrztu, w przedszkolu, w pierwszej klasie podstawówki, w czasie przyjmowania pierwszej komunii. Zawsze tacy sami, tak samo ubrani, tak samo wyglądający. Nie da się was rozróżnić. Gdy patrzę na was, nie wiem, którym z chłopców jesteś ty, a którym twój brat. Wszystko macie identyczne, twarz, włosy, oczy. Nawet wasze ubrania są takie same. Zmiany dostrzegam dopiero na zdjęciu klasowym z siódmej klasy. Już nie jesteście identyczni; owszem podobni, ale nie tacy sami. Bez trudu rozpoznaję w jednym z braci ciebie, mojego męża. Inna fryzura, okulary i inny styl ubrania niż brata – granatowy sweter w serek i biała ko-

szula z kołnierzykiem. Do tego brak uśmiechu i poważna mina. Obok stoi twój roześmiany brat ubrany w zieloną bluzę z nadrukiem rudawego lwa. Jest uśmiechnięty od ucha do ucha, nie ma okularów i ma czarny pieprzyk na policzku przy nosie. No i włosy zaczesane na bok, a nie do tyłu jak u ciebie.

Biorę do ręki inny album, gdy jesteście studentami. Serce bije mi gwałtownie, gdy widzę cię takiego jak w dniu naszego poznania. Też nosisz okulary, ale włosy masz inaczej obcięte, jak MacGyver sprzed lat. Twój brat, chociaż bardzo podobny, różni się trochę od ciebie uczesaniem i ubiorem. Ty jesteś w marynarce, on w bluzie z kapturem. No i nie ma okularów, tylko pieprzyk. Który z was jest przystojniejszy? Dla mnie ty. Bo w tobie się zakochałam. Lubię ludzi w okularach, sprawiają wrażenie inteligentnych, wrażliwych i empatycznych.

Nie rozumiem, dlaczego nigdy mnie jemu nie przedstawiłaś. Owszem, powiedziałaś mi, że masz brata, ale nie wspominałaś, że jest bliźniakiem – dowiedziałam się o tym dopiero po ślubie. Mimo że chciałam go poznać, zawsze wymyślałaś jakieś przeszkody. Dlaczego?

Otwieram pudełko; tu zdjęcia leżą wsypane na kupkę. To nie ty, tylko twój brat. Zrobiono je, gdy nie mieszkał już w Polsce. Piotr w krainie kangurów – czytam na wieczku pudełka. Rzeczywiście na jednym ze zdjęć widzę twojego brata sfotografowanego obok kangura. Inne przedstawiają go wśród stada owiec, a jeszcze inne, gdy siedzi na koniu w kowbojskim kapeluszu na głowie. Na wielu fotkach towarzyszy mu starszy mężczyzna z siwymi włosami o twarzy pooranej zmarszczkami. Tu twój brat jest bardzo do ciebie podobny, bo ma brodę jak ty, a ty nie nosisz już okularów. Znowu jesteście prawie identyczni, tylko sceneria jest inna. Inna niż w Polsce, dlatego wiem, że to nie ty.

Zamykam szafkę ze zdjęciami, ale nie ruszam się z biurowego fotela. A więc wciąż utrzymywałaś kontakt ze swoim bratem. Czy to z nim rozmawiałaś po nocach na Gadu-Gadu?

Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Rozumiem, że chciałaś zataić to przed ojcem, bo zabronił ci się z nim kontaktować, ale dlaczego trzymałaś to w tajemnicy przede mną? Nie ufałaś mi? Myślałaś, że wygadam się ojcu? Co takiego zrobił twój brat, że własny ojciec wyrzucił go nie tylko z domu i ojczyzny, lecz także ze swej pamięci? Co więcej: zażądał również od ciebie, żebyś o nim zapomniała.

Ta noc jest jeszcze gorsza od poprzednich. Nie tylko męczą mnie koszmary związane z tobą, lecz także towarzyszy mi strach przed spotkaniem z twoim bratem. Boję się go. Pani Wandzia ostrzega mnie przed nim. Oczywiście nie zamierzam się w nim zadurzyć, o co się niepokoi Wanda, to na pewno wykluczone, ale obawiam się konsekwencji, jakie przyniesie jego pojawienie się w Żuradzie. Muszę go odwieść od tego zamiaru. W duchu liczę na to, że potrafię go przekonać do wyjazdu z Polski.

## Rozdział 7

Pani Wandzia bacznie mnie obserwuje, gdy się krzątam po domu przed spotkaniem z twoim bratem. Ciągłe w myślach nazywam go twoim bratem. Piotr, Piotrek – to imię jakoś nie może się zakorzenić w mojej głowie. Może dlatego, że nigdy go tak nie nazywałeś? Jeśli czasami, bardzo rzadko, wypsnęło ci się coś na jego temat, to zawsze mówiłeś „mój brat”.

– Dobrze, że się nie stroisz jak na randkę – mówi pani Wandzia, patrząc na moje niebieskie džinsy i białą bluzkę w niebieski deseń. Jestem ubrana tak samo jak trzy godziny temu, gdy wróciłam z zakupów. – Ale i tak za ładnie wyglądasz – mruczy pod nosem.

– Pani Wandziu, to nie randka. Idę na to spotkanie, bo prosił mnie o to brat mojego męża. Mamy spotkać się w restauracji, nie założę kufajki i walonek, bo na nie dziś za gorąco.

– Uważaj na niego, Diana. Za nim dziewczyny jeszcze bardziej się uganiały niż za Pawłem. Piotrek to nie kandydat na towarzysza życia.

– Oczywiście że nie. Przecież to mój szwagier. Oprócz tego teraz to nawet sam George Clooney nie ma u mnie szans.

– No pewnie. Taki staruch jak on?

– Ale kiedyś był bardzo przystojny.

– E tam, to ja już wolałam Simona Templara, to znaczy Rogera Moore’a. My, dziewczyny lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, miałyśmy inny gust. Chociaż przyznaję, że Clooney za młodu był niczego sobie.

– Pani Wandziu, leczę. Wszystko już pani wie w kwestii moich pociech? – pytam, zakładając sandaalki na obcasie. W pierwszej chwili miałam założyć conversy, ale było na nie za gorąco.

– Nie zapomnij maseczki.

– Nie zapomnę.

Pół godziny później jestem na miejscu. Rozglądam się po lokalu i od razu go dostrzegam. Macha do mnie i wstaje na powitanie. Jest ubrany w beżowe chinosy i w podobnym odcieniu koszulę typu safari. Muszę przyznać, że prezentuje się rewelacyjnie. Gdybym nie była Dianą Cisowską, może dałabym się oczarować.

– Witaj. – Uśmiecha się, wyciągając rękę na powitanie.

Jego równe zęby lśnią perłową bielą na tle opalenizny. Znowu widzę w nim ciebie. To straszne uczucie.

– Zostajemy tutaj czy idziemy na taras? – pyta.

– Wolę na zewnątrz. No i jest bezpieczniej, bo wirus nie lubi świeżego powietrza.

– Albo raczej woli się rozmnażać w kameralnych warunkach. – Znowu uśmiech, tym razem łobuzerski. I dodaje: – Tak jak ludzie.

Ten jego żart wywołuje u mnie jeszcze większą do niego niechęć. Wychodzimy na taras i rozsiadamy się pod zielonym parasolem. Zaraz zjawia się kelnerka i przynosi menu.

– Dla mnie schabowy z kapustą. Odkąd jestem w Polsce, tylko to zamawiam, i oczywiście rosół z makaronem – mówi wesoło, znowu szczerząc zęby. – A co dla ciebie?

– Nie mają tu nic aż tak wykwintnego, żeby mnie skusić. – Ostentacyjnie okazuję nonszalancję. – Może zupę szczawiową i pierogi z mięsem, bo w domu nie chce mi się ich lepić.

Czekając na zamówione potrawy, słucham paplaniny twojego brata. To on mówi przede wszystkim, ja zadaję pytania. Opowiada o Australii, o farmie, na której pracował, i jej właścicieli, z którym się zaprzyjaźnił. Nic a nic mnie to nie obchodzi.



– Nie wiedziałam, że Paweł przez cały ten czas miał z tobą kontakt – mówię, przerywając mu monolog na temat australijskich upałów.

Zdziwiony, podnosi na mnie oczy.

– Czy to takie dziwne, że bracia, i to bliźniacy, kontaktują się ze sobą?

– Chyba nie. Ale bardzo dziwne jest, że Paweł utrzymywał to w tajemnicy.

Na twarzy twojego sobowtóra pojawia się mars.

– Prawdopodobnie nic ci nie mówił ze względu na ojca.

Teraz ja patrzę na niego badawczo.

– Co takiego zrobiłeś, że wykreślono cię nie tylko z rodziny, lecz także z pamięci? – pytam. – W domu waszego ojca nie ma ani jednego twojego zdjęcia, a Paweł trzymał je w zamkniętym biurku.

Długo nie odpowiada.

– Pokłóciliśmy się z ojcem dość ostro – w końcu słyszę. – A on jest bardzo pamiętliwy.

– Nie dowiem się, o co poszło?

– O wiele spraw. Ta kłótnia była kroplą, która przelała czarę.

– A więc nie powiesz mi dlaczego? – Wzruszam ramionami.

Przez chwilę przygląda mi się w milczeniu.

– Dlaczego mnie nie lubisz, Diana? – pyta.

Odchrząkam trochę zmieszana.

– A dlaczego tak uważasz? Nie mam podstaw cię lubić ani nie lubić, bo cię nie znam.

Uśmiecha się trochę ironicznie. Muszę przyznać, że jego uśmiech może być zniewalający dla kobiet, ale na mnie nie

działa.

– Na pewno znasz mnie z opisów ludzi.

– Nie, bo nikt mi o tobie nic nie mówił. Ani brat, ani ojciec.

– A ciotka Wanda? – Znowu ten jego uśmiech. – Oceniasz mnie po tym, co o mnie mówiła. Wiem, że nie miałem dobrej opinii ani w szkole, ani w rodzinie.

– Skąd wiesz, że rozmawiałam z panią Wandą na twój temat?

– Bo wiem. Paweł mi mówił, że Kieresowie często do was przychodzą. Dlaczego nie tytułujesz jej ciocią? Przecież to nasza rodzina.

– Wasza, nie moja. Jeśli do waszego ojca zwracam się per pan, to dziwnie by było, gdybym nazywała ciocią lub wujkiem kogoś z waszej rodziny.

Twój brat zamyśla się, oczy jego patrzą w dal.

– Cały ojciec. Nic się nie zmienił – mówi wreszcie. – Z nikim nie lubił się spoufalać. Do swoich teściów też zawsze zwracał się oficjalnie. Pan i pani. Ale nasza mama nazywała jego rodziców mamą i tatą.

– Szkoda, że nie miałam okazji poznać waszej mamy – mówię.

– Szkoda, bo była wspaniałą osobą. Cudowną, ciepłą, dobrą. – Głos mu się załamuje.

– Z tego, co wiem, wyjechałeś zaraz po jej pogrzebie.

– Tak. – Głos brzmi posępnie i Piotr zaraz zmienia temat: – Czego się napijesz? Wina, piwa?

– Zapominasz, że przyjechałam samochodem?

– Trudno. Będę pił sam. Zatrzymałem się na kilka dni w tym motelu.

– Mówiłeś, że mieszkasz w Krakowie.

– Mieszkałem, ale się przenieśliśmy. Pakowanie nie zajmuje mi wiele czasu, mam mały bagaż.

– Kiedy wracasz do Australii?

– Nie wiem. Może w ogóle nie wrócę.

Dostrzega moje zaniepokojenie i nagle pochmurnieje.

– Wolałabyś, żebym wyjechał, prawda? Dlaczego? Tak bardzo ci przeszkadza moja obecność w Polsce?

W pierwszej chwili mam zamiar zaprzeczyć, udać zdziwienie, że o coś takiego mnie posądza, ale nieoczekiwanie nabieram odwagi powiedzieć prawdę.

– Czemu się dziwisz? Boję się, że kiedyś przyjedziesz do Żurady i moje dzieci cię zobaczą. Czy zdajesz sobie sprawę, jaką przeżyją traumę na twój widok? Nawet mnie, chociaż jestem dorosła, trudno patrzeć na ciebie. Mam wrażenie, że rozmawiam z duchem. Jesteście identyczni. To straszne...

– Dlaczego straszne?

– Bo to nienormalne rozmawiać z kimś, kto nie żyje od pół roku.

Znowu patrzy na mnie w milczeniu. Przygląda mi się, ocenia.

– Musiałas go bardzo kochać – stwierdza cicho.

Nie odpowiadam. Jem w skupieniu swoje pierogi, jakby były prawdziwą ambrozją, tymczasem w porównaniu z wyrobami moimi lub pani Wandzi są dużo gorsze.

– Wydaje mi się, że to nie był wypadek, że ktoś mu w tym pomógł – mówi.

Zamieram. Podnoszę na niego wzrok.

– Tylko tobie tak się wydaje. Policja nie wykryła niczego podejrzanego – mówię. – Ani ekspertyza pojazdu, ani sekcja

zwłok nie wykazały niczego niezwykłego. To był wypadek – stwierdzam autorytatywnie.

Twój brat kręci głową.

– Wiem, że nie umarł śmiercią naturalną. Czuję to. Moje przeczucia związane z Pawłem nigdy mnie nie zawiodły. Zapominasz, że jesteśmy bliźniakami jednojajowymi.

Nie kontynuuję tego tematu. Zjadam wszystko, żeby jak najszybciej uwolnić się od jego towarzystwa. Wycieram usta serwetką i przenoszę wzrok z talerza na jego twarz. Coś mi w niej nie pasuje, tylko nie wiem co. Po chwili dociera do mnie, że twój brat nie ma charakterystycznego pieprzyka.

– Co się stało z twoim pieprzykiem koło nosa? – pytam.

– Lekarz mi go wyciął. Nie podobała mu się ta zmiana. Straszyl mnie czerniakiem, dlatego usunąłem.

– Zrobił to bardzo umiejętnie, bo nie ma blizny.

– Jest, ale nie widać jej pod zarostem. Na szczęście jest mało widoczna.

Kiedy przyglądam się twojemu bratu, nachodzą mnie pewne refleksje. Wyrażam je na głos.

– Gdy oglądałam wasze zdjęcia, zauważyłam, że bardzo staraliście się podkreślić swoją indywidualność. Kiedy byliście mali, nie przeszkadzało wam, że jesteście tacy sami, dopiero gdy dorastaliście, pojawiła się potrzeba posiadania własnej tożsamości, a nie dzielonej wspólnie z bratem.

Twój sobowtór wzrusza ramionami.

– Domyślam się, że to chyba Paweł bardziej tego potrzebował niż ty – kontynuuję. – Po twoim wyjeździe odszedł od swojego wizerunku naukowca.

– Jesteś spostrzegawcza – zauważa twój brat, patrząc na mnie trochę dziwnie. – Powinnaś zostać psychologiem, a nie germanistką.

– Dużo wiesz na mój temat. Czy Paweł ci dużo o mnie opowiadał?

– Tak. No cóż, często rozmawialiśmy na Gadu-Gadu i Skypie. Dlatego mówił mi o was, o tobie i dzieciach.

– A mnie o tobie w ogóle – bąkam. – Dlaczego?

– Nie wiem. Może się obawiał, że wygadasz się przed ojcem? No cóż, jemu lepiej się nie narażać, tym bardziej gdy się jest od niego uzależnionym. – Jego słowa wybrzmiewają sarkazmem. – Paweł mi zazdrościł, że ojciec nie ma teraz nademną żadnej władzy.

– Wasz ojciec wcale nie jest taki najgorszy. – Nieoczekiwanie staję w obronie Henryka. – W każdym razie jest bardzo dobrym dziadkiem.

– A teściem?

Wzruszam ramionami. Niepotrzebnie wchodzę z nim w tę rozmowę. Lepiej było, gdy opowiadał o owcach.

– Jak teraz dajesz sobie radę finansowo? Przy dwójce dzieci musi być ci trudno, tym bardziej że jest pandemia – pyta.

– Nie jest źle. Wasz ojciec przelewa mi co miesiąc na konto trzy tysiące złotych i częściowo pokrywa opłaty związane z utrzymaniem domu. Oprócz tego pracuję na pół etatu jako rekruterka.

– Kto teraz utrzymuje kontakt z jego zagranicznymi kontrahentami? Ty? Przecież on nie zna żadnego języka obcego.

– Tak, ja. Widzę, że rzeczywiście dużo wiesz o całej rodzinie. Niepotrzebnie mnie tutaj zaprosiłeś.

– Mała nieścisłość; wiedziałem, co się działo, kiedy żył Paweł. Teraz, kiedy już go nie ma, nie mam żadnych wiadomości. Chciałbym być na bieżąco.

– Po co? Paweł nie żyje, a ojciec nie chce cię znać – stwierdzam brutalnie.

Twój brat marszczy brwi, chyba mu się nie spodobało to, co ode mnie usłyszał. I chyba jest mu smutno. Ale guzik mnie obchodzą jego uczucia. Muszę myśleć o naszych dzieciach, a wiem, że spotkanie z nim mogłoby naruszyć delikatną strukturę ich obecnej emocjonalnej stabilizacji. Zaakceptowały twoją śmierć, w pewien sposób już się z nią pogodziły. Pojawienie się nieznanego stryja, wizualnie identycznego jak ich ojciec, a dużo gorszego pod względem moralno-etycznym, na pewno nie przyniosłoby im niczego dobrego. Może Igor byłby w stanie jakoś to znieść i oswoić się z jego obecnością, ale w głowie Karinki powstałby wielki zamęt. Pewnych rzeczy nie potrafiłaby zrozumieć.

– Ale są dzieci Pawła. To moi bratankowie. – Jego głos zalačuje chłodem.

– Jeśli rzeczywiście masz na względzie ich dobro, to im się nie pokazuj. Tak będzie dla nich lepiej. Przede wszystkim dla Karinki. Ona jest jeszcze za mała, przeżyłaby szok.

Twój brat marszczy brwi, czoło robi mu się bruzdowate.

– Wiem, że Paweł chciałby, żebym się nimi zaopiekował.

– Moimi dziećmi już ma się kto opiekować – warczę na niego gniewnie. – Mają matkę i dziadka. Nie potrzebują nieznanego stryja o wątpliwej reputacji.

Nieoczekiwanie w kącikach jego ust pojawia się ironiczny uśmiech.

– O wątpliwej reputacji? Cóż takiego zrobiłem, że usuwasz mnie poza nawias społeczeństwa? – pyta drwiąco.

– Nie poza nawias społeczeństwa, tylko rodziny. I nie ja cię wykluczam, robi to twój rodzony ojciec. Widocznie miał powód, jeśli podjął taką decyzję.

Piotr posępnieje. Nic nie mówi. Spuszcza wzrok na stół i palcami wybija na blacie nerwowy rytym. Po chwili podnosi oczy i zawiesza na mnie spojrzenie.

– Obiecałem Pawłowi, że się wami zaopiekuję, jeśli coś mu się stanie – mówi i dodaje: – Wymógł to na mnie.

Nie rozumiem. Patrzę na niego zdziwiona.

– Dlaczego wymógł to na tobie? Czy podejrzewał, że coś może mu się stać? – Przelykam głośno ślinę.

– Tak. Mówił, że czuje nadchodzące niebezpieczeństwo. I że coś dziwnego się z nim dzieje. Zauważył u siebie pewne niepokojące symptomy... – Nie kończy.

– Jakiejś choroby? Co miał na myśli?

– Psychozę – mówi niepewnie, unikając mojego wzroku.

– Psychozę? Wiem, że wcześniej, jeszcze przed ślubem, miał problemy z pamięcią. Na przykład zapominał, co do mnie mówił albo o czym rozmawialiśmy, ale potem to mu minęło. Ostatnio miał tylko jeden taki incydent. Do psychozy mu było daleko. Tak mi się wydaje. Miał zmiany nastoju i problemy ze snem. Czasami był również apatyczny i nie miał już tyle energii co wcześniej, ale...

– Sama sobie odpowiedziałaś. Poczytaj coś na ten temat. Są to typowe wczesne objawy psychozy.

Zamyślam się. Rzeczywiście kiedyś ta twoja utrata pamięci nawet mnie niepokoiła, ale to się zdarzało sporadycznie, a później wszystko minęło.

– Jeśli nikt się nie przyczynił do jego śmierci, to możliwe, że zrobił to sam – mówi cicho twój brat. – Czuję, że było coś nie w porządku. To nie był normalny wypadek.

– Co, samobójstwo?! Niemożliwe! – Kręcę głową. – Nie, na pewno nie – mówię żarliwie, jakbym sama chciała siebie przekonać. – Nie mógłby tego zrobić...

Nad stolikiem zawisa chmura ciszy. Milczymy wsłuchani w swoje myśli i w niedawno wypowiedziane słowa. Analizuję je i próbuję dopasować do twojego zachowania tuż przed wy-

padkiem. Sama nie wiem, co o tym myśleć. Ale zaraz odrzucam wszelkie wątpliwości. Policja stwierdziła, że był to wypadek i tego się trzymajmy.

Jeszcze godzinę ze sobą rozmawiamy, ale coraz częściej spoglądam na zegarek. W końcu biorę torebkę i wyjmuję portfel.

– Muszę już iść, zrobiło się późno.

– Dlaczego chcesz mnie obrazić, płacąc rachunek? – słyszę.

– Nie obawiaj się, nie będę ci nic fundować, zamierzam zapłacić tylko za siebie.

– Przestań się wygłupiać, ja cię zaprosiłem i ja zapłacę. Bez dyskusji.

Wzruszam ramionami.

– Dobrze.

– Czy mogłabyś się jeszcze ze mną spotkać? Jeśli nie chcesz, żebym przyjechał do Żurady... – Zawiesza głos, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Na razie nie mam czasu. Muszę nadzorować Igora przy lekcjach zdalnych. Nie radzi sobie z komputerem. – Było to wierutne kłamstwo, bo mój syn bił mnie na głowę w kwestii internetowych umiejętności.

– No to w sobotę lub niedzielę, kiedy nie ma lekcji.

– Wtedy muszę ogarniać dom. Sprzątać, gotować, bo w tygodniu nie mam na to czasu.

– Nalegam...

– Dobrze. Zadzwoń kiedyś, może uda mi się wyrwać z domu.



## Rozdział 8

Leżę w łóżku i czekam na sen. Niestety Morfeusz znowu nie ma ochoty zaprosić mnie do siebie. Nie wiem, jak długo mój organizm wytrzyma brak snu. Lustro już rejestruje zmiany zachodzące w moim wyglądzie. Skóra jest blada, jakby rok nie widziała słońca, sylwetka robi się koścista i nie ma śladu po małych fałdkach tłuszczu pokrywających mój brzuch, z których kiedyś się naśmiewałeś. Mam teraz figurę anorektycznej modelki, co chyba by ci się spodobało, bo lubisz wychudzone strzygi. Bezsенność pozostawia przykry ślad również na moim zachowaniu. Powoli znika dawna energia i zapał do pracy, pojawia się ospałość.

Wiesz, Pawle, wciąż jestem pobudzona spotkaniem z twoim bratem. Patrzenie na niego było dla mnie prawdziwą torturą. Cały czas czułam się tak, jakbym rozmawiała z duchem. Obserwując go, zaczynałam wątpić w twoją śmierć. Może to nie ty leżysz w trumnie, może pochowali kogoś innego? Mimo że spędziłam z tobą kilka godzin w kostnicy, widziałam twoją kredowoblada twarz i dotykałam lodowatej dłoni, a akt twojego zgonu wciąż znajduje się w mojej torebce, gdy siedziałam naprzeciw Piotra, odnosiłam wrażenie, że albo ktoś sfinował twoją śmierć, albo sam wydostałeś się z grobu.

Nie chcę więcej go widzieć. Nie pójdę znów na spotkanie.

Moje myśli przenoszą się do dnia, kiedy pierwszy raz cię spotkałam, do tego majowego popołudnia, gdy serwowałam ci zimne piwo na Rynku Głównym w Krakowie. Siedziałeś z kolegą w kawiarnianym ogródku i delektowałeś się wiosną. To było jedenaście lat temu, a pamiętam, jakby to było wczoraj. Wystawiłeś twarz do słońca i łapałeś jego pierwsze gorące muśnięcia. Miałeś na nosie ciemne okulary, dlatego nie mogłam dostrzec twoich oczu.

– Idziesz jutro z nami na imprezę? – zapytał cię kolega.

– Nie, jadę do Żurady. Staruszkowie stęsknili się za nami, a my za ich pieniążkami i pierogami mamy – odpowiedziałeś.

– Pan jest z Żurady? – zagadałam mało profesjonalnie. Kelnerka nie powinna zaczepiać w ten sposób gości.

Dopiero wtedy na mnie spojrzaleś. Wcześniej nie zwracałeś uwagi na mnie, tylko na piwo, które przyniosłam.

– Przepraszam. Ale ja też urodziłam się w Żuradzie.

– Tak? Nie pamiętam cię, żebyś chodziła kiedyś do naszej podstawówki. Ile masz lat?

– Dwadzieścia dwa. Nie chodziłam, bo babcia wyprowadziła się z Żurady zaraz po moich urodzinach.

– Jak się babcia nazywała?

– Barczyk.

– Znam Barczyków, ale chyba nie mają żadnych krewnych w Krakowie.

– W Krakowie mieszkam dopiero od studiów. Właśnie kończę licencjat. A znasz Spyrów? Moja prababcia z domu nazywała się Spyra – ciągnęłam temat pochodzenia moich nieznanym krewnym, nie wiedząc, o czym z tobą rozmawiać.

– Spyrów to u nas dużo. – Uśmiechnąłeś się do mnie. Po chwili zastanowienia dodałeś: – Może porozmawiamy o Żuradzie w innych okolicznościach? Jutro też pracujesz?

– Nie, mam wolne.

– To co, spotkamy się jutro?

– Chętnie.

– Gdzie i o której?

– Pod Adasiem, o osiemnastej.

– Super. Pozdrów babcie w imieniu Żurady.

– Babcia już nie żyje.

– Przykro mi.

Tak, babcia już wtedy nie żyła od pół roku. Byłam sama, samotniczka. Nie miałam nikogo na świecie. Mamy nie pamiętam, umarła tuż po moich trzecich urodzinach. Ale nigdy nie odczuwałam jej braku, bo babcia doskonale mi ją zastępowała. Była dla mnie zarówno matką, jak i ojcem, którego nigdy nie poznałam. Do dziś nie wiem, kim był. Nie wiadomo, czy nawet moja mama wiedziała, kto zrobił jej dziecko. O niechlubnej przeszłości mojej rodzicielki Urszuli Barczyk dowiedziałam się dużo później, będąc już nastolatką. Wiedzy tej dostarczył mi mój kuzyn.

Babcia przeniosła się do Golkowic zaraz po moim pojawieniu się na tym świecie. Mama nie miała wtedy nawet dwudziestu lat, bo urodziła mnie kilka miesięcy po zdaniu matury. Babcia nigdy mi nie mówiła, dlaczego wyprowadziły się z Żurady, ale podejrzewałam, że przyczyną była niechlubna reputacja jej córki. Chyba nie chciała, żebym ja również odziedziczyła jej złą sławę. Może myślała, że nowe otoczenie i nowo narodzona córeczka wpłyną na zachowanie Urszuli i dziewczyna przejdzie moralną metamorfozę? Że przeobrazi się w mądrą kobietę, oddaną córkę i kochającą matkę? Nic z tych rzeczy się nie stało. Urszula nie tylko nie przestała pić wódki, lecz sięgnęła także po narkotyki, co wkrótce doprowadziło ją do przedwczesnej śmierci. Umarła w wieku dwudziestu dwóch lat w jednej z krakowskich piwnic, pijana i zaćpana. Chociaż Urszula Barczyk nie należała do „matek roku”, to babcia nigdy nie powiedziała o niej złego słowa. Najpierw mi mówiła, że moja mama była ciężko chorą osobą, a gdy podrośłam, że się pogubiła w życiu.

W Golkowicach mieszkaliśmy na tym samym podwórku co brat babci, wujek Władek. Babcia po sprzedaży domu w Żuradzie przekonała brata i jego żonę, żeby pozwolili jej zamieszkać w budynku dawnej stolarni jej ojca, mojego pradziadka. Pod wpływem nalegań mojej prababci i pieniędzy perswazji

babci wuj Władek wypertraktował u swojej żony, ciotki Maryśki, żeby wyraziła zgodę na nasze sąsiedztwo. Babcia Celina zrobiła błąd, bo mogła kupić jakieś małe mieszkanie w Wieliczce lub stary dom do remontu w okolicach Golkowic, ale chciała mieszkać koło swojej rodziny. Za pieniądze ze sprzedaży żuradzkiej posiadłości wyremontowała stolarnię, wycarowując z niewielkiej powierzchni dwa pokoiki i salonik z otwartą kuchnią oraz łazienkę. Nasze nowe mieszkanie miało zaledwie pięćdziesiąt metrów kwadratowych, małe okienka, a sufit zaczynał się na wysokości dwóch metrów trzydziestu centymetrów, ale było przytulne i gustownie urządzone. Babcia zawsze była mistrzynią w aranżacji wnętrza. Ciotka na początku wyśmiewała się z kuchni, w której stoi kanapa z fotelami i ogląda się telewizor, bo w Golkowicach tak się nie budowało, ale potem zaczęła nam zazdrościć nowego wnętrza. Babcia niestety nie dopilnowała wszystkich formalności, żeby stać się prawną właścicielką wyremontowanego budynku. Kiedy prababcia umarła, udało się Celinie jedynie uzyskać dla siebie od pazernej bratowej dożywotnią służebność domu, natomiast ja mogłam w nim mieszkać tylko do zamążpójścia.

Póki żyła prababcia, mieszkało nam się tam bardzo przyjemnie; za życia wujka Władka również, bo pilnował, żeby jego siostrze i jej wnuczce nie działa się krzywda. Niestety po jego śmierci ciotka zapomniała, że jesteśmy rodziną. Na każdym kroku okazywała nam wrogość, a nawet nastawiała trójkę swoich dzieci przeciwko nam. Kuzynostwo, z którymi w dzieciństwie dobrze się bawiłam, zaczęło traktować mnie jak przykrego intruza. Kiedy miałam piętnaście lat, mój kuzyn przyłapał mnie, jak się całowałam z chłopakiem odprowadzającym mnie z dyskoteki do domu.

– Dziwka taka sama jak jej matka – mruknął, przechodząc obok nas. – Jeśli nie chcesz złapać od niej trypra, to się z nią nie zadawaj.

Wtedy nie wiedziałam nawet, co to jest „tryper”. Wcześniej nigdy się nie całowałam.

– Co to za facet? – zapytał odprowadzający mnie chłopak.

– Mój kuzyn. Co to jest trypel? – zapytałam, bo źle usłyszałam to słowo.

– Chodziło mu chyba o rzeźaczkę – mruknął.

Kiedy powtórzyłam babci, co zaszło, wpadła w gniew. Poszła do domu bratowej i zrobiła ciotce Maryśce i jej synalkowi straszną awanturę. Od tego czasu między mieszkańcami obu domów zaczęła się prawdziwa wojna. Często dochodziło do kłótni, a nawet wzywania policji. I nie zawsze stroną winną była ciotka, bo babcia również potrafiła być zołą.

Dopiero wtedy poznałam historię naszej rodziny. Babcia opowiedziała mi o mężu alkoholiku, o swoim niefortunnym mariażu i o córce. Starła się jednak być powściągliwą w odsłanianiu wszystkich wad Urszuli.

– Alkoholizm to choroba i może być dalej przekazywana potomkom. Wódka zniszczyła życie twojej mamie. Wszystkie błędy, które popełniła później, były jedynie pochodną alkoholizmu. To powikłania pochorobowe – mówiła.

Dużo więcej szczegółów poznałam z pyskówek babci z ciotką Maryską, która nie zważając na moją obecność, wyciągała wszystkie brudy mojej matki. Że Urszula nie tylko piła, lecz także ćpała i puszczała się za pieniądze, żeby zdobyć środki na wódkę i narkotyki. Babcia temu zaprzeczała, ale nie wiem, jak było naprawdę.

– Diana, proszę, obiecaj mi, że nie pójdziesz w ślady swojej mamy. Zniszczyła sobie życie – mówiła. – Chyba bym tego nie przeżyła, gdybyś ty też zrobiła to co ona ze swoim życiem. Na tym świecie mam tylko ciebie.

A ja miałam tylko babcię. Bardzo ją kochałam, nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby przeze mnie cierpiała. Dlatego sta-

rałam się żyć według jej wskazówek i zasad. Nie chodziłam na imprezy, za to co niedzielę szłam do kościoła. No i unikałam chłopaków. Obiecałam babci, że nie będę taka jak moja mama. Cała moja licealna młodość upłynęła na słuchaniu i przestrzeganiu rad starszej kobiety, przez co trochę odstawałam od swoich rówieśników. Zrobiła się ze mnie stara malutka, zapatrzona w książki, żyjąca w świecie literackich fantazji. Choć byłam podobno ładna i nieraz chłopcy proponowali mi randki, zawsze odrzucałam ich propozycje. Czekałam na mężczyznę podobnego do moich powieściowych bohaterów. Prawego, mądrego, przystojnego i ślepo we mnie zakochanego. Wierzyłam w miłość od pierwszego wejrzenia. Uważałam, że moje serce od razu mi podpowie, który facet będzie tym jedynym, wyśnionym, wymarzonym.

Nie miałam chłopaka i nie miałam również przyjaciółki. Koleżanki z liceum i z Golkowic widziały we mnie dziwoląga, nijak niepasującego do współczesnego świata. Ubierałam się jak stateczna pani w średnim wieku, nie malowałam się ani nie chodziłam do fryzjera. Nie rozprawiałam o chłopakach i nie bywałam na dyskotekach. W wieku dziewiętnastu lat już się dobrze zapowiadałam na przyszłą zasuszoną starą pannę. Ubrania kupowała mi babcia, kierując się gustem siedemdziesięciolatki; pochodziły przeważnie z bazarowych straganów lub ciucholandów. Babcia, przeglądając dla mnie odzieżowy asortyment, zwracała uwagę na praktyczność, wygodę i cenę, dlatego najczęściej chodziłam w spodniach i bluzkach kupionych na placu targowym od Wietnamczyków, a moje stopy były obute w podrobione adidas-y ze skaju. Długie ciemne włosy spinałam frotką i nigdy ich nie farbowałam ani nie modelowałam. Wszystko to sprawiało, że w liceum nie rzucałam się w oczy aparycją, nie należałam również do prymusek. Zamiast pogłębiać wiedzę przydatną mi w przyszłości do wybranego zawodu, wolałam nurzać się w romantycznych perypetiach książkowych kochanków. I wciąż czekałam na swojego księcia na białym koniu, który przyjedzie pod dom babci i uj-

rzawszy mnie w oknie, zakocha się we mnie bez pamięci. Niekoniecznie musiał być biały koń, mogły to być również konie mechaniczne zamknięte w silniku białego mercedesa. Księżę też nie musiał być bogaty, bo babcia mnie przyzwyczaiła do skromnego życia, bez dużych wymagań bytowych, ale musiał być inteligentny, wrażliwy, dobry, no i przystojny.

Na tego księcia czekałam przez trzy licealne lata i oczywiście się nie doczekałam. A potem nadszedł czas studiów i zamieszkałam w akademiku. Pobyt w Krakowie przyniósł duże zmiany w odbiorze otaczającego mnie świata. Natomiast owe zmiany zaowocowały nową percepcją postrzegania życia i ludzi.

Znając swoje intelektualne możliwości i posiadaną wiedzę oraz kierując się pragmatyzmem babci, wybrałam kierunek studiów, który przyniósłby mi konkretny zawód, a nie tylko wykształcenie. Babcia zawsze uważała, że dobra znajomość języków obcych na pewno zapewni mi intratną przyszłość zawodową. Perfekcyjnie znałam język angielski, bo wszystkie filmy i seriale amerykańskie oglądałam w wersji oryginalnej, dlatego postanowiłam nauczyć się innego również popularnego w Europie języka, a którym bez wątpienia był język niemiecki. Chociaż nie podobało mi się jego brzmienie, bo zawsze kojarzyło się z drugą wojną światową, doceniałam wartość jego znajomości. Babcia przyklasnęła mojej decyzji. Zawsze ubolewała nad faktem, że oprócz rosyjskiego nie władała żadnym obcym językiem, przez co nie mogła teraz pracować jako przewodnik w kopalni w Wieliczce; musiała zadowolić się pracą kasjerki sprzedającej bilety. Babci miała bardzo skromną pensję, dlatego dorabiała, sprząając domy bogatych ludzi.

Zamieszkałam w akademiku Bursa Jagiellońska na ulicy Śliskiej. Pokój dzieliłam z Alą, też studentką Instytutu Filologii Germańskiej na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. Mieszkając w Bursie, nawiązałam wiele nowych

znajomości, dzięki którym moje życie, oscylujące dotąd wokół fikcji literackiej, poszerzyło się do przestrzeni świata realnego. Wyszłam z bańki powieściowej fantazji i zaczęłam w sposób czynny poszukiwać wymarzonego księcia. Zmieniłam swój wygląd, upodabniając się wizualnie do współczesnych dziewczyn. Wygodne spodnie zastąpiłam obcisłymi dzinsami rurkami, obszerne T-shity zamieniłam na trykotowe seksowne topy i bluzeczki, a buty sportowe na szpilki. Nauczyłam się również makijażu i pozbyłam się frotki; teraz moje włosy puszyły się obfitą falą na ramionach, wiązałam je tylko wtedy, gdy było to konieczne. Chłopcy coraz częściej się za mną oglądali i proponowali randki. Nie odtrącałam ich, umawiałam się do kina lub kawiarni, ale oprócz pocałunków nie pozwalałam na nic więcej. Nie trzymałam cnoty do nocy poślubnej, ale dla swojego wymarzonego księcia, którego wciąż szukałam i nie mogłam znaleźć.

Szukałam i szukałam przez całe trzy lata, aż pewnego dnia dostrzegłam go przy stoliku kawiarnianym. To ty byłeś tym księciem, Pawle. Nie od razu poraził mnie piorun miłości. Nie stało się to w kawiarni na Rynku Głównym, gdy serwowałam ci piwo, ani na naszej pierwszej randce, ale dopiero dwa tygodnie później. Pamiętasz ten dzień, gdy pojechaliśmy na wycieczkę do Ojcowa twoim samochodem i złapał nas tam deszcz? To wtedy się w tobie zakochałam. Słuchałam jak urzeczona twoich opowieści, patrzyłam w twoją przystojną twarz i już wiedziałam, że będziesz tym pierwszym. Nie wiadomo, czy jedynym, bo na tyle zmądrzałam, żeby zrozumieć, że nic nie jest nam dane na zawsze, tym bardziej miłość, ale zapragnęłam, żebyś to ty pierwszy się ze mną kochał. Babcia nie żyła już od ponad pół roku i było mi bardzo, bardzo źle. Czulałam się strasznie samotna. Potrzebowałam bliskości. Bliskości z drugim człowiekiem. Postanowiłam wykorzystać najbliższą sprzyjającą okazję, sprowokować sytuację i zakosztować miłości fizycznej.



Pamiętam to jak dziś. W pewnym momencie nagle zaczął padać deszcz, by po chwili przekształcić się w prawdziwą ulewę. Oboje zmokliśmy okropnie. Zdjąłeś swoją kurtkę, żeby mnie osłonić, chociaż byłam już mokra. To było takie romantyczne. A ty byłeś taki czuły i opiekuńczy. Właśnie tej opiekuńczości najbardziej mi brakowało, odkąd zabrakło babci.

– Zmokniesz – powiedziałam, gdy okryłeś mnie swoją wiatrówką.

– Nie szkodzi. Jestem zahartowany, a ty wyglądasz na delikatną – powiedziałeś z uśmiechem. – To moja wina, że nie przewidziałem burzy, wyciągając cię na tę wycieczkę.

– Babcia umiała przewidzieć deszcz. Zawsze przed zmianą pogody bolały ją haluksy. – Nagle posmutniałam, gdy przypomniałam sobie, że już nigdy nie usłyszę jej narzekań na ból stawów. Na jej wspomnienie oczy niebezpiecznie mi się zaszkliły. Bałam się, że za chwilę się rozpłaczę, dlatego potrząsnęłam głową i spojrzałam na chmury. – O, już się przejaśnia.

I w tym momencie mnie objąłeś. Dużo ci opowiadałam o babci. Bo lubiłam o niej mówić. Nie wystarczały mi same wspomnienia, dlatego często rozprawiałam o tym, jaka była, co robiła, co mówiła. Czasami odnosiłam wrażenie, że to moje gadanie trochę cię irytuje, ale tego dnia byłeś wyjątkowo czuły. Wiedziałam, że chcesz przepędzić moje smutki. Kiedy poczułam na swoich wargach twoje usta, na początku doznałam tylko wdzięczności, ale potem przeobraziło się to w coś innego. Nigdy wcześniej nie zaznałam takiego uczucia.

Staliśmy pod sosną zmoknięci jak dwie mokre kury i całowaliśmy się jak szaleni. Całowałeś cudownie. Nagle zapragnęłam czegoś więcej niż samych pocałunków...

## Rozdział 9

Budzi mnie dzwonek telefonu. Wciąż wypełniona wspomnieniami z naszych pierwszych spotkań, wyciszam komórkę. Po chwili do mojego pokoiku wpada Karina.

– Mamusiu, wstawaj, jestem głodna.

– Dziwne, dlaczego ja nigdy rano nie czuję głodu – mówię, uśmiechając się do naszej córeczki.

– Bo na starość ludzie jedzą mniej.

– Tak? Nie wiedziałam. Nie wiedziałam również, że jestem stara.

– Jesteś tylko trochę młodsza od babci Patrycji, a babcie są stare.

– Babcia Patrycja jest ode mnie starsza o osiem lat – mówię, delektując się słowami „babcia Patrycja”. – Skąd wiesz, że na starość mniej się je?

– Babcia Patrycja je mało.

Bo się zawsze odchudza – mówię w duchu, a na głos dodaję:

– Dziadzius jest dużo. Czy to znaczy, że jest młody?

Nasza córeczka marszczy brewki.

– Z panami jest inaczej. Mają siwe włosy, ale się nie starzeją. Dziadzius jest młody, bo lubi się z nami bawić.

Zostawiam to bez komentarza.

Po południu nieoczekiwanie odwiedza mnie Darek Drewniak, policjant, którego poznałam, gdy badał okoliczności twojej śmierci. W pierwszej chwili, widząc jego samochód na naszym podjeździe, czuję niepokój. To przecież gliniarz, a oni przeważnie są zwiastunami złych wiadomości.

– Czy coś się stało? – mówię do niego zamiast „dzień dobry”.

– Nie, nic się nie stało. Po prostu przyjechałem, żeby wypić z tobą kawę – mówi trochę zakłopotany, drapiąc się po głowie. – Kupiłem w cukierni ciastka.

Wpuszczam go do środka. Jest wysoki, ładnie zbudowany i ma miłą twarz. Mimo że jest łysy jak kolano, bo zgolił resztkę włosów, jaką miał na głowie, można zaliczyć go do przystojniaków. Dziwię się, że zainteresował się mną, wdową z dwójką dzieci. A może to nie zainteresowanie na tle erotycznym, tylko współczucie? Sama nie wiem. Nigdy nie próbował mnie pocałować, ale to jego spojrzenie jest podejrzanie jednoznaczne. Na razie nie myślę o żadnym mężczyźnie w kategoriach randkowych i nie wiem, czy w ogóle kiedyś się związę z jakimś facetem. Daję mu to wyraźnie do zrozumienia, ale jego to nie zraża. Może rzeczywiście przychodzi do mnie, bo lubi moją kawę?

– Siadaj, nastawię ekspres. A może zrobić w kawiarence?

– Jak ci wygodnie.

– Wygodniej mi z kawiarki. Mam sernik, chcesz?

– Ty piekłaś?

– Pani Wandzia.

Po chwili siadam w fotelu naprzeciwko niego i razem pijemy kawę, obżerając się słodkościami. Nie wspominam mu nic o twoim bracie, nie widzę potrzeby. Gawędzimy jak dwójka dobrych znajomych, chociaż znamy się tylko pół roku. W sumie Darek to ostatnio jedyny mój rówieśnik, który mnie odwiedza. Nie zaprzyjaźniłam się w Żuradzie z nikim. Jakoś tak wyszło. Przeważnie odwiedzali nas twoi znajomi z żonami i przyjaciółkami, ale z żadną z nich nie nadawałam na tych samych falach. Natomiast z moimi koleżankami i kolegami ze studiów urwał mi się kontakt. Spotykamy się tylko w necie, na

Facebooku. Ale nie odczuwam samotności. Jest to zasługa pani Wandzi i jej syna. Dziwne, ale z Marceliną, która teoretycznie jest mi bliższa wiekowo niż jej krewni, jakoś nigdy nie nawiązałam bliższych relacji.

W pewnym momencie podchodzi do nas Karinka.

– Masz pistolet? – pyta dość obcesowo.

– Nie mam.

– Dlaczego? Przecież jesteś policjantem.

– Ale teraz nie jestem już na służbie, przyjechałem w odwiedziny. Przywiozłem ciastka z cukierni. – Uśmiecha się do małej. – Spróbuj, czy dobre.

– Dobre – mówi nasza córeczka, zlizując językiem krem ze swoich ust.

Po chwili dołącza do nas Igor, bo usłyszał o ciastkach.

Obserwuję Darka. Widać, że lubi dzieci. Dlaczego nie miał swoich? Czy nie mógł ich mieć, czy nie chciał? A może właśnie to było powodem ich rozvodu? Nie wypytuję go o te sprawy, a on mało mówi na temat swojego małżeństwa.

Słyszę dzwonek u drzwi. Do domu wchodzi twój ojciec. Na jego widok Darek zrywa się z fotela i szybko wychodzi.

– Jedzicie ze mną do Ojcowca? – pyta teść. – Mam tam sprawę do załatwienia, potem możemy wstąpić do McDonalda.

Wiem, że pytanie jest skierowane do dzieci, a nie do mnie. Mnie nigdy nie proponuje przejażdżki. Dzieci podskakują z radości. Kiedy idą się przebrać, twój ojciec zwraca się do mnie:

– Widzę, że przepędziłem twojego gacha. – Twarz ma ściągniętą gniewem, a głos lodowaty. – Nawet pół roku nie minęło od śmierci Pawła, a ty już się rozglądasz za innym fagusem? Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

Jego słowa mnie paraliżują. Przez chwilę gapię się na niego bez słowa, a potem nagle ogarnia mnie furia.

– Jak pan śmie tak do mnie mówić?!

– Śmiem, bo jesteś moją synową.

– Już nie jestem, bo Paweł nie żyje – warczę na niego, ale szybko się opanowuję, bo nachodzą dzieci.

Po ich wyjściu wybucham płaczem. Tyle różnych emocji się we mnie kłębi – i złość, i gniew, i żal, i smutek. W tym momencie nadchodzi pani Wanda. Widzi moje łzy.

– Co się stało? Dlaczego płaczesz?

– To przez mojego cudownego teścia! Dlaczego on mnie tak nienawidzi? Co ja mu takiego zrobiłam? – szlocham.

Pani Wanda wzdycha, głaszcząc mnie po włosach.

– To nieprawda, że cię nienawidzi. On ma już taki sposób bycia. Co ci powiedział przykrego?

Opisuję całą sytuację i powtarzam jego słowa.

– Przecież ci już nieraz radziłam, żebyś na razie nie spotykała się z żadnym mężczyzną – mówi pani Wanda.

– Nie spotykam się. Darek sam przyjechał. Miałam go nie wpuścić do domu?

– Ale powinnaś mu dać do zrozumienia, że teraz nie jest właściwa pora na towarzyskie pogaduszki. – Wzdycha. – He-niek nie chce, żeby ludzie wzięli cię na języki, tak jak było z twoją mamą. Wiesz, że pobił się o ciebie z Florkiem?

– Co takiego?!

– Leszek mi opowiadał. Wczoraj umówili się w Olkuszu na brydza. Był też tam Florek. Wypili dość sporo, mój Leszek nie pił, bo robił za kierowcę, a potem Włodek powiedział, że Diana jest jeszcze ładniejsza niż jej matka. Teraz zacytuje: „Ciekawe, czy rżnie się tak samo dobrze jak Urszula”. I wtedy He-

niek skoczył na niego z pięściami, wołając: „Uważaj, co mówisz, gnoju, o mojej synowej. To matka moich wnuków, ty skurwysynie”. To był cytat.

Oniemiała, otwieram oczy i usta ze zdziwienia. Cisowski bronił mojego honoru?!

– Florek zawsze miał niewyparzoną gębę. Ciągłe wpisywałam mu uwagi z zachowania – ciągnie pani Wandzia. – Słabo się uczył i często wagarował. Ale widocznie matematyka na coś mu się przydała, bo nieźle umie liczyć pieniądze. Ledwo przechodził z klasy do klasy, a teraz zrobił się z niego biznesmen całą gębą.

Włodzimierz Florek jest szkolnym kolegą pana Leszka. Nie mieszka w Żuradzie, tylko w Olkusz, ale przyjaźni się z Kiersem i Cisowskim. Również rozwiedziony jak mój teść i też ma dużo młodszą od siebie kobietę, ale jest mądrzejszy od Henryka, bo się z nią nie ożenił.

Pani Wandzia, która przez czterdzieści lat była nauczycielką w szkole podstawowej, ma o większości mieszkańców Żurady wyrobione zdanie sięgające korzeniami lat szkolnych i rzadko kiedy je zmienia. Znam Florka, bo to kolega twojego ojca i czasami go spotykaliśmy w domu teścia. Pamiętam jego obleśne żarty i również obleśne spojrzenia, jakimi mnie mierzył. Nie miałam o nim dobrej opinii, a po tym, co teraz usłyszałam, tym bardziej go nie cierpię. Stary zbok. Nie rozumiem, Pawle, jak mogłeś prowadzić z nim interesy. Wiem o nich, chociaż starałeś się trzymać to w tajemnicy. O wielu rzeczach mi nie mówiłeś, ale zawsze byłam spostrzegawcza.

Tej nocy również nie mogę zasnąć. Nie tylko ty mnie męczysz, bo dodatkowo dręczą mnie słowa twojego ojca. Jak mógł tak do mnie powiedzieć, przecież nie zrobiłam niczego złego?! Na myśl o dzisiejszym zajściu z oczu wciąż kapią mi łzy. Dlaczego twój ojciec tak mnie nie lubi? W duchu się domyślałam – to przez moją mamę. Odziedziczyłam po niej nie

tylko geny, lecz także fatalną opinię. Babcia chciała mi tego oszczędzić i dlatego wyjechałyśmy z Żurady. To niesprawiedliwe. Nie można oceniać człowieka przez pryzmat jego rodziców. Wycieram oczy w poduszkę i hardo postanawiam nie przejmować się moim teściem. Mam cię w nosie, panie Cisowski.

Świadomość, że bronił mojego honoru niczym Zbyszko z Bogdańca, z jednej strony mnie dziwi, a z drugiej mile łaskocze moje ego. Wiem, że twój ojciec zrobił to ze względu na nasze dzieci, ale miło wiedzieć, że jest ktoś na tym świecie, kto stanie w mojej obronie. Henryk Cisowski zawsze był poręczym człowiekiem, nieraz wdawał się w bójki, nawet gdy był już żonaty, ale was w dzieciństwie podobno nigdy nie uderzył.

Za to zrobił to, gdy byłeś dorosły. Pamiętam, kiedy pewnego wieczora wróciłeś z domu ojca z podbitym okiem. Byłeś tak wściekły na niego, że wbrew swoim zasadom przyznałeś się, kto ci to zrobił. Później starałeś się zignorować całe zajście, ale wiem, że nigdy tego ojcu nie wybaczyłeś. Pod tym względem byliście podobni do siebie. Pamiętliwi niczym płyta nagrobna.

Twój brat dzwoni kilkakrotnie z propozycją ponownego spotkania. Nie mam ochoty znowu go widzieć, dlatego wymyślam różne przeszkody. Nie powiedziałam twojemu ojcu, że jego drugi syn jest w Polsce, poprosiłam też Kieresów, żeby mu nie mówili. W duchu liczę na to, że twój brat wkrótce wyjedzie. Jego zachowanie wskazuje, że nie ma zbyt dużej ochoty na spotkanie z ojcem.

Mija tydzień od dnia, gdy jadłam obiad z twoim bratem. Chyba będę musiała się jeszcze z nim spotkać. Dzwoni komórka. Patrzę na wyświetlacz i widzę napis „Brat Pawła” – tak go oznakowałam w kontaktach. Wzdycham. No cóż, dam się

zaprosić, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego tak nalega na ponowne spotkanie. Odbieram telefon i pierwsza mówię:

– Cześć. Jesteś bardzo namolny. Dobrze, niech ci będzie. Gdzie się spotkamy?

– Dzień dobry. – Ku mojemu zdziwieniu odzywa się kobiety głos. Głos również jest zdziwiony. – Dzwonię z telefonu pana Piotra Cisowskiego, bo w rejestrze rozmów to pani figuruje najczęściej – tłumaczy się kobieta. – Pan Cisowski miał wypadek i leży teraz na naszym oddziale. Jego stan jest ciężki, dlatego ośmieliłam się zadzwonić do pani.

Zamieram na chwilę. Głośno przetykam ślinę. Nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy.

– Co mu się stało? – pytam zduszonym głosem.

– Już mówiłam, miał wypadek. Gdy przechodził przez ulicę, wjechał w niego samochód. Jego stan jest ciężki. Robimy, co możemy. Dość trudny jest z nim kontakt, bo nadal nie odzyskał w pełni przytomności. Z tego, co wiemy, mieszka na stałe w Australii, ale to do pani dzwonił najczęściej, dlatego stwierdziliśmy, że w Polsce jest pani dla niego najbliższą osobą.

– To brat mojego męża – mówię i dodaję szybko: – Zmarłego męża.

– Aha. Hmm, może chciałaby pani go zobaczyć? Chociaż jest pandemia i zakaz odwiedzin, możemy zrobić dla pani wyjątek.

Nie wiem, co powiedzieć, dlatego milczę.

– Może chciałaby mu pani coś podać? Pizamę, szlafrok, kosmetyki...

– Czy mogłabym się dowiedzieć czegoś więcej na temat jego stanu zdrowia? – mówię w końcu. – Jakie ma obrażenia?

– Krwotok wewnętrzny udało się nam opanować. Głowa raczej nie ucierpiała. W najgorszym stanie jest jego lewa noga.



Trzeba ją operować, ale wcześniej musimy ustabilizować pacjenta.

– W którym leży szpitalu?

– W Żeromskim. Na razie jest na intensywnej terapii, ale gdy poczuje się lepiej, przewieziemy go na ortopedię.

# **Część druga**

**Diana i Piotr**

## Rozdział 10

Henryk Cisowski obudził się cały mokry. Śniła mu się Lidka. Wyglądała okropnie, miała szarą twarz, podbite oczy i sińce na całej twarzy. „To ty mi to zrobiłeś” – wołała. „Przecież to nieprawda, Lidziu. Nigdy cię nie uderzyłem”. „Ale maltretowałeś moją duszę! I wszystko to wyszło na zewnątrz”.

Spojrzał na zegarek. Ósma godzina. Nigdy nie obudził się tak późno, zawsze o siódmej był już na nogach. Ale wczoraj za długo siedział przed telewizorem. Nadal leżąc w łóżku, nadśluchiwał odgłosów z kuchni. Czekał, żeby Patrycja wyszła z domu. Nie miał ochoty z nią rozmawiać. Od kilku miesięcy spali osobno; ona na piętrze w sypialni, on na dole w swoim gabinecie. Rzadko ze sobą rozmawiali. Dobrze, że skończył się lockdown i otworzyła swój sklep z butami, mógł więc częściej przebywać w domu, bo wcześniej większość dnia spędzał w zakładzie, nie chcąc być w jej towarzystwie.

Kurwa, dlaczego byłem takim idiotą, że się z nią ożeniłem?! – przeklął w duchu swoją głupotę. – Na co liczyłem? Że ta kretyнка stanie się dla mnie drugą Lidką?

Na myśl o żonie jeszcze bardziej spochmurniał. Dlaczego wtedy go nie posłuchała i nie wróciła do domu? Gdyby zrobiła to, o co ją prosił, dalej by żyła i on nie musiałby teraz męczyć się z tą idiotką. Wiedział, że jego zarzuty były co najmniej dziwne i niesprawiedliwe. Lepiej mu było obciążać żonę za jej śmierć niż rozmyślać o prawdziwych okolicznościach towarzyszących tej tragedii. I do tego ten sen! Czy rzeczywiście była z nim nieszczęśliwa? Przecież wiedziała, jak bardzo ją kochał.

Nie mogąc się doczekać wyjścia Patrycji z domu, zdecydował się wstać z łóżka. Naciągnął na siebie szlafrok i poszedł do łazienki. Opróżnił pęcherz i jelita, a potem wszedł pod prysznic. Ze złością zauważył, że nie ma mydła na swoim miejscu.

Tyle razy mówił tej kretynce, żeby nie korzystała z dolnej łazienki. Ociekając wodą, wyszedł z kabiny po mydło. Kilka minut później wymyty i osuszony stanął nago przed lustrem. Z niesmakiem spojrzął na swój brzuch. Westchnął. Musi skończyć z piwem i w ogóle z alkoholem. Ostatnio źle się czuł w swoim ciele. Dziesięć kilogramów nadwagi utrudniało mu ruchy oraz robiło ospałym i ciągle zmęczonym. Nie wyglądał najgorzej jak na swoje lata. Wciąż miał włosy na głowie i chociaż były mocno szpakowate, to było ich dużo więcej niż u Leszka Kieresa. W ogóle wyglądał na młodszego od niego, chociaż był starszy o siedem lat. Zresztą czy to ważne, jak wygląda? Jakie to ma znaczenie. I tak ma przesrane w życiu. Czasami to nawet chciałby już umrzeć i położyć się obok Lidzi. No tak, ale teraz nie ma tam miejsca dla niego, bo zajął je Paweł. Kurwa, kurwa, kurwa – zawołał bezgłośnie, wściekły na los.

Opuścił klapę od sedesu i na niej usiadł. Przymknął powieki. Nie ma żony, nie ma synów, ma za to pieniądze i tę cholerną Patrycję. Dlaczego się z nią ożenił? Dlaczego dał się omotać jej zgrabnym nogom, dlaczego przyssał się do jej cipki i fajnych cycków. Przecież mógł to wszystko mieć bez obrączki. Niestety to jego penis podpisał ten cholerny cyrograf, mózg skurczył się chwilowo do rozmiarów orzecha włoskiego i nie był zdolny do myślenia. Wtedy jednak, przed ślubem, Patrycja inaczej się zachowywała niż teraz. Była miła, ciepła i sprawiała wrażenie zakochanej... Hmm, owszem była zakochana, ale w jego koncie bankowym, nie w Henryku Cisowskim – mruknął w duchu. Na początku ich znajomości był taki dumny, że ta piękna i młoda kobieta go pokochała. Puszył się nią przed kolegami jak paw swoim ogonem. Lubił, gdy inni mężczyźni oglądali się za nią z podziwem. Sprawiały mu dużą przyjemność te męskie spojrzenia zazdroszczące mu, że może pukać taką laskę. Hmm, ale do momentu, gdy pewna sprzedawczyni w butiku powiedziała do niego: „Proszę kupić córce tę bluzkę. Ślicznie w niej wygląda”. Pamiętał, jaka go wtedy ogarnęła

wściekłość; miał ochotę dać tej babie w twarz, cud, że w ostatniej chwili się powstrzymał.

Boże, jakim teraz stałem się okropnym człowiekiem – smutno zadumał się nad sobą. Pragnąć uderzyć kobietę? Nie-nawidzić synów i żony? Co on zrobił ze swoim życiem? Czasami naprawdę nie miał ochoty dalej żyć. Gdyby nie dzieci, sprzedałby to wszystko i pojechał przed siebie, w świat. Kupiłby kampera albo jacht i żyłby jak tramp. Może wtedy byłby szczęśliwy. Teraz tylko wnuki go trzymały w Żuradzie.

– Henryk, wychodzę – usłyszał. – Pa, kochanie.

Co za kretynka. Udaje, że wszystko okej. Jak to dobrze, że niedługo wyjedzie do Grecji. Cały miesiąc będzie miał dom tylko dla siebie. To będzie dla niego najlepszy urlop, nie potrzebuje zagranicznych wojaży.

Wrócił do gabinetu i szybko się ubrał. W kuchni zastał jak zwykle mały rozgardiasz. No tak, gdyby było czysto, Natasza nie miałyby co robić, a przecież płacą jej za sprzątanie. Wyjął kawałek kiełbasy i włożył do mikrofal, żeby podgrzać. W ostatniej chwili zrezygnował, gdy spojrzał na swój brzuch. Westchnął i wsypał do miseczki trzy łyżki owsianki. Podobno też tuczająca, ale tuczy nie cholesterolem, tylko mikroelementami i innymi odżywczymi składnikami. Zalał płatkami wrzątkiem, a po kilku minutach dodał soku pomidorowego zamiast mleka. Postanowił od dziś odżywiać się zdrowo.

Kończył jeść ostatnią łyżkę owsianki, gdy usłyszał nadjeżdżający samochód. Zdziwiony, zauważył przez okno samochód swojej synowej. Diana? Po co ona tu przyszła? Rzadko bywała w ich domu. Najwyżej z dziećmi, ale nigdy sama. Tymczasem przyszła solo. Zmarszczył brwi. Na tym polu też poniósł klęskę. Nie taką synową sobie wymarzył. Mimo że dzieci dobrze wychowywała i w sumie nie mógł jej niczego zarzucić, to nadal nie potrafił się do niej przekonać.

– Diana, co się stało? – Chłodno przywitał ją w drzwiach.

– Mogę wejść?

– Jeśli musisz.

Nie zareagowała, tylko przeszła do pokoju i usiadła w fotelu.

– Pański syn miał wypadek – powiedziała.

– Co ty bredzisz? Paweł nie żyje od pół roku – powiedział, marszcząc brwi. Czyżby dopadła ją amnezja albo demencja? Ostatnio dziwnie się zachowywała.

– Mówię o pańskim drugim synu, o Piotrze.

– Piotrek miał wypadek? Skąd wiesz? Czy ktoś dzwonił z Australii?

– Piotrek od kilkunastu dni jest Polsce. Ktoś wjechał w niego samochodem na przejściu dla pieszych w Krakowie.

– Piotrek jest w Polsce? – Henryk pobrał. A po chwili z zaciętością w oczach podniósł głowę do góry. – On dla mnie już nie istnieje. Nic mnie nie obchodzi, że miał wypadek.

– Jego stan jest ciężki – warknęła. – Nie wiadomo, czy przeżyje. – Pokręciła głową. – Ale z pana łajdak. Zawsze to wiedziałam, ale nie przypuszczałam, że aż taki.

Henryk zmarszczył brwi, zaciskając przy tym usta, ale nie skomentował jej słów, tylko zapytał:

– W którym szpitalu leży?

– W Żeromskim.

Wziął do ręki telefon i wyszedł z pokoju. Nie było go kilka minut, ale Diana słyszała, że teść rozmawia z kimś ze szpitala.

Po chwili wrócił do pokoju.

– Z kim są dzieci? Wanda miała jechać z Leszkiem do ortopedy.

– Z nikim.

– Zostawiłaś dzieci same w domu?

– Tak, zostawiłam. I proszę się nie oburzać, bo i tak jestem dużo lepszą matką niż pan ojcem – powiedziała, zrywając się z fotela.

Nie czekając na odprowadzenie do drzwi, wyszła z domu teścia.

Henryk siedział w fotelu w bezruchu. Przymknął powieki. Przez jego twarz przemknął grymas bólu. Po chwili na policzkach ukazały się dwie duże łzy.

## Rozdział 11

Diana podjechała pod szpital. Wbrew obietnicom pielęgniarki nie wpuszczono jej do środka. Było jej to na rękę, bo nie miała ochoty oglądać swojego szwagra, dlatego nie nalegała, żeby umożliwiono jej odwiedziny u chorego. Po rozmowie z dyżurną lekarką wiedziała, że stan Piotra ustabilizował się na tyle, by przeprowadzić operację. Teraz leżał na ortopedii. Kupiła piżamę, kilka podkoszulków, bieliznę na zmianę oraz szlafrok i kapcie. Do torby włożyła również dwa ręczniki, mydło i szampon. Paczkę podała portierowi, żeby zaniósł na oddział. Dojeżdżała już do domu, gdy zadzwoniono ze szpitala.

– Pani Cisowska, może pani odwiedzić krewnego – powiedziała pielęgniarka. – Ze względu na okoliczności udało mi się uzyskać u ordynatora zgodę na odwiedziny.

– Szkoda, że dopiero teraz się o tym dowiaduję, bo jestem już pięćdziesiąt kilometrów od Krakowa.

– Hmm, trudno. Nie ukrywam, że przydałaby się pacjentowi wizyta kogoś z rodziny, ponieważ źle znosi pobyt w szpitalu. – Pielęgniarka nie powiedziała, że to pacjent sam interweniował u ordynatora, żeby wpuszczono jego bratową.

– Przykro mi, ale nie mogę zawrócić, bo w domu czekają na mnie małe dzieci. Proszę pozdrowić ode mnie mojego szwagra i życzyć mu szybkiego powrotu do zdrowia.

– Dlaczego pani sama do niego nie zadzwoni? Jest już na tyle silny, że może odebrać telefon.

– Dobrze, zadzwonię – bąknęła.

Jeśli doszedł już do siebie, to dlaczego sam nie zadzwoni? – pomyślała. Ani odrobinę nie czuła się zobligowana do opieki nad szwagrem. Rozmawiała z nim tylko raz i pomijając fakt, że miała wrażenie obcowania z duchem, to nie zapałała do niego sympatią. Sama nie wiedziała, skąd ta jej niechęć.



Czy powodem była niezbyt dobra o nim opinia Kieresowej, czy sposób bycia mężczyzny? Jego pewność siebie i wyzywające spojrzenie za bardzo jej się kojarzyły z Henrykiem Cisowskim. Nie lubiła tego typu ludzi i obawiała się ich. Teraz wolała otaczać się osobami pokroju Leszka Kieresa – ciepłymi, miłymi i sympatycznymi.

Mimo to postanowiła zadzwonić na komórkę Piotra, ale nie zdążyła, bo sam ją w tym uprzedził.

– Cześć, Diana – usłyszała. Głos Piotra brzmiał inaczej niż zwykle. Był cichy i osłabiony. – Dziękuję za szpitalny niezbędnik, który mi dziś dostarczyłaś. Kiedy stąd wyjdę, zwrócę ci pieniądze. – Zrobił przerwę, by zaczerpnąć tchu, a potem dodał ciepło: – Dziękuję. Bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co.

– Ile to kosztowało?

– Nie wiem, nieważne. Potraktuj to jako prezent.

– No nie, muszę ci zwrócić forszę. Nie będę cię narażał na żadne wydatki.

– Lepiej powiedz, jak się czujesz.

– Już trochę lepiej. Powoli wracam do siebie. – Znowu zaczerpnął tchu.

– Słyszając twój oddech, sędzę, że potrwa to jeszcze jakiś czas – mruknęła, nie wiedząc, o czym z nim rozmawiać. – A tak w ogóle, to jak to się stało?

– Ktoś we mnie wjechał, gdy przechodziłem przez jezdnię.

– Trzeba uważać, kierowcy w Polsce jeżdżą jak wariaci.

– To na pewno nie był wariat. Ktoś specjalnie we mnie wjechał.

– Chyba ci się tylko tak wydawało. Jest wielu oszołomów, którzy nie powinni mieć prawa jazdy.

– To stało się na pasach. Ale nieważne. Diana, mam do ciebie prośbę. Czy mogłabyś wymeldować mnie z hotelu? Miałem się u nich zatrzymać tylko do poniedziałku, a dziś jest już czwartek. W sobotę mają wesele i potrzebują mojego pokoju. Dzwoniono do mnie w tej sprawie.

– Hmm, co mam zrobić? – zapytała niepewnie. Nie podobało jej się, że obarczał ją tym zadaniem.

– Oczywiście zaraz ureguluję płatności za dni, gdy byłem w szpitalu. Ale chciałbym, żebyś spakowała mi rzeczy i przechowała je jakiś czas. Nie wiem, jak długo będą mnie tu trzymać. Bądź spokojna, nie mam dużo bagażu.

Diana westchnęła.

– Czy muszę zrobić to jeszcze dziś?

– Niekoniecznie. Pokoju potrzebują od jutra.

– W takim razie pojedę dziś. Może mi się uda załatwić, żebyś nie musiał płacić za dzisiejszą noc.

Zaśmiał się cicho.

– Rzeczywiście jesteś oszczędną kobietą. Paweł miał rację.

– Widzę, że rozmawialiście o mnie.

– Tak, przecież byłaś jego żoną.

– No to się zbieram. Im wcześniej cię wymelduję, tym lepiej będzie dla twojego portfela. Chyba wezmę ze sobą dzieci, bo nie mam ich z kim zostawić.

Nie musiała ich jednak brać, bo akurat gdy wychodzili z domu, pojawił się Henryk Cisowski.

– Dokąd jedziecie? – zapytał.

– Dzwonił pański syn, żebym go wymeldowała z motelu. Mieszkał w Chochołowym Dworze – odburknęła.

– Aha. – Miał minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Po chwili dodał: – Zabieram dzieciaki ze sobą.

Oczywiście dziś też nie zapytał o zgodę. Tym razem Diana postanowiła się zbuntować.

– Raczej nie. Pojadą ze mną. Obiecałam im, że wstąpimy do McDonalda – powiedziała.

– Karina, Igor, wolicie McDonald czy wesołe miasteczko, bo jadę do Chorzowa? Tam też jest McDonald.

Oczywiście znowu przegrała potyczkę z Henrykiem Cisowskim. Ale nie zamierzała tracić energii, użerając się z teściem, dlatego już nie zaoponowała. Pojechała do Jerzmanowic. W recepcji nie miała podstaw, by pertraktować o niezapłacenie za dzisiejszą noc, bo Piotr już zdążył uregulować zaległości. Trochę zniesmaczona rozrzutnością mężczyzny skierowała się do pokoju, który wynajmował. Rzeczywiście bagażu nie było dużo, wszystko zmieściło się w dwóch walizkach; jedynie marynarka i skórzana kurtka nie znalazły tam miejsca. Pakując rzeczy szwagra, starała się dowiedzieć o nim czegoś więcej. Stwierdziła, że preferował wygodne, sportowe ubrania. Przeważały T-shirty i dżinsy, miał też kilka koszul typu safari i spodni chinosów. Wiele się nie zmieniło od czasu jego szkolnej młodości – pomyślała, wspominając słowa pani Wandy. Nadal lubił swobodny styl ubierania.

Paweł po ślubie również zerwał z tendencją pozowania na intelektualistę. Zrezygnował z eleganckich marynarek, przestał również nosić okulary, bo zrobiono mu laserową korektę soczewek. Po wyjeździe brata nie odczuwał już potrzeby podkreślania swojej indywidualności – pomyślała. Mógł być taki jak jego bliźniacze alter ego, ponieważ już nikt ich nie mógł pomylić ze sobą. Diana rozumiała tę chęć posiadania własnej tożsamości, bo każdy człowiek chce być kimś wyjątkowym, a nie jedynie zdublowanym pionkiem. Wielu z nas ma w sobie zakodowaną chęć stania się kimś oryginalnym, nietuzinkowym; stąd bierze się pragnienie wyróżniania z tłumu, bycia widocznym, dostrzegalnym. Oczywiście są też ludzie mający skłonność do pozostania anonimowym; chcą wtapiać się

w społeczną masę, bo lepiej się czują, gdy są niewidoczni. Diana w dzieciństwie również się do nich zaliczała, dopiero czas studiów zmienił ją wewnątrz i zewnątrz. Duży wpływ na jej wczesne inklinacje ku przeciętności miała babcia. Wychowywała ją według sprawdzonych reguł katolickich wartości. Celina obawiała się, żeby wnuczka nie popełniła tych samych błędów co jej córka, które doprowadziły do tragicznego finału, dlatego wpajała dziewczynce zasady dość archaiczne jak na XXI wiek. Życie w akademiku i towarzystwo młodych ludzi zmieniły mentalnie Dianę, ona również zapragnęła stać się dostrzeganą, być zauważoną w tłumie innych kobiet.

Diana, spakowawszy ubrania, zabrała się do pakowania zawartości biurka. Na blacie stał laptop. Odezwała się w niej kobieca ciekawość. Spróbowała uruchomić komputer, ale na przeszkodzie stało hasło. Przy kilku próbach zrezygnowała, bo nie udało się złamać zabezpieczenia. Trochę zawiedziona, otworzyła szufladę. Wśród papierów i dokumentów znalazła mały album ze zdjęciami. Były tu rodzinne fotki braci z lat szkolnej młodości i studiów, fotografia ich matki, ślubne zdjęcie rodziców, Diany i Pawła, komunijne Igora oraz zdjęcie Karinki i jej brata pluskających się w morzu i parę innych zdjęć dzieci. Ku swojemu zaskoczeniu zauważyła również zdjęcie jej i Pawła z wycieczki do Ojcowa. To było przed burzą. Stali obok siebie na tle Maczugi Herkulesa. Paweł ją obejmował i oboje wpatrywali się w siebie. Fotkę pstryknął im jakiś starszy mężczyzna, którego o to poprosili. Paweł zrobił później kilka odbitek; widocznie jedna trafiła do jego brata. Chyba chciał pokazać Piotrkowi, jak wygląda jego narzeczona. Mało mieli wspólnych zdjęć sprzed ślubu, a na tym wyszła wyjątkowo ładnie, prawdopodobnie dlatego wysłał akurat tę fotę.

Nie widziała nigdzie zdjęcia ze ślubu Henryka i Patrycji. Czyżby Piotr nie był ciekawy, jak wyglądała jego macocha? Może były w laptopie? W albumie dostrzegła również dwie fotki Piotra zrobione w Australii. Na jednej stał obok Aboryge-

na w średnim wieku, a na drugiej obejmował starego mężczyznę o szczupłej, wysuszonej słońcem twarzy. Znalazła jeszcze jedno zdjęcie tego człowieka, był to portret, jaki się robi w studio fotograficznym. Na tej fotografii mężczyzna był dużo młodszy – przeczytała z tyłu napis: Bill, rok 1981. Wśród zdjęć nie było zdjęcia żadnej kobiety.

Diana zamknęła album. Wrzuciła zawartość szuflady do reklamówki, a laptop do futerału. Potem zaniósła rzeczy Piotra do samochodu. No cóż, poczekają na niego w jej domu. Jeszcze z nim nie rozmawiała na temat najbliższej przyszłości. Gdzie i jak będzie przechodził okres rekonwalescencji, gdy wypiszą go ze szpitala. To nie jej problem. Jest dorosły, musi sam sobie radzić.

## Rozdział 12

Kilkanaście dni później z samego rana pod dom Diany podjechał mercedes klasy S i wysiadł z niego teść.

– Zbieraj się, musimy jechać po Piotrka – powiedział. – Dziećmi zajmie się Wanda. Już z nią o tym rozmawiałem.

– Gdzie go pan zabierze? – zapytała Diana trochę zaniepokojona, czy czasami teść nie będzie chciał wepchnąć swojego synalka do jej domu, żeby się nim opiekowała.

– Zatrzyma się u mnie. Ale jest mały problem, bo Patrycja wczoraj pojechała na miesiąc do Grecji i nie będzie miał kto się nim zająć. Czy mogłabyś przychodzić, gdy będę w pracy, żeby mu pomóc, kiedy zajdzie taka potrzeba? Ma nogę i rękę w gipsie.

Diana, mocno zdziwiona, spojrzała na teścia. Czyżby zmiękł? Miała ochotę wypytać go na temat Piotra – czy rozmawiali ze sobą i dlaczego zmienił swoje nastawienie do syna – ale widząc minę teścia, porzuciła ten pomysł. Zresztą to nie jej problem. Nic a nic nie powinny jej obchodzić relacje obu Cisowskich. To ich sprawa, nie jej.

– Weź prawo jazdy, trzeba wstąpić i zabrać spod Chochołowego Dworu auto Piotrka – powiedział.

– Rozmawiał pan z nim o tym?

– Nie, ale rozmawiałem z pielęgniarką. – Na tym uciął temat.

Dwie godziny później byli już pod Żeromskim. Po kilku minutach przed wjazdem dla karetek pojawiła się pielęgniarka z siedzącym na wózku Piotrem. Lewa noga i lewe przedramię mężczyzny były unieruchomione gipsem. Cerę miał dużo bledszą niż wtedy, gdy Diana go widziała, ale jego twarz wstrząsnęła kobietą jeszcze bardziej niż przy ich pierwszym

spotkaniu. Wyglądał identycznie jak Paweł w ostatnich dniach swojego życia. Widok Piotra zrobił również duże wrażenie na jego ojcu. Cisowski zbladł i ze ściśniętym gardłem patrzył na syna.

– Boże – wyszeptał tak cicho, że tylko stojąca obok Diana usłyszała. Zastanawiała się, co wywołało te emocje – czy podobieństwo do brata, czy świadomość, że ma jeszcze drugiego syna.

Pielęgniarka podjechała do nich z wózkiem. Piotr, opierając się zdrową ręką o wózek, stanął sam na zdrowej nodze. Jakby nie dostrzegł Diany, bo stał i z natężeniem wpatrywał się w ojca.

– Cześć, tato – powiedział.

Wtedy ku zdziwieniu Diany Henryk cicho zaszlochał i mocno przytulił syna. Stali tak chwilę nieruchomo, mocno objęci. W oczach Piotra również pojawiły się łzy. Diana, zakłopotana, nie wiedząc, co ma robić, patrzyła jak urzeczona na jedno z najdziwniejszych dla niej zjawisk – płaczącego ze wzruszenia Henryka Cisowskiego. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby jej teść płakał. Nawet na pogrzebie Pawła nie uronił żadnej łzy.

Ciszę przerwała pielęgniarka, głośno odchrząkując.

– A więc już mogę przekazać w dobre ręce naszego ulubionego pacjenta – powiedziała. – Panie Piotrze, widzę, że pańscy krewni dobrze się panem zaopiekują.

Słowa pielęgniarki otrzeźwiły Cisowskich, Dianę również.

Piotr odwrócił się w stronę kobiety.

– Jeszcze raz bardzo dziękuję za wspaniałą opiekę, pani Bożenko – powiedział z uśmiechem. – Cały personel spisał się rewelacyjnie. Słyszałem tyle narzekań na polskich medyków, a okazało się to nieprawdą.

– Panie Piotrze, nie wszyscy pacjenci są tak uroczy jak pan – odparła. – Życzę wszystkiego najlepszego i szybkiego powrotu do zdrowia. Widzimy się za dziesięć dni, na wyciągnięciu szwów.

Pielęgniarka odeszła.

– Kupiłem wózek – odezwał się Henryk. – Jest w bagażniku. Czy ci go podać?

– Nie trzeba, jakoś dokuśtykam do samochodu.

– Usiądź z przodu. Diana, ty poprowadzisz mercedesa, a ja wysiądę w Jerzmanowicach i przywiozę twoje audi, Piotrek.

– Panie Henryku, może będzie lepiej, gdy ja wezmę samochód Piotra – wtrąciła Diana i dodała złośliwie: – Jeszcze coś panu uszkodzę w pańskim mercedesie.

– Nie obawiaj się, mam autocasco.

Wiedziała, że Cisowski jeszcze nie dojrzał do tego, żeby zostać sam na sam z synem.

Dostosowując się do zaleceń teścia, Diana ze szwagrem usiedli z przodu, a za nimi Henryk. Fotel Piotra wysunięto maksymalnie do tyłu, żeby mógł wyprostować nogę. Droga do Jerzmanowic upłynęła im na rozmowie o niczym.

– Widzę, że ktoś ci kupił szorty – zauważyła Diana, żeby przerwać ciszę, bo temat opieki medycznej już się wyczerpał.

– Tak. Poprosiłem pielęgniarkę, żeby mi kupiła, bo nie chciałem opuszczać szpitala w szlafroku.

– Pani Bożenka ci je kupiła?

– Nie, pani Lucynka.

– Przepraszam, że o tym nie pomyślałam – mruknęła, ponieważ znów zrobiło się cicho w aucie. – Mogłam wziąć coś z twojej walizki.

– Musiałbym wrócić do szpitalnej toalety, żeby się przebrać.



– Pani Lucynka ma dobry gust – rzuciła dziewczyna, patrząc na jego beżowe spodnie do kolan z mnóstwem kieszeni i kieszzonek.

– Przede wszystkim są wygodne. Mogę teraz wsadzić do tych kieszeni zawartość połowy plecaka.

W czasie podróży Henryk ani razu nie przemówił, udając, że czyta coś w smartfonie. Atmosfera w samochodzie była tak gęsta, że można było kroić ją nożem. Wszyscy odetchnęli, gdy znaleźli się przed Chochołowym Dworem. Kiedy zajechali na hotelowy parking, Cisowski z ulgą wysiadł z auta.

– Poczekamy na pana i razem ruszymy – powiedziała Diana.

Kiedy Diana i Piotr zostali sami, oboje odetchnęli. Wiedzieli, że ta rozmowa ojca z synem powinna odbyć się bez świadków.

– Dlaczego do mojego ojca zwracasz się per pan? – zapytał.

– A jak mam się zwracać? Nawet wobec was nie przejawiał ojcowskiej czułości, a co dopiero w stosunku do mnie – mruknęła. – Nigdy za mną nie przepadał. Wychodziłam ze skóry, żeby mnie choć trochę polubił, a on i tak nigdy nie zmienił swojego negatywnego nastawienia. Zawsze mnie to zastanawiało, dlaczego jest do mnie uprzedzony – westchnęła.

– Cały ojciec. Jak mu ktoś czymś podpadnie, to potem bardzo trudno mu zmienić o nim opinię.

– Ale ja nic takiego nie zrobiłam, żeby mnie skreślił już na samym początku. Chyba tym, że byłam w ciąży z jego synem. Ale wy przecież też urodziliście się pięć miesięcy po jego ślubie, a nie po dziewięciu, jak go uczono w salce katechetycznej. – Piotr nie skomentował jej słów, dlatego kontynuowała temat: – Wiem, że to przez moją mamę. Jaka matka, taka córka. Niedaleko pada jabłko od jabłoni. I inne tego typu bzdety. To dlatego babcia wyjechała z Żurady. Gdyby żyła wtedy, gdy

poznałam Pawła, na pewno wybiłaby mi go z głowy. Bała się mieszkańców Żurady. Ich złośliwych języków, ich wścibstwa i powielanych osądów. Nadal mi towarzyszy ponury cień mojej mamy, a co by było, gdybym się tu wychowywała?! Etykieta puszczańskiej pijaczki przypisana by mi była już od kołyski i towarzyszyłaby aż do śmierci. No cóż, mama zostawiła mi tutaj dość wątpliwą schedę.

– Czy ty czasem nie przesadzasz, Dianka? Owszem, ludzie lubią powiełać raz utartą opinię, ale później często zmieniają zdanie i zaczynają nas oceniać po naszym zachowaniu, a nie po tym, jak się zachowywali nasi rodzice.

– Hmm, ciekawa jestem, czy opinia o tobie również kiedyś się zmieni. Z tego, co wiem, nie cieszyłeś się tu zbyt dobrą reputacją. – Mówiąc to, rzuciła mu ironiczne spojrzenie.

– Widocznie na taką opinię zasłużyłem – odparł z uśmiechem.

– Czy teraz nadal zamierzasz podtrzymywać to wyobrażenie o sobie?

W odpowiedzi wzruszył tylko ramionami.

– Dlaczego nie zapytałeś mnie o nową żonę ojca? – podjęła inny temat. – Nie jesteś ciekawy, jaka jest twoja macocha?

– Wiem, jaka jest, Paweł dużo mi o niej opowiadał. Wątpię, czy w ciągu pół roku się zmieniła. Podobno wyjechała na miesiąc do Grecji.

– Skąd wiesz, mówiłeś, że nie rozmawiałeś z ojcem?

– Porozumiewaliśmy się za pomocą SMS-ów.

Pół godziny później oba samochody były już pod domem Henryka Cisowskiego. Teść Diany otworzył bagażnik mercedesa, wyciągnął z niego wózek i pomógł synowi wyjść z samochodu.

– Dałbym radę o kulach – mruknął Piotr, siadając na wózku.

– Z ręką w gipsie? Wątpię – odparł lakonicznie Henryk i popchnął wózek w stronę domu. Dwie deski umocowane do stopni ułatwiły pokonanie kilku schodów. – Jak już dojdiesz trochę do siebie, będziesz mógł spędzać czas w ogrodzie.

Kiedy wjechali do środka, Diana wzięła siatkę z rzeczami szwagra i ruszyła za nimi.

– Odstąpiłem ci mój gabinet, na parterze będzie ci wygodniej – oznajmił Cisowski. – Zabrałem stąd wszystkie swoje rzeczy. Opróżniłem szafę i biurko.

Diana jakby tylko na to czekała.

– Jadę do domu po twoje torby – powiedziała, kierując się ku drzwiom.

## Rozdział 13

Nazajutrz obudziły Piotra ostre promienie słońca wciskające się przez szpary w żaluzjach. Przez moment nie wiedział, gdzie jest. Dopiero po chwili do niego dotarło, że znajduje się w gabinecie ojca. W domu panowała cisza. Z pewnym trudem zwlekł się z łóżka i usiadł na wózku. Rzeczywiście ojciec dobrze zrobił, że się o niego postarał, bo kule by nie wystarczyły. W drzwiach stanął Henryk.

– Wstałeś już? Pomóc ci w łazience?

– Dam radę. Daruję sobie dziś prysznic. – Nie chciał, żeby ktoś pomagał mu w toalecie. W szpitalu czuł się mało komfortowo, gdy musiał korzystać z pomocy pielęgniarek.

– Masz zamiar nie myć się przez dziesięć dni, aż ściągną ci gips? – mruknął ojciec.

– No nie, ale dzisiaj wytrzymam bez mycia – bąknął. – Wczoraj wyszorowano mnie bardzo dokładnie.

– Okej, ale nie zapominaj, że już cię myłem trzydzieści kilka lat temu, więc nie musisz się mnie wstydzić. No i wiem, jak wygląda goły facet. To znaczy wiem, jak wygląda sześćdziesięciolatek ze sterczącym brzuchem.

Piotr się uśmiechnął.

– Dobrze, tato. Jutro pomożesz mi przy prysznicu.

– W takim razie czekam na ciebie w kuchni. Zacząłem już robić śniadanie. Mam w planie jajecznicę na boczku, dodam też cebulę. Tak jak lubiliście. W południe przyjedzie tu Diana z obiadem.

Po wyjściu ojca Piotr odetchnął z ulgą. Chociaż ten mile go zaskoczył swoim zachowaniem, to wciąż atmosfera między nimi była dość napięta. Jego propozycję, żeby nie wracali do

przeszłości, Piotr zaakceptował, chociaż wolałby, żeby od razu wyjaśnili sobie niektóre sprawy, ale ojciec ucinął rozmowę, gdy tylko zaczął temat. Dobrze, niech mu będzie. Może rzeczywiście nie nadeszła jeszcze pora, żeby otwierać puszkę Pandory?

Dziwnie było znowu znaleźć się w rodzinnym domu. Tęsknił za tym miejscem; minęło już jedenaście lat, odkąd opuścił te mury. Piotr z zaciekawieniem rozglądał się po wnętrzu. Dużo się tu zmieniło. Bardzo dużo, chociaż ściany i pokoje pozostały nieruszone. Całkiem inny wystrój niż wtedy, gdy był dzieckiem; teraz było bardziej nowocześnie i elegancko. Ze zdziwieniem zauważył dużo zdjęć mamy. Zastanawiał się, jak to się stało, że nowa żona ojca na to pozwoliła. Dobrze, że jej tutaj teraz nie było. Nie wiadomo, czy przyjąłby propozycję ojca na pobyt w rodzinnym domu, gdyby nie wyjechała do Grecji. Ale cieszył się, że doszło do ich spotkania. Bardzo się cieszył. Zawsze się obawiał, jak ojciec przyjmie jego powrót do Polski. Miał uzasadnione powody, żeby myśleć, że w ogóle nie będzie chciał z nim rozmawiać. A tu tymczasem taka miła niespodzianka.

Nie wiadomo, czy ojciec przywitałby go z otwartymi rękami, gdyby nie wypadek. I gdyby nie Diana. Intuicja mu podpowiadała, że to ona przyczyniła się do zmiany nastawienia Henryka do marnotrawnego syna. A może spowodowała to śmierć Pawła?

Piotr uśmiechnął się smutno do swoich myśli. Spojrzał na zdjęcie mamy. To już prawie jedenaście lat, jak nie żyła. Na wspomnienie matki przez twarz przebiegł mu grymas bólu.

Mamo, gdybyś żyła, wszystko inaczej by się potoczyło – pomyślał, wzdychając. Czując wilgoć pod powiekami, szybko potrząsnął głową i skierował myśli ku Dianie. Była właśnie taka, jaką ją sobie wyobrażał. Inna niż ta z opisów Pawła. Teraz był ciekaw, jakie są dzieci. Kiedy będzie mu wolno je zobaczyć? Z przyjemnością spotkałby się również z rodziną Kieresów,

z ciotką Wandą i jej synem. Marcelina jest już teraz kobietą – pomyślał. Czas zapieprzał jak mały samochodzik; nie wiadomo, kiedy z niefrasobliwego studenciaka stał się trzydziesto-sześćioletnim mężczyzną. Jeszcze trochę i wkroczy w wiek średni, a jak na razie nic mu się nie udało osiągnąć: ani w sferze osobistej, ani zawodowej. Wciąż był singlem o niezbyt chlubnej przeszłości. Czy uda mu się zmienić swoje życie?

Położył się do łóżka, bo ciągle czuł się słaby i obolały. Miał wiele szczęścia, że wyszedł z tego wypadku bez większego uszczerbku. Złamana noga i pęknięte przedramię to pestka w porównaniu z tym, co lekarze rokowali, gdy go ujrzeni na noszach. Podobno nie dawano mu wielu szans na przeżycie, w najlepszym przypadku przewidywano kalectwo. Tymczasem jego organizm spisał się na medal, opanował krwotok wewnętrzny, krwiak na mózgu ładnie się wchłonął, nawet kości zaczęły szybko się zrastać. Najlepszy na regenerację jest sen – powiedział do siebie i chwilę później oczy same mu się zamknęły.

Obudził go odgłos otwieranych drzwi wejściowych. Piotr spojrzął na zegarek. Godzina piętnasta. Czy to ojciec, czy Diana? Diana – stwierdził z zadowoleniem, gdy stanęła w progu pokoju.

– Cześć. Przywiozłam obiad. Zjesz w łóżku czy przy stole?

– Przy stole.

– Może jednak w łóżku? Przywiozłam specjalną nadstawkę, żeby było ci wygodnie jeść.

– Ojciec mnie tak nie rozpieszcza jak ty, śniadanie podał mi w kuchni. – Uśmiechnął się do kobiety. – Nie skorzystam jednak z twojej nadstawki i zjem przy stole. A gdybyś jeszcze ty zjadła ze mną, to dużo bardziej by mi smakowało.

– Zjadłam obiad z dziećmi – mruknęła, ignorując jego uśmiech. – Pomóc ci przy wsiadaniu na wózek?

– Tak, byłbym ci wdzięczny – powiedział. Kiedy nachylała się nad nim, poczuł delikatny kwiatowy zapach. – Co to za perfumy? Ładnie pachną.

– To nie perfumy, to dezodorant. – Wzruszyła ramionami. – Wiesz, nie lubię być wąchana. Nie jestem kwiatkiem ani kokainą.

Parsknął śmiechem.

– Ależ masz skojarzenia, Dianka.

– Jestem Diana, nie Dianka. – Zmarszczyła brwi. Nie podobało jej się, jak Piotr zdrabniał jej imię. Tak mówiła do niej babcia. I Paweł.

– Dla mnie jesteś Dianka. Bardziej mi się podoba. Ty przecież też nie lubisz swojego imienia. Sama mówiłaś, że jest pretensjonalne i że Diana kojarzy ci się z nieboszczką księżną Dianą albo z psem myśliwskim.

– Widzę, że Paweł dużo ci o mnie opowiadał. – Zmarszczyła brwi. – Nie mieliście fajniejszych tematów do rozmowy?

– Co jest fajniejszego od tematu żony i dzieci? Czy Karinka dalej sepleni? Podobno nie wymawiała er. Paweł mówił, że mieliście wybrać się do logopedy. Byłaś z nią?

– Nie, bo wybuchła pandemia. Ale chyba to już niepotrzebne, bo teraz wymawia er nawet częściej niż powinna. Rusterko, raurka i randrynki.

– Czy Igor nadal wszystko zapisuje w smartfonie?

– Taak. Hmm, Paweł zdawał ci bardzo dokładne relacje z naszego życia – powiedziała przeciągle, przyglądając mu się z uwagą. – A co o mnie ci opowiadał?

Piotr się zawahał. Odchrząknął.

– To, że jesteś fantastyczną dziewczyną.

Wiedziała, że kłamie.

– Opowiadał ci też, co robiliśmy w łóżku? – zapytała, mrużąc oczy.

– Nie, tego mi nie opowiadał.

– Jeśli mówiliście sobie o wszystkim, to o łóżkowych wycieczkach też powinien ci opowiadać.

– Mówiliśmy sobie wszystko, gdy byliśmy młodzi. Po moim wyjeździe już tak nie było. – Westchnął. – Nie mówił mi o wielu rzeczach. Niestety.

– Dlaczego „niestety”? Chciałbyś wiedzieć, jakie pozycje seksualne preferował? – zakpiła.

– Seks innych mnie nie interesuje. Nie lubię zaglądać ludziom do łóżka. Ale o niektórych sprawach mojego brata chciałbym wiedzieć więcej. Na przykład jakich miał wrogów i dlaczego ich miał?

– Skąd wiesz, że Paweł miał wrogów?

– Ponieważ jeden z nich chciał mnie zabić, bo prawdopodobnie wziął mnie za niego.

– Dlaczego uważasz, że ktoś chciał cię zabić? Przecież to mógł być zwykły wypadek – stwierdziła sceptycznie.

– Nie. Wiem, że ktoś specjalnie we mnie wjechał. Obserwano mnie od jakiegoś czasu.

– Wyjechałeś z Polski nagle, miałeś opinię zabijaki. Może nadepnąłeś komuś na odcisk tak boleśnie, że pamiętał to nawet po jedenastu latach?

– Nie, nie miałem aż takich wrogów i mój wyjazd nie miał nic wspólnego z ucieczką przed problemami.

– To dlaczego wyjechałeś? Dlaczego potem nie odwiedziłeś Polski? Dlaczego twój ojciec wyklął cię z rodziny?

– Chyba jednak nie wyklął, bo mieszkam w jego domu.



– Skąd ta twoja tajemniczość? Człowiek uczciwy nie powinien mieć nic do ukrycia. Dlaczego nie chcesz wyjawić mi swoich sekretów?

Przez chwilę przyglądał jej się w milczeniu.

– Przecież mało się znamy. Jeszcze na to nie pora. Może kiedyś przyjdzie czas na szczerość. A dlaczego ty jesteś tajemnicza?

– Phi. Aleś wymyślił. Nie mam żadnych tajemnic. Nie uciekałam z Polski w pośpiechu jak ty. Jestem zwykłą kurą domową opiekującą się swoimi pisklętami. Cóż mogłabym mieć do ukrycia? Że nie umiem upiec biszkoptu, że nie lubię myć okien i plewić rabatek?

Piotr uśmiechnął się do szwagierki.

– Akurat te twoje sekrety znam, bo Paweł mi je zdradził. Jeszcze wielu innych rzeczy nie lubisz.

Zmarszczyła brwi.

– Co ci jeszcze naopowiadał o mnie twój brat? – Widać było na jej twarzy niepokój.

– To jeden z moich sekretów, których nie chcę ci zdradzić, bo na to jeszcze nie czas. – Mówiąc to, uśmiechnął się. – Nie umiesz upiec biszkoptu, ale dobrze gotujesz. Te gołąbki są rewelacyjne.

– To nie ja je zrobiłam, tylko pani Wanda – mruknęła.

– Wcale mnie to nie zaskoczyło. Wiem, że nie lubisz spędzać w kuchni dużo czasu przy pracochłonnych potrawach. – Znowu uśmiech. – To za co mam cię pochwalić? Chcę ci powiedzieć jakiś komplement, żeby się wedrzeć w twoje łąski. A więc spróbuję z innej beczki: ślicznie wyglądasz. Tak jak zwykle. Nawet bez makijażu jesteś piękną dziewczyną.

Zmroziła go spojrzeniem.

– To już wolę kulinarne pochwały. Zupę szczawiową ja ugotowałam, nie pani Wandzia. I proszę więcej nie wysilać się na komplementy, nie lubię tego.

– Nie wierzę, wszyscy lubią usłyszeć coś miłego. A komplement to forma podziękowania za pyszny obiad.

– Przyniosłam ci obiad, bo nakazał mi twój ojciec. Wolę z nim nie zadzierać. – Spojrzała na niego lodowato. – Odnoszę wrażenie, że próbujesz ze mną flirtować. A z twojej strony jest to co najmniej niewłaściwe. Nie użyję mocniejszych słów, chociaż by się przydały.

– Dlaczego nie wolno mi z tobą flirtować?

Przyglądała mu się w milczeniu, kręcąc głową.

– Pani Wandzia miała rację. Jesteś dużo gorszy od Pawła. Twój brat nie żyje od pół roku, a ty próbujesz mnie zaciągnąć do łóżka. Łajdak z ciebie, Piotrek. Nie ma w tobie nic przyzwoitości. Podobno byłeś bardzo związany emocjonalnie z Pawłem, a teraz próbujesz poderwać jego żonę? Jak ci nie wstyd – syknęła.

W milczeniu się jej przyglądał. Na jego twarzy nie można było rozpoznać żadnych emocji. Nie dostrzegła ani zdziwienia, ani oburzenia, ani złości.

– Skąd w tobie tyle gniewu? Dlaczego mnie tak nie cierpisz?

Nie odpowiedziała na jego pytania, tylko zaczęła zbierać ze stołu talerze. Włożyła do zlewu i umyła.

Piotr nadal ją obserwował. Diana czuła na plecach jego spojrzenie. Włożyła do reklamówki przywiezione ze sobą naczynia, a pozostałe wytarła i ustawiła w szafce kuchennej.

– Przyjadę jutro z obiadem o tej samej porze co dziś. Cześć – powiedziała, nie patrząc na mężczyznę.

– Dziękuję za obiad – usłyszała za plecami.

Następne spotkania były podobne do pierwszego, dokładnie mówiąc: nastawienie Diany do Piotra było podobne – bo on starał się być miły i czarujący.

– Co mi smacznego przywiozła dziś moja bratowa? – zapytał któregoś dnia z szerokim uśmiechem.

– Skąd wiesz, że będzie smaczne?

– Bo wszystko, co mi podajesz, jest smaczne. Z twoich rąk to nawet cykuta by mi smakowała.

Zmięła w ustach złośliwy epitet, nie chciała się przekomarać ani wchodzić z nim w niepotrzebną sprzeczkę noszącą znamiona flirtu. Wyjątkowo ją drażnił ten facet. Jego śmiejące się oczy, jego szeroki uśmiech i żartobliwe słowa. Nie zrażały go jej kąśliwe odpowiedzi i kwaśna mina.

– Jak tam dzieciaki? Całe lato masz zamiar trzymać je w domu? – zapytał.

– Nie mam czasu na urlop – mruknęła. – Muszę napisać pracę magisterską, bo kiedyś osiadłam na licencjackich laurach i nie zrobiłam magisterki. Wasz ojciec pojedzie z nimi nad morze na dwa tygodnie. Nie mieszkają w mieście, tylko na wsi. Mają do dyspozycji ogród i basen ogrodowy. Jeszcze niedawno do Żurady przyjeżdżały dzieci z miasta na kolonie. Oprócz tego jest pandemia – rzuciła gniewnie, sama siebie przekonując.

– Mówiłaś im o mnie?

– Oczywiście, że nie.

– Są moimi bratankami. Chciałbym ich poznać.

– Znasz moje zdanie na ten temat. – Spojrzała na niego ze złością. – Kiedy chcesz wracać do Australii?

– Nie wracam, zostaję tutaj.

– Co? Masz zamiar mieszkać razem z ojcem i Patrycją?!

– Nie, mam w planach postarać się tu o jakiś domek. Na początek wynajmę go od ciotki Wandy.

– Co takiego? O niczym nie wiem.

– Była tu wczoraj. Nic ci nie mówiła?

– Dzisiaj się z nią jeszcze nie widziałam.

– To z kim zostawiłaś dzieci?

– Pilnuje ich Fil.

Zmarszczył brwi.

– Kto?

– Nasz kot Filuś. Ale dziś mówię na niego Fil, bo był niegrzeczny i mi się naraził.

– Nie powinnaś zostawiać dzieci samych. – Piotr zmarszczył brwi.

– Tak, nie powinnam, dlatego zmykam do nich – odparła, biorąc swoje naczynia. – Gdy zjesz, włóż talerze do zmywarki.

Kiedy wróciła do domu, zastała w nim panią Wandę. Prosiła pana Leszka, żeby zerkał na dzieci do jej powrotu. Rzadko zostawiała dzieci same w domu, ale czasami się to zdarzało. Piotrek chyba miał rację, zwracając jej uwagę. Czasami nawet pół godziny bez opieki może doprowadzić do tragedii. Igor był dość rozsądnym dziesięciolatkiem, ale po Karince można było się spodziewać różnych niespodzianek.

– Co tak szybko wracasz? – zapytała kobieta. – Przeważnie dłużej tam przesiadujesz.

– Pani Wando, podobno wczoraj była pani u Cisowskich?

– Tak. Chciałam pożyczyć od Heńka wiertarkę, bo nasza się zepsuła.

Guzik prawda – pomyślała Diana – chciałaś zobaczyć Piotrka.

– Podobno Piotr ma zamiar wynająć od pani dom?

– Taak, coś mi mówił na ten temat. Zobowiązał się trochę go wyremontować. Tam jest sporo roboty. Jeśli rzeczywiście nieco go podpicuje, to zrobi mi dużą przysługę. Sama nie mam siły ani ochoty na remont, a gdyby mój Leszek poznał jakąś panią, to musiałabym się od niego wyprowadzić i wtedy miałabym gdzie wracać.

– Po pierwsze, pan Leszek nie ma zamiaru wiązać się z żadną kobietą, a po drugie, gdyby nawet tak było, to wcale nie musiałaby się pani wyprowadzać – mruknęła niezadowolona Diana.

– Wydaje mi się, że ci nie pasuje, że on będzie u mnie mieszkał – zauważyła Kieresowa.

– Ależ skąd! Niech sobie mieszka, gdzie chce, a najlepiej w Australii.

– Powiedział, że zostaje na stałe. – Zawahała się Kieresowa. – Chyba muszę zmienić o nim zdanie. Źle go oceniałam. Albo się zmienił. Już sama nie wiem. Wydaje mi się, że dojrzał psychicznie. Robi wrażenie rozsądnego i miłego młodego człowieka. No i widzę po Heńku, że się cieszy z powrotu Piotrka. To przecież teraz jego jedyny syn. Chyba się już ze sobą dogadali. Wczoraj przez cały czas się uśmiechał i dowcipkował. Poczęstował nas nalewką i zrobił grilla.

– Nas? To pan Leszek też był z panią?

– Tak. A co w tym takiego dziwnego? Przecież Piotrek to nasza rodzina. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Wiesz, wczoraj było u nich całkiem miło. Dużo przyjemniej jest w ich domu, gdy nie ma Patrycji.

Diana starała się opanować, żeby nie powiedzieć kobiecie kilku przykrych słów. Zawiodła się na Kieresowej. Pani Wanda powinna zrozumieć niezręczność sytuacji.

– Wiesz, Diana, gdy tak na niego patrzyłam, to rzeczywiście miałam wrażenie, że rozmawiałam z duchem. Przedtem starali się wyglądać inaczej, żeby ich rozróżniano. Obrażali się, gdy ktoś wziął jednego przez pomyłkę za drugiego. Teraz nie muszą podkreślać swojej indywidualności. Zauważyłam to już u Pawła. Gdy zabrakło Piotrka, jemu też przestało zależeć na własnej oryginalności. Przedtem bardzo się starał, by dostrzegano w nim inną osobę, a nie sobowtóra brata. To chyba paskudne uczucie nie mieć własnej tożsamości, tylko dzielić ją z drugą osobą. Każdy chce być sobą. Oryginałem, a nie kopią.

## Rozdział 14

Na zdjęcie gipsu pojechała z Piotrem do Krakowa tylko Diana, bez Henryka, ponieważ teść miał spotkanie z ważnym kontrahentem.

– Nareszcie będę mógł wziąć normalny prysznic – powiedział Piotr, żeby zagaić rozmowę – bo dotychczas musiałem nieźle się nagimnastykować, żeby umyć sobie to i owo.

Diana się skrzywiła. Guzik ją obchodziło, jak ten kretynek myje sobie jajka. Prowadziła samochód w milczeniu. Natomiast jej szwagier się rozgadał. Najwięcej opowiadał o Australii. O swoich wyprawach do buszu, o przygodzie z krokodylem i przyjaźni z Aborygenami. Mówił ciekawie, co chwila ubarwiając swe opowieści dowcipnymi anegdotkami, ale dziewczyna była tak negatywnie do niego nastawiona, że wszystko ją w nim drażniło. Po drodze musieli wstąpić do kwaciarni i sklepu, bo zarządził zakup prezentów dla personelu. Diana pchała wózek inwalidzki, a on trzymał na kolanach koszyk sklepowy.

– W szpitalu bardzo dobrze się mną opiekowano, dlatego do słowa „dziękuję” muszę jeszcze coś dorzucić – powiedział. – Czy masz coś przeciwko temu, bo twoja mina na to wskazuje?

– Moja mina mówi, że chciałabym szybko wrócić do domu, do dzieci – burknęła.

– Z kim je zostawiłaś?

– Wiadomo, że są z panią Wandą. Nie mam nikogo innego do opieki.

– Widzę, że znowu wstałaś lewą nogą. Czy zawsze jesteś taka ponura? Przy Pawle też ciągle miałaś muchy w nosie? – zapytał, patrząc na nią zaczepnie.

– Zapominasz, że jestem wdową. Mój mąż nie żyje od kilku miesięcy. Czy mam skakać z radości?

– To nie smutek, to gniew. Odnoszę wrażenie, że skierowany przede wszystkim do mnie. Przepraszam za kłopot, jaki ci sprawiam. To ojciec wymyślił te domowe obiady.

– Obiad to podstawowy dzienny posiłek. Co byś wtedy jadł, gdybym ci go nie przywoziła? Przecież twój ojciec nie umie nic upitrasić, dlatego żywi się w restauracjach.

– Mógłbym zamawiać pizzę. – Wzruszył ramionami. – Ale mój stary uważa, że rekonwalescent powinien zdrowo się odżywiać. – Spojrzał na Dianę. – Mam nadzieję, że pozwolisz się dziś zaprosić na obiad. Zamarzyłem o niezdrowym jedzeniu. Pójdiesz ze mną do Chochołowego Dworu?

– Chciałabym jak najszybciej wrócić do dzieci.

– Ciotka się nimi opiekuje. Dobrze wiesz, że jej towarzystwo dobrze na nie działa. Nauczą się wielu nowych rzeczy, nadal siedzi w niej belferka. Mama mówiła, że wujek Leszek miał z nią przesrane życie. Była nauczycielką i w szkole, i w domu. Dyscyplinowała go na każdym kroku. Czy nadal tak robi?

– Nie zauważyłam – odburknęła.

– Możliwe, że na starość trochę złagodniała.

– Uważam, że dyscyplina w domu jest wskazana. Babcia łagodnie traktowała moją mamę i potem tego żałowała.

– Hmm, ja bym rozpieszczał dzieci.

– To dobrze, że ich nie masz. Nie preferuję lansowanego obecnie bezstresowego wychowania.

– Mam rozumieć, że często karzesz swoje dzieci? W robocie jest skórzany pas czy ścierka?

– Nie biję dzieci, bo nie muszę. Ale chociaż nie uznaję kar cielesnych, to uważam, że czasami trzeba z nich skorzystać,



gdy nie ma innego sposobu. Może wtedy nie byłoby na ziemi tyłu chuliganów i bandytów.

– A więc wyznajesz „zimny wychów”? – Spojrzał na nią kątem oka. – Biedna Karinka, biedny Igor. Dobrze, że mają stryjka Piotra, który będzie ich rozpieszczał.

Diana aż pobladła z nerwów.

– Słuchaj, Piotrek, uważnie i zapamiętaj – wycodziła. – Moje dzieci mają matkę. Przyznaję, że jestem w jakiś sposób przymuszona, żeby ich dziadek również partycypował w ich wychowaniu. Ale zaznaczam z góry, że na pewno nie pozwolę, żeby ingerował w nasze sprawy całkowicie obcy im człowiek, chociaż jest bardzo podobny do ich ojca. Powiem prawdę: wolałabym, żebyś nie pokazywał się w naszym domu. Najlepiej by było, gdybyś wyjechał z Polski.

Chwila ciszy. Diana stwierdziła w duchu, że przesadziła. Chyba się obraził. Spojrzała na niego. Ich oczy się spotkały. Nic nie mogła wyczytać z jego spojrzenia. Pierwsza odwróciła wzrok.

– Nie, Dianka. Nie wyjadę. Musisz zaakceptować moją obecność w ich życiu. Obiecałem to Pawłowi.

– Jak to „obiecałeś”? Czy rozmawialiście o jego śmierci? Przecież on był młody, nie mógł przewidzieć tego wypadku!

– Był młody, ale miał rodzinę, żonę i małe dzieci. Jak każdy ojciec się zastanawiał, co by się z wami stało, gdyby go zabrakło.

– To nie w stylu Pawła. On nigdy nie myślał o takich sprawach. Starość czy śmierć były dla niego czystą abstrakcją. Odnosiłam wrażenie, że nie dorósł jeszcze do tego, żeby analizować kwestię przemijania. Wydawało mu się, że jest wieczny.

– A jednak myślał o was. Wymógł na mnie obietnicę, że się wami zaopiekuję.

– Nie potrzebujemy twojej opieki! Umiem zadbać o swoje dzieci, a mną nie musi się nikt opiekować. Od śmieci babci zawsze tak było. Daję sobie doskonale radę bez męskiego wsparcia.

– Może ty rzeczywiście tego nie potrzebujesz, ale dzieci tak.

– Nie rozśmieszaj mnie. Nie było cię w ich życiu przez jedenaście lat i niech dalej tak pozostanie.

– Owszem, nie byłem obecny w ich życiu, ale był Paweł. Teraz go nie ma. – Znowu utkwiał w niej spojrzenie. – Wróciłem do Polski właśnie w tym celu. I nie wyjadę.

– Słuchaj, jeśli chcesz się zabawić w tatusia, to zrób sobie własne, a moje zostaw w spokoju.

– Chcę się z nimi spotkać. Jeśli nie zaprosisz mnie do siebie, przyjadą do domu swojego dziadka, w którym mieszkam.

Już niedługo – pomyślała Diana – kiedy wróci Patrycja, będziesz stamtąd spieprzał w try miga.

Nie tylko Piotr nalegał na umożliwienie mu poznania brataników, jego ojciec również coraz częściej o tym wspominał.

– To dzieci jego brata, ma prawo je poznać.

– Czy pan niczego nie rozumie? Przecież one doznają szoku, gdy go ujrzą. Zobaczą ducha swojego ojca! Ja sama, mimo że jestem dorosła, wciąż nie mogę przyzwyczaić się do jego wyglądu. Przecież Piotrek jest identyczny jak Paweł! Gdybym nie widziała go w trumnie, a potem jak go wkładają do grobu, to trudno byłoby mi uwierzyć, że to nie mój mąż. Twarz, sylwetka, głos, nawet ruchy mają takie same. Karinka tego nie zrozumie.

– Przesadzasz, Diana. Nie wiem, dlaczego jesteś tak uprzedzona do Piotrka, on nic ci złego nie zrobił.

– I mówi to pan, panie Henryku, który wyrzucił go ze swojego życia na jedenaście lat?! – prychnęłam. – Nie rozumiem, dlaczego nagle zmienił pan tak diametralnie swój stosunek do Piotrka.

– Nie rozumiesz? Ty, która masz dwójkę dzieci? To przecież mój syn!

– Nie rozumiem, bo nigdy nie postrzegałam pana jako supertaty. Owszem dziadkiem jest pan dobrym, ale nigdy nie był pan czułym ojcem – rzuciła mu prosto w twarz. Widząc jego minę, zreflektowała się. – Przepraszam, nie powinnam tego mówić.

Widziała, jak zaciskał szczękę ze zdenerwowania. Chwilę milczał, a potem powiedział chłodnym tonem:

– Przygotuj dzieciaki do spotkania z Piotrkiem.

Wieczorem postanowiła porozmawiać z synem i córeczką na temat stryjka. Po kolacji, kiedy siedzieli w fotelach, przymierzając się do oglądania filmu, Diana wyłączyła pilotem odbiornik i głośno odchrząknęła. Nie dopuścili jej do głosu.

– Mamo, dlaczego wyłączyłaś telewizor?! Za chwilę będzie *Batman* – zawołał oburzony Igor.

– Po pierwsze, to film nie dla Karinki, a po drugie, chcę z wami porozmawiać.

– Ja nie chcę z tobą rozmawiać, tylko chcę oglądać film – warknął niegrzecznie syn. Widząc, że matka groźnie zmarszczyła brwi, zaraz się zreflektował. – Przepraszam, mamo, ale to nie w porządku. Nastawiłem się na ten film.

– To go nagraj i później obejrzysz, teraz musimy porozmawiać. – Znowu odchrząknęła. – Pamiętacie, że wasz tatuś wspominał, że ma brata?

Igor wzruszył ramionami.

- Tak, mieszka w Australii. I co z tego? Teraz jest film.
- Wasz wujek, dokładniej stryjek, niedawno przyjechał do Polski.
- I co z tego?
- Mieszka teraz u dziadziusia i chciałby was poznać.
- No to niech przyjdzie, jeśli tak bardzo chce – mruknął Igor. – A teraz włącz telewizor.
- Jego brat, a wasz wujek, jest jego bliźniakiem, dlatego jest bardzo do niego podobny.
- No i co z tego? Może przyść. A dziadzius też przyjdzie? Dawno go nie widzieliśmy. Dlaczego do nas nie przychodzi?
- Właśnie, mamusiu – wtrąciła Karinka. – Ja się już bardzo stęskniłam za dziadziusiem, bo dawno nie byliśmy w McDonalddie. Kiedy nas tam zabierze?
- Dziadzius was nie odwiedzał, bo opiekował się waszym wujkiem. Wujek ma na imię Piotr i jakiś czas temu miał wypadek. Najechał go samochód.
- Miał wypadek? To dlaczego nie jest w niebie jak tatuś? – zainteresowała się Karinka.
- Bo nie wszystkie wypadki kończą się śmiercią, kretynko – warknęła Igor.
- Nie jestem kretynką, ty głupi kretynie! – warknęła Karinka. – Mamusiu, musisz go ukarać!
- No to muszę ukarać was oboje, bo ty też brzydsko go nazywasz – westchnęła Diana.
- Ale to się nie riczy, bo on pierwszy zaczął. Sprawiedliwie będzie, gdy tylko on dostanie karę.
- Mówi się „nie liczy”, Karinko. Swoją drogą, jak możesz w ten sposób mówić? Przecież to bardzo niewygodnie. – Wes-

tchnęła Diana. – Wracając do rozmowy; dziadzius przywiezie wujka w niedzielę. Zaprosimy ich na obiad.

## Rozdział 15

Do pierwszego spotkania między najmłodszymi Cisowskimi a ich stryjem doszło nie w niedzielę, tylko nazajutrz. Diana wybrała się z dziećmi na spacer, gdy nagle na drodze pojawił się Piotr. Wszyscy stanęli w osłupieniu. Patrzyli na siebie zaskoczeni, nic nie mówiąc. Pierwsza zareagowała Karinka. Wyrywała rączkę z dłoni matki i rzuciła się w stronę Piotra.

– Tatuś! Mój tatuś! Wreszcie wróciłeś z tego nieba! – przywarła do niego całym ciałkiem. – Tatusiu, już nigdy nie idź do nieba, bo nie ma mi kto kupować cukierków! Mamusia jest skąpa, a dziadzius zawsze o nich zapomina – paplała rozpromieniona.

Zaskoczony Piotr nie wiedział, co robić. Stał, przytulając małą do siebie.

– Cześć, Karinko! Ale z ciebie duża panna – powiedział, uśmiechając się nieśmiało.

Igora zamurowało. Patrzył na mężczyznę jak zauroczony.

– Tato, to ty? – wydusił z siebie.

– To nie wasz tata, tylko jego brat. Mówiłam wam o nim wczoraj.

– Nie, to niemożliwe – wycharczał Igor, kręcąc w zaprzeczeniu głową. – To tata, musieli się pomylić w szpitalu. Tata żyje.

Skonsternowany Piotr głośno odchrząknął, otworzył usta, ale nie padło z nich żadne słowo.

– To nie wasz tatuś, to wujek Piotr – westchnęła Diana, patrząc z wyrzutem na mężczyznę.

– Ale to nasz tata! Ma nawet ten sam głos! – stwierdził stanowczo Igor z oczami wciąż utkwionymi w Piotra.

– Wasza mama ma rację. Wasz tata był moim bratem bliźniakiem – odezwał się w końcu Piotr. – Bardzo mi dużo o was opowiadał. Jestem waszym wujkiem Piotrem.

– Tatusiu, dlaczego mówisz, że nie jesteś naszym tatusiem? Przecież to nieprawda! – zawołała płaczliwie Karinka. – Czy dlatego, że wróciłeś z nieba? Czy były tam grzeczniejsze aniołki ode mnie i Igora?

Piotr dopiero teraz zrozumiał obawy Diany, wcześniej uważał, że przesadzała.

Kucnął przed Karinką, żeby móc spojrzeć jej w oczy.

– Karinko, nie byłem w niebie, tylko w Australii. To bardzo, bardzo daleko od Żurady, dlatego nie mogłem was poznać osobiście. Ale wasz tatuś dużo mi o was opowiadał, dzięki temu znam was dobrze. I bardzo, ale to baaardzo was lubię. – Mówiąc to, przytulił ją do siebie.

Po chwili wstał i podszedł do Igora. Wyciągnął do niego rękę.

– Igor, my, mężczyźni, przywitajmy się po męsku – uśmiechnął się do chłopca. – Mam na imię Piotr i jestem bratem bliźniakiem waszego taty. Poczytaj w internecie o bliźniakach jednojajowych, to dowiesz się więcej na ten temat. Gdy byłem w twoim wieku, zawsze mylono mnie i twojego tatę. Nawet wasz dziadziuś czasami nas nie rozróżniał. Ale wasza babcia wiedziała, który to Piotr, a który Paweł.

– Babcia Patrycja? – zapytała nadal oszołomiona dziewczynka.

– Nie, babcia Lidzia, ta, która jest teraz w niebie. Na pewno widziałaś jej zdjęcia w domu dziadziusia Henryka.

– Jak jest tam w niebie? Opowiedz mi, tatusiu. – Karinka wciąż nie mogła uwierzyć, że to nie jej ojciec z nią rozmawia. – Czy tam robią takich bliźniaków i wysyłają później na Ziemię?

– Karinko, nie wiem, jak jest w niebie. Bliźniaki rodzą się tu, na ziemi, w szpitalach. Nie jestem twoim tatusiem, ale obiecuję, że będę go wam zastępował. – Nie zareagował na ostrzegawcze chrząknięcie Diany, tylko ciągnął: – Obiecałem waszemu tacie, że będę się wami opiekował, dlatego wyjechałem z Australii, żeby zamieszkać w Żuradzie.

– To będziesz mieszkał w naszym domku? – dopytywała się Karina.

Tego było już za wiele dla Diany. Podeszła do córeczki.

– Kochanie, wujek nie będzie z nami mieszkał, bo wujkowie nie mieszkają z rodziną brata. Wujek Piotr na razie mieszka w domu dziadziusia – powiedziała Diana.

– Tak? To dlaczego dziadzius nam nic nie powiedział? – Tym razem pytanie zadał Igor.

– Ale przecież ja wam wczoraj o tym mówiłam, nie pamiętasz?

– Mamusiu, coś mówiłaś o bracie taty, ale nie mówiłaś, że jest taki sam jak on – zaprzeczył Igor.

– Mówiłam, tylko ty nie uważałeś, bo w głowie siedział ci Batman.

– To nieprawda! – zawołała Karina. – Nawet Batman nie mógłby się zmieścić w głowie żadnego człowieka, tym bardziej w takiej małej głowie jak Igora. – Spojrzała znowu na Piotra. – Ty naprawdę nie jesteś naszym tatusiem?

– Naprawdę. Bardzo tego żałuję. Ale postaram się go wam zastąpić. Umiem naprawiać zabawki, przyrządzać śniadania i odwozić do szkoły. Umiem też opowiadać bajki.

– Tak? Skąd umiesz? Nawet nasz tatuś tego nie robił. Umiął tylko pracować i zarabiać pieniążki – powiedziała dziewczynka. – Skąd to wszystko umiesz robić? Masz dzieci?

– Nie mam dzieci, bo nie mam żony.



- Aha. Kiedy do nas przyjdiesz?
- Gdy mnie zaprosicie.
- No to już teraz chodź do nas.
- Wujek przyjdzie do nas jutro. Dzisiaj już późno na odwiedziny – zaprotestowała Diana.
- Mama ma rację. Ale mogę z wami trochę pospacerować.
- Zapomniałeś, że niedawno miałaś nogę w gipsie? Nie powinnaś chodzić za dużo – zauważyła Diana. – Zresztą my też wracamy.

Piotr przyjechał do domu Diany następnego dnia wieczorem razem z Henrykiem. Młodszy Cisowski przyniósł ze sobą torby z prezentami, a starszy album ze zdjęciami rodzinnymi.

Skąd on wziął tyle prezentów? – dziwiła się w duchu Diana, bo nie widziała ich w jego rzeczach, gdy go pakowała w hotelu. Przywiózł różne kangury, misie koala, bumerangi i mnóstwo innych pamiątek zrobionych z myślą o turystach. Diana również dostała upominki: naszyjnik z perełek oraz kolczyki i bransoletkę do kompletu. Dostała również piękny szal z jedwabiu i sweter z angory.

- Nie miałaś tych rzeczy w hotelu – zauważyła.
- Prezenty przyszły paczką lotniczą.
- Nawet ja dostałem prezent – powiedział Henryk.
- Co, dziadziusiu?
- Też sweter, diamentowe spinki do koszuli i oczywiście bumerang. Jutro poćwiczmy w ogrodzie, jak to działa.
- Super – zapalił się Igor.
- Teraz obejrzymy razem zdjęcia, których wcześniej wam nie pokazywałem. Są to fotki z czasów, gdy wasz tata i wujek

byli w waszym wieku. Kiedyś pokażę wam też filmy robione kamerą.

Dzieci z zainteresowaniem przeglądały albumy, a Henryk i Piotr objaśniali, co wtedy robili. Zdjęć było dużo, większości z nich Diana nigdy nie widziała na oczy. Przedstawiały chłopców w wieku przedszkolnym, szkolnym i licealnym. Były robione w szkole, w domu i na uroczystościach rodzinnych. Na zdjęciach z wcześniejszych lat obaj bracia byli tacy sami, ale pod koniec podstawówki różnili się wyglądem, dlatego dzieci nie miały problemu z rozpoznaniem, który to ich tata, a który wujek.

– Ale tata przed wypadkiem był taki sam jak teraz ty, wujku – stwierdził Igor. – Nie nosił okularów ani marynarek.

– Nie musiał nosić, bo nie było obok niego wujka – powiedział Henryk. – Przedtem im zależało, żeby się różnić. Wcześniej wszyscy mieli problemy z ich rozróżnieniem, nawet ja czasami się myliłem.

– Dlaczego, wujku, wyjechałeś na tak długo do Australii? – zapytała nieoczekiwanie Karinka.

W pokoju zrobiło się cicho. Przy stole zagościła konsternacja i zażenowanie. Zdeprymowany Henryk odchrząknął w pięść i przyszedł z pomocą synowi.

– Pokłóciliśmy się – powiedział. – Obraziłem wujka i on wyjechał. Ale teraz wszystko sobie wyjaśniliśmy i już jest okej. Pyszne to ciasto, Diana – zmienił temat Henryk. – Pieczesz lepiej niż Wanda. Hmm, bo porównywanie twoich wypieków do wypieków Patrycji byłoby dużym nietaktem.

– Przecież babcia Patrycja nic nie piecze – zauważyła Karinka.

– No właśnie.

– Pamiętam, że raz upiekła ciasto z truskawkami, ale zapomniała, że jest w piecyku, więc się spaliło – powiedział Igor.

– No właśnie – powtórzył Henryk. – Dlatego, Piotrek, jedź sernik, bo tego nie będziesz miał w domu, gdy ona wróci z Grecji.

– Pierwszy raz usłyszałam komplement z pana ust, panie Henryku – mruknęła Diana. – Cóż to się stało?

– Bo nigdy wcześniej nie smakował mi twój sernik tak bardzo jak dzisiaj – powiedział, wzruszając ramionami.

Diana nie poznawała teścia. Rzadko widziała go tak rozluźnionego i radosnego. Potrafi być miły i sympatyczny, jeśli chce – pomyślała, słuchając jego następnego dowcipu. Przedtem nieczęsto mu się zdarzało opowiadać kawały i śmiać się z cudzych.

– Do Piotrka przyjeżdża rehabilitantka – powiedział nieoczekiwanie, zmieniając temat. – Dziś była drugi raz. Mnie również masuje. Zamówiłem u niej dziesięć zabiegów, bo boli mnie w lędźwiach.

– Co to znaczy, że boli cię w lędźwiach, dziadziusiu? – zapytała Karinka.

– To samo co „łupie mnie w krzyżach” – odparł wesoło Henryk. – Chodź, słoneczko, to ci pokażę, gdzie mnie boli. – Przyciągnął małą do siebie i dotknął jej pleców.

– To są krzyże? – zdziwiła się dziewczynka. – Krzyże inaczej wyglądają. Wiem, bo byłam w kościółku i widziałam Pana Jezusa na krzyżu. My też mamy w każdym pokoju nad drzwiami małe krzyżyki.

Rzeczywiście w każdej sypialni wisiał mały krzyżyk, bo zażyczyła sobie tego Diana. Babcia zawsze powtarzała, że krzyż to identyfikator przynależności do społeczności chrześcijańskiej. Diana również uważała, że krzyż jest symbolem tej samej kultury, wyznawania tych samych zasad i reguł. Pierwiastek religijny nie odgrywał w jej życiu tak dużej roli jak u babci, ale kultywowała wszystkie święta katolickie, obyczaje

i obrzędy. Nie była zbyt gorliwą katoliczką, od śmierci babci przestała regularnie chodzić do kościoła, bywała tam tylko od czasu do czasu. Pani Wandzie się to nie podobało, dlatego ją w tym wyręczała i sama zabierała dzieci na mszę albo do żuradzkiej kaplicy, albo do olkuskiego kościoła, gdy jej syn miał czas ją tam zawozić.

– Do masażu zatrudnił pan kobietę, nie mężczyznę? – Diana wróciła do tematu rehabilitantki. – Zawsze mi się wydawało, że akurat w tej dziedzinie lepsi są mężczyźni, bo mają w rękach więcej siły.

– Ja początkowo też tak uważałem – odparł. – Ale po dwóch seansach zmieniłem zdanie. Ta drobna kobietka, ważąca zaledwie pięćdziesiąt parę kilo, ma w sobie siłę młodego osiłka. Miałem wrażenie, że nad moimi plecami znęca się sam Pudzianowski. Jestem strasznie obolały, okropnie mnie dziś wyęczyła.

– Pani Iwona naprawdę ma krzepę w rękach. – Do pochwał przyłączył się Piotr. – Co za kobieta. Chyba by mnie pokonała na ręce, gdybyśmy się zmierzyli.

W głosie mężczyzny wybrzmiewał podziw. Czyżby podobała mu się pani Iwona? – nieoczekiwana myśl pojawiła się w głowie Diany. Jeśli miał zamiar zostać w Polsce, to potrzebna mu była jakaś baba.

Od tamtego dnia Piotr stał się stałym bywalcem w domu Diany. Przychodził codziennie i nigdy z pustymi rękami, zawsze przynosił dzieciom jakiś prezencik. Albo maskotkę, albo grę, albo łakocie. Ją też obdarowywał. Były to kwiatki albo czekoladki lub wino. Dzieci były zachwycone tymi upominkami – w przeciwieństwie do ich mamy.

– Po co im to przynosisz? Zabawek mają aż nadmiar, a słodyczy nie powinny jeść. Ja zresztą też – mruknęła, odbierając paczuszkę ptasiego mleczka o smaku waniliowym.

– Nie wypada przyjść do dzieci z pustymi rękami. Do gospodyni również.

Chcąc nie chcąc, zaczęła częstować go obiadem. Wtedy prezenty stały się jeszcze droższe. Widząc radość dzieci na widok wujka, powoli zmieniała swoje nastawienie do szwagra. Już jej tak nie irytował jak na początku. Oswoiła się z jego podobieństwem do zmarłego męża. Doceniła uwagę, jaką otaczał dzieci, bo to przede wszystkim im poświęcał najwięcej czasu. Grał z Igozem w kosza, z Karinką bawił się lalkami, zabierał oboje nad wodę albo do lasu na spacer. Dianie to odpowiadało, bo miała więcej czasu dla siebie. Mogła spokojnie posprzątać dom i ugotować obiad, a później usiąść z książką w fotelu, bez wyrzutów sumienia, że zaniedbuje dzieci. Nie miała nic przeciwko temu, a nawet jej to pasowało, że rano przychodzi Wanda, a po południu Piotr, wyręczając ją w ten sposób od zabawiania dzieciaków. Odwiedziła kosmetyczkę i fryzjerkę, kupiła kilka nowych bluzek i sukienek oraz dwie pary szpilek. Z nową fryzurą i nowymi paznokciami pomalowanymi czerwoną hybrydą i w nowej sukience znowu poczuła się młodą kobietą, a nie tylko zahukaną matką. Musiała przyznać, że nagłe pojawienie się Piotra w ich życiu wpłynęło korzystnie zarówno na dzieci, jak i na nią samą. Wcześniej nigdy nie miała czasu dla siebie. Paweł rzadko zajmował się dziećmi, późno wracał do domu, przeważnie gdy już spały, a sumienie nie pozwalało jej wykorzystywać Wandy zbyt często. Robiła to tylko w sytuacjach przymusowych, których i tak zawsze było dużo.

Kiedyś, będąc w Olkuszu, spotkała na ulicy Kościuszki Danka Drewniaka.

– Cześć, Diana. Wyglądasz rewelacyjnie – powiedział. – Nigdy nie widziałem cię w sukience – zauważył, spoglądając na jej nogi. – I nigdy wcześniej się nie malowałaś.

– Bo przeważnie widziałeś mnie w domowych pieleszach – odpowiedziała z uśmiechem.

- Dasz się zaprosić na lody?
- Nie na kawę, tylko na lody?
- Może też być kawa.
- Na lody dam się zaprosić.

Diana usiadła przy stoliku w ogródku lodziarni na olkuskim rynku, a Darek stanął w kolejce. Przyszedł z dwoma pucharkami i dwiema kawami.

- Kawa też się znalazła – powiedział.
- Dlaczego nie jesteś w pracy?
- Jestem. Miejsce pracy policjanta jest nieokreślone.
- Pijesz kawę i zajadasz lody w czasie pracy? A fe! Taki to przykład daje olkuska policja? – udała oburzenie.

– Przesłuchuję świadka, a żeby wyciągnąć od niego więcej informacji, podpuszczam go lodami. Wiesz, Diana, zawsze jestem tym „dobrym policjantem”. – Uśmiechnął się. – Co słychać? Jak tam dzieciaki? Zdrowe? Grzeczne?

- Zdrowe i grzeczne.
- A jak twój teść? Nadal ma muchy w nosie?
- Teraz coraz rzadziej. – Nie rozwinęła tematu, dlaczego zmienił się nastrój Henryka. Nie miała ochoty wspominać o powrocie szwagra do Polski. – O cholera.

- Co się dzieje?
- Znajomy teścia. Florek.

Rzeczywiście nieopodal siedział mężczyzna w średnim wieku, a obok niego młoda kobieta. Zamiast patrzeć na swą towarzyszkę gapił się na Dianę. Kiedy uchwycił jej spojrzenie, skinął jej głową i uśmiechnął się oblesnie. Diana nie lubiła go od początku. Często go spotykała w domu teścia lub u Leszka Kieresa. Najpierw przychodził z żoną, a gdy wymienił ją na „nowszy model” – z kochanką. Florek był szkolnym kolegą

Leszka, chodził z nim do klasy. Pani Wanda też za nim nie przepadała.

– Na pewno powie mojemu teściowi, że nas spotkał siedzących w kawiarni – mruknęła.

– To lodziarnia, nie kawiarnia. I co z tego? Czy to zbrodnia albo czyn zakazany, że wdowa je lody ze znajomym policjantem? Przecież prowadziłem śledztwo w sprawie śmierci twojego męża.

– Teść uważa, że wdowa powinna uszanować żałobę po zmarłym mężu – mruknęła. – A zresztą mam w nosie mojego teścia. Przecież nic złego nie robimy.

Posiedzieli, pogadali, ale gdy zaproponował jej obiad w restauracji, odmówiła.

– Muszę wracać.

– Szkoda. To chociaż odprowadzę cię do samochodu. Gdzie zaparkowałaś?

– Na Szpitalnej. Ale chcę jeszcze wstąpić do księgarni.

– Do tej na Kościuszki?

– Nie, wolę księgarnię u Goca na Kazimierza Wielkiego. Mają tam duży wybór. Muszę kupić pani Wandzi prezent na urodziny, a ona najbardziej zadowolona jest z książek.

– No to chodźmy do Goca.

## Rozdział 16

W pewną lipcową sobotę Henryk zaprosił Dianę z dziećmi na grilla. Przyszli też Kieresowie – z ciastem upieczonym przez Wandę i winem zrobionym przez Leszka. I z Marceliną. Dziewczyna przyszła ubrana jak na casting do filmu porno. Króciutka spódniczka, top z dekoltem do pasa i niebotyczne szpilki. I oczywiście mocny, wyzywający makijaż. Wyprostowane blond włosy, doklejane rzęsy i wymalowane permanentnie brwi zrobiły z niej standardową piękność, jakich jest pełno na ekranie po włączeniu telewizora. Diana знаła przyczynę jej dzisiejszego wyglądu – Piotr. Dianę to bawiło. Nie traktowała szwagra w kategorii potencjalnego kochanka, był dla niej istotą bezpieczną. Jeśli już miałyby się kimś zainteresować, to Darkiem Drewniakiem, bo chociaż był o wiele brzydszy, to nie był bratem Pawła. Ale jak na razie wszyscy mężczyźni byli poza sferą jej zainteresowań. Była przecież wdową, od śmierci męża upłynęło dopiero osiem miesięcy. Oprócz tego nie potrzebowała teraz żadnego faceta. Ani do towarzystwa, ani do łóżka.

Na grilla do Cisowskich Diana przyszła ubrana trochę inaczej niż wtedy, gdy przyjmowała Piotra w swoim domu. Zamiast wygodnych legginsów założyła obcisłe dżinsy, a w miejsce szerokiego podkoszulka ładny top o ciekawym fasonie. Na stopach miała nie kapcie, tylko sandałki na płaskiej podszwie. Z rozpuszczonymi włosami i delikatnym makijażem sprawiała wrażenie licealistki.

W zestawieniu z Marceliną wyglądała na jej młodszą koleżankę, chociaż była od niej starsza o dziewięć lat. Na widok Piotra Kieresówna zareagowała podobnie jak wcześniej Diana. Przez chwilę stała jak żona Lota wpatrzona z niedowierzaniem w mężczyznę.

– O Boże, ty na pewno nie jesteś Pawłem? – zapytała.



– Nie, jestem Piotr. Słowo harcerza – powiedział żartobliwie, dołączając uśmiech. – Nie pamiętasz mnie?

– Pamiętam, ale przedtem nie byliście do siebie tak podobni – wydukała. – Teraz wyglądasz identycznie jak Paweł. – Z niedowierzaniem kręciła głową. – Babcia coś mówiła, że zrobiłeś się bardzo do niego podobny, ale nie przypuszczałam, że aż tak. Wyglądasz jak jego duch.

– Dzięki za komplement. Ty też inaczej wyglądasz niż przed moim wyjazdem z Polski. Urosło ci to i owo. – Znowu uśmiech. – Wtedy miałaś dwanaście lat i byłaś chudym podlotkiem.

– Pamiętam, że zamknąłeś mnie w garażu, bo podglądałam, jak paliliście papierosy.

– Gdyby to były papierosy, tobym cię nie zamknął – mruknął.

– A więc trawka? Tak się domyślałam.

– To ty, wujku, zażywałeś narkotyki? – Nagle zjawił się przy nich Igor. – Tata też palił marihuanę?

Skonfundowany Piotr odkaszlnął i nerwowo podrapał się po głowie.

– Ależ skąd! To ja byłem ten niedobry – odparł stanowczo. – Miałem wtedy różne głupie pomysły, na szczęście wasz ojciec mnie przed nimi powstrzymywał, bo narobiłbym jeszcze więcej głupstw. Skąd wiesz, co to jest marihuana?

– Nie jestem dzieckiem. Przecież mam już dziesięć lat! W szkole ciągle się o tym mówi. Ostrzegają nas przed narkotykami.

– Hmm, już w wieku dziesięciu lat dzieci są świadome w tych sprawach? Nas ostrzegano przed papierosami i alkoholem, ale gdy byliśmy trochę starsi – mruknął Piotr. – Mają rację ci, którzy przestrzegają młodzież przed używkami. Alko-

hol, papierosy to nic dobrego, a tym bardziej narkotyki. Spoktałem wielu ludzi, których zniszczył nałóg. Pamiętaj, Igor, nigdy nie daj się wciągnąć w zażywanie narkotyków, narkomania to zło, którego trzeba się wystrzegać – dodał mentorskim tonem.

Wieczór upłynął w bardzo przyjemnej atmosferze. Diana zawsze dobrze się czuła w towarzystwie Kieresów, ale obecność teścia przeważnie ją deprymowała. Czuła jego niechęć i uprzedzenie, dlatego zazwyczaj była przy nim spięta i ostrożna w słowach i zachowaniu. Chociaż później przestała się już tak bardzo przejmować tym, co o niej myślał, to nadal gdzieś w podświadomości pozostała obawa przed jego krytyką. Ostatnio jednak zauważyła duże zmiany w nastawieniu teścia do niej. Zrobił się miłszy, mniej obcesowy w słowach, nawet jego spojrzenie złagodniało. Tę przemianę zauważyła od momentu, gdy w Żuradzie pojawił się Piotr. Czyżby to on miał tak duży wpływ na metamorfozę towarzyską swojego ojca? Bo Henryk stał się miłszy również w stosunku do innych ludzi. Teraz inaczej się zwracał do sprzedawców w markecie, do swoich pracowników i sąsiadów.

Najwyraźniejszy zwrot nastąpił w relacjach z synem. Kiedyś go tak nienawidził, że wyklął z rodziny, a teraz zrobił się czułym i opiekuńczym ojcem. Między nim i Piotrem powstała bliskość, której nigdy nie dostrzegła w relacjach Henryka z Pawłem. W ciągu jedenastu lat przebywania w rodzinie Ciszowskich ani razu nie zauważyła u nich takiej więzi, jaka łączyła ją z babcią, mimo że na pozór ich wzajemne relacje były poprawne. Dotychczas myślała, że tak bywa między spokrewnionymi mężczyznami. Że sam fakt bycia facetami wyzwala w nich syndrom samca alfa, który burzy serdeczność i czułość, a w ich miejsce stawia rywalizację i chęć dominowania. Bo Paweł zawsze rywalizował z ojcem. Buntował się przeciw jego decyzjom, konkurował z nim w każdej dziedzinie i zawsze chciał być od niego lepszy, mądrzejszy, bogatszy. Przeważnie starał się nie robić tego otwarcie, bo mimo

wszystko bał się gniewu ojca, ale Diana od razu to zauważyła. Dobrze знаła męża, przed nią nie potrafił ukryć tego swojego samczego wyścigu o pierwsze miejsce. Henryk również nie pozwalał synowi zepchnąć się na pobocze, nadal musiał być głównodowodzącym w rodzinie. Nie chciał albo nie potrafił przekazać synowi buławy wodza. Teraz w stosunku do drugiego syna jakby pokonał w sobie skłonność do dowodzenia. Nie nakazywał mu, tylko radził. Nie żądał, tylko prosił. Czy powodem była nabyta dojrzałość? Czy może utrata jednego syna nauczyła go pokory? A może po prostu poczuł zmęczenie rolą życiowego czempiona?

Diana również się zastanawiała, jak długo potrwa ta zmiana, czy to nie jest tylko chwilowe przeobrażenie. Obawiała się, że powrót Patrycji może wiele zmienić w relacjach syn–ojciec. Według niej jedną z przyczyn psychicznych inklinacji teścia do utrzymania statusu przewodnika stada było posiadanie dużo młodszej żony. Starszy mężczyzna musi czymś imponować młodszej żonie, a w tym przypadku najlepszym afrodyzjakiem są pieniądze i władza. Nie mógł przecież dopuścić, by dużo młodsza partnerka postrzegala go jako pokonanego wiekiem i słabością herszta zdetronizowanego przez młodzika, który musi usunąć się na bok. Nie pozwalały mu na to duma i samcza godność.

Nurtujące ją myśli jakby niechcący same się zwerbalizowały.

– Kiedy wraca Patrycja? Powinna być tu na dniach? – zapytała.

– Przedłużyłem jej wakacje – burknął Henryk.

– Tak? Dlaczego?

Teść zmarszczył brwi.

– A co, nagle się za nią stęskniłaś, Diana?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Ja nie, ale pan chyba powinien. Przecież już miesiąc jej nie ma. Jeszcze ją ktoś panu ukradnie i co wtedy będzie?

– Diana, widzę, że usiłujesz być złośliwa. Albo dowcipna. Ale ani jedno, ani drugie ci nie wychodzi.

LesFzek Kieres, chcąc ratować sytuację i załagodzić mały zgrzyt, przypomniał o tym, co na ruszcie.

– Dlaczego nie pilnujecie mięsa? Za chwilę się spali, a przypalone mięso jest szkodliwe.

Diana obserwowała stojących na boku Marcelinę i Piotra. Dziewczyna wdzięczyła się do niego, szczebiocąc i co chwila szczerząc zęby. Mężczyzna również odpowiadał jej grzecznym uśmiechem, mało mówiąc, dużo słuchając. Nie słyszała ich rozmowy, ale po minie Marceliny wywnioskowała, że ze sobą flirtowali. Diana po raz pierwszy od dnia poznania Piotra popatrzyła na niego jak kobieta na mężczyznę, a nie na brata męża. Musiała przyznać, że był atrakcyjnym facetem. Nawet bardzo atrakcyjnym. Tak jak Paweł. Wbrew temu, co kiedyś opowiadała pani Wanda, Piotr sprawiał wrażenie cieplejszego i bardziej wrażliwego człowieka niż jego brat bliźniak. Prawdopodobnie wpłynęły na to odległość i samotność w obcym kraju. Paweł nie potrzebował zabiegać o sympatię bliskich ani znajomych, natomiast Piotr musiał bardziej się starać, żeby zetrzeć z siebie dawny wizerunek rozrabiaki i zdobyć względy oraz życzliwość innych ludzi. Albo rzeczywiście się zmienił, albo tylko udawał.

W pewnym momencie spojrzenia Diany i Piotra się skrzyżowały. Mężczyzna starał się przytrzymać jej wzrok. Trochę tym zmieszana, pierwsza odwróciła oczy.

Zaczynała samej siebie nie rozumieć. Przedtem ją drażniło, gdy szwagier próbował nadać ich rozmowom formę flirtu. Twierdziła, że to bezczelność i brak taktu. Takie zachowanie kilka miesięcy po śmierci brata uważała co najmniej za nie-

właściwe. Później ich kontakty zawężyły się do czysto formalnych konwersacji i wymiany zdań. Jego wizyty miały charakter odwiedzin dobrego stryjka, który lubi towarzystwo brataników i z zapałem wypełnia rodzinne obowiązki. Pijąc kawę lub herbatę, rozmawiali na neutralne tematy, nie zahaczając o sprawy z osobistym wydźwiękiem. Gawędzili o pandemii, szczepionkach oraz poczynaniach rządzących polityków i ich oponentów. W tej kwestii poglądy mieli podobne, więc nie dochodziło do słownych konfliktów. Taka sytuacja odpowiadała jej bardziej niż ich wcześniejsze rozmowy.

Od czasu grilla w domu teścia Diana nieoczekiwanie poczuła niedosyt i rozczarowanie, że jest przez Piotra ignorowana na rzecz swoich dzieci. Zaczęła bardziej przygotowywać się do jego wizyt. Częściej piekła ciasto i częściej zapraszała go na obiad. I również większą uwagę przywiązywała do swojego wyglądu. Inaczej się teraz ubierała; porzuciła obszerne T-shirty na rzecz ładnych topów i przeprosiła się z sukienkami. No i zawsze na twarz nakładała staranny makijaż podkreślający jej walory urody, a tuszujący małe niedoskonałości. Piotr sprawiał wrażenie tego nie zauważać, wciąż bardziej zaabsorbowany dziećmi niż ich matką.

## Rozdział 17

Pewnego słonecznego popołudnia Diana dała się namówić Piotrowi i dzieciom na grę w Monopoly. Rzadko kiedy brała udział w takich rozgrywkach, nie lubiła gier planszowych, wolała ten czas spędzić na czytaniu książki. Wcześniej grała z dziećmi z przymusu, by odciągnąć je od telewizora i komputera, ale gdy nadarzyła się okazja i ktoś ją wyręczał od tego obowiązku, z ulgą gdzieś się zaszywała, by oddać się lekturze. Teraz siedzieli w czwórkę przy stole na tarasie i kupowali domy, hotele i fabryki. Dobrze się bawili. Nawet Dianie mile upływał czas i wcale nie tęskniła za rozpoczętym kryminałem Cobena. Co chwila wybuchali śmiechem, kiedy Piotr komentował swoje nietrafione inwestycje. Stwierdziła, że umiał być zabawny. Największe sukcesy odnosiła Karinka, bo wszyscy o to się starali, ponieważ zadowolona mina dziewczynki była cenniejsza niż zakup nieruchomości. Nawet Igor wolał przegrać, niż znosić niezadowolenie siostrzyczki objawiające się płaczem i dąsami.

Akurat Karinka nabyła dworzec kolejowy, kiedy zadzwonił dzwonek domofonu.

– Igor, otwórz drzwi. To chyba pani Wanda – mruknęła Diana, licząc swoje żetony.

– Dlaczego ja?

– Bo masz młodsze nogi – powiedział Piotr.

Chłopiec bez szemrania wstał z krzesła i poszedł otworzyć. Po chwili na tarasie, owszem, pojawiła się pani Kieres, ale ta młodsza – Marcelina.

– Cześć. O, widzę, że gracie w Monopoly. Mogę się przyłączyć? – zapytała.

– Niedługo kończymy – mruknął Igor.

– Usiądź na moim miejscu i graj za mnie – zaproponowała Diana, podobnie jak syn niezbyt zadowolona z odwiedzin dziewczyny.

Od śmierci Pawła Marcelina rzadko do nich przychodziła. Nie lubiła atmosfery towarzyszącej żałobie. Wcześniej też nie wpadała zbyt często, bo dzieliła ich dość duża różnica wieku. Oprócz tego Paweł nie przepadał za dziewczyną, uważając ją za głupią i próżną. Ale chyba jego brat inaczej ją postrzegał, bo się do niej miło uśmiechnął.

– Marcelina zagra za mnie, a ja będę obserwował Karinę i się uczył, jak się wygrywa – powiedział stanowczo. – Dianka, nie pozwalamy ci opuszczać pola bitwy, prawda, dzieciaki? Wreszcie nam się udało zaciągnąć cię do gry, dlatego nie wolno ci teraz rejterować. Musisz poznać smak klęski, bo zaraz pokona cię twoja córka. Karinko, pokaż mamie, jak się zostaje miliarderem.

Diana rzuciła kostką, mile polectana, że Piotr domaga się jej towarzystwa przy stole.

– Może zrobię herbatę lub kawę? – zapytał.

– Ja chcę gorącą czekoladę – zażyczyła sobie Karina.

– No to zrób wszystkim – powiedziała Diana. – Jak szaleć, to szaleć. Dziś nie boimy się kalorii.

– Czy czekolada jest tam gdzie zwykle, w lewej górnej szafce? – zapytał.

Diana podniosła głowę znad planszy i zdziwiona spojrzała na szwagra.

– Skąd wiesz, gdzie trzymam czekoladę? – zapytała.

– Przyuważyłem, gdy ją kiedyś robiłaś Karince – odparł.

Zmarszczyła brwi. Była przekonana, że nie robiła czekolady od miesiąca, bo ograniczała podawanie dzieciom słodkich napojów. Widząc jej minę, dodał:

– Nie wiem, czy to była czekolada, ale widziałem, gdzie trzymasz herbatę i kawę, bo codziennie mi je serwujesz. Chyba miejsce czekolady i kakao powinno być w tej samej szafce?

– Owszem, powinno. I tam jest – odparła.

– Marcelino, napij się z nami czekolady? – zapytał Piotr.

– Tak, z przyjemnością. – Dziewczyna przesłała mu promienny uśmiech.

Od chwili, gdy pozbyła się aparatu korekcyjnego, który nosiła przez dwa lata, cały czas szczerzyła się od ucha do ucha. Rzeczywiście zęby miała śliczne. Diana od razu pomyślała o swoich: powinna iść na piaskowanie.

Wszystko wskazywało na to, że Marcelina zagięła parol na Piotra. Nie opuszczała Żurady, już jej nie ciągnęło jak przedtem do Krakowa, przestała nawet marudzić ojcu o kupnie mieszkania. Opałała się w ogrodzie, malowała oczy i paznokcie, kupowała nowe sukienki i bluzki, by paradować w nich przed Piotrem. Codziennie zakładała inne ciuszki; coraz krótsze spódniczki, coraz bardziej obcisłe bluzki i coraz wyższe szpilki. Dianę śmieszyło, gdy przychodziła do nich do ogrodu w piętnastocentymetrowych obcasach, robiąc dziury w murawie – a przychodziła prawie codziennie. Diana miała ochotę umieścić na płocie żółtą tablicę ostrzegawczą: „Wstęp w szpilkach do ogrodu surowo wzbroniony. Kretom grozi bezrobocie”. Strojenie się Marceliny śmieszyło Dianę, ale i denerwowało. Nie chcąc uchodzić za rozmemłaną kurę domową, również musiała przywiązywać większą wagę do swojego wyglądu. Żadna kobieta nie chce wypaść gorzej w porównaniu z drugą, tym bardziej gdy wiek i ciążę powodują korozję w wyglądzie. Marcelina, młodsza o dziewięć lat, bez śladu cellulitu i ze skórą jak pupa niemowlęcia, stała się dla Diany pewnym wyzwaniem – konkurencją nie tyle o serce faceta, ile raczej o jego uwagę. Chociaż na razie nie szukała kandydata



ani do łóżka, ani do ołtarza, poczuła pewną niewytłumaczalną dla siebie ochotę na rywalizację.

Sama nie mogła zrozumieć, dlaczego nagle zaczęła zaprzątać sobie głowę tym – jak dotąd – całkiem obcym człowiekiem. Co dziwne, wcześniej miała w nosie opinie nieznanego szwagra i nic a nic ją nie obchodziło, co o niej myślał. Teraz, gdy na horyzoncie pojawiła się piękna Marcelina, odezwał się w niej duch sportowca. Chciała z nią wygrać dla samej satysfakcji wygrania, a nie dla nagrody w postaci faceta w łóżku. Zaprażyła utrzyć nosa rozwydrzonej i zarozumiałej pannicy. To pragnienie stawało się dla niej coraz ważniejsze, bo wiedziała, że w tym pojedynku raczej ma małe szanse na zwycięstwo. Marcelina była od niej dużo młodsza, ładniejsza i bez obciążeń w postaci dzieci. Hmm, ale ten rodzinny balast był również głównym atutem Diany, bo to dzieci przyciągały Piotra do jej domu.

Stała przed szafą i zastanawiała się, co na siebie włożyć. Wzięła do ręki bluzkę o ciekawym kroju i podeszła do okna, żeby sprawdzić, czy nie ma jakiejś plamki, wyciągniętej nitki albo innej nefajnej niespodzianki, gdy zauważyła zbliżających się do jej domu Piotra z Marceliną. Nagle otrzeźwiała. Co ona wyprawia, do cholery?! Przecież to żałosne! Stroi się dla faceta, który jest bratem jej niedawno zmarłego męża! Jeszcze rok nie minął od jego śmierci, a ona już zachowuje się jak kotka w rui!

Ze złością wrzuciła bluzkę do szafy. Nie będzie się przebierać dla tego fagasa – postanowiła. I ubrana w „domowe barchany” – tak zawsze nazywała swój domowy strój – zeszła, by otworzyć drzwi.

## Rozdział 18

Piotr szedł w stronę domu Diany, trzymając w dłoni kosz wiklinowy. Miał nadzieję, że nie natknie się znowu na Marcelinę. Denerwowała go jej nachalność. Były też pewne tego plusy, bo dzięki niej Diana dostrzegła w nim faceta. Wcześniej jej nie interesował. Piotr dotychczas nie miał problemu w nawiązaniu bliższej zażyłości z kobietami. Wiedział, że on i jego brat podobali się płci przeciwnej. Byli przystojni, błyskotliwi i mieli to coś, co wzbudzało zainteresowanie kobiet – zresztą nie tylko ich, zdarzało się, że kilkakrotnie podrywali ich również geje. Teraz jednak Piotra interesowała tylko jedna kobieta. Diana. Już się poważnie zaczął obawiać, że nic nie wyjdzie z jego planów, a tu nagle zmiana frontu. Ku swojej radości zauważył u niej symptomy świadczące o pewnym zaangażowaniu. Dostrzegł jej umalowane oczy, hybrydę na paznokciach oraz kuse bluzeczki i obcisłe spodnie, których zadaniem było wyostrzyć męską wyobraźnię. Takie sygnały ze strony kobiety są jednoznaczne, a Piotr umiał bezbłędnie interpretować ich znaczenie. Zaobserwował, że w ich wzajemnych relacjach nastąpiła pewna zmiana. Nastawienie Diany do niego ewoluowało powoli i stopniowo. Najpierw przestało ją drażnić jego zachowanie, minęła niechęć i pojawiła się nić sympatii. Zdawał sobie sprawę, że w dużej mierze przyczyniły się do tego dzieciaki, które polubiły nieznanego stryjka. Piotr, znawca natury kobiecej, wiedział, że do serca kobiety matki najłatwiej trafić, zdobywając serca jej dzieci. Jeśli latorośl polubi zalotnika matki, to matka również go polubi. Miał też świadomość, że w sprawach męsko-damskich dobrym wabikiem i afrodyzjakiem jest zazdrość. Cieszył się więc, że Marcelina wzięła go na cel.

Chwała ci za to, Marcelino – pomyślał, uśmiechając się w duchu do siebie. – Ale będę musiał szybko ukrócić twoje za-

pędy, bo zaczyna to już drażnić Dianę. Wczoraj zachowywała się inaczej niż przez kilka ostatnich dni.

Piotr doszedł na miejsce, nacisnął dzwonek przy furtce i po chwili znalazł się przed drzwiami domu. Diana wpuściła go do środka, obdarzając zaledwie letnim uśmiechem.

– Zjesz z nami zupę? Na obiad zrobiłam racuchy z jabłkami. Nie wiem, czy lubisz takie potrawy.

– Jestem wszystkożerny. Jeśli znajdzie się dla mnie porcja, zjem z wielkim apetytem, bo racuchów nie jadłem całe wieki.

– To nie są prawdziwe racuchy robione na drożdżach, tylko na jogurcie. Nazywam je tak z przyzwyczajenia.

– Mama też takie robiła i też nazywała je racuchami.

– Co masz w tym koszu? – zapytała, marszcząc brwi. – On się rusza.

W tym momencie zbiegli z piętra Karina i Igor.

– Cześć, wujku – zawołali. – Co nam dziś przyniosłeś? – zapytała Karinka.

– Karina, brzydko upominać się o prezenty – burknęła jej mama.

– Dzisiejszy prezent na pewno wam się spodoba – powiedział Piotr i otworzył koszyk.

W środku znajdował się malutki piesek, który właśnie się obudził i wydał pisk symulujący szczekanie.

– Piesek! – Zawołała radośnie dziewczynka. – Wujku, jesteś przekochany! Kocham cię!

– Wujku, ja też! Dziękujemy! – dołączył do siostry Igor. – Jak się wabi?

– Jeszcze nie ma imienia, czeka, aż je wymyślicie. To psia dziewczynka.

Piotr, zaabsorbowany radością dzieci, nie zauważył miny Diany.

– Piotr, czy mógłbyś pozwolić ze mną na chwilę? – powiedziała lodowatym głosem.

Mężczyzna, zdziwiony jej chłodem, poszedł za nią do gabinetu Pawła, bo na parterze oprócz łazienki tylko tam były drzwi. Gdy wszedł za nią do pokoju, przytknęła je, żeby dzieci nie słyszały.

– Do jasnej cholery, kto ci pozwolił kupić psa?! – warknęła gniewnie.

– Myślałem, że to jest już ustalone? Przecież Igor miał dostać psa na komunię?

– A jak myślisz, dlaczego tak się nie stało? Karinka jest uczulona na sierść psa.

– Wiem. Dlatego zamówiłem szczeniaka sznaucera miniaturową. On ma włosy, nie sierść. To bardzo mądre pieski.

Diana patrzyła na mężczyznę w milczeniu. Ściągnęła brwi.

– Skąd to wiesz? – zapytała podejrzliwie.

– Paweł mi mówił. Wspominał też, jak bardzo dzieci chciały pieska. Jak go błagały, żeby im kupił. Chciałem zrobić im przyjemność i spełnić jego obietnicę.

Diana wciąż obserwowała Piotra.

– Dużo wiesz o naszym życiu – stwierdziła w końcu. – Bardzo dużo.

– Paweł był moim bratem. Mówiliśmy sobie prawie o wszystkim. – Wytrzymał jej spojrzenie. – Był bliźniakiem jednojajowym. Był czas, że tworzyliśmy jednego człowieka w dwóch ciałach. Potem nas rozdzielono. Czy to takie dziwne, że zwierzałyśmy się sobie?

Diana jeszcze chwilę patrzyła na twarz szwagra.

– Pamiętaj, że Pawła już nie ma. Teraz ja jestem jedynym rodzicem moich dzieci. To ja decyduję, co dla nich jest dobre – powiedziała i wyszła z pokoju.

Tego dnia atmosfera w domu młodych Cisowskich była niezbyt przyjemna. Diana chłodno odebrała pochwały Piotra na temat racuchów i zupy jarzynowej, nie chciała zagrać w chińczyka ani w Monopoly, a kiedy jakiś czas później nadeszła Marcelina, zostawiła ich na tarasie i zaszyła się w swojej dziupli na piętrze.

Godzinę później usłyszała pukanie do drzwi. Po chwili ukazał się w nich Piotr. Nie spodobało jej się, że tu przyszedł. To było jej małe sanktuarium, nawet dzieci rzadko tutaj zaglądały, a pani Wanda nigdy nie była. Gwałtownie wstała od biurka.

– Domyśliłem się, że tu jesteś – powiedział. – Paweł narzekał, że ciągle przesiadujesz w swojej norce.

Rzeczywiście tak nazywał tę izdebkę.

– Słucham, czego ode mnie potrzebujesz?

– Niczego oprócz przyjęcia moich przeprosin. Rzeczywiście nie powinienem bez porozumienia z tobą kupować im psa. Przepraszam. Naprawdę przepraszam. Zrozum mnie, chciałbym się wkupić w ich łaski. Bardzo mi zależy, żeby mnie polubili. Przez dziesięć lat nie było mnie w ich życiu, dlatego teraz staram się to nadrobić.

– Przesadzasz. Karina ma zaledwie cztery lata, a Igor miał ojca. Stryj nie jest konieczny do życia kilkuletniemu chłopcu – wybrzmiało to trochę niegrzecznie, ale na to zasłużył.

– Dobrze wiesz, że teraz jest inaczej. Dużo się zmieniło w waszym życiu. W moim również.

– Czego od nas oczekujesz?

– Chciałbym, żebyście przyjęli mnie do rodziny – powiedział cicho.

– To załóż własną. Marcelina tylko na to czeka.

– Ja mam już rodzinę. Chcę, żeby mnie przyjęła. – Zaraz pożałował swoich słów, bo zabrzmiały niewłaściwie.

Diana patrzyła na niego i intensywnie o czymś myślała.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – W jej głosie wyczuwało się napięcie.

Nie od razu odpowiedział. Sprawiał wrażenie, że zastanawia się nad doborem słów albo... nad szczerością. Odkasznął w pięść.

– Ani z Marceliną, ani prawdopodobnie z żadną kobietą nie mógłbym stworzyć związku, w którym byłbym szczęśliwy. Jest tylko jedna osoba, z którą chciałbym być.

Nie wiedziała dlaczego, ale serce zabiło jej głośno.

– Co masz na myśli? – zapytała cicho.

– Przecież wiesz – odparł szeptem.

Odchrząknęła, nerwowym ruchem lewej ręki zgarnęła z czoła grzywkę, a prawą odrzuciła włosy na plecy.

– Nie wiem, bo to, co mi pierwsze przychodzi do głowy, jest tak absurdalne, że odrzucam to od razu.

– Dlaczego absurdalne? Czy wiesz, skąd się wzięło wielożęństwo w krajach muzułmańskich? Jeśli na wojnie ginął wojownik, jego brat miał obowiązek poślubić jego żonę i zaopiekować się jego dziećmi, mimo że miał już swoją rodzinę. Mój brat bliźniak nie żyje...

– Nie rozśmieszaj mnie – prychnęła głośno. – Nikt nie musi się opiekować mną ani moimi dziećmi. Dziękuję za troskę i poświęcenie, ale nie skorzystam z twojej wspaniałomyślnej propozycji. – Zaśmiała się ironicznie. – To chore, co mówisz.

Pomyśl o swoim bracie, z którym podobno byłeś blisko. Co on by pomyślał, gdyby wiedział, że zamierzasz rznąć jego żonę. – Specjalnie użyła wulgaryzmu, żeby otrząsnąć się z myśli, które i ją czasami nawiedzały. Czy konkurując z Marceliną, nie brała pod uwagę takiej możliwości?

Piotr milczał, patrząc jej w oczy z intensywną natarczywością, potem westchnął.

– Paweł chyba by wołał, żebym to był ja, a nie inny facet. Hmm, mnie nie chodzi o zwykłe rżnięcie, jak to pięknie ujęłaś, tylko o coś więcej. Rznąć to mogłem inne kobiety, ale nie Dianę Cisowską.

Stali naprzeciw siebie. Blisko, bardzo blisko. Nieoczekiwanie Piotr objął Dianę i ją pocałował. To było tak niespodziewane, że nie zdążyła zaprotestować. Stała nieruchomo, a on ją całował. Ku swojemu zaskoczeniu po chwili również oddała mu pocałunek. Całowali się namiętnie, gwałtownie, nie zważając, że na dole na tarasie są dzieci i Marcelina. Ich oddechy stawały się coraz krótsze, spazmatyczne. Poczula napływającą do jej wnętrza wilgotność. Serce przyspieszyło rytm. Dopiero odgłos szybkich kroków na schodach opamiętał Dianę. Oderwała się od ust Piotra i nerwowo poprawiła włosy. Po chwili do pokoju wpadła Karinka.

– Wujku, dlaczego nie jesteś z nami? Chodź na dół.

– Przepraszam twoją mamę, żeby się na mnie nie gniewała za to, że przyniosłem wam pieska – tłumaczył, starając się uspokoić oddech. – Już idę.

Schodząc na parter, rzucił Dianie wiele mówiące spojrzenie.

– Przyjdź do nas, proszę – powiedział. – Czekamy na ciebie.

– Dobrze, zaraz zejść, tylko zamknę komputer – odparła niepewnie.

Dołączyła do nich jakiś czas później. Trochę zakłopotana niedawnym epizodem, nie patrzyła w stronę Piotra, rozmawiała z dziećmi i Marceliną. Kiedy na moment zostali sami, poczuła skrępowanie. Wstała z krzesła, żeby pod pretekstem przygotowania kawy opuścić taras, ale mężczyzna złapał przegub jej dłoni.

– Czy mogłabyś wyrwać się dziś wieczorem z domu? Pojechalibyśmy gdzieś na kolację – wyszeptał.

– Przecież już niebawem będzie wieczór. Kolację podam tutaj – zauważyła, nie patrząc mu w oczy.

– Kolacja to pretekst. Chciałbym pobyć z tobą na osobności, a tutaj nie jesteśmy sami.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Nalegam.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo zadzwonił dzwonek.

– To chyba Marcelina wraca z ciastem pani Wandzi – rzuciła, podrywając się z krzesła. Jakiś czas wcześniej Kieresowa zadzwoniła po wnuczkę, żeby podać im świeżo upieczoną szarlotkę.

Ale nie była to Marcelina, tylko Darek Drewniak. Dianie nie wypadało odprawić go z kwitkiem, dlatego wpuściła go do środka. Wszedł do przedpokoju, niosąc termos z lodami.

– Kupiłem u Ściąkowskiej. Wybrałem takie smaki, jakie lubisz. – Na widok Piotra wzdrygnął się i o mało co nie przetarł oczu ze zdziwienia. Nie znał Pawła, ale widział jego zwłoki.

– Darku, to brat bliźniak mojego męża. Piotr, poznaj komisarza Drewniaka. Komisarz prowadził śledztwo w sprawie śmierci Pawła.

Mężczyźni z niechęcią podali sobie ręce, mrużąc pod nosem swoje nazwiska. Diana zaprosiła ich na taras, a sama zniknęła po salaterki i łyżeczki. Piotr i Darek prowadzili



zdawkową rozmowę o niczym. W tonach ich głosów wyczuwało się wzajemną wrogość. Diana starała się łagodzić atmosferę, zabawiając ich anegdotkami z życia dzieci, ale na niewiele to pomogło. Odetchnęła z ulgą, gdy pojawiła się Marcelina z ciastem, a Karinka i Igor przyszli z koszykami papierówek świeżo zerwanych z drzewa.

– Kiedy wrócił pan do Polski? – zapytał Drewniak Piotra.

– Na początku czerwca.

– A wcześniej kiedy był pan ostatnio w kraju?

– Jedenaście lat temu.

– To nie było pana na pogrzebie brata?

– Nie. Hmm, Australia leży kawałek drogi od Olkusza – mruknął Piotr.

– Nie tęsknił pan za Polską, za domem? Ja bym nie mógł zostawić kraju na tak długo. Wystarczy, że wyjadę na dwa tygodnie na wakacje, a już mnie ciągnie do Olkusza i mowy polskiej.

– Ja też tęskniłem, dlatego tu przyjechałem.

– Kiedy pan wraca do Australii?

– Nie wracam.

Odpowiedź chyba nie spodobała się Drewniakowi, sądząc po jego skwaszonej minie.

– Dziwne, że nie odwiedził pan ojca i brata przez tyle lat. A mówią, że bliźniacy są bardzo ze sobą związani emocjonalnie.

– Owszem, są. Rozmawialiśmy ze sobą na Skypie prawie codziennie – odparł chłodno.

– To przykro, że nie mógł pan być na pogrzebie brata.

– Przykro. Cóż, takie życie.

Diana zawsze znajdowała pretekst, by nie spotkać się z Piotrem sam na sam. Tamten pocałunek zasiał w jej duszy wiele niesprecyzowanych emocji. Wyrzuty sumienia, bo całowała się z nieodpowiednim mężczyzną, niepokój, bo ten mężczyzna jej się podobał i coraz częściej o nim myślała, i co najgorsze, miała ogromną ochotę to powtórzyć. Na wspomnienie jego ust i silnych ramion czuła napływające podniecenie. Starła się szybko przepędzić wspomnienia oraz ekscytację, którą wywoływały, ale nie było to takie łatwe, bo Piotr dalej przychodził do ich domu. Na szczęście zawsze towarzyszyły im dzieci. I Marcelina.

Dianie przestała już przeszkadzać natrętna obecność młodej sąsiadki, natomiast Piotr był tym coraz bardziej zniecierpliwiony i coraz częściej to okazywał.

Pewnego dnia siedzieli i grali z dziećmi w nową, kupioną przez Piotra grę planszową, gdy Marcelina, rzucając kostką, w ferworze walki o punkty nieoczekiwanie zawołała:

– Zobacz, Pawełku, wyrzuciłam następną szóstkę!

Diana zamarła. Piotr w pierwszej chwili również, tylko Marcelina nie zdawała sobie sprawy z tego, co powiedziała. Mężczyzna szybko oprzytomniał.

– Marcelina, pomylili ci się Cisowscy. Nie jestem Pawłem, tym bardziej nie Pawełkiem – rzucił lodowato.

Dziewczyna zamrugła oczami.

– Co? Nazwałam cię Pawłem? Przepraszam. Czasami wydaje mi się, że naprawdę nim jesteś, bo tak bardzo go przypominasz. – Uśmiechnęła się rozbijającąco.

Diana poczuła, jak przez plecy przeleciały ją dreszcze trwogi. Ostatnio coraz częściej nachodziła ją niepokojąca myśl, że to Paweł siedzi z nimi przy stole, a nie Piotr.

## Rozdział 19

Tymczasem z wakacji wróciła żona Henryka. Przyspieszyła swój powrót do Polski ze względu na brak towarzystwa, bo koleżanka, z którą wybrała się do Grecji, nie mogła przedłużyć pobytu. Patrycja nie czuła się komfortowo, spędzając czas na urlopie samotnie. Pewnego dnia nieoczekiwanie pojawiła się w Żuradzie. Jej widok nie ucieszył nikogo z rodziny, a najmniej męża, który nawet nie próbował tego ukrywać.

– Nie rozumiem, dlaczego przyjechałaś tak nagle, jakby się paliło. Mogłaś jeszcze tam być ze dwa tygodnie. Miałaś okazję odpocząć – mruknął. – My z Piotrkim się rehabilitujemy.

– Przecież nie będę wam w tym przeszkadzać. – Wzruszyła ramionami. – Zaopiekuję się twoim synem. Rekonwalescent potrzebuje troski. Będę robić mu śniadania i obiady.

– Sama powiedziałaś, że Piotr potrzebuje troski. Swoimi obiadami przyczyniłabyś się jedynie do rozstroju jego żołądka. Wystarczy, że ma słabowitą nogę i rękę.

– Przestałem już być rekonwalescentem – burknął Piotr. – Śniadania sam robię, a obiadami częstuje mnie Diana.

– Piotрку, wciąż nie mogę przyzwycząić się do twojego podobieństwa do Pawła – powiedziała Patrycja. – Jesteście jak dwie krople wody. Gdybym nie widziała go w kostnicy, dałabym głowę, że rozmawiam z Pawłem. Wszystko macie takie same.

– Nie wszystko – odburknął Piotr. – Ale nie będę ci udowadniać, bo się wstydzę.

Zaśmiała się, jakby to był przedni żart.

– Mówię o twarzy, głosie i zachowaniu. Nawet bliznę na kolanie macie taką samą.

– Teraz mi przybyło trochę więcej blizn.

Piotr od pierwszego spotkania poczuł do kobiety niechęć – niczym nieuzasadnioną, bo Patrycja starała się być bardzo miła. Cały czas mu nadskakiwała, uśmiechała się, a nawet przywiozła dla niego prezent: ouzo. Podziękował jej za podarunek, chociaż nie lubił smaku anyżku, ale nie zmieniło to jego nastawienia do macochy. Wydawała mu się sztuczna. W stu procentach sztuczna. W tym, jak wyglądała, jak się wyrażała i zachowywała. Dziwił się ojcu, że się ożenił z tą wypindrzoną dziunią. Henryk również sam się sobie dziwił.

Zaraz po przyjeździe Patrycji z wczasów Piotr skontaktował się z Wandą Kieres, by ponownie wrócić do tematu wynajmu jej domu. Nie chciał mieszkać z żoną ojca pod jednym dachem, chociaż ojciec gorąco go do tego namawiał. Ciotka przebywała w sanatorium w Ciechocinku, dlatego warunki najmu omawiali telefonicznie.

Henrykowi nie spodobał się pomysł wyprowadzki syna.

– Przecież nasz dom jest duży. Możesz dalej zajmować mój gabinet albo przeprowadzić się do waszego dawnego pokoju – mówił. – Bez sensu łądować pieniądze w cudze mury.

– Zrobię tam tylko mały remont. To tylko na jakiś czas, potem pomyślę o czymś własnym.

– Rób, jak chcesz, ale wiedz, że zawsze możesz tu wrócić. To twój dom, Piotrek.

– Ja też, Piotрку, nie mogę zrozumieć, dlaczego chcesz zamieszkać w tej norze Wandy. Przecież dom jest stary, to nie ten standard, do jakiego jesteście przyzwyczajony – powiedziała Patrycja.

– Nie mam dużych wymagań. Nie chcę wam przeszkadzać, małżeństwo powinno mieszkać samo.

– Ależ to zabrzmiało protekcyjnie! – Patrycja lubiła używać słów, które nie zawsze pasowały do sytuacji. – Przecież jesteś synem mojego męża. Jego rodzina jest moją rodziną.

Miał ochotę na uszczypliwość, ale się powstrzymał ze względu na ojca. Nie chciał zagęszczać atmosfery panującej między małżonkami. Wiedział, że ich związek przechodzi poważny kryzys. Chociaż ojciec mu się nie zwierzał, już przed powrotem Patrycji wyczuł, że tata miał dość młodej żony i zastanawiał się, jak się wyplątać z tego małżeństwa. Piotr nie zamierzał dolewać oliwy do ognia, ojciec sam powinien podjąć decyzję, co zrobić ze swoim życiem. Inna sprawa, że prawdopodobnie ojciec i tak by go nie posłuchał. Henryk Cisowski nie miał w zwyczaju słuchać cudzych „dobrych rad”, tym bardziej syna.

W małżeństwie Henryka nie działo się dobrze, natomiast jego relacje z synem były coraz lepsze. Piotr nigdy by nie przypuszczał, że ojciec tak zareaguje na jego powrót. Przyjeżdżając do Polski, obawiał się jego gniewu, dlatego nastawił się na chłodne przyjęcie. Tymczasem Henryk nie tylko bardzo ciepło przyjął syna marnotrawnego, lecz także z dnia na dzień ich stosunki stawały się coraz bardziej serdeczne. Nie spodziewała się, że ojciec potrafi być tak troskliwym i opiekuńczym rodzicem. Nawet kiedy jego synowie byli dziećmi, rzadko okazywał im czułość. Nie interesował się ich sprawami, co więcej – nie próbował ich odróżnić. Byli dla niego „chłopakami”, a nie Piotrkim czy Pawłem, dlatego zawsze zwracał się do nich w liczbie mnogiej. Nie poświęcał im za wiele czasu. Oczywiście dbał, żeby niczego im nie brakowało. Kupował im najmodniejsze zabawki i gadżety, na ich biurkach zawsze stał najnowszy model komputera, a potem laptopa – niestety tylko do tego ograniczała się jego rola jako ojca. Nie puszczał z nimi latawców, nie bawił się z synami klockami lego ani nie grał z nimi w piłkę i nie zabierał na narty. Nawet jazdy na rowerze nauczyła ich mama. Gdy byli mali, Henryk nigdy nie wziął ich na kolana ani nie uściskał. Tylko podczas wigilii w czasie składania życzeń obejmował ich i całował w policzek.

To mama była od czułości, od opatrywania obitych kolan i wycierania łez. To do niej przychodzili z kłopotami, to ona

rozwiązywała ich problemy. Niewysoka, drobna, zawsze uśmiechnięta, potrafiła uporać się ze wszystkimi trudnościami i rozwiązać każde zmartwienie. Była opoką ich rodziny. To ona trzymała dom w kupie. I była jedyną osobą, której nie można było oszukać i która umiała wyczuć ich szachrajstwa. Tylko w jednym ją oszukali...

Na wspomnienie matki Piotr poczuł, jak oczy robią mu się wilgotne. Szybko odpędził nostalgię i tęsknotę za mamą i zabrał się za ściąganie tapety. Kilka dni wcześniej zaopatrzył się w markecie budowlanym w materiały do remontu. W tym celu pojechał do Krakowa, a nie do Katowic, jak robiło wielu mieszkańców Olkusza. Kupił farby, tapety i emalie. Pędzle, wałki i folie. Na pęknięcia i ścienne ubytki nałożył szpachlę gips i zostawił do wyschnięcia. W dużym pokoju ściany wymagały gładzi.

Prac remontowych nauczył się w Australii. Zanim trafił na farmę Williamsa, miał się różnych zajęć, bo dyplom magistra inżyniera AGH nie na wiele mu się zdał. Nauczył się malować, tapetować, a nawet flizować. Opanował też prace monterskie i elektrykę. Przez wiele lat wykończeniówka na budowie była jego głównym zajęciem. Nabyte umiejętności przydały mu się również na farmie, bo Bill Williams nie kwapił się do zatrudniania dodatkowych rąk do pracy. Z natury był skąpy; na początku pracy u niego Piotr musiał toczyć z nim prawdziwe boje o każdego dolara i centa. Później farmer stał się bardziej szczodry, bo zależało mu na zatrzymaniu Piotra na farmie. Mimo to i tak Piotr bardzo się zdziwił, gdy przeczytał ostatnią wolę Williamsa.

Umorusany gipsem i farbą umył ręce i wyjął z lodówki kanapkę. Pora na drugie śniadanie. Kończył jeść pierwszą kromkę, gdy spostrzegł nadjeżdżającą czerwoną toyotę yaris Diany. Uśmiechnął się do siebie, a w brzuchu poczuł miłe motylki. Bratowa wyjęła z bagażnika duży wiklinowy kosz i zadzwoniła do drzwi.

– Otwarte. Wejdz – zawołał.

Diana z ciekawością rozglądała się wokół. Dom zbudowany pod koniec lat sześćdziesiątych był parterowy i miał kilka niewielkich pomieszczeń. Pokoje były ciasne, prawie jak te blokowe. Teraz ze zdziwieniem zauważyła wybitą ścianę dzielącą kiedyś kuchnię i pokój.

– Czy pani Wanda wie, że dewastujesz jej dom? Zgodziła się na to? – zapytała zamiast powitania.

– Nie tylko się zgodziła, lecz także zaproponowała, żebym to zrobił. Ciotka chce mieć nowoczesny wystrój. Dała mi wolną rękę.

Kieresowa zaproponowała Piotrowi, że nie będzie płacił czynszu, jeśli zrobi remont i w ten sposób odpracuje swój najem.

– Kiedy wybuduję własny dom, podaruję jej swoją robocizną jako prezent urodzinowy. – Popatrzył jej w oczy i cicho powiedział: – Cieszę się, że cię widzę, Dianka.

– Dawno u nas nie byłeś, dzieci się stęskniły za tobą.

– A ty?

– Ja? Czemuż to miałabym za tobą tęsknić? – prychnęła lekceważąco.

– Szkoda... Myślałem, że też czasami o mnie myślisz. – W jego oczach pojawiły się wesołe chochliki.

– Za nikim nie tęsknię.

– A za Pawłem? – Mówiąc to, nie spuszczał z niej wzroku.

Nie odpowiedziała.

– Przywiozłam ci obiad. Jedz, zanim wystygnie.

Wyjęła z kosza termos z zupą i przelała do miseczki, którą również ze sobą przywiozła wraz ze sztuczkami. Moment później obok miski pojawił się talerz z drugim daniem.

– Dziękuję – powiedział, wiosłując łyżką w zupie. – Pyszna. Jesteś wspaniałą kucharką. Gdzie się nauczyłaś gotować?

– Jak to gdzie? W domu, babcia mnie nauczyła. Gotowanie to nie doktorat z chemii. Wystarczy hasło do Wi-Fi i od razu masz pełną instrukcję, co robić ze składnikami, którymi dysponuje twoja lodówka.

– Niektórzy nie potrafią czytać ze zrozumieniem prostego tekstu. Patrycja nie umie przyrządzić nawet zupki chińskiej.

– Ale za to potrafi zrobić makijaż i wymalować paznokcie u nóg, prowadząc samochód.

– Naprawdę? Taki dobry z niej kierowca?

– Zapytaj jej mechanika, ile razy klepał maskę samochodu, którym jeździ. To cud, że jeszcze nikogo nie zabiła na drodze.

– Naprawdę maluje paznokcie podczas jazdy?

– Hmm, z paznokciami to przesadziłam, ale wiem, że maluje oczy, używając lusterka samochodowego.

– Przecież w Żuradzie nie ma korków ani świateł, no to jak się może malować? Z makijażem chyba też przesadziłaś.

Diana wzruszyła ramionami,

– Chciałam ją jakoś obsmarować i nic innego nie wpadło mi do głowy. Słyszałam to od Pawła. On jej nie cierpiał. A ty co myślisz o swojej macosze?

– Stara się być miła. – Piotr wzruszył ramionami. – Nie znam jej, dlatego nie mogę jeszcze o niej nic powiedzieć. Ani nic złego, ani nic dobrego.

Nie była to prawda, bo Piotr już zdążył wyrobić sobie zdanie na temat macochy, ale wolał nie dzielić się z innymi swoją opinią.

– Uważaj, nie trzep włosami nad talerzem, bo nasypiesz sobie cementu do sałatki – mruknęła.



- To nie cement, tylko gips. Pyszny obiad. Dziękuję.
- Podziękuj swojemu ojcu. Prosił mnie, żebym ci przywiozła obiad, bo musisz teraz się dobrze odżywiać, a na wikcie Patrycji można wpaść w bulimię.
- To dlaczego ojciec ma nadwagę? – Uśmiechnął się do Diany.
- Bo żywi się w restauracjach. Wczoraj widziałam go w Batorówce, jak pałaszował schabowego z ziemniakami i kapustą. Towarzyszyła mu jakaś kobieta.
- Drobna blondynka w średnim wieku w okularach?
- Tak. Był tak w nią zapatrzony, że mnie nie zauważył. Znasz tę kobietę?
- To prawdopodobnie pani Iwona. Nasza masażystka. Podoba się ojcu.
- Dziwne, bo nie jest w jego typie. W niczym nie przypomina kobiety, z którą się ożenił.
- Możliwe, że właśnie dlatego ojcu podoba się pani Iwona.
- Zjadłeś? No to nie przeszkadzam. Pracuj dalej.
- Należy mi się poobiednia sjesta. Nie idź jeszcze – poprosił.
- Nie mogę, zostawiłam dzieci same w domu. – To była nieprawda, bo byli u pana Leszka i razem z nim zbierali jabłka.
- Dlaczego się mnie boisz?
- Cooo? Nikogo się nie boję.
- To umów się ze mną na kolację.
- Zapominasz, że mam małe dzieci, które sama wychowuję. Nie mogę umawiać się z facetami, tym bardziej z bratem swojego męża. Jestem wdową, a Olkusz to mała miejscina, nie wspomnę o Żuradzie. Możesz przyjść do nas. Dzieci się ucieszą. Chyba że już ci się znudziła rola dobrego wujka.

Zmarszczył brwi.

– Nie odgrywam roli wujka. Jestem nim. Ostatnio nie odwiedzałem was, bo byłem zajęty remontem. Chciałem nadgonić robotę. Muszę wyprowadzić się od ojca.

–Wcale nie musisz.

– Nie muszę, ale chcę. Jutro sobota. Czy mogę wieczorem was odwiedzić?

– To przyjdź na obiad.

– Wolę wieczór.

Piotr nieoczekiwanie ujął dłoń Diany, podniósł do ust i patrząc jej głęboko w oczy, pocałował.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Podziękuj ojcu. – Wzruszyła ramionami. – Polecenia Henryka Cisowskiego opłaca się wykonywać.

Wyrwała mu swoją dłoń i szybko skierowała się ku wyjściu.

– Do wieczora! – zawołał do jej pleców.

Nie odwracając się, podniosła przedramię w geście pożegnania i pomachała palcami.

W domu zrobiło się duszno. Piotr zdjął podkoszulek i rzucił na krzesło. Powrócił do pracy, rozmyślając o Dianie. Myśli przegnał szum nadjeżdżającego samochodu. Mężczyzna się rozmarzył. Może Diana wróciła? Zerknął w okno wychodzące na podjazd. Niestety nie Diana, tylko Marcelina. Z piersi wyrwało mu się westchnienie rozczarowania.

Dziewczyna weszła do środka z perlistym uśmiechem na twarzy i z reklamówką z Biedronki w ręce.

– Przywiozłam ci obiad.

– Nie trzeba było – mruknął.

– Powinieneś się dobrze odżywiać. Muszę dbać o ciebie, bo remontujesz dom, który kiedyś będzie należał do mnie – powiedziała, rozglądając się wokół. – O, wybiłeś ścianę między pokojem i kuchnią. Super. Nareszcie przestrzeń. Przedtem człowiek wręcz się dusił w tych klitkach. Nie wiedziałam, że znasz się na robotach murarskich.

– Cóż, musiałem się nauczyć, żeby mieć co jeść. Największe zapotrzebowanie w Adelajdzie było na budowlańców. – Rzucił okiem na talerz z kotлетem schabowym. – Marcelino, przepraszam, ale nie jestem głodny. – Zawahał się, czy jej powiedzieć, że kwadrans temu zjadł już jeden obiad. Postanowił skłamać, by nie robić jej przykrości. – Przed chwilą napchałem żołądek trzema kanapkami z kotлетem mielonym. – Dziewczyna zrobiła rozczarowaną minę, dlatego dodał: – Musisz mi pomóc i zjeść połowę.

Uśmiech powrócił na twarz Marceliny.

– Gdzie byłaś przez kilka dni? – zagadał, bo nie wiedział, jak poprowadzić z nią rozmowę.

– W Krakowie. Tata kupił mi mieszkanie. Czy mogłabym cię zatrudnić do niewielkiego remontu?

– Hmm, trochę potrwa, zanim uporam się z domem twojej babci.

– Nie spiesz mi się, mogę poczekać. Na dobrego fachowca warto czekać – dodała przymilnie.

– Marcelino, nie dam rady. Wypadek trochę nadwyreżył moje siły. To ciężka praca, lekarz kazał mi się oszczędzać.

– Tu jednak pracujesz.

– Bo nie mam gdzie mieszkać.

– Rozumiem, Patrycja. To może zamieszkas w moim mieszkaniu?

– Nie – uciął zdecydowanie.

– Trudno, mógłbyś mieszkać w Krakowie, a nie w takiej dziurze jak Żurada...

Nagle przerwała, wpatrując się intensywnie w jego klatkę piersiową. Głośno przełknęła ślinę i popatrzyła mu w oczy.

– Ty jesteś Paweł, nie Piotr. Paweł, dlaczego podszywasz się pod swojego brata?

– Nie pleć trzy po trzy – mruknął trochę zaniepokojony.

– Masz bliznę nad prawą brodawką. To ja ci ją zrobiłam. Paweł, dlaczego udajesz swojego brata?

## Rozdział 20

Diana pomachała dzieciom wsiadającym do mercedesa Cisowskiego. Teść wziął ich na wycieczkę do Kielc. Miał tam spotkanie z kontrahentem, a dzieci uwielbiały podróżować samochodem dziadka, tym bardziej gdy po drodze był McDonald. Henryk jak zwykle pojawił się bez uprzedzenia i zarządził, że Igor i Karinka z nim pojedą, nie pytając Diany o zgodę. Nie zaprotestowała. Niech jada, będzie mogła dokończyć mycie okien. Nagle przypomniała sobie o Piotrze, miał ich dziś wieczorem odwiedzić, i poczuła niepokój. Przecież nie będzie dzieci. Może chociaż przyjdzie Marcelina, jak zwykle, gdy pojawia się Piotr. Dzień wcześniej widziała jej samochód pod domem Kieresów, a więc dziewczyna wróciła z Krakowa.

Rano wpadła do niej z krótką wizytą pani Wanda i zdała relację z zakupu mieszkania dla wnuczki. Diana nie widziała się z Kieresową dwa tygodnie, bo kobieta przebywała w sanatorium.

– Dlaczego tylko dwa tygodnie? – dziwiła się Diana. – Przecież turnusy trwają trzy.

– Owszem, trzy, jeśli za kurację płaci ZUS lub NFZ. Ja byłam kuracjuszką komercyjną, bo sanatorium postawił mi Leszek. Chciał wykupić mi cały miesiąc, ale się nie zgodziłam. Co bym tam robiła przez następne dwa tygodnie? I tak się wynudziłam jak mops.

– Pani Wandziu, sanatorium i nuda? Nie było tam jakiegoś sympatycznego kuracjusza? Wszyscy mówią, że sanatorium to kolonie dla dorosłych. Można się nieźle zabawić.

– Nie pleć głupstw, Diana. Ja i mężczyźni? Dobrze się stało, bo wyszła sprawa z tym mieszkaniem dla Marceliny. Jak ona

wyjedzie do Krakowa, nie będzie miał kto zajmować się Leszkiem.

– Pani Wandziu, pan Leszek nie ma dziesięciu lat, umie zadbać o siebie. Zresztą teraz to nawet nowe mieszkanie w Krakowie nie skusi Marceliny, by wyjechała z Żurady.

– Co masz na myśli?

– Piotr. Pani wnuczka zagięła na niego parol.

Kobieta zmarszczyła brwi.

– Skąd wiesz?

– Za każdym razem, gdy Piotr przychodzi do dzieci, ona również się zjawia. W ciągu roku nie było jej u nas tyle razy, ile w ostatnich dwóch tygodniach.

– Nie wiesz, czy spotykają się jeszcze gdzieś, czy tylko u ciebie?

– Skąd mogę wiedzieć? – Spojrzała na twarz starszej kobiety. Po minie poznała, że Kieresowa nie była z tego zadowolona. – Widzę, że nie bardzo się to pani podoba, pani Wandziu.

– Przecież on jest dla niej za stary!

– Młodym dziewczynom często podobają się trochę starsi faceci. Dwanaście lat to wcale nie jest tak dużo. Zdarzają się dużo większe różnice wieku. Gdyby to Henryk Cisowski zaczął się do niej dobierać, to co innego – mruknęła, z satysfakcją obserwując oburzoną twarz Kieresowej.

– Przestań pieprzyć trzy po trzy, dziewczyno! Nawet mi nie mów! Takie żarty są niesmaczne.

– Pani Wandziu, pamięta pani aktora Andrzeja Łapickiego? Jego żona była od niego młodsza o sześćdziesiąt lat. W przypadku mojego teścia różnica wynosiłaby jedynie czterdzieści jeden lat. – Diana się uśmiechnęła. – Ale proszę się nie martwić, Henrykowi zaczynają podobać się emerytki.

Kieresowa nadstawiła uszu.

– Tak? Czy coś nowego wydarzyło się podczas mojej nieobecności?

– Nie wiem, czy się coś wydarzyło, czy dopiero się wydarzy. Widziałam swojego teścia na obiedzie z rehabilitantką.

– Z tą Iwoną? Niemożliwe, przecież ona jest prawie w jego wieku. Dobrze się trzyma, ale chyba dochodzi do sześćdziesiątki.

– Rozmawiała z nią pani? Jaka jest?

– Jak to jaka? Normalna.

– No czy jest ładna, miła, sympatyczna?

– Jest miła, sympatyczna, no i ładna. Jak na sześćdziesięciolatkę. Ale do Patrycji to jej daleko. Wracając do Piotrka, czy uważałaś z jego strony jakieś zainteresowanie Marceliną?

– Nie wiem. – Diana wzruszyła ramionami. Nie zamierzała powtarzać słów Piotra na temat Marceliny, bo nie wiedziała, czy były prawdziwe. – Po facetach wszystkiego można się spodziewać.

Wanda westchnęła i się zamyśliła.

– A co mówi Marcelina o Piotrze? – zapytała Diana.

– Nie wiem, nie pytałam jej. A teraz też nie zapytam, bo jej od wczoraj nie widziałam.

– Przecież wróciła z Krakowa.

– Wróciła, ale chyba musiała znowu tam pojechać, bo nie ma jej samochodu. Taka to jest teraz młodzież, nawet nie powiedziała „do widzenia” – prychnęła kobieta. – Źle ją matka wychowała, w ogóle nie liczy się z innymi.

– Często wyjeżdża bez pożegnania?

– Zdarza się. A teraz ją tam wyjątkowo ciągnie, bo ma własne mieszkanie. Widzisz, nawet Piotrek nie potrafi jej tu

utrzymać.



## Rozdział 21

Piotr przyszedł tuż przed osiemnastą. Ubrany w beżowe chinozy i kremową koszulę, wyglądał świeżo i elegancko. I bardzo przystojnie. Tak jak kiedyś wyglądał jej mąż.

– Cześć, Piotr. Niestety muszę cię rozczarować, bo nie ma dzieciaków. Wejdiesz czy wrócisz do siebie? – Diana udawała obojętność. Wiedziała, że jej słowa zabrzmiały trochę dziwnie, ale miała to w nosie.

– Nie ma ich? Gdzie są, u Kieresów?

– Nie widziałeś się z ojcem? Nic ci nie mówił?

– Nie. Kiedy wróciłem z budowy, jego już nie było. A co miał mi mówić?

– Że jedzie do Kielc. Zabrał tam dzieci. Wrócą późno.

– Aha. – Potarł palcem nos. – Mimo że nie ma dzieciaków, to może jednak mnie wpuścisz?

Diana wzięła z jego rąk butelkę wina oraz ulubione czekoladki Karinki i bez słowa, jedynie gestem dłoni, zaprosiła go do środka.

– Chodźmy na taras. Czego się napijesz?

– Może wina? Albo drinka? Daj mi to samo, na co ty masz ochotę.

– Ja mam ochotę na piwo miodowe.

– To ja też poproszę piwo, tylko nie miodowe. Oczywiście jeśli masz.

Miała – leżało w lodówce od dwóch tygodni.

Diana nie wiedziała, o czym rozmawiać, dlatego przeszła na temat Kieresowej.

– Pani Wanda wróciła z sanatorium. Była tu u mnie przed południem.

– Wiem, u mnie też była, ale wczoraj. To znaczy u siebie. – Uśmiechnął się. – Co mówiła ciekawego?

– Rozmawialiśmy o Marcelinie.

– Taak? I co nowego wniosła ta rozmowa?

– Że przegrałeś z jej nowym mieszkaniem.

– Nie rozumiem. – Mężczyzna zmarszczył brwi.

– Myślałam, że twój urok zatrzyma ją tu, w Żuradzie. Tymczasem bez pożegnania wróciła do Krakowa.

– Nie ma Marceliny? Uff, to super. Nie będzie nas dziś natchodzić. – Spojrzał na Dianę, marszcząc czoło. – Dlaczego rozmawialiście z ciotką w kontekście mnie i Marceliny?

– Tak jakoś samo wyszło. Nie jestem ślepa, widzę, że dziewczyna ma na ciebie chrapkę.

– Ale ja nie mam. Jeszcze ciotka będzie gotowa pomyśleć, że smalę cholewki do jej wnuczki. Mam nadzieję, że wyprowadziłaś ją z błędu?

– Odnoszę wrażenie, że się boisz pani Wandy.

– I masz rację. Boję się, bo wpakowałem w jej dom dużo forsy i pracy. Kieresowie mają bzika na punkcie Marceliny. To ich oczko w głowie. Z obawy o cnotę ukochanej wnuczki ciotka może mi cofnąć najem, a nie podpisałem z nią umowy. – Przechylił kufel. – Lepiej zmieńmy temat. Co u dzieciaków? Nie widziałem ich tak długo. Obawiam się, że ich nie rozpoznam – zażartował.

Wypili piwo, potem drugie. I gadali, gadali. Obawy Diany, że będzie niezręcznie, okazały się bezpodstawne.

– Ależ ze mnie gospodyni! – zawołała, patrząc na zegarek. – Na pewno jesteś głodny. Przygotuję coś na szybko. W planach

miałam grilla, ale nie ma dzieci, więc przełożymy go na inny termin.

– Rzeczywiście trochę zgłodniałem. Pomóc ci?

– Nie trzeba. Zaraz wracam.

Poszła do strefy kuchennej. Otworzyła lodówkę i zaczęła wyjmować z niej potrzebne produkty. W pewnej chwili odwróciła się, żeby nastawić wodę na herbatę i... znieruchomiała. Tuż za nią stał Piotr. Bez słowa ją objął i pocałował. Całował mocno, pożądliwie, namiętnie. Pocałunki i alkohol pokonały jej opory. Pozwoliła się zanieść do swojej norki. Całując się, zrzucali z siebie ubrania, które padały na podłogę przy łóżku niczym jesienne liście. Namiętność pulsowała w nich, rozgrzewała ciała, wypełzając na policzki gorącym szkarłatem. Powieki nabrzmiały, usta zwilżone pocałunkami oderwały się od siebie i zaczęły błędzić po skórze, szukając miejsc ulubionych przez kochanków. Gorące języki pomagały ustom i palcom w pieszczotach.

Dłonie i wargi Diany, znającej dotąd jedynie ciało męża, początkowo trochę nieśmiało wędrowały po torsie innego mężczyzny, ale szybko się oswoiły. Namiętność wyparła skrępowanie i zawstydzenie. Zniknęła rezerwa przed dotykem i wzrokiem innego mężczyzny niż mąż. Pozwalała oczom Piotra odkrywać swoje sekretne miejsca. Przyzwalając rozsunęła uda, odsłaniając swoje tajemnice. Czuła na sobie jego wzrok, który rozgrzał ją jeszcze bardziej niż pocałunki. Powiększone pożądaniem oczy Piotra, wpatrujące się w jej obnażone ciało, pełne zachwytu i zwierzęcej żądzy, wywołały napływ ciepłej wilgoci, która nawodniła sokami jej kobiecość. Zezwoliła, by jego palce i usta penetrowały jej wnętrze. Spod lekko przymkniętych powiek obserwowała nachyloną nad nią twarz mężczyzny, tak dobrze znaną, a zarazem inną. Nie tylko twarz Piotra była twarzą Pawła, jego ciało również było identyczne. Ale na tym kończyło się podobieństwo. Piotr ją kochał, czuła jego miłość. Cały czas ją czuła. W tym, jak na nią

patrzył, jak całował, jak w nią wchodził i jak ją wypełniał, i jak w niej pulsował. Wszystko, co robił, wypełnione było miłością. Będąc żoną Pawła, tylko sporadycznie dostrzegła w nim taką miłość.

Przez następne dni Diana była jak w malignie. Chodziła odurzona jego pocałunkami i pieszczotami, wspomnieniami o rozkoszy albo oczekiwaniem na nią. W południe spotykali się w remontowanym domu, a wieczorem w domu Diany. Bała się, że ktoś nadejdzie – albo Wanda, albo Marcelina, albo jakiś sąsiad. Chociaż dom stał na uboczu, z dala od innych zabudowań, w obawie, że ktoś rozpozna jej samochód, przychodziła pieszo. Przeważnie przynosiła ugotowany obiad, ale zawsze był zjadany dopiero po zaspokojeniu innego głodu. Rzeczywiście za każdym razem kochali się szaleńczo jak spragnieni seksu kochankowie po rocznej rozłące.

W tej namiętnej, zgłodniałej erotycznie kobiecie Diana z trudem mogła rozpoznać siebie. Dotąd uważała się za chłodną kochankę, tymczasem przeistoczyła się w prawdziwą nimfomankę.

– Muszę już iść, dzieci są u Wandy.

– Wiesz, o czym marzę? Żebyśmy mogli spędzić ze sobą całą noc. Chciałbym zasnąć przy tobie, a potem przy tobie się obudzić – powiedział, głaszcząc jej plecy. – Dlaczego się ukrywamy?

– Bo mój mąż jeszcze nie ostygł w grobie, a ja już puszczam się z jego bratem bliźniakiem. Chyba znasz tę moją śpiewkę na pamięć.

– Mam w nosie, co ludzie powiedzą.

– A co pomyśli twój brat, patrząc na nas z góry? – zapytała cicho.

– On nas nie widzi, to po pierwsze. A po drugie, na pewno by mnie zrozumiał.

– Ciebie? Dlaczego nie nas? – Zmarszczyła czoło. – Więc sam masz wątpliwości, czy moje zachowanie nie jest naganne.

– Ależ skąd! Po prostu się przejęczyłem. – Ręka dalej głaskała ją po plecach. – Czy zawsze byłaś taka namiętna?

Spojrzała na niego.

– Co ma znaczyć twoje pytanie? Jaka byłam w łóżku z Pawłem? Czy który z was jest lepszy w alkowie: ty czy Paweł? – Na chwilę znieruchomiała. – Czy rozmawialiście z Pawłem o naszych sprawach łóżkowych?

Chwila milczenia.

– Neee – powiedział przeciągle. Wiedziała, że kłamał, ale wolała nie ciągnąć tego tematu.

– Przepraszam, zepsułem nastrój.

– Chyba się odezwała w tobie dawna rywalizacja między wami.

– Nigdy ze sobą nie rywalizowaliśmy.

– Nie wierzę. Wśród rodzeństwa zawsze występuje rywalizacja.

– Skąd to możesz wiedzieć? Przecież byłaś jedynaczką.

– Owszem, ale jestem dobrą obserwatorką i dużo czytam na ten temat. Moje dzieci ze sobą konkurują nawet przy tak dużej różnicy wieku.

– Z nami było inaczej.

– Nie wierzę. Czy nie chciałeś byś bardziej lubiany od brata, dostawać lepsze prezenty albo poderwać fajniejszą dziewczynę?

– Bliźniacy jednojajowi inaczej funkcjonują niż zwyczajne rodzeństwo.

– A gdybyś usłyszał ode mnie, że Paweł był od ciebie lepszy w łóżku, że jego bardziej pragnęłam, czy przyjąłbyś to obojętnie?

Milczał przez chwilę.

– Dlatego lepiej nie mów. Nie chcę wiedzieć – wyszeptał, a potem dodał jeszcze ciszej: – Czy czujesz do mnie jedynie pożądanie? Nic więcej?

Nie odpowiedziała. Cóż miała powiedzieć, każda odpowiedź byłaby tą niewłaściwą. Gdyby stwierdziła, że tylko pożądanie, mogłaby sprawić mu przykrość. Gdyby wyznała miłość, byłoby jeszcze gorzej, bo zyskałby przewagę. Szczerość nie popłaca. Już raz popełniła ten błąd i zostało to przeciwko niej wykorzystane. Zresztą sama nie wiedziała, co naprawdę czuła do Piotra. Oprócz wstydu, że sypia ze szwagrem. Gdyby się o tym dowiedzieli Cisowski i pani Wanda, tylko by się utwierdzili w prawdziwości porzekadła, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. W takiej małej miejscowości jak Żurada czy Golkowice trzeba dbać o reputację. W Krakowie, gdzie człowiek jest anonimowy, nie trzeba liczyć się z osądem sąsiadów, ale tutaj, gdzie wszyscy się znają i każde zachowanie jest mocno ocenzone przez mikrospołeczność, nie mogła sobie pozwolić na luksus swobody i wolności erotycznej. Za bardzo jej zależało na dobrej opinii zaprzyjaźnionych osób, takich jak Kierosowie. Wiedziała, że potępiliby jej związek z bratem niedawno pogrzebanego męża. Teraz było jeszcze za wcześnie, za szybko na koniec żałoby, pewnych zasad należy przestrzegać.

Piotr, nie patrząc jej w oczy, zapytał:

– Czy mogę liczyć, że kiedyś stanę się dla ciebie kimś tak ważnym jak Paweł? Czy kiedyś mnie też pokochasz? – Obserwował swoje palce trochę poplamione farbą. – Rozumiem, że

będzie mi trudno mu dorównać, bo wiem, ile dla ciebie znaczył, ale... Czy zawsze będę tylko jego surogatem?

Diana poderwała się z tapczanu.

– Naprawdę muszę lecieć. Przyjdiesz wieczorem?

– Jasne, że przyjdę.

Będąc już w drzwiach, nie odwracając się nawet, powiedziała:

– Nigdy nie byłeś jego surogatem.

Wieczory były równie cudowne jak ich spotkania popołudniowe. Siedzieli w czwórkę przy stole lub przed telewizorem i wspólnie spędzali czas wolny od zajęć. Było tak rodzinnie, tak domowo, tak serdecznie, że te chwile wydawały się Dianie jeszcze lepsze niż randki w łóżku. Czasami dołączał do nich stary Cisowski albo Kieresowie. I co najlepsze, nigdy nie było Marceliny. Kiedyś Diana nawet poruszyła ten temat.

– Pani Wandziu, co słyhać u Marceliny?

– Nie wiem. Nie daje znaku życia.

– Nie martwicie się? Może jej się coś stało?

– A co się mogło stać? Jakiś czas temu przysłała wiadomość, że wyjechała w Bieszczady.

– Nawet nie zadzwoni?

– Nie dzwoni, bo zgubiła komórkę.

– I nie kupi sobie nowej? To nie w jej stylu, przedtem nigdzie się nie ruszyła bez smartfona.

– Hmm, może rzeczywiście powinniśmy coś zrobić – zamyśliła się Kieresowa, marszcząc brwi. – Porozmawiam z Leszkiem.

Dzieci też bardzo lubiły ich wspólne wieczory. Igora już nie ciągnęło do komputera, a Karinka coraz rzadziej przesiadywała w swoim pokoju, przebierając lalki Barbie. Teraz robiła to w salonie. Po zachowaniu dzieciaków widać było, że zarówno syn, jak i córka coraz bardziej się przywiązywali do swojego stryjka. Dziewczynka czasami się zapominała i nazywała go tatą, co wywoływało konsternację u Diany i zadowolenie na twarzy Piotra.

Te piękne dni skończyły się pewnego słonecznego poranka.



## Rozdział 22

Diana siedziała przy stole i upewniała się, czy zaopatrzyła Igora we wszystkie podręczniki potrzebne do szkoły, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi. Poszła otworzyć, będąc przekonaną, że to Wanda. Po co ona dzwoni, przecież wie, że jest otwarte – pomyślała, idąc do wiatrołapu. Ale nie była to Kiersowa, tylko Darek Drewniak.

– Dzień dobry – zabrzmiało to dość oficjalnie, bo się nie uśmiechnął, jak to robił zwykle, i nie miał w rękach żadnego pakuneczku z ciastkami. – Mogę wejść?

– Oczywiście. – Nie wiadomo dlaczego poczuła pewien niepokój. – Zrobić ci kawy albo herbaty?

– Nie, na razie dziękuję. Siadaj, musimy porozmawiać.

– Dobrze, rozmawiamy – bąknęła ze ściśniętym ze strachu sercem.

– Wracamy do sprawy śmierci twojego męża.

– Dlaczego? – Niepokój jeszcze bardziej się powiększył.

– Wyszły na jaw nowe okoliczności. To znaczy przymierzamy się do wznowienia śledztwa. Na razie sprawdzam, czy są do tego podstawy. Ale według mnie istnieją dość wiarygodne przesłanki, że śmierć twojego męża nie była przypadkowa.

– To znaczy...?

– Że ktoś mu w tym pomógł. Że było to morderstwo.

Diana zbladła. Pokręciła głową.

– To niemożliwe. Kto mógłby chcieć śmierci Pawła? Przecież to bzdura!

– Podejrzewam, że twój szwagier jest w to w jakiś sposób zamieszany.

Diana jeszcze bardziej pobladła. Głośno przełknęła ślinę.

– To niemożliwe – powtórzyła jak mantrę. – Przecież był wtedy w Australii.

– W tym szkopuł, że nie był. Przyleciał do Polski pod koniec października i wyleciał powtórnie do Adelajdy dwa dni po pogrzebie.

– Piotra nie było na pogrzebie Pawła – wyszeptała z trudem.

– Właśnie! Czy to nie dziwne, że nie przyszedł na pogrzeb brata bliźniaka, z którym podobno był tak mocno związany? Dlaczego nikt nie wiedział, że jest w Polsce? Bo domniemywam, że nie spotkał się z nikim z rodziny. Ani z ojcem, ani z tobą. Nawet nie pokazał się w Żuradzie, mieszkał w hotelu w Krakowie.

– To nie oznacza, że miał coś wspólnego ze śmiercią Pawła.

– Więc dlaczego ukrywał swój pobyt? Dlaczego was okłamywał? Wydaje mi się, że są tylko dwie opcje: albo w jakiś sposób przyczynił się do śmierci brata, albo... albo to on jest Pawłem. – Zrobił przerwę. – Poszperałem trochę i dowiedziałem się, że twój mąż obracał się w nieciekawym towarzystwie.

– Paweł? To nieprawda!

– Podobno twój szwagier miał wypadek. Byli świadkowie, którzy twierdzili, że ktoś specjalnie w niego wjechał.

– Mnie też tak mówił.

– To dlaczego co innego powiedział krakowskiej policji? Jeśli ktoś w niego wjechał, musiał mieć ku temu powód. I co najciekawsze – dlaczego temu zaprzeczał, gdy go przesłuchiowano? Ktoś, kto ma czyste sumienie, nie musi ukrywać przed policją, że próbowano go zabić.

Diana zmarszczyła brwi. Nic z tego nie rozumiała.

– Byłeś u niego? Co on na to powiedział? Jak to wytłuma-  
czył?

– Jutro się do niego wybieram. Muszę jeszcze coś sprawdzić. Daję mu czas na wymyślenie jakiejś przekonującej bajeczki. – Spojrzał na nią podejrzliwie. – Mam nadzieję, Diana, że nie jesteś w to zamieszana.

– Niby w co?

– Podobno się z nim zaprzyjaźniłaś. – Mówiąc to, zmrużył oczy. – Uważaj, z kim się zadajesz. Pomyśl o swoich dzieciach. Mają tylko ciebie. Na twoim miejscu raczej bym nie liczył na starego Cisowskiego.

Po wyjściu Drewniaka Diana przez dłuższą chwilę siedziała w odrętwieniu na krześle. Nie mogła zebrać myśli. Dlaczego Piotr nie przyznał się do swojego pobytu w Polsce? Dlaczego kłamał? Bo ciągle KŁAMAŁ. Zamknęła oczy i przywołała wszystkie wątpliwości, które ją nawiedzały w związku z tym mężczyzną. Pierwsze ich spotkanie na cmentarzu. Była przekonana, że widzi Pawła. Dlaczego Piotr zna tyle szczegółów z ich małżeństwa? Dlaczego teść tak ciepło przyjął znienawidzonego kiedyś syna? Do głowy cisnęła się jedna odpowiedź: bo był to Paweł! On wiedział, że Paweł żyje! I musiał również wiedzieć, dlaczego sfingował własną śmierć.

Myślami wróciła do łóżka, a raczej tapczanu w remontowanym domu i tego, co na nim robili. Czy Piotr zachowywał się jak Paweł? Podobno w łóżku nie da się ukryć oszustwa. Hmm, był bardziej czuły, to na pewno, ale jej mąż również czasami taki bywał. Nagle wstrzymała oddech: przypomniała sobie małą bliznę na jego piersi. Paweł miał taką samą! Również blizna na dłoni była w tym samym miejscu co u Pawła. Kiedy to zauważyła, Piotr wytłumaczył, że zdobył ją w dzieciństwie. Założył się z bratem, kto dotknie gorącego pręta. Obaj woleli cierpieć, niż przyznać się do słabości. Henryk to potwierdził. Ale blizna na piersi Pawła powstała niedługo przed jego śmiercią. Nie pamiętała dobrze, kiedy to się stało; we wrześniu czy później? Było wtedy dość ciepło. To musiał być wrzesień. A Piotr przyleciał do Polski pod koniec października.

Boże, to Paweł... Paweł żyje. A ja myślałam, że sypiam z jego bratem.

Chwyciła komórkę i wybrała numer do Wandy.

– Pani Wando, muszę na chwilę pojechać do Olkusza. Czy mogłaby pani zerknąć na dzieci?

– Tak. Kup mi, proszę, w aptece apap, bo mi się skończył.

– Dobrze – rzuciła do telefonu i wybiegła.

Jazda zajęła jej chwilę, bo stary dom Kieresowej znajdował się kilometr od jej domu. Nie wiedziała, czy zastanie w nim Piotra, bo było jeszcze dwie i pół godziny do umówionego spotkania. Ale był. Ubrudzony gipsem szlifował ścianę w małym pokoju przeznaczonym na gabinet. Na widok Diany szeroko się uśmiechnął.

– O, jaka miła niespodzianka. Zaraz wchodzę pod prysznic.

– Nie ma takiej potrzeby, Pawle – powiedziała, bacznie go obserwując.

Znieruchomiał, nadal trzymając szlifierkę w ręce.

– Już nie musisz mnie oszukiwać. Wiem, że to ty. Przed chwilą był u mnie Drewniak. Powiedział, że wznawiają śledztwo. Dlaczego zabiłeś swojego brata, Pawle?

Mężczyzna osunął się na krzesło, ale zaraz się podniósł.

– Chodźmy do części kuchennej, tam mogą usiąść dwie osoby, tu tylko jedna – powiedział cicho.

Posłusznie za nim poszła i tak jak on usiadła przy stole na krześle.

– Nie jestem Pawłem. Jestem Piotrem. Ale rzeczywiście okłamałem cię w czerwcu, mówiąc, że dopiero teraz przyjechałem do Polski. Byłem tu również jesienią ubiegłego roku.

– Dlaczego kłamałeś?

– Nie wiem. Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią mojego brata. Myślisz, że mógłbym kogoś zabić? Tym bardziej Pawła?

– Masz bliznę w tym samym miejscu co on.

– Zrobiliśmy ją sobie w dzieciństwie, mówiłem już.

– Mówię o tej bliznie na piersi.

– A, o tej. Zrobił mi ją Paweł. Powiedział niby żartem, że za bardzo się różnimy, bo on ma nową bliznę, a ja nie, i niespodziewanie dźgnął mnie nożyczkami do paznokci. Byłem na niego wściekły, wałęnałem go w nos i powiedziałem: – Teraz ty musisz mieć złamany nos tak jak ja.

Diana przypomniała sobie ten dzień, kiedy Paweł wrócił ze spuchniętym nosem. Powiedział jej, że się potknął o chodnik i wałęnał prosto w nos. To było w listopadzie.

– Dlaczego przyjechałeś do Polski incognito?

– Ojciec mi zabronił tu wracać... Nie chciałem z nim ponownie się konfliktować.

– Dlaczego w ogóle przyjechałeś?

– Bo wezwał mnie Paweł. Miał kłopoty.

– Jakie?

– Nie mówił mi za wiele. Powiedział, że wplątał się w nieciekawe układy.

– Dokładnie w co?

– Nie powiedział mi wszystkiego. Przede wszystkim potrzebował wsparcia psychicznego, tak mi powiedział. Mówił, że postara się sam z tego wyplątać, a jeśli mu się to nie uda, to dopiero wtedy poprosi mnie o pomoc.

– Dlaczego uciekłeś z kraju?

– Mówiłem ci, że pokłóciłem się z ojcem.

– Pytam o twoją ucieczkę po śmierci Pawła.

– Nie uciekłem, wyjechałem.

– Byłeś w Polsce, a nie przyszedłeś na jego pogrzeb?!

– Nie byłem w stanie. Nie mogłem się wtedy z tym zmierzyć... i spotkać z ojcem. To było dla mnie zbyt trudne – wyszeptał. – Odwiedziłem jego grób późnym wieczorem. Jakaś kobieta wzięła mnie za jego ducha i uciekła przerażona. – Westchnął głęboko. – Muszę się czegoś napić. Całkiem mi wyschło w ustach. Mam piwo, wodę i colę. Czego ci nalać?

– Nic nie chcę, dziękuję. Mówiłeś mi, że ktoś specjalnie w ciebie wjechał. Dlaczego policji powiedziałaś coś innego? Byli świadkowie, którzy widzieli całe zajście.

– Nie chciałem mieszać w to policji. To na pewno miało związek z Pawłem. Prawdopodobnie wzięto mnie za niego.

Diana wciąż była oszołomiona. Brzmiało to wszystko dość logicznie, ale nie wiedziała, co o tym myśleć. Wstała z krzesła.

– Ja też się jednak napiję.

Wzięła z lodówki mineralną, a z szafki szklanek i nalała do niej wody. Kątem oka zauważyła dwa talerze pani Wandy, które sprezentowała jej rok temu na imieniny.

– Widzę, że pani Wanda też cię dokarmia tak jak ja – mruknęła.

Nie odpowiedział, tylko pił piwo.

– Pójdę już. Muszę ugotować dzieciom obiad – rzuciła.

– A dla mnie też przyniesiesz? – zapytał cicho.

– Nie.

Energicznie wyszła z pokoju. W niecałe pięć minut była w domu. Kieresowa zmywała naczynia.

– Co tak szybko? – zdziwiła się Wanda. – Kupiłaś mi apap?

– Nie, zapomniałam. Dam pani swój. Jutro pojedę do miasta i kupię. Muszę robić listę zakupów, gdy wybieram się do

sklepu. Skleroza albo alzheimer – mruknęła. Nagle coś sobie przypomniała. – Czy przynosiła pani Piotrkowi obiad w czasie remontowania domu?

– Nie, dlaczego pytasz?

Diana pobladła. Boże, Marcelina!

– Pani Wandziu, czy miała pani wcześniej w swoim domu talerze takie jak te z kompletu, który kupiłam pani rok temu?

– Nie. Kiedyś nie robili takich kwadratowych talerzy. A co?

– Nic takiego. Czy dzwoniła Marcelina?

– Nie, ale przysłała widokówkę z pozdrowieniami. Zdziwiłam się, bo wcześniej nigdy tak nie robiła.

– Skąd pani wie, że to od niej kartka?

– Podpisała się pod pozdrowieniami. Pismo trochę inne niż jej, albo mi się tylko tak wydawało, ale podpis jej.

– Gdzie nadała pocztówkę?

– Napisała „Pozdrowienia z Bieszczadów”, nie patrzyłam na stempel.

Diana się zamyśliła. Taką kartkę można było na przykład podać kierowcy autobusu, żeby wysłał ją z jakiejś bieszczadzkiej miejscowości albo podrobić stempel i po prostu wrzucić do skrzynki Kieresów – przemknęło jej przez głowę.

– Listonosz ją przyniósł czy znalazła pani w skrzynce? – zapytała.

– Była w skrzynce. Co tak wypytujesz?

– Bo czekam na listonosza, dawno go nie widziałam – powiedziała zduszonym głosem.

– Diana, dziwnie wyglądasz. Nie jesteś chora? Boże, może złapałaś covid? – wystraszyła się kobieta.

– Nie, wszystko w porządku, jestem tylko trochę zmęczona, bo nie mogłam w nocy spać.

Nie chciała straszyć kobiety ani donosić policji na Piotra, ale nie mogła przejść obok tego obojętnie.

– Pani Wandziu, uważam, że powinniście zgłosić na policji zniknięcie Marceliny. To wszystko dziwnie wygląda.

Teraz Wanda pobladła.

– Boże, co masz na myśli? Czy myślisz, że Marcelinie mogło się coś stać?

– Nie, ale lepiej dmuchać na zimne, niż się sparzyć.

Diana przyrządzała dzieciom obiad automatycznie, jak na autopilocie, wciąż rozmyślając o Piotrze, nieświadoma, co się wokół dzieje. Dlaczego nie wspomniał, że była u niego Marcelina? Dlaczego dziewczyna nagle zniknęła bez słowa? Dlaczego nie zadzwoniła do ojca ani babki, tylko wysłała pocztówkę? Diana analizowała w myślach okoliczności. Nie, to nie jest normalne. Wszystko wskazuje, że... Bała się dokończyć swojego toku rozumowania. Nie, to niemożliwe.

Dzieci zauważyły jej dziwne zachowanie.

– Mamo, czy ty jesteś chora? – zapytał Igor. – Słyszysz mnie? Mówię do ciebie.

Dopiero teraz dotarły do niej słowa syna.

– Nie, oczywiście, że nie. Wszystko w porządku.

– Zachowujesz się dziwnie. Tak jak tata.

– Dlaczego tak uważasz?

– Nie słuchasz, co się do ciebie mówi. Zapominasz o niektórych rzeczach. Z tatą było to samo. – W głosie syna zabrzmiało zaniepokojenie.



Rzeczywiście Paweł często bywał roztargniony. Nie koncentrował się na rozmówcy, błądził myślami w obłokach, a potem nie wiedział, co się do niego mówiło.

– To tylko zmęczenie.

Jakoś przebrnęli przez obiad. Akurat wkładała naczynia do zmywarki, gdy stanęła przed nią Karinka.

– Mamusiu, czy przyjdzie do nas dziś wujek Piotr?

– Nie przyjdzie – odparła szybko.

– Dlaczego? Jest mi bardzo potrzebny. Musi mi naprawić domek Barbie, bo się zepsuł.

– Dam komuś innemu do naprawy.

– Nie. Tylko wujek naprawia najlepiej.

– Nie będzie dziś wujka? – zaniepokoił się Igor. – Musi pomóc mi w przejściu następnego etapu w tej nowej grze, którą od niego dostałem, bo utknąłem i nie mogę iść dalej.

– Wujek nie ma czasu, dziś na pewno nie przyjdzie – stwierdziła stanowczo Diana.

Przyszedł jednak. Dokładnie o godzinie osiemnastej stanął w drzwiach, jak zwykle z małym pakunkiem w rękach. Nie wpuściła go do środka, tylko wyszła przed dom.

– Nie możesz wejść. Nie chcę cię tu widzieć – powiedziała lodowato. – Prawdopodobnie niebawem zjawi się u ciebie policja.

– Myślałem, że ci już wszystko wytłumaczyłem – bąknął niezadowolony.

– Dlaczego skłamałeś, że nie było u ciebie Marceliny?

– Przecież nie pytałaś. Nie rozmawialiśmy o niej.

– Marcelina zniknęła. Nie ma jej od kilku dni. Jeśli zrobiłeś jej coś złego... – Przymknęła oczy.

– Czy ty naprawdę uważasz, że mógłbym ją skrzywdzić?! – zapytał z niedowierzaniem. – Naprawdę tak myślisz?

– Tak. Póki nie wyjaśnią się wszystkie wątpliwości, nie życzę sobie, żebyś tu przychodził. I zabraniam ci kontaktować się z moimi dziećmi – oznajmiła lodowatym tonem i z impetem zatrzęsnęła mu drzwi przed nosem.

## Rozdział 23

Dwie godziny później aresztowano Piotra Cisowskiego. Świadkiem zatrzymania był Henryk, który dopiero co wrócił do domu.

– Co tu się dzieje? – zapytał, widząc syna w asyście dwóch policjantów prowadzących go do radiowozu. – O co chodzi? Dokąd zabieracie mojego syna?

– Do komisariatu. Piotr Cisowski musi odpowiedzieć na kilka pytań.

– Czy jest o coś podejrzany?

– Tak, o zamordowanie Marceliny Kieres.

– Co takiego?! To nonsens! Wierutna bzdura!

– Tato, nie martw się, to nieporozumienie. Wkrótce się wszystko wyjaśni.

Podenerwowany Henryk szybko chwycił za komórkę i zadzwonił do znajomego prokuratora, który obiecał mu rozeznać się w sytuacji. Prawnik oddzwonił godzinę później.

– Nieciekawie to wygląda – powiedział. – Twój chłopak jest podejrzany o zamordowanie waszej krewnej Marceliny Kieres.

– Tyle to i ja wiem. Chcę usłyszeć coś więcej. Jakie mają podstawy do zatrzymania?

– Dziewczyna zaginęła tydzień temu, a twój syn był ostatnią osobą, z którą rozmawiała. W dniu zniknięcia była w remontowanym przez niego domu należącym do jej babki. GPS jej komórki zaprowadził policję do owego domu. W krzakach znaleźli ukryty telefon.

– W jakich krzakach?

– Przy wejściu na posesję.

– To żaden dowód. Może jej wypadł? Gdyby Piotrek miał zamiar go ukryć, znalazłby lepsze miejsce, przecież nie jest głupi.

– Mnie też się wydaje to dziwne. Oprócz tego dziewczyna wysłała do rodziny widokówkę i wiadomość z jakiejś komórki na kartę. Policja musi to zbadać, ale tę noc twój syn spędzi w areszcie.

– Piotrek coś mówił?

– Że była u niego, przywiozła mu obiad, że się trochę pokłócili, a ona obrażona wybiegła z domu i gdzieś pojechała.

– Mówił, dlaczego się pokłócili?

– Coś kręcił. Drewniak mu nie wierzy. – Prawnik przerwał na chwilę. – Hmm, mówi, że jej zniknięcie może mieć coś wspólnego ze śmiercią twojego drugiego syna. Że odwieszają sprawę.

– Kto to jest Drewniak?

– Komisarz, który badał okoliczności wypadku.

– Taki wysoki łysol?

– Tak.

– Spotkałem go w domu mojej synowej. Dlaczego chcą odwiesić sprawę śmierci Pawła? Przecież to był wypadek.

– Drewniakowi wiele spraw się nie podoba. Wiedziałeś, że twój Piotrek był w tym czasie w Polsce?

– Nie. – Głos Henryka zabrzmiał głucho. – Nie wiedziałem.

– Chcą zrobić ekshumację zwłok.

– Co takiego?! Nie pozwalam.

– Nie będziesz miał nic do gadania, jeśli rzeczywiście policja będzie miała do tego podstawy.

– Nie pozwolę. Robiono mu już sekcję zwłok i niczego nie znaleziono. Zginął na skutek zderzenia z drzewem.

– Na razie nic więcej nie mogę ci powiedzieć.

Henryk wsiadł w auto i pojechał do Kieresów. Drzwi otworzył mu Leszek.

– Wiesz, Heniek, dziś nie jesteś tu mile widzianym gościem. Lepiej nie wchodzić, jeśli nie chcesz usłyszeć wielu nieprzyjemnych słów – bąknął pod nosem.

– Mimo to wejść, nie boję się twojej matki. Na szczęście nie byłem jej uczniem. Muszę się dowiedzieć czegoś więcej.

Wszedł do środka. Na fotelu siedziała Wanda i groźnie na niego patrzyła.

– Masz czelność do nas przychodzić?! Po tym wszystkim, co zrobił twój syn? – warknęła.

– Dobry wieczór. Czy możecie mi pokazać kartkę, którą dostaliście od Marceliny. – Henryk nie zareagował na słowa kobiety, jakby ich nie słyszał.

– Nie mamy jej, wzięła ją policja.

– A SMS?

Leszek z pewnym ociąganiem wyciągnął z kieszeni telefon. SMS brzmiał: „Tato, jestem w Bieszczadach, muszę się odstresować. Zgubiłam komórkę, dlatego piszę z pożyczonego telefonu. Nie martwcie się o mnie, wrócę za parę dni. Formalności związane z mieszkaniem załatwimy po moim powrocie. Marcelina”.

– Brzmi logicznie – mruknął Henryk. – O co ten cały ambarras? Dziewczyna wyjechała w góry. Za kilka dni wróci cała i zdrowa.

– Wyjechała zaraz po wizycie u twojego syna. Zawiozła mu obiad, a on ją... – Wanda nie dokończyła. – Nie wróciła do

domu po swoje rzeczy. Czy to nie dziwne? Z nikim się nie pożegnała. Wcześniej nie mówiła, że się wybiera w Bieszczady.

– Bo to raz zrobiła wam taki numer? Dobrze wiecie, że jest nieobliczalna. Wkrótce wszystko się wyjaśni. Przecież wczoraj się widzieliśmy, Leszek. Nie okazywałeś niepokoju z powodu jej zniknięcia. Co się zmieniło?

– Diana zobaczyła w domu mamy talerze, które jej kiedyś podarowała. Dowód na obecność Marceliny, bo mama jeszcze tam nie była od czasu remontu. Chyba musiało tam coś zająć, co zaniepokoiło Dianę, bo kazała mamie zgłosić na policji zaginięcie Marceliny.

Henryk zmarszczył brwi. Nie spodobało mu się to, co usłyszał. A więc całe zamieszanie spowodowała jego synowa. To ona podpuściła Wandę i wywołała panikę.

– Według mnie to burza w szklance wody. Nie wierzę, żeby Piotrek zrobił coś złego.

– Nie gadaj głupstw, całe swoje życie robił coś złego! – przechrzeźniła go Wanda. – Mało to mieliście z nim kłopotów?! Był dużo gorszy od Pawła, a sam dobrze wiesz, że z tamtego też był niezły gagatek. Głupia, dałam się mu omamić, uwierzyłam w jego przemianę. Że zmądrzał, że wydoroślał. Chciałam nawet wynająć mu dom, a on co w zamian zrobił? – Przymknęła na chwilę powieki. – Jeśli Marcelinie spadł z głowy chociaż jeden włos, własnoręcznie zabiję tego drania – wysyczała.

– Wanda, uspokój się. Nigdy nie uwierzę, żeby Piotrek zrobił jakąś krzywdę Marcelinie. Jaki niby miałby mieć powód?

– Wiadomo to? Nikt z nas nie wie, co się tak naprawdę działo w jego życiu. Może wpadł w nieodpowiednie towarzystwo, może coś mu się poplątało w głowie i zrobił się z niego jakiś zboczeniec? Jest tylu różnych popaprańców na świecie, których nigdy byśmy nie podejrzewali, że mogliby zrobić coś złego.

– Wanda, Piotrek jest inteligentnym chłopakiem, przecież wiesz o tym. Dlaczego miałby wyrzucać jej telefon w krzaki przy samym wjeździe, zamiast go zniszczyć?

– Może mu wypadł i nie wiedział, gdzie się to stało?

– A może wypadł Marcelinie? Jutro policja na pewno dowie się czegoś więcej. Mimo to uważam, że nie powinni zatrzymywać Piotrka na podstawie tak lipnych dowodów jak talerze czy telefon w krzakach. Zamierzam złożyć na nich skargę, gdy się to wszystko wyjaśni.

## Rozdział 24

Nazajutrz w południe do celi, w której Piotr spędził noc, wszedł Drewniak.

– Jest pan wolny. Może pan wracać do domu – mruknął komisarz.

– Cóż to się stało, że wypuszczacie na wolność człowieka podejrzanego o morderstwo? – zapytał szyderczo Piotr.

– Proszę nie dyskutować, bo zatrzymamy pana na następne dwadzieścia cztery godziny. – Policjant spojrzał na niego spod byka. – To nie jest nasze ostatnie spotkanie, panie Cisowski. Obiecuję panu, że nie ostatnie – wycodził przez zęby. – Mój policyjny węch mi mówi, że coś jest z panem nie tak. Zrobię wszystko, żeby to wyjaśnić. – Mówiąc to, przesłał mu wrogie spojrzenie i wyszedł z celi.

Pół godziny później po załatwieniu wszystkich formalności Piotr opuścił komisariat. Na parkingu przed budynkiem zauważył ojca stojącego przy samochodzie.

– Wsiadaj – rzucił oschle Henryk.

– Dzięki, że przyjechałeś. Nie wiesz, dlaczego mnie wypuszczono? Czy coś zrobiłeś w tej sprawie?

– Nic nie zrobiłem. Marcelina się znalazła – mruknął Henryk.

– Gdzie była? Co się z nią działo przez cały ten czas?

– Tak jak przypuszczałem, zadzwonili do niej znajomi i zaproponowali wyjazd w Bieszczady. Wyjeżdżali za godzinę, dlatego musiała się spieszyć, żeby do nich dołączyć. Rozmawiała z nimi zaraz po wyjściu od ciebie, akurat przy tych nieszczęsnych krzakach płożących tu. Telefon musiał jej wypaść, gdy wkładała go do torebki. Jego brak zauważyła dopiero



w Krakowie. – Spojrzał kątem oka na syna. – Zrobili z ciebie mordercę. Policja, Wanda i Diana.

Piotr nic nie odpowiedział.

– Wydaje mi się, Piotrek, że musimy porozmawiać. Na razie jedźmy do domu, póki nie ma Patrycji.

Po kilku minutach byli na miejscu, bo z komisariatu do posiadłości Cisowskiego w Żuradzie Leśnej było niecałe cztery kilometry. Oba domy, jego i Diany, leżały przy ulicy Wietrznej, kilometr od granicy Olkusza. Kiedyś były tu pola uprawne, a teraz przekształcono je na atrakcyjne działki budowlane. Na razie zabudowa była dość luźna, ale zapowiadało się, że wkrótce wybudowane zostaną tu nowe wille, bo coraz więcej Olkuszan było zainteresowanych tymi parcelami. Po przekształceniach ustrojowych Żurada stała się sypialnią dla mieszkańców Olkusza.

Henryk wyjął z lodówki dwa zimne piwa, a z barku dwa kufle i wszystko postawił na stoliku w salonie.

– Kurwa, dlaczego mnie okłamujesz, Piotrek? – zawołał oskarżycielsko. – Uwierzyłem ci, zaufałem, a ty robisz ze mnie idiotę.

– Tato, nie okłamuję cię, jedynie nie mówię wszystkiego – odparł spokojnie syn.

– Jak to wygląda, że się dopiero od policji i obcych ludzi dowiaduję, że byłeś jesienią w Polsce. Mówią, że jesteś zamieszany w śmierć własnego brata.

– Bzdura. – Piotr prychnął lekceważąco. – Tylko taki imbecyl jak ten jebany Drewniak może pierdolić takie nonsensy.

– Nie klnij. Nie przy ojcu. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że byłeś w Polsce? Ile razy przez te lata tu przyjeżdżałeś?

– To był pierwszy raz. Paweł mnie prosił, żebym przyleciał, bo ma kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Nie powiedział dokładnie, o co chodziło. Mówił, że nie chce mnie narazić na niebezpieczeństwo, bo może uda mu się samemu z tego wyplątać. – Zawahał się. – Chyba jednak mnie na to naraził, bo ktoś próbował mnie zabić.

Na twarzy Henryka pojawiło się zaniepokojenie.

– Jak to?

– Ktoś specjalnie we mnie wjechał. Tak mówili świadkowie zdarzenia.

– Dlaczego policja się tym nie zainteresowała? I dlaczego mi o tym nie powiedziałaś?

– Nie chciałem cię denerwować. A policję zbyłem. Wolałem, żeby nie grzebali w starych sprawach. Mogliby się doszukać czegoś brzydkiego w życiu Pawła, co mogłoby zaszkodzić Dianie i dzieciom.

– Hmm, czy ty na pewno nie jesteś w to zamieszany?

– Nie – powiedział Piotr stanowczo, patrząc ojcu prosto w oczy. – Niestety ten debil Drewniak mi nie odpuści. On uważa, że jestem Pawłem. Że Paweł upozorował własną śmierć, zabijając brata bliźniaka. Albo że to ja go zabiłem.

Henryk przez chwilę przyglądał się uważnie Piotrowi.

– Nie, ty nie jesteś Pawłem – powiedział.

– Dzięki, tato, za alibi – prychnął ironicznie Piotr. – Powiedziałeś to w taki sposób, że można by pomyśleć, że miałeś jakieś wątpliwości.

Cisowski westchnął głęboko.

– Nie byłem dla was dobrym ojcem – przyznał cicho. – Rzeczywiście czasami was nie rozróżniałem. To moja wina, że doszło do tego wszystkiego. – Znowu westchnienie. – Dlaczego nie pojawiłeś się na pogrzebie?

– To było ponad moje siły. On wtedy jechał do mnie. Mieliśmy iść poszaleć... Nie mogłem się pozbierać. I... bałem się spotkania z tobą. Na grób poszedłem późnym wieczorem. Jakaś kobieta, która go знаła, wzięła mnie za ducha. – Potrząsnął głową, jakby chciał rozwiać ponure myśli.

– Co zaszło wtedy między tobą a Marceliną?

– Wzięła mnie za Pawła. Trochę się pokłóciliśmy... – Zawiesił głos. – Wiedziałeś, że oni mieli romans?

– Podejrzewałem.

– A Diana wiedziała?

– Nie wiem. – Zrobił przerwę. – To przeze mnie... Przekazałem wam w pakiecie DNA wszystkie swoje wady. Dobrze, że wasza matka była doskonałą istotą, dlatego trochę rozrzedziła zło, które wam zaszczepiłem.

– Nie gadaj głupstw – mruknął Piotr bez większego przekonania. – Tato, dlaczego nie lubisz Diany?

– Czy to tak bardzo rzuca się w oczy?

– Na początku było bardzo widoczne, teraz jakbyś trochę stonował.

– To przez jej matkę. Diana bardzo mi ją przypomina z wyglądu. Ale chyba tylko z wyglądu. Urszula też była bardzo ładna. – Odchrząknął. – Miałem z nią romans. Romans to może za dużo powiedziane. Po prostu sypialiśmy ze sobą. – Spojrzał spod oka na syna. – Chyba ci się nie spodoba to, co teraz usłyszysz. Wiem, że nie byłem w porządku w stosunku do waszej mamy. W stosunku do Urszuli również. Teraz z perspektywy czasu inaczej na to wszystko patrzę. Ulka była wtedy prawie dzieckiem, chodziła jeszcze do liceum, a ja byłem dorosłym, żonatym i dzieciatym facetem. Miała opinię łatwej dziewczyny. Lubiła się napić i zabawić. Kiedyś ją podwiozłem do Żurady, gdy wracała ze szkoły. Podobałem się kobietom, bo byłem przystojny tak jak wy. Do tego miałem pieniądze, bo dzięki

ojcu wszedłem w branżę meblarską, a przed upadkiem komuny nie było wielu facetów z kasą. – Podrapał się po głowie. – Chyba się we mnie zakochała. Cóż, przyznaję, że nie za bardzo liczyłem się z jej uczuciami. Kochałem waszą matkę, tylko ją... A mimo to robiłem skoki w bok. I to dość często – znowu westchnięcie. – Najbardziej w życiu żałuję właśnie tego. I tego, że nie umiałem wykorzystać czasu przeznaczonego dla was, moich synów. Bardzo dużo straciłem. Ojcami powinni zostawać dojrzały mężczyźni. Mam na myśli dojrzałość psychiczną i mentalną, nie tylko tę osiągniętą dzięki metryce. Wiem, że was zaniedbywałem, dlatego teraz staram się nadrobić to w stosunku do wnuków. Paweł też nie był dojrzałym mężczyzną. Aż do śmierci nie osiągnął dojrzałości. To była moja wina. Niestety powiełał wszystkie moje błędy.

Zrobił przerwę. Piotr chciał więcej usłyszeć od ojca, dlatego po chwili milczenia ponownie wrócił do tematu.

– Jak to się skończyło z Urszulą?

– Po kilku miesiącach namiętnych schadzek w moim samochodzie wreszcie otrzeźwiałem. Kiedyś wróciłem do domu i zastałem waszą mamę płaczącą z przerażenia, bo byliście chorzy. Obaj mieliście gorączkę. Czekala na mnie, a ja w tym czasie zabawiałem się z inną. Wtedy postanowiłem zerwać z Ulą. I zerwałem. Zareagowała dość gwałtownie. Potem widziałem ją parę razy pijaną w sztok. Trzy miesiące później przyszła do naszego zakładu z informacją, że jest w ciąży. Nie przyjąłem tego faktu do wiadomości, nie wierzyłem, że to moje dziecko. Bałem się, że powie waszej matce, a ona mi nie wybaczy... Dałem jej pieniądze na skrobankę... Dość sporo... Ale jej matka zabroniła tego robić. Kiedy Ulka urodziła, wyjechały z Żurady.

Zapadła cisza. Henryk spojrział na syna.

– Wiem, że mnie potępiasz...

– Nie zainteresowałaś się nigdy, co dalej się z nimi dzieje? – zapytał Piotr, starając się nadać głosowi obojętność.

– Nie. Byłem pewien, że to nie ja jestem ojcem. Zawsze się zabezpieczałem. Dzisiaj zrobiłbym test DNA, ale wtedy nie było takich możliwości. Przyznaję, że mi ulżyło, gdy Ulka z matką opuściły Żuradę. – Teraz podrapał się po brodzie. – Kiedy Paweł oznajmił, że zrobił dziecko dziewczynie, a potem ją przywiózł do domu i się okazało, że to córka Urszuli, wpadłem w popłoch. Raczej nie wątpiłem w jego ojcostwo, ale nabrałem obaw, czy to nie ja jestem ojcem matki jego przyszłego dziecka. Dlatego zleciłem zrobić dwa testy na ojcostwo. Pawła i moje. Nie mógłbym dopuścić do ich ślubu ani do urodzenia dziecka, gdyby testy poszły nie tak. Mój lęk okazał się bezpodstawny. No i Paweł poślubił Dianę...

– Teraz zaczynam wszystko rozumieć. Czy mówiłaś Pawłowi o romansie z matką Diany?

– Nie. Ale wiedzieli Wanda i Leszek. A reszta Żurady podejrzewała. Tu niczego nie da się ukryć – zamilkł na chwilę. – Paweł nie był szczęśliwy z Dianą. Może dlatego czułem do niej niechęć...

## Rozdział 25

Piotr zadzwonił do drzwi domu Diany. Spojrzała na niego niechętnie.

– Dzieci nie ma w domu. Twój ojciec wziął je na wycieczkę.

– Tym razem przyszedłem do ciebie, nie do nich.

– Piotr, zaraz wychodzę, może kiedy indziej?

– Nie. – Mówiąc to, bezceremonialnie wszedł do środka. – Już chyba wiesz, że nie zamordowałem Marceliny, chociaż mnie o to podejrzewałaś, dlatego nie musisz się obawiać, że zrobię ci krzywdę.

– Nie zamordowałaś Marceliny, ale wciąż nie wyjaśniono wielu spraw. Darek nadal uważa, że jesteś zamieszany w śmierć Pawła.

– Taak? To zapytaj mojego ojca, czy też ma wątpliwości? Jak myślisz, czy przełożeni naszego dociekliwego komisarza podzielają jego opinię? – Zmrużył oczy. – Znam przyczynę nagłego zainteresowania Drewniaka moją osobą. Tą przyczyną jesteś ty i dobrze o tym wiesz.

– Gadasz bzdury. Darek po prostu jest dobrym policjantem i chce się wywiązywać ze swoich obowiązków.

– Naprawdę? – zapytał kpiąco. – To dlaczego zaraz po wypadku nie przyłożył się staranniej do śledztwa, tylko szybko odłożył je *ad acta*?

Usiadł w fotelu i nabrał powietrza do płuc.

– Nawet mnie nie przeprosisz, że zrobiłaś ze mnie mordercę?

– Nie zrobiłam.

– Ale doniosłaś na mnie do Wandy.

– Doradziłam jej tylko, żeby się bardziej zainteresowali zniknięciem Marceliny.

– Czy Marcelina ci powiedziała, co zaszło między nami?

– Nie.

– A więc ja ci powiem. Myślała, że jestem Pawłem. Tak jak ty. Zauważyła bliznę na mojej piersi, a podobną sama zrobiła Pawłowi – powiedział zimno. – Była jego kochanką. Paweł cię zdradzał. Chciałem ci tego oszczędzić, dlatego nie mówiłem wszystkiego.

Diana milczała.

– Chciałem cię oszczędzić, żebyś nie cierpiała. Kiedyś bardziej zależałoby mi na dobrej opinii Pawła, a nie na twoich uczuciach. Teraz jest inaczej. Jesteś dla mnie ważniejsza niż mój brat. – Zmarszczył czoło. – Wiem, że śmierć Pawła kryje jakieś tajemnice. Możliwe, że ktoś go zamordował. – Spojrzał w jej oczy. – Czy ty naprawdę myślisz, że mógłbym przyczynić się do śmierci brata? Bliźniaka? Swojego biologicznego klona? Przez dwanaście dni byliśmy jednym organizmem. Gdyby zarodek podzielił się parę dni później, bylibyśmy bliźniętami syjamskimi, bo już po trzynastu dniach tak się może dziać. Przez długi czas uważano, że bliźniacy jednojajowi mają takie samo DNA, ale ostatnio odkryto, że to nie do końca prawda. Różnimy się. W naszym genomie można doszukać się nawet pięćdziesięciu różnic na trzy i pół miliarda wspólnych punktów. Im później dochodzi do podziału zarodka, tych różnic jest mniej. W naszym przypadku możliwe, że trzydzieści punktów, może dwadzieścia, a nawet możliwe, że tylko dziesięć. NA trzy i pół MILIARDA! No i ja byłem starszy od brata o całe piętnaście minut, dlatego jako starszy brat musiałem się nim opiekować. – Uśmiechnął się smutno. – Czy naprawdę myślisz, że mógłbym zabić połowę siebie?

Diana milczała. Podniosła na niego wzrok.

– Ale może to ty jesteś Pawłem?

– I zabiłem własnego brata? Naprawdę tak nisko oceniasz swojego męża? – Wykrzywił usta w grymasie. – Powiedz mojemu ojcu o swoich wątpliwościach.

– Przecież sam mówiłeś, że was nie rozróżniał.

– W dzieciństwie, w młodości, ale nie teraz, gdy przez jedenaście lat był tylko Paweł.

Diana wstała z fotela.

– Napijesz się czegoś? Bo idę zrobić sobie drinka.

– Daj mi whisky z lodem.

Kiedy wróciła, niosąc szklanki, Piotr nadal siedział w fotelu.

– Jutro jadę do Krakowa, wybierzesz się ze mną? – zapytał.

– Po co tam jedziesz?

– Muszę wynająć prywatnego detektywa, bo nie ufam olkuskiej policji.

– Masz już kogoś konkretnego?

– Tak.

– Jak go znalazłeś?

– Poznałem go, będąc w Australii. To Austriak ożeniony z Polką. Może znasz go z widzenia? Nazywa się Mark Biegler, jest zięciem Roberta Orłowskiego, tego neurochirurga, który ma domek w lesie po Świętej Zośce.

– Jasne, że słyszałam o Orłowskim. Przecież Wisława Sawicka to jego teściowa. Czasami zaglądam do jej sklepiku i za każdym razem słyszę, jak się przechwala swoją córką, zięciem i całą ich rodziną. Lubi ze mną rozmawiać, bo pamięta moją babcie. – Zamyśliła się na chwilę. – Dziwne, ale lepiej dogaduję się ze starszymi kobietami niż z moimi rówieśniczkami. Czy to dlatego, że wychowywała mnie babcia? Najbliższą i chyba jedyną moją przyjaciółką jest pani Wanda.



– I prawdopodobnie dzięki temu, że wychowywała cię babcia, jesteś taka wyjątkowa.

– Każdy z nas jest na swój sposób wyjątkowy.

– Nawet ja, klon mojego brata?

– Ty przede wszystkim. Tacy jak ty i Paweł nie rosną na pęczki.

– No tak, ja w duecie z Pawłem rzeczywiście jestem unikatowy, ale jako Piotr Cisowski to już raczej nie. – Westchnął. – Czy pojedziesz jutro ze mną do Krakowa?

– Czy jest sens rozgrzebywać stare sprawy? Tak jak jest teraz, jest lepiej – powiedziała cicho.

– Nie chcesz wiedzieć, co się naprawdę stało z twoim mężem?

– Nie chcę na nowo przez to wszystko przechodzić – szepnęła, przymykając powieki.

– Wybacz, ale ja muszę się dowiedzieć. – Jego głos wybrzmiał stanowczością. – Muszę. Pojedziesz ze mną?

– Nie wiem. Zobaczą, czy pani Wanda zostanie z dziećmi.

– Jest jeszcze jedna opcja. Pojedziemy we czwórkę. Wysadzę was gdzieś w mieście, pójdę na spotkanie, a potem do was dołączę i gdzieś się razem wybierzemy. Co o tym myślisz?

– Na razie przystopujmy.

Piotr zawiesił na niej wzrok. Ich oczy się spotkały, ale nie odwróciła spojrzenia.

– Dlaczego? – zapytał z pewnym wyrzutem. – Wciąż mi nie ufasz? Wciąż masz wątpliwości?

– Tak, mam wątpliwości co do charakteru naszych relacji. Czy nie powinniśmy poprzestać na statusie szwagier-bratowa?

– Nie znoszę słowa „szwagier”, brzmi paskudnie.

– Nie ma innego słowa. – Wzruszyła ramionami. – Chyba że wolisz brat męża...

– Diana, myślałem, że już dawno przestałem być dla ciebie jedynie bratem twojego zmarłego męża – powiedział cicho. – Myślałem, że też coś dla ciebie znaczę. Jako Piotr...

Diana uciekła spojrzeniem w bok. Przez chwilę milczała.

– Boję się tego wszystkiego. Jeszcze chyba nie dojrzałam do nowego związku. To nadal jest zbyt świeże. Za bardzo się pośpieszyłam. Przecież jeszcze nie upłynął nawet rok od... – Nie dokończyła.

Piotr patrzył na nią w milczeniu, dopiero po chwili się odezwał.

– Dobrze, przystopujmy, jeśli tego potrzebujesz. – Przytknął na chwilę powieki. – Diana, jesteś dla mnie ważna. Bardzo ważna.

Diana jednak pojechała z Piotrem do Krakowa. Dzieci zabrał Henryk do Kalwarii Zebrzydowskiej, bo wybrał się tam z wizytą do rodziny. Miał je przywieźć dopiero późnym wieczorem, dzięki temu Diana i Piotr mieli dużo czasu dla siebie. Najpierw pojechali na spotkanie z detektywem.

## Rozdział 26

Mark Biegler był wysokim przystojnym blondynem około czterdziestki. Diana widziała go kilkakrotnie, gdy przyjeżdżał do Żurady. Słyszała od Sawickiej, że jest austriackim dziennikarzem piszącym również książki i że od czasu do czasu zajmuje się też sprawami kryminalnymi, ale nie ma licencji detektywistycznej.

Biegler mieszkał na dużej posesji, na której stało kilka budynków. Jego dom był poddawany budowlanemu liftingowi. Na parterze przewijało się stadko budowlańców w ubraniach poplamionych farbami i gipsem.

Przywitali się podaniem ręki.

– To żona mojego nieżyjącego brata – przedstawił Dianę Piotr.

– Nie wiedziałem, że miał pan brata.

– Bo nie było okazji dłużej porozmawiać. Miałem brata bliźniaka.

– Proszę na górę. Tam jest czyściej i spokojniej – powiedział Biegler z uśmiechem, wskazując dłonią na schody prowadzące na piętro.

Poprowadził ich do pokoju, gdzie obok okazałego biurka i regałów z książkami stało również duże łóżko małżeńskie.

– Mój gabinet zaanektowały dzieciaki, dlatego muszę państwa przyjąć w sypialni – powiedział z uśmiechem. – Niedawno wróciliśmy z Australii, a potem wybuchła pandemia i dopiero teraz zabieramy się za budowę – tłumaczył. – Cóż państwa do mnie sprowadza?

Piotr nie zdążył odpowiedzieć, bo do pokoju wparowała dziewczynka, na oko czteroletnia, a za nią trójka dzieci w podobnym wieku.

– Tatusiu, zobacz... – Na widok obcych zatrzymała się szona.

– Greta, tatuś pracuje, proszę mi nie przeszkadzać. Gdzie jest mama?

– W łazience, robi siku.

Po chwili nad główkami dzieci ukazała się głowa pięknej brunetki o niesamowitych czarnych oczach.

– Przepraszam, już biorę dzieciaki – powiedziała kobieta z przeproszającym uśmiechem. – A ty, Greta, nie musisz wszystkim obwieszczać, co mama robi w łazience.

– Ja nie obwieszczam. Obwieszczenie wisi na słupie – odparła rezolutnie dziewczynka. – Tata wcale nie pracuje, tylko ma gości. A ja też lubię gości.

– Masz swoich. Nie wystarczą ci Milenka i Teo? Chodź wreszcie.

Wzięła dziewczynkę za rękę, a drugą ręką zgarnęła pozostałe maluchy i zamknęła drzwi do pokoju.

– U nas prawdziwe przedszkole. To dzieciaki szwagra i szwagierki.

– To Iza ma dziecko?

– Ma przysposobione.

Piotr podczas pobytu na farmie Billa Williamsa spotkał kilka razy Marka Bieglera, który wraz z żoną przyjechał aż do Adelajdy leczyć jej bezpłodność. Ku zaskoczeniu całej rodziny udało im się trafić na doskonałego specjalistę, który pomógł małżeństwu doczekać się dwójki uroczych dzieciaków. Piotr słabo znał Bieglerów, natomiast dużo lepiej poznał Barbarę Orłowską-Johanson, babkę Marty, która była dobrą znajomą Billa. Swego czasu Williams uderzał do niej w konkury, ale wybrała bogatszego absztyfikanta – co mu zresztą powiedziała prosto w oczy. Ale gdyby wiedziała, ile naprawdę Bill miał

pieniędzy, może dokonałaby innego wyboru, tymczasem sugerowała się wielkością farmy, liczbą owiec i ton wełny, które przynosiły. Po śmierci jej męża Williams postanowił jeszcze raz zaważać o rękę pięknej Barbary, ale nie zdążył, bo wróciła do Polski i szybko wyszła ponownie za mąż, tym razem za Szweda Jona Johansona. To do niej zadzwonił Piotr z prośbą o kontakt z Markiem Bieglerem, bo słyszał od niej dużo dobrego o jego sukcesach detektywistycznych.

– Słucham pana, panie Piotrze. Barbara mówiła, że ma pan jakiś problem.

– Tak. Potrzebuję usług dobrego detektywa.

– W takim razie to pomyłka, bo nie jestem detektywem. Nie mam licencji.

– Wiem, że nie posiada pan licencji, ale ma pan za to dobre rezultaty w wykrywaniu zbrodni.

– Muszę podziękować Barbarze za dobry PR. – Mężczyzna się uśmiechnął. – A więc co pana do mnie sprowadza?

Piotr opowiedział w skrócie, co się wydarzyło w ciągu ostatniego roku. Mark Biegler robił notatki, od czasu do czasu o coś dopytując. Diana siedziała, nie włączając się w rozmowę.

– Podejrzewam, że mój wypadek miał coś wspólnego ze śmiercią brata. Prawdopodobnie ktoś wziął mnie za Pawła.

– Czy rzeczywiście brat był tak bardzo do pana podobny?

– Tak, nawet ja miałam podejrzenia, że Piotr to Paweł – wtrąciła się do rozmowy Diana. Wyjęła z torebki telefon i znalazła kilka zdjęć Pawła zrobionych tuż przed śmiercią.

– Proszę zobaczyć. To mój mąż. Oni nawet blizny mieli takie same.

Biegler nagle się ożywił. Spoglądał raz na nią, raz na niego. Ale nie zadał żadnego pytania.

– Naprawdę do niedawna podejrzewałam, że mój mąż pod-  
szywa się pod swojego brata – ciągnęła Diana.

– Już tak pani nie uważa? Co panią przekonało?

– To, że mój teść nie ma żadnych wątpliwości i... i ta wizyta  
teraz u pana – powiedziała. – Gdyby Piotr był Pawłem, na  
pewno nie przyprowadziłby mnie tutaj.

Biegler na chwilę się zamyślił.

– Wspomniał pan, że wasz ojciec ma zakład eksportujący  
meble za granicę.

– Tak. Robi meble i wysyła do Europy Zachodniej.

– Konkretnie dokąd?

– Przede wszystkim do Niemiec i Anglii.

– Pański brat współpracował z ojcem?

– Był jego prawą ręką. Wiem, do czego pan zmierza. Mnie  
też się wydaje, że mógł wplątać się w przemyt narkotyków.

– Hmm, przemyt tak, ale niekoniecznie narkotyków. – De-  
tektyw spojrzał bystro na Piotra. – Jest pan pewien, że nie ma  
pan w Polsce żadnych wrogów?

– Nie. Przecież nie było mnie jedenaście lat.

– A przed wyjazdem z Polski? Albo teraz, po ponownym  
przyjeździe, nikomu się pan nie naraził?

– Jasne, że nie. Nie mam tu teraz żadnych znajomych  
oprócz rodziny. Nie nawiązałem nowych znajomości ani nie  
wróciłem do starych.

– Mówił pan, że policja krakowska chciała z panem poroz-  
mawiać na temat pańskiego wypadku, a pan ich zbył. Dlacze-  
go?

– Żeby nie rozgrzebywać sprawy Pawła. Nie chciałem szar-  
gać mu opinii.

– No to dlaczego teraz chce pan do tego wracać?

– Ze względu na Drewniaka. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że mi nie odpuści. Próbował zrobić mnie w morderstwo dziewczyny, która w tym czasie niefrasobliwie hasała sobie po Bieszczadach. Nie wiadomo, co mu jeszcze strzeli do głowy.

– Zobaczę, co się da zrobić w pańskiej sprawie. Porozmawiam z pewnym człowiekiem, a potem się z panem skontaktuję.

W tym momencie usłyszeli pukanie, a w drzwiach ukazała się postać starszej kobiety. Piotr z trudem rozpoznał w niej Barbarę Orłowską.

– Witam, witam – zawołała radośnie. – Przyszłam tu, żebyś mi, Piotr, gdzieś nie uciekł. Pokaż mi, jak wyglądasz. Muszę ci się dobrze przyjrzeć. Przecież wiesz, że mam sentyment do przystojnych chłopaków. Muszę przyznać, że pobyt w naszej ojczyźnie dobrze ci służy. Wyglądasz rewelacyjnie! Z tym trzydniowym zarostem odmłodziłeś o kilka lat. – Ucałowała go serdecznie.

– Pani Basiu, pani też wygląda pięknie – odpowiedział komplementem.

– Nie musisz mnie okłamywać, Piotruś. Wiem, że postarzałam się o sto lat. To ten cholerny covid! Ale już powolutku dochodzę do siebie. Chodźcie do mnie, musimy porozmawiać.

– Jasne! Jakbym mógł pani nie odwiedzić. Mam dla pani prezent od Billa.

– Słyszałam, że nie żyje. Mówiła mi Roma. No cóż, powoli się wykruszamy – westchnęła. – Teraz na mnie i Jona kolej.

– Basiu, przestań gadać głupstwa. Musisz być na ślubie mojej Greta – powiedział Mark. – A na weselu Eryka i Kamila masz obowiązkowo zatańczyć rock and rolla.

– Będzie dobrze, gdy dożyję ślubu twojej siostry.

– Basiu, ty mnie tu nie kokietuj, ślub Tiny będzie za parę tygodni.

Piotr i Diana pożegnali się z Bieglerami i grzecznie potupali za Barbarą Orłowską-Johanson do jej domu znajdującego się na tej samej posesji.

Zabawili u niej ponad dwie godziny. Przy kawie i pysznym cieście oraz kilku kieliszkach wina spędzili bardzo miło czas. Nawzajem opowiadali sobie różne anegdotki związane z życiem w Australii i specyfiką tego egzotycznego miejsca. Barbara potrafiła być fascynującą gawędziarką, obdarzoną dużym poczuciem humoru. Wspominali z nostalgią Billa Williama i jego zaloty do Barbary. Jej mąż Jon, który również bywał w Australii, wtórował im w tych opowieściach. Covid także na nim odcisnął piętno, nawet silniej niż na żonie, ale nie zabrał im obojgu ani wesołości, ani radości. Diana była pod urokiem starszej pary. Na chwilę wpadł do domu syn Barbary, Robert Orłowski, i dowiedziawszy się, że mieszkają w Żuradzie, zaprosił ich na kolację. Odmówili, tłumacząc się małymi dziećmi, ale Diana zaprosiła wszystkich do swojego domu, kiedy przyjadą do Żurady odwiedzić teściową.

W drodze do Olkusza, gdy minęli Przeginię i po obu stronach jezdni pojawiły się ściany lasu, Diana zerknęła na Piotra i tajemniczo się uśmiechnęła.

– Skręć w tę dróżkę – powiedziała. – Nigdy jeszcze nie kochaliśmy się na łonie natury.

Na twarz Piotra wypełził szeroki uśmiech.

– Dla pani wszystko, księżniczko Diano. Wreszcie uwierzyłaś, że nie jestem Pawłem?

Wjechali leśną drogą w zieloną gęstwinę drzew. Ciemność przykryła ich niczym gruby wełniany pled. Wypity alkohol wyzwolił u dziewczyny dziwną odwagę i śmiałość. Rzadko kiedy była inicjatorką miłosnych zabaw. Najpierw to mąż, a potem Piotr byli przewodnikami w sztuce kochania, a ona podążała



za mistrzem, poddawała się i podporządkowała samczym zakusom, by wkrótce również wpaść w wir pożądania. Ale nigdy nie robiła tego pierwsza. Nigdy nie inicjowała, nigdy nie prowokowała, chociaż nieraz miała na to ochotę. Teraz ogarnęła ją gorączka podniecenia. Wraz z opuszczeniem posesji Orłowskich nagle zniknęły wszystkie podejrzenia owiane posępnym cieniem Marceliny i Pawła, minęła niepewność czająca się za przystojną twarzą Piotra, a przede wszystkim ulotniło się widmo zbrodni, które od kilku miesięcy zawisło nad nimi niczym czarna chmura. Właśnie wtedy, na drodze krajowej dziewięćdziesiąt cztery, poczuła, jak powoli napełniał ją od środka spokój, pojawiło się bezpieczeństwo i szczęście. Tak, była szczęśliwa. Bo miała Piotra. Bo go kochała. Bo mogła go kochać, ponieważ nie był mordercą. I tę miłość chciała mu teraz okazać. Nie słowami, lecz aktem fizycznym.

Nie pozwoliła mu mówić, usta zamknęła mu swoimi ustami. Teraz nie było miejsca na słowa. Jej dłoń sięgnęła ku kroczu mężczyzny. Sprawnym ruchem rozsunęła zamek spodni i uwolniła jego męskość. Nabrzmiały korzeń nie potrzebował żadnych zabiegów, by stanąć w szranki z erotycznymi oczekiwaniami, ale Diana musiała go uhonorować pieśczością i pocałunkami. Zaprotestowała, gdy Piotr nachylił się nad nią, by odwzajemnić się tym samym.

– Nie! Dziś ja decyduję, ja dyktuję, co będziemy robić – wyszeptała.

Przesunęła fotel maksymalnie do tyłu, wcisnęła się między kierownicę a kierowcę i sprawnie się na niego nadziała. Jej ciało zaczęło rytmicznie się poruszać w takt znany od wieczności wszystkim kochankom. Nie trwało to długo, bo chwilę później już szczytowała. Piotr, czując jej spazmy spełnienia, szybko do niej dołączył. Mocno przytulił do siebie, a potem ujął jej dłoń i pocałował.

## Rozdział 27

Mark i komisarz Bieda siedzieli w sypialni Bieglerów; Bieda na fotelu przy biurku, a Mark na fotelu z wikliny stojącym w małym kąciku wypoczynkowym. Mimo wielu mebli pokój nie sprawiał wrażenia zagraconego, bo pomieszczenie miało dużą powierzchnię. Policjant był żyłastym energicznym pięćdziesięciolatkiem z mocno przerzedzonymi szpakowatymi włosami i pożółkłymi od tytoniu zębami. Biegler wyglądał przy nim jak Brad Pitt z lat swojej świetności, tylko wyższy i lepiej zbudowany.

– No i co o tym wszystkim sądzisz? – zapytał Biegler komisarza.

– Po rozmowie z aspirantem zajmującym się wypadkiem Piotra Cisowskiego i z zeznań świadków tego zdarzenia można wywnioskować, że ktoś specjalnie w niego wjechał. Mam nazwiska tych ludzi. Mogę jeszcze pociągnąć ich za język. Podobno Cisowski przechodził przez pasy, a tu nagle z parkingu przed sklepem wyjechało z piskiem czarne bmw i skierowało się wprost na niego. Gadałem z klientem, który wychodził z tego sklepu i pstryknął autu fotkę. Rejestracja na zdjęciu jest niewyraźna, ale nakazę ją sprawdzić któremuś z moich ludzi. Co dziwne, facet zaparkował przodem do jezdni, dlatego zwróciło to uwagę tego klienta. Cisowski musiał być śledzony. Wspominał ci, że zauważył kogoś, kto by go śledził?

– Jeszcze go nie pytałem. Muszę z nim pogadać sam na sam, bez asysty tej dziewczyny. Odniosłem wrażenie, że nie powiedział mi wszystkiego. Przez moment nawet podejrzewałem, że może rzeczywiście Paweł Cisowski sfingował własną śmierć i podszywa się pod brata. Ale po rozmowie z babką mojej żony odrzuciłem tę hipotezę.

– Czy naprawdę bliźniacy potrafią być tacy podobni do siebie, że nawet bliskie osoby nie mogą ich rozróżnić? Jakoś mi

się nie chce w to wierzyć. Ja bym na pewno rozpoznał. Kaczyńscy też byli bliźniakami jednojajowymi, a przecież można ich było rozróżnić.

– Obejrzyj sobie dokładnie film *O dwóch takich, co ukradli księżyc*, to zobaczysz, jacy byli podobni. Poczytałem trochę na temat bliźniaków jednojajowych. Rzeczywiście niektórzy są identyczni. To zależy, kiedy nastąpił podział zarodka. Im później, tym różnic jest mniej, bo mniej mutacji, a im wcześniej nastąpił podział, tym odrębność jest większa.

– Podobno mają takie samo DNA. Po śladach biologicznych nie można rozpoznać na przykład, który bliźniak popełnił zbrodnię.

– Masz stare dane, panie komisarzu. Wstyd. Nauka poszła do przodu. Obecnie, kiedy się zbada cały genom, można stwierdzić, kto jest kto.

– Hmm, nie miałem nigdy do czynienia z bliźniakami jednojajowymi. Mnie uczono, że ich DNA jest identyczne – usprawiedliwiał się policjant.

– To dowód, że powinieneś pomyśleć o emeryturze lub być na bieżąco z nowinkami. Nie chodzicie na szkolenia?

– Chodzimy. A ty, mądrało, mnie nie pouczaj, jeśli potrzebujesz mojej pomocy. Mówiłem ci, że nie miałem nigdy do czynienia z takimi przypadkami. Ale na pewno nie jest możliwe, by wychwycić różnice zwykłymi, tradycyjnymi metodami genetycznymi STR-PCR. Badają one tylko od kilku do dwudziestu kilku zestawów „cech” genetycznych. To stanowczo za mało, by znaleźć różnicę w tak podobnych bliźniaczych, nomen omen, genomach.

– A więc słuchaj uważnie i się ucz – powiedział Biegler, wyjmując smartfon. Otworzył artykuł i przeczytał na głos: – „Sekwencjonowanie nowej generacji pokazało, że bliźnięta jednojajowe nie są identyczne. Różnią się niewielką liczbą mutacji punktowych i liczbami kopii niektórych regionów chromo-

somów (tzw. CNV). Jest to spowodowane wystąpieniem mutacji podczas pierwszych podziałów komórek zarodka, zaraz po oddzieleniu się bliźniąt od siebie. Według szacunkowego modelu takich mutacji można zidentyfikować u każdej pary bliźniąt około kilkudziesięciu”. – Uśmiechnął się. – Hmm, na całe trzy i dwie dziesiąte miliarda par liter w genomie jedynie kilkadziesiąt różnic. Niezłe, co? A więc genetycy sądowi mogą teraz stwierdzić, który bliźniak jest bliźniakiem przestępcą, a który jest niewinny.

– W naszym przypadku to raczej nie ma znaczenia. Sprawdziłem. Paweł Cisowski nie był notowany. W systemie nie ma ani jego linii papilarnych, ani innych śladów biologicznych. – Komisarz zrobił małą przerwę. – Gadałem z tym Drewniakiem. Rzeczywiście facet się napalił, żeby udupić Cisowskiego. Nie wiadomo, czym mu tak podpadł. Uważa, że Piotr jest zamieszany w śmierć brata. Podejrzewa, że mogli prowadzić jakieś nieczyste interesy. Przemyt albo handel narkotykami. Hmm, niedobrze, bo po raz pierwszy będziemy występować przeciwko mojemu oficjalnemu matecznikowi.

– Ależ skąd. Twoim matecznikiem jest krakowska komenda. Tym bardziej nie powinieneś mieć żadnych obiekcji, bo ten olkuski samozwańczy szeryf wszczął śledztwo bez błogosławieństwa przełożonych.

– Niby tak. Zastanawia mnie, dlaczego Drewniaka tak interesuje ta sprawa? Jakies osobiste animozje? Odczułem z rozmowy, że był wręcz rozczarowany, gdy się okazało, że Marcelina Kieres wróciła cała i zdrowa. Chyba bardziej by mu odpowiadało, gdyby się nie odnalazła.

– Hmm, sam nie wiem, co o tym myśleć. Kiedy patrzyłem na Cisowskiego i jego bratową, miałem wrażenie, że coś ich łączy. Wyczuwało się między nimi chemię. Wyraźnie mają się ku sobie. Barbara również to zauważyła. Może Drewniak też smali cholewki do naszej młodej wdówki? Rzeczywiście, dziewczyna jest bardzo atrakcyjna. Muszę spotkać się z Ci-

sowskim sam na sam, może bardziej się otworzy. Zaraz do niego zadzwonię.

Do ich spotkania doszło następnego dnia przed południem. Piotr przyjechał sam, tak jak się umówili z Markiem. Przy rozmowie nie był obecny komisarz Bieda, który wolał teraz działać incognito. On i Biegler wspólnie rozwiązali kilka spraw kryminalnych, ale przeważnie Mark występował jako nieoficjalny konsultant pomagający policji, a laury zbierał komisarz. Tym razem miało być trochę inaczej. Biegler zajął się sprawą Cisowskiego na prośbę Barbary Orłowskiej-Johanson i nie był pewny, czy jego działania przyniosą pożądany rezultat. Nie miał agencji detektywistycznej ani nawet licencji, zajmował się sprawami kryminalnymi z czystej dziennikarskiej ciekawości. Prowadzone śledztwa pomagały mu również w pisaniu powieści kryminalnych. Wydał kilka kryminałów, które cieszyły się dość dużą popularnością w Austrii, a ostatnio pewna austriacka stacja telewizyjna zaproponowała mu adaptację jednej z jego książek.

Dziennikarz przyjął Cisowskiego tak jak poprzednio w sypialni zaadaptowanej na biuro. Tym razem w domu nie panował harmider, bo dzieci poszły w odwiedziny do swoich kuzynów mieszkających kilkadziesiąt metrów dalej.

– Czego się pan napije? Kawy, herbaty? Mam dobre ciasto upieczone przez teściową.

– To poproszę kawę.

Kwadrans później siedzieli w wiklinowych fotelach wyłożonych miękkimi poduchami i popijając kawę, prowadzili lekką pogawędkę o niczym. Po kilkunastu minutach Biegler odchrząknął.

– No to teraz przystąpmy do konkretów – powiedział i lekko się uśmiechnął. – Wszystko wskazuje, że rzeczywiście wjechało w pana specjalnie. Mój znajomy policjant przepytał jeszcze

raz świadków zdarzenia i potwierdzili pańskie podejrzenia. Samochód był kradziony, potem go spalono. Nie wiadomo, czy ten wypadek miał być dla pana ostrzeżeniem, czy ktoś próbował pana zabić. Takie dokładne zacieranie śladów wskazuje, że chyba to drugie. Nie rozpoznano kierowcy. Jeden z klientów zrobił zdjęcie samochodowi, stąd wiemy, że auto było kradzione. – Spojrzał badawczo na Piotra. – Można by wszcząć śledztwo oficjalnie, bo są ku temu przesłanki...

– Wolałbym nie – przerwał gwałtownie Cisowski. – Na pewno nie na tym etapie. Zapłacę, ile będzie trzeba.

– Nie chodzi tu o pieniądze, robię to na prośbę babci żony. Ale policjantowi, który mi pomaga, będzie pan musiał zapłacić. – Zawahał się. – Hmm, może panu grozić niebezpieczeństwo, mogą próbować jeszcze raz to zrobić.

– Wątpię. Upłynęło już trochę czasu od tamtego zdarzenia. Prawdopodobnie zrozumieli pomyłkę, że to nie Paweł, i odpuścili.

– Dlaczego mówi pan w liczbie mnogiej?

– Bo uważam, że to sprawka handlarzy narkotyków.

Biegler chwilę w milczeniu przyglądał się Piotrowi, jakby po wyrazie twarzy mógł ocenić, co temu facetowi siedzi w głowie. Znowu odchrząknął.

– Specjalnie nalegałem, żeby przyjechał pan sam, bo wiem, że nie wszystko mi pan powiedział. Muszę znać prawdę. Całą prawdę. Domyślam się, że pańska bratowa nie wie o wszystkich rzeczach. Domyślam się też, że pani Diana Cisowska nie jest dla pana jedynie bratową. Teraz zamieniam się w słuch. Liczę na to, że powie mi pan prawdę o bracie jak księdzu na spowiedzi. Jeśli pan chce, żebym panu pomógł, muszę wiedzieć wszystko.

Piotr westchnął i zaczął mówić. „Spowiedź” był długa. I szczerza. Bardziej szczerza niż w konfesjonale.

Kiedy Cisowski skończył, Biegler podrapał się po głowie, chcąc ukryć zaskoczenie. Tym razem nie odchrząknął, tylko zakasłał w pięść.

– Teraz już rozumiem niektóre sprawy – mruknął. – Czy powiedział pan o tym komuś jeszcze?

– Powiedziałem ojcu, ale nie wszystko.

– A Diana wie?

– Nie. Jeszcze nie.

## Rozdział 28

Od dnia wizyty u detektywa Diana i Piotr znowu zaczęli się regularnie spotykać. Miłosne schadzki odbywały się w południe w remontowanym domu Wandy, natomiast wieczorem spotkania nabierały rodzinnego charakteru. Piotr, tak jak robił to wcześniej, przychodził do domu Diany i przebywał tam, dopóki dzieci nie poszły spać. Często na prośbę Karinki czytał jej bajki przed snem, również z Igozem ucinali sobie „nocną męską pogawędkę”. Zarówno bratanek, jak i bratanica coraz bardziej przywiązywali się do stryja. W rankingu najbardziej lubianych osób dzieci zaklasyfikowały go na pierwszym miejscu *ex aequo* z dziadziusem Henrykiem. Czasami Karinka się zapominała i nazywała go tatusiem, co Piotra rozrzewniało, a Dianę przyprawiało o konsternację. Nawet Igorowi raz się zdarzyło nazwać go tatą.

– Tato, zobacz, przeszedłem trzeci etap! – zawołał uradowany.

– Igor, to wujek, nie tata – mruknęła Diana, która siedziała obok na kanapie.

– Mamo, wujek jest tak podobny do taty, że trudno się nie pomylić – odburknął znad konsoli.

Piotr powoli wtapiał się w rodzinny pejzaż Cisowskich. Zaczął się rok szkolny i zdalne nauczanie. Igor raczej nie potrzebował pomocy i asystowania mu przy lekcjach, ale Piotr chętnie korzystał z pretekstu, by pomagać mu w matematyce.

Diana coraz bardziej ulegała urokowi Piotra. Na zewnątrz starała się tego nie okazywać, ale w środku czuła dziwną błogość, jakby ktoś smarował miodem jej serce. Trudno jej było sprecyzować własne uczucia, bo nadal nie wiedziała, czy to była już miłość, czy jedynie zauroczenie. Bardzo ją pociągał fizycznie, uwielbiała się z nim kochać, pragnęła jego pieśczo-



dotyku ust i dłoni. Kiedy na nią patrzył otoczony dziećmi, dawał jej poczucie bezpieczeństwa i ufności, a kiedy nie było obok dzieci, czuła, jak pod jego spojrzeniem napływa do jej trzewi wilgoć podniecenia. Miała wtedy ochotę chwycić go za rękę i pociągnąć do swojej sypialni.

Wanda w milczeniu obserwowała Dianę i Piotra, ale nie komentowała jego częstej obecności w domu dziewczyny. Prawdopodobnie się domyślała, że łączyło ich coś więcej niż relacje szwagier-bratowa, ale udawała, że niczego nie dostrzega. Dziwne, ale nie wiadomo, dlaczego zniknęła dawna zażyłość, która łączyła starszą i młodą kobietę. Kieresowa nadal wpadała do domu Diany, ale rzadziej niż wtedy, gdy jeszcze nie było Piotra w ich życiu. I ani razu nie nawiązała do incydentu z Marceliną. Nie przeprosiła ani się nie wytłumaczyła, że wzięła go za porywacza i mordercę. Pewnego dnia przyniosła mu do podpisania gotową umowę najmu domu. Zachowywała się, jakby nic się nie wydarzyło. Dianie również nie doradzała ani nie odradzała tego związku. Na twarzy kobiety nie widać było zgorszenia, potępienia ani niechęci. Tak jakby problem nie istniał.

A może rzeczywiście nie ma żadnego problemu? – pomyślała Diana. Już niedługo minie rok od śmierci Pawła, przecież nieraz się zdarzało, że brat poślubiał wdowę po bracie. Co dziwne, Henryk Cisowski również sprawiał wrażenie, jakby mu nie przeszkadzało, że syn wykazuje duże zainteresowanie swą bratową. Diana nie wiedziała, czy się domyślał, że sypiali ze sobą, nigdy jednak nie zauważyła w zachowaniu teścia wyrazu sprzeciwu ani zniesmaczenia.

Natomiast skończyły się wizyty Marceliny. Od powrotu z Bieszczad ani razu nie odwiedziła Diany. Rzadko teraz bywała w Żuradzie Leśnej, cały czas przebywała w Krakowie, tłumacząc się remontem mieszkania, które kupił jej ojciec. Przyjeżdżała tylko po „słoiki” i pieniądze, bo Leszek specjalnie nie robił przelewów na jej konto bankowe, żeby od czasu do czasu

mógł zobaczyć córkę. Ani Diana, a tym bardziej Piotr nie tęsknili za młodą sąsiadką, wprost przeciwnie – bardzo im to pasowało.

Któregoś dnia Piotr został dłużej u Diany, dzieci już dawno spały, a on wciąż ociągał się z powrotem do domu. Podeszedł do Diany odwróconej do niego tyłem, bo zmywała naczynia po kolacji, i ją objął.

- Chodźmy do twojej norki – zamruczał jej do ucha.
- Oszalałeś? Dzieci są w domu.
- Przecież już śpią.
- Nie wiadomo, czy Igor nie gra na smartfonie.
- No to chodźmy do innego pokoju. Na przykład do gabinetu Pawła. Pokój jest na dole, stamtąd na pewno nas nie usłyszą.

Diana znieruchomiała.

– Chcesz to zrobić w pokoju Pawła? – zapytała z wyrzutem. – Nie przeszkadza ci świadomość, że to kiedyś była jego prywatna przestrzeń? Przecież to... profanacja. To tak, jakbyśmy się kochali w jego łóżku.

- Dianka, nie przesadzaj.
- Nie masz żadnych skrupułów? – zapytała cicho.
- Nie.
- A ja mam. Wciąż mam – wyszeptała.
- Więc chodźmy do piwnicy, do pralni. Albo zróbmy to w garażu.
- Nie, nie tu. – Pokręciła głową przecząco. – Nie tutaj. Jeszcze nie teraz. Przyjdę do ciebie tak jak zwykle jutro w południe.

Leżeli w łóżku zmęczeni seksem, spleceni ramionami i nogami. Dziś mieli więcej czasu dla siebie, bo Henryk znowu zabrał dzieci do Kalwarii. Remont domu był już na ukończeniu, trzeba było tylko dokupić kilka drobiazgów. Piotr zamierzał przeprowadzić się tutaj pojutrze.

– Ładnie tu teraz – powiedziała Diana, leniwie się przeciągając. – Nigdy nie przypuszczałam, że z takiej ruderki zrobisz prawdziwe cacuszko. Nawet pani Wanda jest mile zaskoczona metamorfozą domu.

Diana odwróciła głowę w stronę Piotra, zdziwiona jego milczeniem. Patrzył na nią inaczej niż zwykle. Jakoś tak smutno, nostalgicznie, a potem przymknął oczy.

– Kocham cię – powiedział nieoczekiwanie.

Serce zadudniło jej głośno. Pierwszy raz to powiedział. Poczowała radość i... pewne zakłopotanie, bo nadal nie wiedziała, czy może odwzajemnić się podobnym wyznaniem. Chcąc pokryć zdenerwowanie, uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Ależ zmiana tematu! Ja komplementuję twoje umiejętności budowlane, a ty zaskakujesz mnie czymś takim. – Pocałowała go w policzek szorstki od zarostu.

Objął dłońmi jej twarz i lekko odsunął, intensywnie patrząc jej w oczy.

– A co ty do mnie czujesz, Dianka? Czy jest szansa, że mnie kiedyś pokochasz tak jak Pawła?

Jego słowa nagle jej uświadomiły to, czego jeszcze chwilę temu nie była pewna.

– Chyba już cię kocham. Ale nie tak jak Pawła.

# **Część trzecia**

**Piotr i Paweł**

## Rozdział 29

Piotr otworzył laptopa i zaczął pisać swoją spowiedź przeznaczoną dla Diany. Stwierdził, że ta forma przekazu będzie dla niego dużo łatwiejsza niż rozmowa. Nie mógłby tego wszystkiego wyznać, patrząc jej w oczy. Dużo łatwiej mu było otworzyć się przed Bieglerem, bo był on dla niego obcym człowiekiem. Nie zależało mu na jego opinii; detektyw mógł go potępić, mógł zerwać znajomość i wcale by się tym nie zmartwił. Inaczej było z Dianą. Dlatego postanowił opisać szczegółowo swoje i Pawła życie w taki sposób, żeby prawda była łatwiejsza do strawienia. W tym celu zamierzał napisać pamiętnik, a w nim oprócz suchych faktów przedstawić również tło psychologiczne – wpuścić Dianę w swój intymny świat, obnażyć duszę, wyznać grzechy, spuścić z wodzy emocje i opisać uczucia... a potem wysłać to wszystko e-mailem. Niech go osądzi. Może uda mu się uzyskać u niej rozgrzeszenie...

### Piotr

Ja i Paweł byliśmy nierozłączni przez 25 lat. Nie pamiętam ani jednego dnia bez swojego brata. Kiedy jeszcze nie chodziliśmy do przedszkola, nie zdawaliśmy sobie sprawy, że bliźniacy jednojajowi są takim ewenementem biologicznym, dopiero inne dzieci nam to uświadomiły. Wcześniej oczywiście wiedziałem, że wyglądam tak jak brat, bo w lustrze widziałem dwóch identycznych chłopców, ale się nad tym zbyt nie zastanawiałem. Myślałem, że tak ma być. Mnie i Pawłowi bardzo to odpowiadało, więcej – współczuliśmy innym dzieciom, że nie posiadają rodzeństwa w tym samym wieku, że sami muszą spać w swoich pokojach, że nie mają z kim się bawić autkami czy budować domów z klocków lego. My zawsze mieliśmy siebie – ja Pawła, Paweł mnie. I zawsze tworzyliśmy zgodny tandem. Nigdy nie byliśmy o siebie zazdrośni – ani o uczucia rodziców, ani o zabawki. Inna sprawa, że zawsze

kupowano nam identyczne samochodziki, tak samo nas ubierano i mama tyle samo uwagi poświęcała mnie co Pawłowi. Natomiast ojciec tak samo jego i mnie ignorował, nawet nie starając się nas rozróżnić. Nie wołał do nas „Piotrek” czy „Paweł”, tylko „chłopcy”. Dla niego byliśmy zdublowaną jednostką dziecka, jakbyśmy byli bliźniętami syjamskimi. W stosunku do swoich synów używał tylko liczby mnogiej: chodźcie, zróbcie, jedzcie, śpijcie.

Natomiast mama od początku traktowała nas jak dwa odrębne byty, ale tuż po porodzie miała problemy z rozróżnieniem obu synków i zdarzało się, że karmiła tylko jednego z nas, a drugi był głodny. Dlatego, żeby uniknąć pomyłki, mnie malowała lakierem paznokiec u prawej nóżki, a na przegubie rączki wiązała niebieską wstążkę – tak jej doradzono w szpitalu, gdy darliśmy się wniebogłosy, bo jeden płakał z głodu, a drugi z przejedzenia. Znam te dykteryjki tylko z maminych opowieści, bo oczywiście nie pamiętam ani pomalowanego paznokcia, ani wstążki. Paweł czasami lubił mi dogryzać, że przez te mamine zabiegi stałem się miękki i mało męski, ponieważ w niemowlęctwie zdążyłem nabyć kobiecych cech. Natomiast ja cały czas podkreślałem, że ma mnie słuchać, bo jestem jego starszym bratem. Starszym o całe piętnaście minut.

Rzadko kiedy się kłóciliśmy i rzadko kiedy bawiliśmy się z innymi dziećmi, nie potrzebowaliśmy innego towarzystwa. Mieliśmy siebie, to nam wystarczało. Zawsze byliśmy dla siebie najważniejsi. Owszem, ubóstwialiśmy mamę, kochaliśmy ojca i lubiliśmy dziadków, ale najbliższą dla nas istotą na świecie był brat bliźniak. Wymyśliliśmy nawet swój własny język, którego czasami używaliśmy również w dorosłym życiu. „Jamiški” to były ziemniaki, „dziandzia” to zajac, „gogigo” to słodczyce, a „amcia” jedzenie. Rodzice nie lubili, gdy tak ze sobą rozmawialiśmy, wydawało im się to nienormalne. Najbardziej drażniło to ojca, który zawsze chciał mieć nad każdym kontrolę. Później często korzystaliśmy ze swojego języ-

ka, gdy chcieliśmy powiedzieć coś, żeby inni nas nie zrozumieli. Bo zawsze mieliśmy swoje tajemnice i sekrety. Mieliśmy również wspólny pokój, chociaż w nowo wybudowanym domu przygotowano dla nas dwie sypialnie. Obaj zaprotestowaliśmy histerycznym płaczem, co zaowocowało nieprzespaną nocą i bólem głowy u obojga rodziców. Po drugiej takiej nocy, kiedy płakaliśmy wniebogłosy, nawołując się nawzajem, rodzice się poddali. Nazajutrz przyszedł murarz i wyburzył ścianę, tworząc jedno wielkie pomieszczenie, które wspólnie zajmowaliśmy przez wszystkie następne lata spędzone w tym domu. Nawet w Krakowie spaliśmy w jednym pokoju, chociaż obok był drugi wolny.

Dzieciństwo i podstawówkowa młodość upłynęły nam pod znakiem „klona”. Nasze „klonowe lata” – tak z Pawłem nazwaliśmy ten okres w życiu. Oczywiście drzewo klon nie miało z tym nic wspólnego. Wtedy wizualnie byliśmy tacy sami, mentalnie również. Mieliśmy takie same ubrania, te same upodobania, taki sam gust. Podobały nam się te same filmy i te same książki. Lubiliśmy takie same potrawy i słodczyce. Gustowaliśmy w tych samych zabawkach, gadżetach i grach komputerowych. Używaliśmy tych samych ręczników, a nawet chodziliśmy w tej samej bieliźnie i nigdy się nie przejmowaliśmy, czyjej szczoteczki do zębów używamy. Kiedy na kolonii zwrócono nam uwagę, że tak nie powinno się robić, że higiena wymaga, żebyśmy posiadali osobne przybory toaletowe, zbyliśmy to wzruszeniem ramion. Dopiero później, gdy nastał okres dojrzewania, zaczęliśmy przestrzegać zasad higieny i używać odrębnych przyborów toaletowych.

W tym samym dniu obchodziliśmy nie tylko urodziny, lecz także imieniny. To mama wybrała te biblijne imiona, bo stwierdziła, że są najbardziej odpowiednie dla dwóch bliźniaków jednojajowych. Od początku nienawidziłem swojego imienia. Piotr mógłby być, ale rzadko kto tak się do mnie zwracał, wszyscy mówili „Piotrek”. Paweł wiedział, że tego nie lubię, dlatego mówił na mnie Klon, tak jak inni w szkole. Tyl-

ko dla nauczycieli byłem Piotrkiem. Ja również zwracałem się do brata per Klon. I tak już zostało aż do jego śmierci. Bardzo rzadko zwracaliśmy się do siebie po imieniu. On był moim klonem, a ja jego.

Byliśmy ze sobą tak blisko, że rozumieliśmy się bez słów. On wiedział, o czym ja myślę, a ja – o czym on. Później, gdy zacząłem się interesować tematyką bliźniaków jednojajowych, dowiedziałem się, że wcale nie jesteśmy jakimiś wyjątkowymi „jednojajowcami”, że inni też tak mają.

Nie tylko wizualnie byliśmy tacy sami, mieliśmy to samo brzmienie głosu, tę sama mimikę i te same ruchy. Wszystko, nawet nasz śmiech brzmiał identycznie. Początkowo podkreślaliśmy tę naszą identyczność. Chcieliśmy, żeby ludzie nas nie rozróżniali, dlatego wkładaliśmy dużo wysiłku, żeby brano mnie za Pawła, a Pawła za mnie. Najwięcej problemu mieli z nami nauczyciele. Pewnego dnia odkryli nasze oszustwo, gdy podszyłem się za nieprzygotowanego do lekcji Pawła, i od tego czasu zawsze obaj byliśmy wzywani do odpowiedzi, żeby nie doszło do ponownej pomyłki. Koledzy ze szkoły nawet nie próbowali rozszyfrować, który to Paweł, a który Piotr, dlatego wołali na nas Klony. Wcale nam to nie przeszkadzało, co trochę dziwiło naszych rodziców. Kiedyś mama poruszyła ten temat na wywiadówce. Było to pod koniec siódmej klasy. Naszą wychowawczynią była Wanda Kieres, nauczycielka chemii i fizyki. Szkoła w Żuradzie Leśnej liczyła niewielu uczniów, więc żeby nauczyciel miał pełny etat, musiał uczyć dwóch przedmiotów. Tylko matematyczka i polonistka nie miały z tym problemu, no i nauczycielka nauczania początkowego. Wanda Kieres, *notabene* ciotka naszej mamy, przez to również nasza, zlekceważyła skargę rodzicielki.

– Lidka, nie przesadzaj – powiedziała przy reszcie rodziców. Nie musiała zachowywać pozorów, że nie łączyła ich więź rodzinna, bo w Żuradzie wszyscy się znali. – Twoim chłopakom wcale nie przeszkadza, że nazywają ich Klonami.



Zauważyłam to na przerwie, gdy pojawiła się w szkole nowa uczennica. Usłyszałam, gdy Piotrek, hmm, powiedzmy Piotrek, bo ja też ich nie rozróżniam, powiedział do tej dziewczynki: „Jestem Klon numer jeden, a to mój brat, Klon numer dwa”.

– Prawdopodobnie nie chcą konfliktów z rówieśnikami i dlatego to zaakceptowali – oponowała dalej mama.

– Lidzia, nie rozśmieszaj mnie, dziewczyno, dobrze wiesz, że twoje chłopaki to para uroczych urwisów, gdyby coś im nie pasowało, skończyłoby się bitką. Oni uwielbiają wywoływać konflikty i akceptują tylko to, co im pasuje.

Mama powtórzyła nam tę rozmowę, pytając, czy to prawda.

– Mamusiu, ty masz rację i ciocia ma rację – odpowiedziałem dyplomatycznie.

– Proszę mnie nie bajerować, Piotrek, nie dam się nabrać na twoje ładne słówka. Z tego wniosek, że wyszłam na idiotkę. – Westchnęła.

Zawsze udało jej się nas rozpoznać, nawet wtedy, gdy bardzo się staraliśmy wprowadzić ją w błąd. – Czytałam, że to nie jest dobrze dla bliźniaków, gdy nie mają własnej tożsamości. Każdy człowiek powinien być indywidualnością. Musicie więcej spotykać się z innymi dziećmi. Może pojedziecie osobno na kolonie, w różnych terminach?

– Nie! I nie jesteśmy dziećmi – oburzyliśmy się jednogłośnie. – Bez Klona nigdzie nie pojedę – zawołałem.

– Ja też bez niego nigdzie nie pojedę – wtórował mi Paweł. – Klonów nie wolno rozdzielać!

– Przestańcie tak o sobie mówić – oburzyła się mama. – Klon – prychnęła – przecież to brzmi okropnie. Uważam, że powinniście inaczej się ubierać do szkoły.

I wtedy wieczorem, kiedy leżeliśmy w łóżkach, wymyśli-  
śmy Piotra i Pawła.

## Rozdział 30

### Piotr

Mówiąc dokładnie, to ja wymyśliłem ten duet.

– Chcą, żebyśmy byli inni, żebyśmy się od siebie różnili, no to będziemy się różnić. Jeden będzie dobry, grzeczny i pilny, a drugi będzie jego przeciwieństwem.

– Ja chcę być tym przeciwieństwem – powiedział Paweł, który nie od razu zakumał, o co mi chodziło.

– Klonie, przynosisz mi wstyd, zacznij myśleć.

Paweł popatrzył na mnie i zajarzył.

– Aaa, już wiem, o co ci biega. – Uśmiechnął się szeroko.

– Musimy stworzyć dwie postaci tak jak w grach RPG. Jeden będzie typem kujona, z nosem utkwionym w książce. Wzorowym synem i uczniem. Musi różnić się również fizycznie. Na przykład będzie się ubierał jak belfer, do tego okularki i inne włosy. A drugi to rozrabiaka. Będzie się ubierał normalnie po ludzku, podkoszulki, bluzy. Żeby byli bardziej charakterystyczni, jednemu damy pieprzyk. No i oczywiście inne uczesanie włosów. Będziemy wymieniać się ubraniami, a nawet telefonami. I codziennie będziemy losować, który z nas jest dupkiem, a który coolgostkiem. Zacznijmy od zaraz. – Wyjąłem monetę. – Rzućmy monetą, kto będzie *cool*. Orzełek to Piotr, reszka Paweł.

Rzuciłem. Wyszedł orzełek.

– Oszukałeś! Nie chcę być dupkiem.

– Przecież codziennie wieczorem będziemy losować, kto jest kim na drugi dzień. Jeśli chcesz, możemy jeszcze raz rzucić monetą. Ty rzuć. – Nigdy się nie spieraliśmy zbyt długo, zawsze któryś z nas ustępował.

Paweł wziął pięćdziesięciogroszówkę.

– Losujemy facia *cool*. Orzełek to ja, reszka to ty – powiedział i rzucił.

Wyszła reszka. Los wybrał, że to Piotr miał być tym złym, a Paweł tym dobrym. Potem codziennie wieczorem odbywało się losowanie – powtarzaliśmy to codziennie przez ponad jedenaście lat. Żeby było trudniej i ciekawiej, coraz częściej zaczęliśmy bywać osobno w towarzystwie kumpli, a potem zdawaliśmy sobie dokładną relację z tego, co robiliśmy i co mówiliśmy. Później do tych celów korzystaliśmy z dyktafonów. Ta zabawa bardzo nas wciągnęła. Musieliśmy żyć życiem dwóch osób. Stać się dwiema znacznie się różniącymi postaciami. Bywało, że przez kilka dni byliśmy tym samym człowiekiem, co utrudniało ponowne wcielenie się w drugą postać. Wpadkę, gdy nie wiedzieliśmy, co powiedział czy zrobił nasz poprzednik, nazywaliśmy „gafą”. Zawsze pod koniec dnia wpisywaliśmy w zeszyt, kto ile popełnił gaf. Wygrywał ten, kto zrobił najmniej błędów. Co do naszych „gaf”, zawsze z Pawłem byliśmy w tej kwestii uczciwi, prawie nigdy nie oszukiwaliśmy. Raz przyłapałem Pawła na „gafie”, do której się nie przyznał.

– Kurwa, Klon, tak się nie bawię. Musimy być wobec siebie uczciwi, bo inaczej nici z naszej gry.

– Dobra, Klon, słowo honoru, że więcej tego nie zrobię.

Te nasze zaniki pamięci niepokoiły mamę. Początkowo podejrzewała nas o wzajemne podszywanie się pod siebie, ale nasze oburzenie zbiło ją trochę z pantałyku, dlatego postanowiła zaprowadzić nas do lekarza. Zrobiono nam wszystkie możliwe badania, z tomografią głowy i EEG włącznie. Zbadano nam tarczycę, przysadkę mózgową i korę nadnerczy, bo czasami przy niedoczynnościach zdarzają się zaburzenia pamięci. Sprawdzono poziom hormonów i witaminy B1, B12 i kwasu foliowego. Wykluczono zespół Hakima, zatrucie me-

talami ciężkimi oraz stany obniżonego przepływu krwi przez mózg. I niczego nie znaleziono. Lekarze rozkładali ręce, nie wiedząc, co nam dolega. Przeszliśmy mnóstwo prostych testów i poszerzoną diagnostykę neuropsychologiczną, by ocenić nasze funkcje poznawcze. Diagnoza wykazała, że pamięć, koncentrację, myślenie, uwagę i funkcje językowe mamy obaj na nieprzeciętnym poziomie. Specjaliści zaczęli podejrzewać jakąś nieznaną chorobę dziedziczną charakterystyczną tylko dla bliźniaków jednojajowych, a że bliźniaków jednojajowych nigdy nie było za dużo, dlatego wiedza medyczna mogła nie zarejestrować takich przypadków. Wszystkie badania przechodziliśmy bez słowa sprzeciwu, nie do końca zdając sobie sprawę z powagi sytuacji. Woleliśmy cierpieć i być narażonym na dyskomfort, niż przyznać się do oszustwa. Oczywiście koszt poniesionych badań i ich inwazyjność dla organizmu były dla nas mało istotne. Gdy się powiedziało A, trzeba powiedzieć również B. Nie mogliśmy zdradzić naszej tajemnicy, bo gdyby wykryto prawdę, konsekwencje byłyby dla nas bardzo przykre. Dzięki temu dziwnemu „schorzeniu” mieliśmy wytłumaczenie naszych wpadek, bo jeśli nam coś nie wyszło, mogliśmy to zrzucić na amnezję krótkotrwałą. Cudownym lekarstwem na naszą przypadłość okazały się dyktafony.

Największym wyzwaniem dla nas była mama, bo łatwo było oszukać ojca, nauczycieli i kolegów, natomiast z mamą było dużo, dużo trudniej. Wcześniej przed akcją „Piotr i Paweł” bez trudu nas rozróżniała, ale gdy pod jej sugestią zaczęliśmy tworzyć dwie różne osobowości, trochę się pogubiła. Oczywiście zauważyła sztuczny pieprzyk, ale wytłumaczyliśmy to jako dodatek, żeby nas rozróżniano.

– Mamo, przecież sama mówiłaś, że powinniśmy mieć własną tożsamość, nie być klonem brata. Sam styl ubierania i czesania nie wystarcza, żeby nas nie mylono – powiedziałem. – Paweł i ja chcemy być inni.

– Odkąd to nagle Paweł zaczął interesować się książkami, wcześniej raczej ty byłeś tym czytającym.

Mama miała rację, los pod postacią pięćdziesięciogroszówki, trochę niefortunnie przydzielił nam cechy charakterologiczne. Ta druga osobowość, przypisana bratu, bardziej mi odpowiadała. Bardziej niż on przejawiałem chęć zdobywania wiedzy i poznawania świata, zawsze byłem tym bardziej rozsądnym i mniej impulsywnym bratem. Podejmowałem decyzje ostrożniej i bardziej przemyślnie niż Paweł. To z niego była gorąca głowa, nie ze mnie. A teraz musieliśmy stanąć przed bardzo trudnym zadaniem – zmienić się w oczach mamy. Ale potraktowaliśmy to jako mega wyzwanie, więc tym bardziej przyłożyliśmy się do swoich ról. Pocieszałyśmy się tym, że każdy z nas mógł powrócić na jakiś czas do swojej prawdziwej osobowości. Hmm, prawdziwa osobowość – to nie do końca dokładne określenie, bo tak naprawdę różniliśmy się tylko nieznacznie – i to jedynie w oczach mamy. Tylko ona nas inaczej odbierała i widziała. Dla pozostałych ludzi nawet w kwestii cech osobowych, mentalnych i psychologicznych byliśmy tacy sami, bo różnice naszego usposobienia były prawie niewidoczne.

Zauważyłem, że mama czasami miała wątpliwości. Niejednokrotnie widziałem, jak nam się podejrzliwie przyglądała, obserwowała i zastanawiała, czy nie oszukiwaliśmy. Dlatego cały czas byliśmy w stanie permanentnej autokontroli własnego zachowania. Przez całe pięć lat aż do naszego wyjazdu na studia żyliśmy w napięciu i stresie. Musieliśmy uważać, co mówimy, jak się uśmiechamy, co czytamy i co oglądamy. Nawet spaliśmy w różnych łóżkach, żeby potwierdzić autentyczność granej w danym dniu postaci, bo mama wpadała do naszego pokoju bez uprzedzenia. Wymienialiśmy się również telefonami komórkowymi, dlatego nie mieliśmy żadnych osobistych rzeczy, wszystko było wspólne. To zaszło już tak daleko, że odkrycie prawdy mogłoby przynieść dla nas poważne i przykre konsekwencje. Prawdopodobnie rodzice posłaliby

nas na różnego typu terapie, a może nawet do zamkniętego ośrodka psychiatrycznego, co wiązałoby się z rozłąką, a to dla nas byłaby największa kara. Obu nam się wtedy wydawało, że nie potrafilibyśmy żyć w pojedynkę.

Z perspektywy czasu wiem, że to, co robiliśmy, nie było normalne. Sami sobie narzuciliśmy idiotyczne zasady i zamiast z nich zrezygnować, brnęliśmy coraz bardziej. Nasze postępowanie miało sporo wspólnego z objawami zaburzenia dysocjacyjnego tożsamości nazywanej osobowością mnogą. Każdy z nas miał dwie skrajne tożsamości i tylko tym się różniliśmy od chorych dotkniętych tą dysfunkcją, że robiliśmy to świadomie. W gruncie rzeczy nigdy nie byliśmy sobą. Ani osobowość Piotra, ani osobowość Pawła nie odpowiadała mojej prawdziwej jaźni. Nie wiedziałem, kim naprawdę byłem. Mój brat również. Przez niefrasobliwość stworzyliśmy dwa dziwaczne golemy, dwie istoty bez duszy. Każdy psychiatra i psycholog zauważyłby u nas poważne zaburzenia psychiczne, ale obaj nie dopuszczaliśmy do siebie myśli, że jest z nami coś nie tak.

## Rozdział 31

### Piotr

Na szczęście dla naszej psyche stres towarzyszący nam w domu trochę odpuścił, gdy wyjechaliśmy na studia do Krakowa. Oczywiście wybraliśmy tę samą uczelnię i ten sam kierunek. AGH, Wydział Zarządzania, kierunek zarządzanie. Na pierwszym roku mieszkaliśmy na stacji, bo nie przysługiwał nam akademik, potem zakosztowaliśmy życia w akademiku, ale stwierdziwszy, że jednak lepiej nam było na stacji, wywołaliśmy na rodzicach, żeby wynajęli nam mieszkanie. Nasze życie się nie zmieniło, nadal na przemian byliśmy Piotrem i Pawłem, z tą różnicą, że teraz nie towarzyszył nam stres tak jak wtedy, gdy mieszkaliśmy w domu. Gdyby nawet ktoś odkrył nasze szachrajstwo, nie miałyby to znaczenia. Raczej nam jednak to nie groziło, bo nikt nie był tak spostrzegawczy jak mama.

Nasze przebieranki umieliśmy odpowiednio wykorzystać. Przeważnie uczył się tylko mądry i solidny Paweł, Piotr mógł być nieprzygotowany. Tak było w szkole, a potem na studiach. Często się zdarzało, że w trakcie lekcji czy egzaminu wychodziliśmy do toalety, bo nagle któryś z nas zasnął. Nagłe omdlenie i zanik pamięci zwałaliśmy na naszą bliźniaczą przypadłość. Postaraliśmy się nawet o odpowiednie zaświadczenie lekarskie tłumaczące nasze dziwne schorzenie. Zawsze ten zdrowy brat szedł z omdłym do WC, żeby się nim opiekować. Lekarze i wykładowcy przeważnie na to zezwalali, chociaż bywało też, że niektórzy nie respektowali takiego zwolnienia. Kiedy nam się udało dostać do toalety, szybko się przebieraliśmy, by się wcielić w drugiego klona, który był lepiej przygotowany do zajęć. Na studiach również panowała zasada, że lepszym studentem jest kujon Paweł, ale niestety Piotr też musiał zdawać egzaminy. Tylko na maturze nie



przeszedł ten numer, dlatego Piotr miał dużo lepszą cenzurkę niż Paweł, co wprowadziło w osłupienie całe grono pedagogiczne naszego liceum. No cóż, pech chciał, że pięćdziesięciogroszówka częściej wybierała mnie na Pawła. Maturę jednak postanowiliśmy zdawać pod prawdziwym imieniem, tak jak i egzamin wstępny na studia, bo baliśmy się prawnych konsekwencji, gdyby wyszło na jaw nasze oszustwo... no i dlatego doszło do naukowego *faux pas*. Zamieszanie dotyczące naszej wiedzy naukowej najbardziej zaskoczyło rodziców, a mamę ponownie postawiło na baczność. Znowu zaczęła coś podejrzewać. Na szczęście Paweł potrafił wiarygodnie wytłumaczyć, że nie podeszły mu pytania, no i stres zrobił swoje.

Studiów nigdy nie traktowaliśmy zbyt serio. Przyjechaliśmy do Krakowa, bo chcieliśmy wyrwać się z Żurady, poznać trochę świata i uciec spod zbyt dociekliwych spojrzeń mamy. Kochaliśmy ją i uwielbialiśmy, ale za bardzo trzymała nas pod kloszem. Było w tym trochę niekonsekwencji, bo z jednej strony chciała, żebyśmy bardziej integrowali się z rówieśnikami, ale z drugiej lubiła mieć nad nami kontrolę i nie spuszczać z nas oczu. Tata nie miał takich oczekiwań. Wystarczało mu, gdy byliśmy zdrowi i nie sprawialiśmy kłopotów. Był zadowolony, że byliśmy bezpieczni i niczego nam nie brakowało. Dbał o rodzinę, na pewno nas po swojemu kochał, ale częste towarzystwo synów nie było dla niego ani najważniejsze, ani konieczne. Co innego towarzystwo żony – Lidzia była mu wręcz niezbędna do życia. Dlatego przeżyliśmy prawdziwy szok, gdy pewnego wieczoru ujrzelśmy go w restauracji w towarzystwie innej kobiety.

Miało to miejsce tuż przed naszą maturą, kilka miesięcy wcześniej zdobyliśmy prawo jazdy. Przypadek sprawił, że właśnie w ten feralny dla ojca dzień udało nam się pożyczyć od mamy samochód. Pozwoliła nam pojechać do krakowskiego Multikina na *Władcę Pierścieni*. Po seansie poszliśmy na Rynek Główny, żeby w kawiarnianym ogródku zjeść lody i napić się kawy. Nagle zauważyliśmy ojca. Siedział przy stoliku i czaro-

wał ładną, młodą kobietę, dużo młodszą od mamy. Nie byliśmy dziećmi, wiedzieliśmy, co oznaczają takie spotkania kobiety i zamężnego mężczyzny, a umanicurowana dłoń tej cizi dotykająca uda ojca rozwiała wszelkie wątpliwości.

– Co za skurwysyn z naszego starego – warknął Paweł. – Jak ten bydlak może robić to naszej mamie. Pójdę do niego i walnę go w pysk.

– Hmm, dziś to ty jesteś Pawłem, Klonie – burknąłem, również zniesmaczony. – Pawłowi nie wypada bić własnego ojca.

W tym momencie ojciec nas dostrzegł. Na jego twarzy widać było zmieszanie. Wstał, żeby do nas podejść, ale pociągnąłem brata i obaj szybko oddaliliśmy się od kawiarnianych stolików. Do domu wrócił chwilę po nas. Podszedł do mamy, z którą rozmawialiśmy w salonie, i pocałował ją w policzek. Na ten widok aż się w nas zagotowało. Powstrzymałem Pawła spojrzeniem i bez słowa poszliśmy do swojego pokoju. Ojciec nigdy nie poruszył z nami tego tematu. Nie próbował się tłumaczyć ani nie obiecywał, że się to więcej nie powtórzy. Ale chyba powiedział mamie, bo przez tydzień między nimi były ciche dni. A potem znowu wszystko wróciło do normy.

– Jak ona mogła mu to wybaczyć?! – zawołał gniewnie brat. – Nie rozumiem jej. Gdyby mnie zdradzono, nigdy bym tego nie zapomniał. – Spojrzał na mnie pochmurnie. – Dziś jestem Piotrem, pójdę i dam mu w zęby.

– Jako rozsądny Paweł, odradzam ci. To ich sprawa. Nam nic do tego.

– Ale on ją zdradza! I prawdopodobnie nie pierwszy raz. A może ją okłamał i nie powiedział całej prawdy? Ta wypindrzona ździra chwytła go za jaja!

– Za udo, nie za jaja.

Po zachowaniu mamy nie zauważyliśmy, żeby przeżywała traumę. Albo się do tego przyzwyczaiła, albo rzeczywiście oj-

ciec nie powiedział jej wszystkiego. Nie mogłem również zrozumieć ojca; przecież wszyscy wiedzieli, że nie widzi świata poza mamą, dlaczego więc ją zdradzał?! Wtedy byliśmy jeszcze prawiczkami, pewne sprawy dotyczące relacji damsko-męskich były dla nas niezrozumiałe. Później się przekonałem, że w tej sferze też nie wszystko jest czarne lub białe, tu również jest wiele odcieni szarości.

Chociaż mama była dla nas najważniejszą osobą, ojca także kochaliśmy. Liczyliśmy się z jego zdaniem, cieszyliśmy się, gdy nas pochwalił, i bardzo pragnęliśmy jego uwagi – niestety rzadko kiedy miał dla nas czas. Mama była od przytulania, pocieszania i rozwiązywania problemów, natomiast ojciec od kupowania markowych ciuchów, drogich gadżetów i najnowszych gier komputerowych. Byliśmy w szkole najlepiej ubrani i mieliśmy najnowocześniejszy sprzęt. Trochę nam tego zazdroszczono, ale mimo to byliśmy raczej lubiani zarówno w podstawówce, jak i w liceum. Przed naszą wizualną transformacją taktowano nas jak unikatowe okazy, dwa niegroźne dziwadła, którymi można się pochwalić, ale lepiej się z nimi nie spoufalać.

## Rozdział 32

### Piotr

Życie seksualne zaczęliśmy dość późno, bo dopiero na studiach. Chłopaki z klasy przechwalali się swoimi erotycznymi zdobyczami, a my wciąż byliśmy prawiczkami. Zabrakło nam odwagi, żeby poderwać dziewczynę, a potem zaprosić na randkę. Może to wydawać się dziwne, bo byliśmy przystojni i podobaliśmy się koleżankom w szkole, z żadną jednak się nie umówiliśmy. Przyczyna chyba tkwiła w tym, że dotychczas wszystkiego uczyliśmy się robić wspólnie, poczynając od jazdy na rowerku, kończąc na grach komputerowych. Było nam różnie stawiać pierwsze kroki, mając obok siebie swojego klona – hmm, a seksu raczej się nie uprawia w asyście brata. Oczywiście tak jak wszyscy nastoletni chłopcy przechodziliśmy okres nadpobudliwości seksualnej. Wszystko nam się kojarzyło z seksem, wzwód mieliśmy na samą myśl, co dziewczyny ukrywają pod bielizną. Zaspokajaliśmy się w klasyczny młodzieńczy sposób – w wannie lub pod prysznicem. Co dziwne, rzadko rozmawialiśmy o seksie. Dotąd nigdy nie mieliśmy przed sobą żadnych tajemnic, ale tego tematu unikaliśmy. Wstydziliśmy się onanizmu, bo obaj mieliśmy obawy, czy to normalne, co robimy w łazience. Chociaż posiadaliśmy komputery, niektóre strony, między innymi te z pornografią, były dla nas zablokowane. Z nikim nie mogliśmy o tym szczerze porozmawiać. Ani z ojcem, ani z kumplami.

W czystości cielesnej, tak lansowanej przez katechetów i księży, żyliśmy aż do przyjazdu do Krakowa. Ojciec w nagrodę, że dostaliśmy się na studia, kupił nam auto, pięcioletniego golfa. Obaj mieliśmy prawko od ponad roku i krótki staż za kierownicą fiesty naszej mamy. Mama udostępniała nam swoje auto, żebyśmy mogli zdobyć pierwsze szlify na w miarę bezpiecznych drogach powiatu olkuskiego, a nie w Krakowie,

gdzie są korki, ciasne uliczki i mnóstwo aut. Będąc rozsądną kobietą, wiedziała, że jazda samochodem to jedna z podstawowych umiejętności człowieka XXI wieku, tym bardziej gdy się mieszka w małej miejscowości. Dobrze pamiętała swoje powroty z uczelni do rodzinnego domu i koszmar z tym związany. Nie było busików, autobusy z Krakowa do Olkusza jeździły rzadko, a z Olkusza do Żurady jeszcze rzadziej. Dlatego schowała do szuflady swój lęk dotyczący zagrożeń na drodze i namówiła ojca, żeby kupił nam samochód.

Mama nie pracowała w swoim zawodzie. Zaraz po studiach wyszła za męża, a mąż był gorącym wyznawcą patriarchalnego modelu rodziny. Ojciec uważał, że mężczyzna jest od zarabiania pieniędzy, a kobieta od ich wydawania, dbania o dom i dzieci. Przy bliźniętach zawsze było co robić, dlatego na początku małżeństwa status kury domowej mamie nie przeszkadzał, dopiero później odczuła brak własnej realizacji zawodowej. Niestety siedem lat niańczenia chorowitych bliźniaków spowodowało, że mama wypadła poza margines zawodowy, a kryzys gospodarczy, bezrobocie i reforma oświaty jeszcze dodatkowo pogłębiły ten problem. Będąc nauczycielką historii, nie miała dużej szansy na znalezienie etatu w szkole, a na pracę sprzedawcy nie pozwalał jej mąż. Kiedy firma ojca zaczęła dobrze prosperować, znalazło się tam również miejsce dla mamy. Wkrótce opanowała kadry i sztukę księgowości i została główną biurwą od mebli, szefową innych biurw.

Naszą wyprowadzkę z domu najboleśniej odczuła mama, natomiast ojcu prawdopodobnie było obojętne, czy będziemy obecni na kolacjach – jemu wystarczała obecność Lidzi. Natomiast my z Klonem od razu całą piersią zaczerpnęliśmy uroków wolności i swobody. Kiedy mieszkaliśmy z rodzicami, obowiązywało nas wiele zasad i reguł, teraz nareszcie mogliśmy żyć tak, jak pragnęliśmy. Wolność, wolność, wolność – jak to pięknie brzmi.

Pierwsze, co zrobiliśmy po wyjściu rodziców z naszego wynajętego dwupokojowego mieszkania, to skoczyliśmy do sklepu, by kupić piwa. Konsekwencje zdobytej wolności najbardziej odczuły nazajutrz nasze głowy. Kac był wyjątkowo dokuczliwy, dlatego nie poszliśmy na rozpoczęcie roku akademickiego. Na zajęciach pojawiliśmy się dopiero po dwóch dniach. Wcześniej rzadko się upijaliśmy, teraz musieliśmy to nadrobić... tak jak wiele innych spraw. Dlatego w sobotę zamierzaliśmy iść na dyskotekę, żeby złowić jakieś panienki. Najwyższy czas, byśmy wreszcie zostali mężczyznami.

## Rozdział 33

### Piotr

Wybraliśmy klub Zaścianek znajdujący się w miasteczku studenckim. Mieszkaliśmy rzut beretem od tego miejsca, bo przy ulicy Piastowskiej. Szukaliśmy tak położonego mieszkania, żebyśmy mieli niedaleko zarówno na uczelnię, jak i do centrum studenckich imprez.

Dzień wcześniej, tak jak zwykle wieczorem, rzuciliśmy monetą, który z nas będzie Pawłem, a który Piotrem. Tym razem miałem się wcielić w Pawła – intelektualistę w okularkach, zakochanego w książkach i logarytmach. Mój brat miał zostać tym przebojowym, uroczym rozrabiaką, któremu w głowie nie nauka, tylko imprezy i dziewczyny. Akurat na dyskotekę ten typ charakterologiczny był bardziej intratny – w dosłownym tego słowa znaczeniu. Dużo większe szanse na zysk w postaci ładnej laluni do łóżka miał facet pokroju Piotra, a nie ktoś taki jak Paweł. W duchu przekląłem swój pech. Pierwsza dyskoteka z prawdziwego zdarzenia, a ja miałem być tym mniej atrakcyjnym klonem. No cóż, mus to mus.

W tłumie podrygujących ładniutkich laseczek wytropiliśmy dwie zgrabne blondynki, Olę i Anię. Tej ładniejszej, Oli, tak jak przypuszczałem, wpadł w oko mój brat, dlatego mnie przypadła Ania. Od razu zauważyliśmy, że dziewczyny przychylnie zerkają w naszą stronę, co dodało nam odwagi. W tamten wieczór byliśmy bardziej onieśmieleni niż Ola i Ania, dlatego to one wybierały, nie my. Później, gdy pozbyliśmy się wstydlwego syndromu prawiczka, decyzja „kto z kim” należała do nas, a nie do dziewczyn.

Podeszliśmy do kółka, gdzie podrygiwały owe dziewoje, i dość niezgrabnie zaczęliśmy również podrygiwać. Kiwalismy się przez dwie piosenki, przesyłając dziewczynom przeci-

ągłe spojrzenia i uwodzicielskie uśmiechy. Tak jak się umówiliśmy, „Piotr” pierwszy do nich zagadał, ja miałem być jego cieniem.

– Cześć. Jestem Piotr – powiedział. – A to mój klon Paweł.

– Dlaczego klon? Jesteście do siebie bardzo podobni, ale trochę się różnicie, a klony powinny być identyczne – odparła Ola, ta ładniejsza, szczerząc zęby do brata.

– Jesteśmy bliźniakami. Ale ja urodziłem się piętnaście minut wcześniej, dlatego on jest moim klonem – rzucił mój stały tekst.

– Starszym, ale głupszym – odparłem. – Ciągłe ode mnie ściąga. Gdyby nie ja, to nie zdałby matury.

– Co studiujecie, dziewczyny? – zapytał brat.

– Psychologię na UJ-ocie – odparła ta brzydsza, Ania, uśmiechając się do mnie. – A wy?

– AGH, Wydział Zarządzania.

Nowo poznane blond dziunie chętnie dołączyły do naszego stolika, a potem równie chętnie pojechały do naszego wynajętego mieszkania. Kilkanaście dowcipów, kilka komplementów i jedna duża finlandia wystarczyły, żeby rozruszały dziewczyny, a nam dodać odwagi. Później nastrojowa muzyka, parę tanecznych przytulank i „Piotr” wraz z Olą zniknęli w mniejszym pokoju. W tym dużym zostaliśmy ja i Ania. Nie wychodząc ze swojej roli, opowiadałem wyczytane gdzieś ciekawostki, a potem wziąłem się za całowanie. W tej kwestii również byliśmy amatorami, ale dziewczynom to nie przeszkadzało albo nie zauważyły, że robimy to pierwszy raz.

W sumie obu nam poszło nie najgorzej, chociaż później wspominaliśmy ten pierwszy raz z pewnym niesmakiem i żenowaniem. W każdym razie osiągnęliśmy cel – przestaliśmy być prawiczkami.



Rano, trochę skacowani, ale zadowoleni, że najgorsze mamy już za sobą, zdaliśmy sobie relację. Ku mojemu zdziwieniu Paweł wyjął z kieszeni monetę.

– Hmm, Klon, może dziś sobie odpuścimy? – mruknąłem.

– Dlaczego?

– Musimy się jakoś z tym oswoić. To dla nas nowość. Lepiej poćwiczmy na tych samych laskach.

– Nie. Nie możemy robić precedensu. Orzełek to „Piotr”. Dziś ty rzucasz monetą.

Z pewnym ociąganiem wziąłem pięćdziesięciogroszówkę i rzuciłem. Na szczęście wypadła reszka. Odetchnąłem z ulgą. Ponownie zostałem przypisany do Ani. Dopiero czwarty rzut monetą zaprowadził mnie w objęcia Oli. Bałem się nie tylko tego, że mogę zostać rozszyfrowany, lecz także tego, jak zostaną ocenione moje świeżo zdobyte przy Ance umiejętności seksualne. Czy w łóżkowej konfrontacji Ola nie rozczaruje się nowym „Piotrem”? Mogłoby to doprowadzić nie tylko do ośmieszenia mnie jako kochanka, lecz także przynieść klępkę całemu naszemu przedsięwzięciu. Chociaż nie studiowaliśmy na tych samych uczelniach co dziewczyny, wieść o bliźniakach udających drugiego brata mogła się szybko roznieść i spowodować przykre dla nas konsekwencje.

Na szczęście Ola i Ania nie zauważyły podmianki. Ola nawet nagrodziła mnie komplementem.

– Robisz postępy, Piotrek – powiedziała, dysząc głośno, gdy skończyliśmy. – Jesteś coraz lepszy.

– Tak? Miło mi, że tak uważasz. Nie lubię imienia Piotrek, mów mi Piotr – burknąłem, przez co o mały włos nie doszło do wpadki.

– Nie wiedziałam. Cały czas tak do ciebie mówię, i nigdy ci to nie przeszkadzało – zauważyła, wzruszając ramionami.

Nie pochwaliłem się bratu komplementem, bo mogłoby mu być przykro, ale za to opieprzyłem, że nie zwraca uwagi na takie niuanse jak zdrobnienie mojego imienia.

– Zapamiętaj, głąbie, że Piotr nie lubi być nazywany Piotrkim – powiedziałem. – O mało co nie doszłoby do „gafy”.

– Przecież i tak wszyscy mówią ci „Piotrek”.

– Ale zawsze się o to oburzam.

– Oburzasz się, ale i tak oni dalej zdrabniają twoje imię.

– Podczas pięciu randek w łóżku powinieneś jednak chociaż raz zwrócić jej uwagę.

Wiedziałem, że to przesada, ale chciałem dać upust rozdrażnieniu, które mi towarzyszyło podczas tych chwil sam na sam z inną dziewczyną. Nie miałem oporów moralnych, lecz obawę, że coś pójdzie nie tak. Podszywanie się pod drugiego brata dotychczas nie niosło aż tak dużego ryzyka zdemaskowania. Tylko przy mamie musieliśmy bardzo uważać, inni ludzie postrzegali nas jako całość – dla nich byliśmy po prostu bliźniakami. Z nikim nie kumpłowaliśmy się aż tak blisko, żeby analizowali dokładnie nasze słowa i zachowania. Przeważnie wszędzie chodziliśmy we dwóch, rzadko kiedy wypuszczaliśmy się pojedynczo, bez asysty klona, dlatego nie zastanawiano się, który bliźniak co powiedział i co zrobił. Teraz, gdy byliśmy sam na sam z dziewczyną, i to w bardzo intymnej sytuacji, łatwo było popełnić błąd.

Ale nas to nie zraziło, nadal graliśmy w swoją grę.

Z Olą i Anką spotykaliśmy się jeszcze jakiś czas, a potem poszliśmy na inną dyskotekę. Schemat obowiązywał taki sam. Zawsze podrywaliśmy dwie koleżanki, potem zawsze umawialiśmy się na wspólne randki i codziennie pod koniec dnia losowaliśmy, kim będziemy nazajutrz. Większość czasu spędzaliśmy w czwórce, tylko te chwile w łóżku były kameralne. Zdarzało nam się odgrywać tę samą rolę i sypiać z tą samą

koleżanką przez kilka dni z rzędu, ale czasami moneta robiła psikusy i codziennie zmieniała nam repertuar. Dziś Piotr, jutro Paweł, znowu Piotr, a potem Paweł. Nie lubiłem takiego kalejdoskopu. Wołałem, żeby moje tożsamości były bardziej stabilne. Tak naprawdę to wołałem być Pawłem, a mój brat Piotrem, niestety moneta źle przydzieliła nam osobowości. Teraz jednak za późno było na zmiany. Główny problem tkwił w mamie, która mogłaby nabrać podejrzeń, gdyby Piotr nagle stał się czytany i racjonalnie podchodzącym do życia erudytą. Okulary narzuciły Pawłowi konkretny wizerunek i trzeba było się tego trzymać.

Nasz proceder trwał przez następne pięć lat. Wzięliśmy roczny urlop dziekański, bo spodobało nam się studenckie życie. Swoboda, wolność i beztraska. Ojciec był hojny, a mama wpatrzona w nas jak w ósmy cud świata, dlatego mogliśmy pozwolić sobie na przedłużone bachanale młodości. Wiedzieliśmy, że wkrótce trzeba będzie się ustatkować i wrócić do Żurady, bo oczekują tego rodzice. Imprezowanie i randkowanie były głównym nurtem naszego studiowania, zajęcia na uczelni, kolokwia i egzaminy jedynie tą ciemniejszą, poboczną stroną bycia studentem. Nie wiązaliśmy przyszłości zawodowej z naszymi dyplomami, wiedzieliśmy, że w Żuradzie czekała na nas meblarska firma ojca, którą mieliśmy kiedyś przejąć.

Przyszła maj, zbliżał się koniec naszej młodości. Wkrótce czekała nas obrona. Wtedy jeszcze nie przypuszczaliśmy, jakie zmiany przyniosą nadchodzące dni.

W maju poznaliśmy Ciebie.

## Rozdział 34

Mark Biegler zostawił swoją rodzinę w leśnej posiadłości teścia nazywanej przez wszystkich domkiem Świętej Zośki i wyjechał szutrową dróżką w stronę Żurady. Przyjechał tu poprzedniego dnia z żoną Martą i dwójką małych dzieci. Bardzo lubił tu przebywać nie tylko latem, lecz także jesienią, a nawet zimą. Dom umiejscowiony w środku lasu był enklawą ciszy i spokoju... kiedy nie było dzieci. Długo z żoną czekali na pojawienie się potomstwa. Chociaż byli ze sobą dziewięć lat, dopiero niedawno zostali rodzicami. Stracili pierwsze dziecko, gdy Marta, będąc w dziewiątym miesiącu ciąży, spadła ze schodów i poroniła, czego następstwem była też bezpłodność. Dopiero wyjazd do Adelajdy, gdzie kiedyś przez wiele lat mieszkała babka Marty, Barbara Orłowska-Johanson, poskutkowało dwójką rozwrzeszczanych maluchów. Mark uwielbiał żonę i bezgranicznie kochał dzieci, ale czasami chciał od nich odpocząć, chociaż na godzinkę. Odkąd, za namową Barbary, przyjął sprawę Piotra Cisowskiego, jego życie ponownie zaczęło nabierać rumieńców. Nie dało się ukryć, że rutyna dnia i brak ciekawych wydarzeń wpędziły go w marazm codzienności. Był dziennikarzem i pisarzem pracującym zdalnie w domu, dochodziła jeszcze pandemia i związane z tym obostrzenia, dlatego brakowało mu kontaktu z ludźmi. Chociaż rodzina Orłowskich była liczna i codziennie się wszyscy spotykali przy kolacji, to brakowało mu obcych twarzy, interesujących spraw do załatwienia i ciekawych zagadek do rozwikłania. Postanowił w najbliższym czasie zrobić licencję detektywa. Nie dla pieniędzy, bo na szczęście miał inne źródła utrzymania, ale dla własnej satysfakcji i ubarwienia życia. Nie planował brać wszystkich zleceń, jak inni detektywi, tylko te interesujące. Mógłby pozwolić sobie na odrzucanie spraw zlecanych przez zazdrosnych mężów i żony, jakie przeważały w pracy detektywa. Dużym plusem przyszłej profesji niewąt-

pliwie była bliska znajomość z komisarzem policji Ryszardem Biedą. Już wiele razy pomagali sobie wzajemnie, ale profity i splendor związane z rozwikłaniem kryminalnych kazuśów dotychczas przypadały policjantowi. Mark zadowalał się osobistą satysfakcją, poczuciem spełnienia dobrego uczynku i obywatelskiego obowiązku. Świadomość, że przyczynił się do ukarania winnego, była dla niego równie cenną nagrodą jak pieniądze.

Biegler i Bieda nie próżnowali. Dzięki dostępowi do policyjnych akt wiedzieli dość sporo o śmierci Pawła Cisowskiego. Wiele rzeczy przemawiało za tym, że nie był to wypadek. Według Biedy istniało wiele wątpliwości i znaków zapytania, które przeoczyli olkuscys śledczy. Wynik autopsji niby wykluczało udział osób trzecich, ale ekspertyza samochodu nie była przekonująca, ponieważ przewody hamulcowe były niesprawne. Albo z powodu tej wady pękły pod wpływem uderzenia w drzewo, albo ktoś wcześniej je uszkodził. Tajemniczy zamach na życie Piotra także świadczył, że oba zajścia mogły być w jakiś sposób powiązane. Zarówno policja olkuska, jak i krakowska umorzyły obie sprawy. W pierwszym przypadku nalegała rodzina zmarłego, a w drugim sam poszkodowany. Teraz, za przyczyną komisarza Drewnika i Piotra Cisowskiego, ponownie się nimi zainteresowano.

Bieda zaczerpnął nieco informacji na temat przewoźnika, z którego usług korzystała firma PoLiHen Henryka Cisowskiego. Na razie nic nie świadczyło, że mogli być zamieszani w jakiś przemysł. Z tego, co wyczytał z oficjalnych danych, spółka przewozowa była na rynku od dwudziestu lat i specjalizowała się w przewozach towarów przede wszystkim do Europy Zachodniej. Najczęstszym państwem, do którego zagładały ich tiry, były Niemcy, Holandia i Francja. Bieda na razie nie miał podstaw prawnych, by wnikać głębiej w transakcje TransSilesii, ani wypytywać o kierowców, którzy jeździli z meblami z Żurady. Z nieoficjalnych źródeł dowiedział się

jednak, że na Śląsku od dwóch lat działała w biznesie narkotykowym jakaś nowa grupa.

Mark postanowił wypytać rodzinę i najbliższych znajomych Cisowskich o Pawła, pragnąc dowiedzieć się czegoś, o czym nie powiedział mu Piotr. Śmierć Pawła niekoniecznie musiała mieć związek z handlarzami narkotyków, bo miał on tak zagmatwane życie prywatne, że wiele osób z jego bliskiego otoczenia pragnęłoby się go pozbyć. Na myśl o braciach Cisowskich pokręcił głową. Hmm, nie przypuszczał, że takie rzeczy naprawdę mogą się zdarzać. No cóż, czasami życie pisze tak dziwaczne scenariusze, że nawet scenarzysta o wybujałej wyobraźni nie wymyśliłby czegoś podobnego. Dziwił się, jak mogło im się to udawać.

Biegler postanowił najpierw popytać Kieresów. Babkę, ojca i piękną Marcelinę. Nie zastał dziewczyny w jej krakowskim mieszkaniu pod adresem, który zdobył komisarz Bieda, liczył więc, że może mu się uda ją spotkać w Żuradzie.

Zajechał pod dom Leszka Kieresa. Drzwi otworzyła kobieta po siedemdziesiątce. Wanda Kieres. Kiedy wyjawiał jej powód wizyty, zmarszczyła brwi, ale wpuściła go do środka.

– Piotrek pana wynajął? Ale po co? Czy Heniek, to znaczy jego ojciec, wie o tym?

– Nie wiem, jeszcze nie rozmawiałem z panem Henrykiem Cisowskim. Ale wydaje mi się, że powinien być zainteresowany wyjaśnieniem śmierci swojego syna.

– Przecież już wyjaśniono. Był to tragiczny wypadek. Tak uważa policja. Tak uważa Heniek. Ja również tak uważam – mruknęła. – Napije się pan czegoś? Herbaty, kawy?

– Nie, dziękuję. Piłem niedawno w domu.

– W domu w Krakowie czy w domu Świętej Zośki?

– To pani wie, że czasami tam mieszkam? – zdziwił się. – Skąd mnie pani zna?

– W Żuradzie wszyscy wszystko wiedzą. Kiedy robię zakupy u Wiśki Sawickiej, zawsze się chwali rodziną swojej córki. Renaty nie uczyłam, bo skończyła podstawówkę rok wcześniej, zanim zaczęłam tam pracować. Ale znam ją z widzenia i z opowieści jej matki. Zresztą widziałam kiedyś pana w sklepie Sawickiej, a mam dobrą pamięć do twarzy. – Kobieta się rozgadała. – Pawła i Piotrka również uczyłam. Uczyłam też ich matkę. Była moją powinowatą, mój mąż był jej wujkiem.

– Dobrze się składa, że na panią trafiłem. – Biegler przesłał kobiecie uśmiech. – Nie wiedziałem, że pani robi zakupy w sklepie teściowej mojego teścia. Sklep pani Sawickiej jest położony dość daleko od państwa domu.

– Zgadza się. Prawie taką samą drogę mam do Olkusza jak do sklepu Wiśki, ale wolę dać zarobić swojemu niż obcym ludziom. Z Wisią sobie pogadam, dowiem się, co ciekawego dzieje się w Żuradzie, a w Olkuszu tego nie mam. Jeżdżę do niej na rowerze albo robię sobie spacerki, a potem odbiera mnie syn albo wnuczka lub sąsiadka. Zna pan Dianę, żonę Pawła?

– Tak, ze słyszenia. – Wolał nie mówić, że była z Piotrem u niego w Krakowie.

– Mieszkamy po sąsiedzku. To dobra dziewczyna, pomocna i usłużna.

– Tak? Jeszcze z nią nie rozmawiałem. – Odchrząknął – Czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

Z twarzy kobiety zniknął uśmiech.

– Niech pan pyta. Nie rozumiem, w czym mogłabym pomóc, ale słucham.

– Jaka jest pani opinia o Pawle Cisowskim?

– O zmarłych nie powinno się źle mówić, ale za nim nie przepadałam. Po ślubie bardzo się zmienił. Przedtem, w dzieciństwie i w młodości, uchodził za tego grzeczniejszego, roz-

sądniejszego i bardziej odpowiedzialnego bliźniaka. Lepiej się uczył, był solidniejszy i bardziej czytany niż Piotr. Z fizyki i chemii miał u mnie zawsze piątkę. Ale wtedy lubiłam ich obu. Nie wiem, czy zmieniły ich studia w Krakowie, bo w tym okresie nasze kontakty były sporadyczne. Lidzia zawsze mówiła o nich dobrze, to prędzej Heniek narzekał, ale na Piotra, nie na Pawła. Dopiero gdy Paweł się ożenił i zamieszkał obok mojego syna, zaczęliśmy częściej się spotykać. Syn sprzedał im działkę na korzystnych warunkach. A po śmierci synowej przenieśliśmy się do Leszka, żeby opiekować się nim i wnuczką. Wtedy stałam się częstym gościem w domu młodych Cisowskich. Bardzo polubiłam jego żonę Dianę. Według mnie nie zasługiwał na nią, była dla niego za dobra.

– A więc nie uważała pani ich małżeństwa za udane?

– Tego nie powiedziałam. Diana nigdy na niego nie narzekała, nawet słowem się nie poskarżyła, ale ja wiedziałam swoje. Nie podobało mi się, jak się do niej odnosił.

– Stosował przemoc?

– Nie, ale był niegrzeczny, czasami wulgarny. Nigdy nie pomagał jej w domu. Wszystko musiał mieć postawione na stół. Dziwiłam się, że ona to toleruje, bo mój syn całkiem inaczej zachowywał się w stosunku do żony. Nawet Heniek nigdy tak nie traktował Lidzi, chociaż nie był święty. – Kobieta przerwała, jakby się zreflektowała, że powiedziała za dużo.

– Co pani przez to rozumie?

– No cóż, Cisowscy są przystojnymi mężczyznami i podobają się kobietom. – Wzruszyła ramionami.

– Paweł również się podobał, prawda? Słyszałem, że miał romanse. Czy jego żona o nich wiedziała?

– Nie wiem, nigdy mi się z tego nie zwierzała. Wciąż była w nim zakochana, a zakochane kobiety nie widzą wad u ukochanego. Albo nie chcą ich dostrzec. – Zawahała się. – Wydaje



mi się, że Diana dlatego była tak tolerancyjną żoną, bo nie miała nikogo innego na świecie. Była sama jak palec. Po śmierci jej babci Cisowscy byli jej jedyną rodziną.

– Skąd pani wiedziała, że Paweł ją zdradzał? Widziała go pani z jakąś kobietą?

– Nie widziałam, ale słyszałam od ludzi.

– A czy wiedziała pani o jego romansie z pani wnuczką?

Kobieta zmarszczyła brwi z niezadowolenia.

– Nie wiedziałam. I nadal wątpię, czy to prawda.

– Po tym zamieszaniu ze zniknięciem wnuczka nie przyznała się ojcu ani pani, że spotykała się z Pawłem?

– Skąd pan wie o tym wszystkim? – Tym razem pofalowało się całe czoło kobiety.

– Przecież jestem detektywem. – Biegler uśmiechnął się rozbrajająco. – Naprawdę niczego się pani nie domyślała?

– Nie – odparła sucho.

Biegler stwierdził w duchu, że w tej kwestii kobieta nie powie nic więcej.

– Czy przed śmiercią Pawła zauważyła pani coś dziwnego w jego zachowaniu?

– Co niby miałam zauważyć? Byłam blisko z jego żoną, nie z nim.

– Nie zauważyła pani, żeby się z kimś spotykał, przecież późno wracał do domu?

– Zawsze późno wracał. – Znowu wzruszyła ramionami. – I zostawiał wszystko na głowie Diany. Nawet koszenie trawy. Nie zajmował się dziećmi, nie pomagał w domu i niczego nie naprawił, gdy się coś zepsuło. Diana musiała szukać wtedy pomocy u mojego syna albo Heńka. Mam na myśli drobne usterki, do których nie wzywa się fachowca. Kiedyś spaliła się

żarówka w suficie podwieszanym i dziewczyna nie mogła tam dosięgnąć. Przez miesiąc prosiła Pawła, żeby ją zmienił, i się nie doczekała, dopiero mój Leszek to zrobił.

– Chciałbym jeszcze porozmawiać z pani synem. Kiedy wróci do domu?

– Nie wiem, ale nie szybko, bo ma dyżur w pracy.

– A wnuczka?

– Skąd mam wiedzieć? Ona mieszka w Krakowie.

– W krakowskim mieszkaniu jej nie ma.

– Czy ma pan jeszcze jakieś pytania, bo muszę wyjść z domu?

– Już wszystko. Dziękuję za informacje. Do widzenia.

Po wyjściu z domu Kieresów Biegler skierował się w stronę posiadłości Diany Cisowskiej.

# Rozdział 35

## Piotr

Na początku maja złapałem anginę ropną. Pierwszy raz chorowałem sam, bo przeważnie wszystkie infekcje przechodziliśmy wspólnie z Pawłem. Miałem wysoką temperaturę i cholernie bolało mnie gardło. Nasza gra chwilowo została zawieszona, bo chory Piotr nie mógł udawać zdrowego Pawła. Zostałem w domu, a mój brat wybrał się z kolegą z roku na piwo. Zazdrościłem mu, bo pogoda była piękna, a ja leżałem w łóżku.

Wrócił wieczorem trochę podпиты.

– Fajną dziunię dziś poznałem – powiedział. – Umówiłem się z nią na jutro.

– Coo? Beze mnie? – wycharczałem przez obolałe gardło.

Akurat wtedy nie spotykaliśmy się z żadnymi dziewczynami. Ze względu na czekającą nas obronę pracy magisterskiej postanowiliśmy zrobić przerwę od balang i randek. Tymczasem Paweł się wyłamał.

– Zapytam, może ma jakąś koleżankę. Spodobała mi się i jest z Żurady, chociaż nigdy tam nie była.

– Czy ty majaczysz? Posłuchaj sam siebie.

– To znaczy pochodzi z Żurady, ale wyjechała w wieku niemowlęcym i od tego czasu nigdy tam nie była.

Nie drażyłem tematu, bo nie za bardzo mnie interesowała laska z Żurady, która nigdy nie była w Żuradzie. Jeszcze przez tydzień leżałem w łóżku, gdy Paweł umawiał się z Tobą na randki. Po każdym spotkaniu zdawał mi dokładne relacje. Spodobałaś mu się.

– Wiesz, fajna ta Diana.

- To przyprowadź ją do nas.
  - Żeby się zaraziła? Poczekam, aż wyzdrowiejesz.
  - Ma jakąś ładną koleżankę?
  - Chyba nie. Jej lokatorka jest beznadziejna. Jak się wykurujesz, to cię wyślę na randkę z tą moją laseczką.
- Spojrzałem zdziwiony.
- Bez koleżanki? Nigdy tak nie robiliśmy.
  - Już mi się znudziła tamta wersja. Teraz będziemy strzelać do jednej bramki. Może być ciekawie. Tym razem mój brat Piotr będzie ukryty, nie przedstawię cię Dianie.
  - Boisz się, że Piotr bardziej by się jej spodobał?
  - Właśnie, że nie. Czuję podskórnie, że bardziej pasuje jej usposobienie Pawła. Dlatego będziemy tylko Pawłem.
  - Hmm, nie za bardzo mi się to podoba. Może się skapnąć i wyjdzie z tego niezła chryja. Kończymy studia, nie ma sensu wprowadzać zamętu na sam koniec. Gdy mieliśmy podwójne randki, łatwiej nam było uniknąć „gafy”.
  - Będzie trudniej, ale przez to ciekawiej.
  - Zbyt duże ryzyko. Nie wiem, o czym gadaliście na poprzednich randkach. Wypisuję się z tego, Klon. Umawiaj się z nią, jeśli masz ochotę, ale nie chcę w to wchodzić – powiedziałem.
  - Pękasz? Taki z ciebie cienias?
  - Zastanów się, człowieku, co proponujesz. Jak to sobie wyobrażasz? Przecież nawet nie wiem, jak ta dziewczyna wygląda! Nie mam zielonego pojęcia, o czym gadaliście.
  - Przecież zdawałem ci dokładną relacje z każdej randki – warknął. – Wycofujesz się z naszej umowy, Klon? – Twarz Pawła zrobiła się nieprzenikniona, ale oczy ciskały gniewne błyski. Zacisnął zęby.

Rzadko kiedy się kłóciliśmy. Nie lubiłem, gdy Paweł się na mnie gniewał, był dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Pękleń.

– Okej, Klon. Niech ci będzie – skapitulowałem.

Pierwszy raz zobaczyłem Cię trzy dni później. Z grubsza wiedziałem o Tobie prawie wszystko, bo, jak już pisałem, brat codziennie zdawał mi relację, gdzie byliście, co robiliście i o czym rozmawialiście. Tak naprawdę to niczego oprócz gadania nie robiliście. Paweł mi powiedział, że jesteś sierotą, że kilka miesięcy temu umarła Ci babcia, która była jedyną Twoją bliską krewną.

Wymyśliłem wycieczkę do Ojcowia, bo nie wiedziałem, co mam z Tobą robić. Bałem się kawiarnianych rozmów o niczym, a wycieczka w plener dawała większe możliwości znalezienia jakichś tematów. Wiedziałem, jak wyglądasz, bo Paweł pstryknął Ci kilka fotek. Dostrzegłem Twoją urodę, ale nie przypuszczałem, że w realu jesteś aż tak ładna. Ale to nie Twoja aparycja mnie oczarowała, tylko Ty sama.

Od razu Cię rozpoznałem. Stałaś pod Adasiem i patrzyłaś na gołębie dziobiące ziarenka pszenicy. Uśmiechałaś się do nich tak ładnie, że od razu poczułem do Ciebie sympatię. Podszedłem do Ciebie od tyłu, zasłoniłem Ci oczy i zapytałem:

– Zgadnij, kto to?

– Nie wiem, czekam na Pawła – odparłaś z uśmiechem.

To miał być dowcip, ale inaczej to odebrałem.

Oswobodziłem Cię z objęć, a Ty się odwróciłaś z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Hmm, to jednak pan Paweł Cisowski we własnej osobie, a nie jakiś dowcipniś – powiedziałaś.

– Czy nie mówiłem Ci, że mam brata? Mógłby to być on.

– Jasne, że mówiłeś, ale twój głos rozpoznam wszędzie.

Pocałowałem Cię w policzek i w rękę.

– O, jakie miłe powitanie – powiedziałaś. – Dotąd nigdy mnie tak ładnie nie witałaś.

Cholera, Klon nie powiedział mi wielu szczegółów. Jeśli nie zrobię „gafy”, będzie cud – pomyślałem.

– Bo nigdy tak ładnie nie wyglądałaś. To znaczy zawsze jesteś ładna, ale dziś wyjątkowo – plotłem trzy po trzy. – Mam dla ciebie niespodziankę. Porywam cię na wycieczkę.

– Na wycieczkę? Dokąd?

– Do Ojcowca. Mój brat nadal jest chory, dlatego mam auto tylko dla siebie, trzeba to wykorzystać. – Klon mi powiedział, że wiesz o bracie i jego chorobie, ale Ci nie wspomniał, że jesteśmy bliźniakami.

– Wciąż jest chory? – Zmarszczyłaś brwi. – Powinien iść do dobrego lekarza. To trochę niepokojące, że tak długo ma anginę.

– Mnie wcale to nie niepokoi, bo dzięki temu mam auto tylko do własnej dyspozycji – powiedziałem z uśmiechem rozrabiaki. Od razu się zreflektowałem, że schodzę na poziom „Piotra”, dlatego zaraz dodałem: – Już nic mu nie jest.

– No to kiedy go poznam?

– Nie wiem. Wybiera się do Żurady, bo mama chce go postawić na nogi. Dopiero teraz się jej przyznał, że był chory. Nasza mama jest okropną histeryczką. Jedziemy?

Pojechaliśmy. To był piękny dzień, mimo że złapała nas ulewa. Nigdy wcześniej nie spędziłem tak miło czasu z żadną dziewczyną. Inna sprawa, że rzadko kiedy bywałem z dziewczyną sam na sam, oczywiście nie licząc chwil w łóżku. Zauroczyłaś mnie, Diano. Kiedy patrzyłem na Ciebie ociekającą wodą, gdy deszcz rzeźbił w sukience zarys Twojego kształtnego ciała, wydawałaś mi się najpiękniejszą i najbardziej poci-

ągającą dziewczyną na świecie. Chciałem patrzeć i patrzeć na Ciebie, pocałunkiem rozwiać smutek z Twoich oczu, gdy mówiłaś o babci, i znowu przywołać na usta uśmiech. Byłaś taka niewinna, taka samotna i zagubiona, a mimo to promieniało od Ciebie wewnętrzne ciepło i radość. Coś dziwnego się ze mną działo. Czegoś takiego jeszcze nie doświadczyłem. Chciałem być z Tobą, chciałem się z Tobą kochać, przytulać Cię i pieścić, ale ośmieliłem się tylko na pocałunki. Nie miałem ochoty wracać do domu i zdawać Pawłowi relacji z naszego spotkania. Te chwile pragnąłem zostawić tylko dla siebie i się nimi później delektować.

Zauważyłem, że coś podobnego również się działo z Tobą. Ale nie wiedziałem, ile z tych uczuć należy się mnie, a ile Pawłowi. Spotykałaś się z nim już prawie dwa tygodnie, na pewno bardziej się przysłużył, że czułaś ten stan uniesienia i to narastające pragnienie, które dostrzegłem w Twoich oczach.

Nie było słów, były spojrzenia, czułość dotyku i pocałunku.

Jeszcze się nie rozstaliśmy, a już tęskniłem za Tobą.

Tak jak myślałem, pierwsze, co zrobił Paweł, to zapytał, jak wyglądała randka, co mówiliśmy i jakie były moje wrażenia.

– No i jak? Co o niej myślisz?

Nie chciałem okazywać euforii i zachwytu Tobą, dlatego tylko wzruszyłem ramionami.

– Fajna.

– Co robiliście?

– Byliśmy w Ojcowie. Zmokliśmy, bo złapała nas ulewa.

– Było jakieś bara-bara?

– Nie.

– Tobie też było głupio dobierać się do niej, co?

– Przecież to nasze pierwsze spotkanie.

– Nie pierdol, Klon, oficjalnie spotykamy się od dwóch tygodni. Kurwa, nie wychodź z roli. Całowaliście się?

– Tak.

– Pozwoliła ci na coś więcej?

– Mówiłem ci, że nie próbowałem.

– Ciebie też zanudzała opowieściami o babci?

– Kurwa, nie bądź takim cynikiem, Klon – warknąłem. – Ta dziewczyna niedawno straciła jedyną bliską jej osobę. Więcej empatii, gnoju!

– Nie unoś się. Współczuję jej, naprawdę, ale ileż można słuchać tego samego. – Wyjął monetę. – No to losujemy, kto jutro jest Pawłem. Kto wyrzuci orzełek, ten idzie na randkę.

– Słuchaj, dajmy już spokój tym idiotyzmom. Przecież to, co robimy, jest chore – bąknąłem.

– Już o tym rozmawialiśmy – wycodził brat. – Nie możemy się teraz wycofać.

– Niby dlaczego nie możemy? Ty możesz być Pawłem lub Piotrem, wybór należy do ciebie, ja się dostosuję. Mogę całe życie chodzić w okularkach i udawać nudziarza.

Przyglądał mi się spod przymkniętych powiek. Na ustach majaczył mu uśmiezek, ale w oczach dostrzegłem złość.

– Wpadła ci w oko Diana, co, Klon? – zapytał. – Dlatego chcesz zostać na zawsze Pawłem? Ale nic z tego, bo ja nie lubię stagnacji. Rzucaj monetę.

Stchórzyłem i tym razem, bo nie miałem ochoty na kłótnię.

Nigdy wcześniej tak bardzo jak wtedy nie pragnąłem odgrywać roli Pawła. Serce mi waliło, gdy z nateżeniem patrzyłem, co mi przyniesie pięćdziesięciogroszówka. Niestety zrobiła ze mnie Piotra.



Cały dzień byłem rozkojarzony i wściekły. Staralem się wybić sobie Ciebie z głowy. Przecież to była tylko jedna randka! Dziewczyna jak dziewczyna. Są ich tysiące. Niektóre laski, z którymi się spotykaliśmy, były nawet ładniejsze i miały większe cycki niż ona – powtarzałem w duchu. Ale z dziwnym niepokojem czekałem na powrót brata. Przyszedł późno, dobrze po północy. Wiedziałem, że pracowałaś do dziewiętnastej, dlatego umówiliśmy się po Twojej pracy. Hmm, nie umówiliśmy się, Ty się umówiłaś z Pawłem...

– Klon, ale jaja, wiesz, że ona była dziewicą?! – zawołał Paweł w progu. – Musiałaś wczoraj niezłe nawijać, bo dziś sama zaproponowała, żebym poszedł do jej mieszkania. Zawsze wiedziałem, że masz niezłą gadkę, lepiej robisz z siebie romantyka niż ja, ale nie przypuszczałem, że wasza wczorajsza randka będzie dla mnie taka owocna. Dzięki, Klon – zawołał. – Ale jaja, prawdziwa dziewica! Nie przypuszczałem, że takie jeszcze istnieją! Myślałem, że można je spotkać tylko w przedszkolu. – Spojrzał na mnie. – Coś taki markotny? Tak w ogóle to rozdziewiczenie panienki to żadna przyjemność.

– Idę spać do swojego pokoju. Dzisiaj cały czas boli mnie głowa – mruknąłem, z trudem hamując emocje.

– Do swojego pokoju – przedrzeźnił mnie brat. – Nie mamy swojego pokoju, my mamy dwa NASZE pokoje i oba służą nam do kopulacji. Wszystko mamy wspólne. Jesteśmy jednym człowiekiem w dwóch ciałach.

– Kurwa, przestań bredzić – warknąłem i wyszedłem.

W nocy nie mogłem spać. Męczyły mnie wizje. Ty z Pawłem i moja z nim kłótnia. Obraz Ciebie i Pawła namiętnie się kochających, nakładał się na wykrzywioną złością i zalem twarz mojego brata. Oba widoki były dla mnie przykre.

Obudził mnie Paweł. Wszedł do pokoju i usiadł na skraju łóżka.

– Przepraszam za wczoraj – powiedział. – Klon, jesteś dla mnie najważniejszy, nie chcę, żeby poróżniła nas jakaś dziwnia. Nie wiem, jak to wytłumaczyć, ale nie wystarczam sobie sam, czuję dziwne pragnienie bycia również tobą. To, co robimy, to nie tylko zabawa, lecz także potrzeba, żebym nie był nieszczęśliwy. Wydaje mi się, że wtedy się uzupełniamy, a towarzysząca temu adrenalina wzbogaca nas wewnątrznie. Chyba nie umiałbym teraz bez tego żyć. Ty chyba nie czujesz więzi, która nas łączy tak mocno jak ja. Zawsze byliśmy razem, zawsze wszystko wspólnie robiliśmy, nawet tak samo myśleliśmy. I właśnie dlatego byliśmy niezwykli. Unikatowi. Ale tylko w dwójkę. Pojedynczo bylibyśmy przeciętniakami jak cała reszta facetów w naszym wieku. Proszę, Klon, nie niszczonej teraz naszej wyjątkowości, bo to mnie zniszczy. Niech nadal będzie tak, jak było. Błagam...

Dałem się przekonać. Rzuciliśmy monetą. Tego dnia Pawłem miałem być ja.

# Rozdział 36

## Piotr

Poszedłem na randkę z Tobą, uzbrojony w rezerwę i obojętność. Przywitałem się tak, jak robił dotychczas mój brat – tylko pocałunkiem w policzek. Uśmiechałaś się do mnie trochę niepewnie, a w Twoim spojrzeniu widziałem nieśmiałość i małe zawstydzenie.

Dziś nie pracowałaś, mieliśmy więc więcej czasu dla siebie. Najpierw poszliśmy na obiad do Zalipianek na Szewskiej, którą prowadziła Ewa Wachowicz. Zachowywałem się jak na randkach z poprzednimi dziewczynami. Dowcipkowałem, opowiadałem śmieszne anegdotki, co chwila złośliwie komentując najnowsze wydarzenia w Polsce. Bardziej przypominałem Piotra niż Pawła. Ty też to zauważyłaś.

– Jesteś dziś jakiś inny... Czy po tym, co wczoraj się stało, czujesz rozczarowanie? – zapytałaś, unikając mojego spojrzenia.

– Ależ skąd! – zaprzeczyłem gwałtownie i nieszczerze. – Dlaczego tak uważasz?

– Podobno najfajniej jest gonić króliczka, a gdy już zostanie złapany, zainteresowanie mija. Kiedy mężczyzna już zdobędzie kobietę, przestaje mu zależeć.

Parsknąłem śmiechem.

– Skąd wzięłaś takie wydumane rewelacje? Gdzie to wyczytałaś?

– Babcia tak mówiła.

– Nie chcę podważać autorytetu twojej babci, ale chyba słabo znała się na mężczyznach. – Uśmiechnąłem się cieplej niż przedtem. – Zjedźmy i chodźmy stąd.

– Dokąd?

– Pojedziemy do mnie.

– Poznam twojego brata?

– Nie, pojechał do domu, do Żurady. Mama będzie mu gotować pożywne obiadki. Dlatego aż do jedenastej mamy wolną chatę. Potem wraca z pracy nasz wujek, który w tym czasie będzie u nas mieszkał. – Wymyśliliśmy to z bratem, gdybyś czasami nabrała ochoty na nocleg w naszym mieszkaniu. – U niego jest remont.

Pół godziny później byliśmy już na Piastowskiej. A pięć minut potem w łóżku.

Pamiętasz ten wieczór? Ten nasz pierwszy raz? Ja nigdy go nie zapomniałem. Po raz pierwszy kochałem się z dziewczyną, którą kochałem – chociaż wtedy jeszcze nie byłem do końca pewien, czy to miłość. Wcześniej, z innymi dziewczynami, uprawiałem jedynie seks. Teraz było całkiem inaczej. Pamiętam twoją nieśmiałość, gdy Cię rozbierałem, pamiętam zakłopotanie, kiedy pieściłem Twoje ciało, i pamiętam niepewność, gdy w Ciebie wchodziłem. Zapamiętałem też, jak powoli budziło się w Tobie pożądanie. Jak najpierw leżałaś nieruchomo, skrępowana wciąż nową dla Ciebie intymnością, jak później nieśmiało mnie dotykałaś i jak wreszcie również Ciebie dopadł zmysłowy szal. Okazałaś się gorącą i namiętną kochanką. Uczyłem Cię stawiania pierwszych kroków w sztuce erotyzmu, odkrywania nowych doznań, spełniania pragnień i fantazji. Oczywiście ten proces miłosnych eksploracji trwał dłużej niż jedno nasze zbliżenie. Ten czas poznawania i nauczania seksualnych rozkoszy rozciągnął się na całe trzy miesiące naszej znajomości. Ale tamten wieczór był pierwszym etapem Twojej fizyczności. Dla mnie również był czymś nowym, ja też się uczyłem. Ale nie seksu czy nowych pozycji, bo w tej kwestii miałem już mistrzowskie papiery. Uczyłem się erotycznej czułości, tkliwości i uważności, których zabra-

kło mi przy poprzednich partnerkach. Nauczyłem się szczodrości w dawaniu rozkoszy i bezinteresowności. Wcześniej też starałem się zadowolić dziewczyny, ale z egoistycznych pobudek – chciałem, żeby im było dobrze w łóżku, bo pragnąłem poklasków jako kochanek. Teraz pragnąłem Cię uszczęśliwić.

Pamiętam, jak tego wieczoru leżeliśmy przytuleni do siebie. Przyłgnęłaś do mnie tak ufnie, tak niewinnie na mnie patrzyłaś, że poczułem się jak ostatni łajdak.

– Dziś było cudownie – szepnęłaś. – Inaczej niż wczoraj.

– Czy dlatego, że wczoraj cię bolało?

– Nie, prawie w ogóle mnie nie bolało. Ale jakoś tak było inaczej... Ty też byłeś inny.

Zastygłem.

– Dlaczego tak uważasz?

– Sama nie wiem.

– Wytlumacz mi, chcę wiedzieć – dopytywałem zaniepokojony.

– Dziś byłeś bardziej czuły i... – Przerwałaś, jakbyś szukała odpowiednich słów. – I bardziej mi bliski. Wczoraj między nami istniał pewien dystans, a dziś jest znów tak jak w Ojcowie. No i dziś odczuwałam większą przyjemność z seksu.

– Bo wczoraj był twój pierwszy raz – stwierdziłem. – Czego się napijesz? Zrobić drinka? A może chcesz wino albo piwo?

– Poproszę herbatę.

Zostawiłem Cię w łóżku i poszedłem do kuchni. Potem powtórzyliśmy numerek, wcześniej zaliczając kąpiel w wannie.

Kwadrans przed dwudziestą trzecią wyszliśmy z mieszkania, żeby brat mógł wrócić. Był w kinie na dwóch seansach.

Odwiozłem Cię do domu i umówiliśmy się na następne spotkanie. Wieczorem pięćdziesięciogroszówka zdecydowała, że Pawłem będzie Paweł.

Spotykaliśmy się w ten sposób przez trzy miesiące. Każdego wieczoru, kiedy rzucaliśmy monetą, modliłem się w duchu, żeby orzełek przypadł mnie. Kilka razy oszukiwałem, żeby zostać Pawłem, jednak co drugi dzień rzut należał do brata i wtedy różnie to bywało, ale generalnie więcej randek mnie udało się wylosować. Nie zorientowałaś się, co się naprawdę dzieje. Byłaś zbyt naiwna, zbyt uczciwa i zbyt ufna, żeby podejrzewać kogoś o tak diabelski układ, w który zostałaś uwikłana. Owszem, zauważyłaś dziwne zachowanie swojego chłopaka, który często zmieniał usposobienie i z czułego kochanka potrafił się przemienić w dość oziębłego cynika. Czasami zdarzało mu się zapomnieć, co mówił do Ciebie dzień wcześniej, ale nie doszukiwałaś się w tym niczego niepokojącego. Zadowalałaś się wytłumaczeniem, że Twój facet miał zły dzień i dlatego nagle zmieniło mu się nastawienie do życia. Uwierzyłaś również, że luki w pamięci są spowodowane specyficzną chorobą genetyczną.

– Pawełku, czasami mi się wydaje, że związałam się z dwoma facetami, o dwóch obliczach – powiedziałaś kiedyś. – Raz jesteś taki... cudowny, taki, jakiego sobie wymarzyłam, a na drugim spotkaniu stajesz się obcy.

Zmroziło mnie.

– Co przez to rozumiesz? – zapytałem, starając się nadać głosowi obojętność.

– Na przykład dziś jesteś tym, w którym się zakochałam, ale w każdej chwili możesz zmienić się w tego drugiego. Nie wiem, jak to ci wytłumaczyć. Ale robisz się wtedy inny. Wytwarzasz pewien dystans i obcość. Nie lubię cię takiego. Inaczej na mnie patrzysz, nawet w głosie czuję inną nutkę. Jakby

już przestało ci na mnie zależeć. – Zabrzmiało to smutno i smutek też miałaś w oczach.

– Dianka, chyba przesadzasz. – Zbyłem to żartobliwym uśmiechem, chcąc rozładować sytuację. – Każdy z nas może mieć inny nastrój. Tobie też się zdarza, że jesteś w złym humorze.

– To nie to. Nie chodzi mi o humor. Na przykład dziś wydajesz mi się bardzo bliski. Jesteś taki czuły. Dostrzegasz mnie – odparłaś, przytulając się do mnie. – Lubię, gdy nazywasz mnie Dianką.

– Dostrzegam cię? – Zaśmiałem się nieszczerze. – Hmm, trudno nie dostrzec takiej laski jak ty. Chodźmy na miasto, zobaczysz, ilu facetów cię dostrzeże.

– Mam na myśli uważność. Czasami, tak jak dziś, jesteś przy mnie, rozumiesz mnie, nie boję się przed tobą otworzyć. A w inne dni odnoszę wrażenie, jakbyś był duchem gdzie indziej i jakbym cię nic nie obchodziła. Nie koncentrujesz się, gdy do ciebie mówię, a potem zapominasz, co powiedziałam. To nie amnezja, tylko brak uwagi. Albo brak zainteresowania.

– Kochanie, to tylko twoje wrażenie. – Uśmiechnąłem się uspokajająco. – Zawsze jesteś dla mnie ważna.

Objąłem Cię i pocałowałem.

– Jeśli coś ci nie pasuje, zwróć mi uwagę, dobrze? Powiedz: Paweł, dziś jesteś inny, nie lubię cię takiego. I znowu będę sobą.

Po powrocie do domu powtórzyłem bratu tę rozmowę.

– Klon, wychodzisz z roli – burknąłem. – Masz być Pawłem, a nie Piotrem. Więcej czułości i romantyzmu. I uwagi. Słuchaj, co ona do ciebie mówi.

– Narzekała na mnie? No to kupię jej jutro kwiatki i powiem jakiś wiersz. – Brat wzruszył ramionami.

Z każdym naszym spotkaniem coraz bardziej mi na Tobie zależało. Pojawiło się również inne uczucie, dotąd mi nieznane. Zazdrość. Wcześniej nigdy niczego Pawłowi nie zazdrościłem. Nigdy również nie byłem zazdrosny o dziewczynę. Teraz zazdrość wypełniała mnie niczym krew arterie. Kiedy brat szedł na spotkanie z Tobą, oprócz zazdrości pojawiały się również inne emocje: wściekłość, zawiść i nienawiść. To ostatnie uczucie najbardziej mnie niepokoiło, było niczym trucizna. Zaczynałem nienawidzić osoby najbliższej mi na świecie. Chciałem to przerwać, wykorzystując moment, gdy Paweł zaproponował pójście na dyskotekę.

– Klon, może wybierzemy się jutro do Zaścianka albo jakiegoś innego klubu, bo dawno nigdzie nie byliśmy? Hmm, powoli zaczyna się już robić trochę nudno. Diana jest fajna, ale... No cóż, przy tej samej dziurze żaden kot długo nie wytrzyma – powiedział, wracając z randki. – Jutro ona pracuje, dlatego się nie umówiłem.

Poczułem przyływ złości, ale udało mi się szybko ją zatamować.

– Nigdzie nie idę, ale ty możesz – odparłem spokojnie. – Wiesz, Klon, musimy to zakończyć. Nie mogę tak dalej.

– Gównu mnie obchodzi, czy możesz, czy nie możesz – warknął. – Nie zakończymy tego. Jeszcze nie teraz. – Przez chwilę przyglądał mi się w milczeniu. – Klon, za bardzo się zaangażowałeś. Nie jestem głupi, widzę, co się z tobą dzieje.

– A ja widzę, że Diana ci się już znudziła. Znajdź sobie jakąś inną dziewczynę...

– Nie – przerwał stanowczo. – Nie ma mowy. Jeśli nie chcesz iść na dyskotekę, okej. Ale nie zrezygnuję z Diany. Mam do niej większe prawo niż ty, bo ja ją poznałem i ja ją pierwszy rozdziewczyłem.



– Przecież ci na niej nie zależy...

– Ale zależy mi na tobie, chcę nadal utrzymać nasz układ. Albo ona będzie wspólna, albo żadnego z nas – powiedział twardo. – Jak myślisz, jak by zareagowała, że pukamy ją w dwóch? Czy nadal chciałaby się z tobą spotykać?

– Słuchaj, gnoju, ja jej nie pukam! Ty, owszem, ale nie ja – wysyczałem. – Najwyższy czas, żeby zakończyć to szaleństwo. Obaj nadajemy się do psychiatryka. Czy nie widzisz, co się z nami dzieje? To chore, co robimy. Ona na to nie zasługuje. Koniec losowania.

Wyszedłem z pokoju, głośno trzaskając drzwiami.

Nazajutrz wyszedłem z domu, kiedy brat jeszcze spał. Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić. Zajęcia na uczelni już się skończyły, za kilka dni miałem się bronić. Zrobiłem małą przebieżkę, dotarłem aż do Cichego Kąca. Okrążyłem Błonia dwa razy i padłem ze zmęczenia na trawnik. Nie miałem ochoty na rozmowę z Pawłem, dlatego nie wróciłem na Piastowską, tylko pojechałem do Ojcowia. Autobusem, bo samochód stał pod blokiem.

Szedłem tymi ścieżkami co wtedy z Tobą, odwiedzając te same miejsca. Byłem nawet w Pieskowej Skale pod Maczugą Herkulesa, gdzie zrobiliśmy sobie zdjęcie. I ciągle rozmyślałem o Tobie. Czy Cię wtedy kochałem? Nie wiem. Chyba nie, bo nie dopuściłbym, żeby się Tobą z kimś dzielić. Jeśli mężczyzna naprawdę kocha kobietę, nie pozwoliłby, żeby ktoś inny z nią sypiał.

Miałem ochotę wyznać Ci prawdę, ale bałem się, że Cię stracę.

# Rozdział 37

## Piotr

Kiedy wróciłem do domu, Pawła jeszcze nie było. Usiadłem w fotelu i bezmyślnie patrzyłem na pustą ścianę. Kiedy brat wszedł do mieszkania, wystarczyło jedno spojrzenie i już wiedziałem, że coś się stało.

– Diana jest w ciąży – powiedział i rzucił się na kanapę. Przymknął oczy. – Co teraz zrobimy?

Zamarłem.

– O Boże – wyszeptałem.

Nagle zerwałem się z fotela i stanąłem przy kanapie.

– Jak na to zareagowałaś? – zapytałem. – Co jej powiedziałaś?

Wzruszył ramionami.

– Cóż, przeżyłem szok – mruknął. – Zadzwoiła do mnie, mówiąc, że ma mi coś ważnego do powiedzenia. Hmm, no i powiedziała.

– Kazałaś jej usunąć? – zapytałem złowrogo.

– Zapytałem, czy myśli o zabiegu.

– Dureń – warknąłem. – Czy naprawdę sądzisz, że taka dziewczyna jak ona zdecydowałaby się na zabieg?

– Może byłoby to najlepsze wyjście. Może warto ją przekonać – wydusił.

– Wiesz, Klon, czytałem, że bliźniacy jednojajowi są nie tylko podobni do siebie zewnątrz, lecz także pod względem charakterów są tacy sami – powiedziałem wolno. – Teraz dopiero sobie uświadomiłem, że to bzdura. Różnimy się. I to bardzo.

To nie było prawdą. Wcale nie byłem „tym lepszym”, tylko „tym zakochanym”. Bo spotkałem dziewczynę, na której mi zależało, stąd ta wrażliwość i empatia. Mój brat jeszcze nie doświadczył podobnego uczucia.

– Kurwa, przestań pierdolić! Po prostu patrzę na to z szerszej perspektywy. Jesteśmy młodzi, nie mamy pieniędzy ani pracy. Dziecko zaburzy nam życie. Nie tylko moje i twoje, lecz także Diany. Ona nie ma nikogo, kto by jej pomógł.

– Właśnie, bydlaku. Nie ma nikogo, tylko nas – syknąłem.

– Nawet nie wiadomo, który z nas jest ojcem.

– O, nagle pojawił się problem? – zakpiłem – Przecież niedawno jeszcze gadałeś, że jesteśmy jednym człowiekiem w dwóch ciałach. Nie ma znaczenia, czyj plemnik zrobił jej dzidziusia. To nasze dziecko. Powtarzam: NASZE. Któryś z nas musi się z nią ożenić. Jeśli ty nie chcesz, ja to mogę zrobić.

– Powoli, powoli. Nad tym trzeba się jeszcze zastanowić. W każdym razie potrzebujemy pieniędzy. Jeśli powiemy ojcu, to da nam forszę, ale na skrobankę. Dobrze wiesz, jaki jest. Pamiętasz, jak zareagował, gdy kiedyś wspomniałem, że poznałem dziewczynę z Żurady, córkę Urszuli Barczyk?

– Pamiętam. Był wściekły i zakazał ci się z nią spotykać. Według niego córka dziwki i alkoholiczki też jest dziwką i alkoholiczką. Albo kiedyś nią zostanie. – Potarłem dłonią czoło, jakbym chciał pobudzić płat czołowy mózgu do szybszego myślenia. – Ale może mama go przekona?

– Nie widziałeś miny mamy? W tej kwestii zgadzała się z ojcem i kazała mi z nią zerwać.

– Mówiła tak, bo nie znała Diany. Gdyby ją poznała, zmieniłaby o niej zdanie.

– Nie. Musimy jakoś sami sobie poradzić.

– No to pójdziemy do pracy. Możemy wyjechać za granicę, żeby więcej zarobić – proponowałem.

– I wtedy Diana zostanie tu sama?

– No to jeden z nas wyjedzie, a drugi zostanie.

– Nie, nie chcę się z tobą rozdzielać. Musimy coś innego wymyślić – mruknął.

Już dawno zauważyłem, że Paweł był tym bliźniakiem bardziej przywiązany do brata – mnie łatwiej byłoby żyć bez swojego klona, jemu dużo, dużo trudniej. Stwierdziłem jednak z ulgą, że nie upiera się przy aborcji.

– Powtórz, jak przebiegała wasza rozmowa – zażądałem.

Zdał mi dokładną relację. Znając brata, mogłem sobie wyobrazić, w jakim tonie ta rozmowa przebiegała.

– Idę do niej – rzuciłem. – Muszę ją uspokoić.

– Dzisiaj? Już późno.

Nie zareagowałem, tylko ruszyłem ku drzwiom. Postanowiłem powiedzieć Ci prawdę. Brat jakby czytał w moich myślach.

– Taka wiadomość spowoduje u niej szok – powiedział. – Nie możemy jej teraz wyznać prawdy. To mogłoby zaszkodzić dziecku. Hmm, a może to bliźniacy tacy jak my? – zauważył. W słowach wybrzmiała nutka nostalgii.

– No to ściągnij okulary i się rozbieraj.

Kilka minut później wyszedłem z mieszkania w uniformie Pawła i wsiadłem do auta. Zadzwoiłem domofonem. Po chwili usłyszałem brzdęk otwieranego zamka i wszedłem do klatki. Pokonywałem dwa stopnie naraz, żeby być szybciej w Twoim mieszkaniu.

Wchodząc do pokoju, rozejrzałem się wokół.

– Gdzie twoja sublokatorka? – zapytałem, nie chcąc mieć świadków przy rozmowie.

– Jak zwykle nie słuchasz, co do ciebie mówię – mruknęłaś, a ja przekląłem w duchu Pawła, że mi tego nie powiedział. Po Twojej twarzy było widać, że płakałaś. Miałaś zapuchnięte oczy i ślady łez na policzkach. – Przecież ci mówiłam, że wyjechała do domu i nie będzie jej przez tydzień. Po co przyszedłeś? Już wiesz, że nie usunę ciąży. Nie zmieniłam zdania.

Podszedłem do Ciebie i Cię objąłem.

– Przepraszam, Dianka, za swoje zachowanie. Gdy mi powiedziałaś o ciąży, przeżyłem szok. To walnęło mnie tak nieoczekiwanie, że zgłupiałem. Wystraszyłem się odpowiedzialności... Ale gdy wróciłem do siebie, przemyślałem to wszystko. I już się nie boję.

Pocałowałem Cię, a potem zaczęliśmy się kochać.

Ten nasz stosunek był inny niż poprzednie. Teraz było mniej pożądania, ale więcej miłości. Pieszcząc Twoje piersi, całując Twój kobiecy pęczek, a potem poruszając się w Tobie, by doprowadzić Cię do spełnienia, chciałem wyznać bez słów, jak bardzo Cię kocham. Przeprosić za brata, za jego słowa i zachowanie. A przede wszystkim za to, że JEST. Że dzielę się z nim Tobą i że wciągnęliśmy Cię w ten kuriozalny układ. Chciałem przeprosić za swoją bierność, że nic nie robię, żeby Cię wyciągnąć z tego zgniłego bajora kłamstw i oszustw. Nie mogłem tego wszystkiego wyznać słowami, dlatego chciałem przekazać to intymną czułością...

– Wiesz, jeszcze godzinę temu myślałam, że popełniłam straszny błąd, zakochując się w tobie – powiedziałaś, gdy nasze ciała już się uspokoiły. – Ale teraz jestem szczęśliwa, że się pojawiłeś w moim życiu. Trochę mnie przeraża, że jesteś mało stabilny emocjonalnie, ale również w pewien sposób fascynuje.

Pierwszy raz padło słowo dotyczące miłości. No bo zakochanie to chyba to samo co miłość. Zrobiło mi się ciepło wokół serca.

– Kocham cię, Dianka – wyrwało mi się. Bo właśnie wtedy to zrozumiałem. Tak intensywne uczucie nie mogło być czymś innym niż miłością. – Chyba naprawdę cię kocham – powiedziałem to takim tonem, jakbym sam się temu dziwił, że to możliwe.

Momentalnie się rozpromieniłaś.

– Wiedziałam, że zakochując się w facecie w okularach, dokonałam dobrego wyboru – powiedziałaś wesoło. – Wy, okularnicy, jesteście wrażliwsi, inteligentniejsi i sympatyczniejsi od chłopaków bez okularów. Ja też cię kocham. Boże, jestem taka szczęśliwa. A jeszcze niedawno czułam, jakbym wpadła w czarną dziurę rozpaczy.

## Rozdział 38

### Piotr

Wymyśliliśmy plan, jak zdobyć pieniądze. Na pomysł wpadł Paweł.

– Zrobimy włam.

– Co ty pierdolisz? – myślałem, że żartuje.

– Okradniemy kogoś, kto ma pieniądze i nie odczuje ich braku.

– Kogo, księdza? – prychnąłem.

– Naszego ojca. Forbę trzyma w sejfie. Znamy szyfr, to data ich ślubu.

– Zwariowałeś?! Chcesz okraść własnego ojca?!

– Tak. Pomyśl o naszych dzieciach, ojciec każe ich wyskrobać. – Brat ubzdurał sobie, że to będą bliźniaki.

Ja też wiedziałem, jaki jest ojciec, dla niego skrobanka to jak wyrwanie bolącego zęba. Ojciec wychował się w czasach komuny, gdzie traktowano aborcję prawie jak antykoncepcję.

– Wiemy, jak tam wejść, znamy szyfr i wiemy, że pojutrze znajdzie się w nim niezła sumka. Wypłata dla pracowników – perorował Paweł. – Gdyby nawet coś poszło nie tak, to przecież stary nie wyda nas policji, bo mama mu na to nie pozwoli. – Widząc moją minę, dodał: – On nie poczuje takiej straty, a Diana będzie miała zapewnioną dobrą opiekę, wyprawkę dla dziecka i trochę pieniędzy na początek.

– A jeśli nas wsadzą do pudła? – Wciąż nie byłem przekonany. – Kto się zajmie Dianą?

– Wtedy powiemy, że tylko jeden z nas to zrobił. Oczywiście Piotr, bo jest niegrzecznym synkiem. Nie martw się, będzie-

my losować, który z nas nim zostanie. – Uśmiechnął się zawa-  
diacko.

Zgodziłem się. Miałem opory, ale nie aż tak duże. Wcale nie byłem lepszy od brata, może tylko trochę rozsądniejszy i ostrożniejszy. W tym przypadku chodziło jednak o Ciebie i nasze dziecko. Teraz, z perspektywy czasu, wiem, że było to głupie, tak jak większość rzeczy, które robiliśmy z Pawłem, ale wtedy obaj byliśmy jedynie rozpieszczonymi, egocentrycznymi i niedojrzałymi emocjonalnie szczeniakami, które bez skrępowań, nie licząc się z uczuciami innych, spełniają swoje zachcianki. Nie znaliśmy prawdziwego życia, bo rodzice nie dążyli do tego, żebyśmy szybko dorośli. Patrzyli przez palce na nasze wybryki, nie odmawiali nam żadnych przyjemności i dawali wszystko, czego zapragnęliśmy. A to wcale nie jest ani dobre, ani wychowawcze. Uważam, że to od opiekunów w dużym stopniu zależy, jak ukształtuje się charakter dziecka. Jeśli nie stawia się dziecku żadnych barier i rozpłaszcza je do granic nieprzyzwoitości, to rzadko kiedy zbiera się potem dobre plony. Wiem, że to wielka umiejętność dobrze wychować dziecko i nie każdy to potrafi. Często rodzicielska miłość wypacza obiektywizm i obiera zły kierunek. A czasami DNA naszego potomka jeszcze dodatkowo utrudnia to niełatwe zadanie. Ja i brat byliśmy wyjątkowo uciążliwym „materiałem” do właściwego „obrobienia”, by zrobić z nas porządnych ludzi.

Jak już wspomniałem, wyraziłem zgodę na udział w napadzie na sejf naszego ojca. Nie mieliśmy dużo czasu do namysłu, musieliśmy to zrobić za dwa dni, bo piętnasty był dniem wypłaty. Tylko czternastego każdego miesiąca znajdowała się w sejfie spora kwota. Ojciec płacił gotówką, ponieważ tak zazwyczaj sobie pracowali. Zmieniliśmy jednak scenariusz. Tylko jeden z nas miał dokonać kradzieży, a drugi zapewnić mu alibi.



## Rozdział 39

Diana w asyście małej dziewczynki otworzyła Bieglerowi drzwi.

– Proszę szybko wchodzić, bo kot ucieknie – powiedziała. I właśnie w tym momencie między jej nogami czmychnął do ogrodu czarny kot. – Filuś, wracaj! – zawołała. Kot oczywiście ją zignorował. – Dziś padało, dlatego nie chcę, żeby mi naniósł błota.

– Myślałam, że domofonem dzwonił wujek, a to jakiś pan – zauważyła zawiedziona dziewczynka. – Kiedy przyjdzie do nas wujek Piotr?

– Nie wiem. Teraz nie ma czasu. Karinka, idź do pokoju Igora i sprawdź, czy się uczy.

– Dobrze, mamusiu, przypilnuję go, żeby nie grał na komputerze, tylko żeby się uczył – powiedziała mała i żwawo pobiegła na piętro.

– To jedyny sposób, żeby się jej pozbyć. Uwielbia pilnować starszego brata. – Diana uśmiechnęła się do Marka. – Zapraszam do pokoju.

Biegler z ciekawością rozglądał się po domu, który urządzono ze smakiem i elegancją, ale bez nowomodnego nadęcia.

– Ładnie tu u pani. Jestem w trakcie remontu, dlatego zwracam uwagę na wystrój innych domów.

– Wiem, widziałam.

– No jasne. Całkiem zapomniałem, że pani była u nas.

Detektyw poszedł za gospodynią do pokoju dziennego i klapnął na fotel.

– Czego się pan napije, panie Marku?

- Może bym się napił kawy? – zastanawiał się na głos.
- Już panu podaję, przed chwilą nastawiłam ekspres. – Zniknęła w części kuchennej i po chwili wróciła z kawą i ciastem. – Widziałam pana wchodzącego do domu Kieresów.
- Tak, właśnie wyszedłem od Wandy Kieres – powiedział. – Nie wie pani, kiedy przyjedzie do Żurady jej wnuczka?
- A nie ma jej w domu? Z tyłu pod wiatą stoi jej samochód.
- Jej babcia mówiła, że jest w Krakowie – mruknął pod nosem.
- Może Marcelina gdzieś wyszła – odparła zmieszana, że kłamstwo sąsiadki się wydało.
- Słyszałem, że panie są blisko ze sobą.
- Chyba ma pan na myśli panią Wandę i mnie, bo Marceliny to raczej nie dotyczy. Z tego, co się ostatnio dowiedziałam, blisko z nią był mój mąż – sarknęła. – Nawet bardzo blisko.
- Wcześniej nie wiedziała pani o romansie męża z młodą Kieresówną?
- Nie.
- A... o innych romansach?
- Nie wiem, co ma pan na myśli – odparła sucho.
- Przepraszam za wścibstwo, ale muszę zadawać trochę krępujące pytania, żeby się dowiedzieć jak najwięcej o pani mężu. To mi pomoże wyjaśnić prawdziwą przyczynę jego śmierci.
- Nie, nie wiedziałam o jego romansach – odparła cicho i westchnęła.

Biegler nie był zorientowany, czy Piotr już ją wtajemniczył w sprawę, o których jemu opowiedział, dlatego musiał uważać, jak formułować pytania, żeby nie wygadać za dużo.

– Czy znała pani biznesowych znajomych męża? Z kim rozmawiał przez telefon, z kim się spotykał?

– Nie, w tej kwestii nic mi nie wiadomo. O pracy Paweł nigdy ze mną nie rozmawiał, tylko ze swoim ojcem. Mówił, że dom jest jego azylem od świata pieniędzy, mebli i kontrahentów. Nie poruszaliśmy również tematów dotyczących ojca. Mąż czuł się przez niego zdołowany i tłamszony.

– Mimo to pracował w firmie ojca?

– Tak, bo nie miał dużego wyboru. Nie miał pieniędzy ani odwagi zaczynać wszystkiego od początku. – Westchnęła. – Mój teść jest bardzo wymagającym człowiekiem. Ale również hojnym i rodzinnym. Obiecywał popracować jeszcze tylko kilka lat i przekazać firmę Pawłowi. Mawiał, że kiedy przejdzie na emeryturę, to wyjedzie z Żurady jak najdalej, żeby nie patrzeć, co jego syn wyrabia z PoLiHenem, bo serce pękłoby mu z rozpacz. Dlatego Paweł nie poszedł na swoje, czekał na dzień, kiedy ojciec zdecyduje się zostać emerytem. Nie ukrywam, że dzięki PoLiHenowi żyliśmy dostatnio i nigdy niczego nam nie brakowało. Nie musiałam pracować zarobkowo, mogłam poświęcić się rodzinie. – Ostatnie słowa zabrzmiały dość cierpko.

Mark nie wiedział, jak je rozumieć – czy był to sarkazm, czy rzeczywiście kobiecie pasowało takie życie. Ale wolał nie wgłębiać się w temat, bo to nic nie wносиło do śledztwa. Stwierdziwszy, że rozmowa z Dianą nie posunie go dalej w rozwikłaniu sprawy, postanowił uzupełnić luki wiedzy o Pawle Cisowskim, przepytując jego brata i ojca.

Wypił kawę, zjadł dwa kawałki ciasta i opuścił dom wdowy.

## Rozdział 40

Diana usłyszała dzwonek. Czyżby Biegler coś sobie przypomniał? Poszła otworzyć. W drzwiach stała pani Wanda. Ze zdziwieniem zauważyła na twarzy kobiety duże wzburzenie i niepokój.

– Czy ty wiedziałaś, że Piotr wynajął prywatnego detektywa? – zapytała zdenerwowana Kieresowa.

– Tak, wspominał o tym – odparła niepewnie Diana. – A co?

– Jak to co?! Dlaczego mu na to pozwoliłaś?

– Przecież to nie moja sprawa, jest dorosły.

– Przestań robić ze mnie idiotkę. Myślisz, że nie wiem, co się dzieje? Trochę mi przykro, że trzymasz to w tajemnicy.

Diana spuściła głowę, ale nic nie odpowiedziała kobiecie.

– Nie potępiam cię. Wiem, że miałaś z Pawłem ciężkie życie, chociaż udawałaś, że wszystko było w porządku. Może to trochę za wcześnie, że wchodzisz w nowy związek, gdy nie upłynął jeszcze nawet rok od pogrzebu, ale on przez swoje zachowanie nie zasłużył, żebyś go długo opłakiwała. Rozumiem, że brakuje ci mężczyzny. Jesteś młoda, te sprawy dla niektórych kobiet są ważne, chociaż mnie seks raczej nigdy nie pociągał. Piotrek jest przystojnym i interesującym młodzieńcem, ale... – Zawahała się. – Nie ma sensu, żebym ci go odradzała, bo i tak zrobisz, co będziesz uważała. Dobrze wiesz, że chcę dla ciebie jak najlepiej, dlatego muszę ci to powiedzieć, żebym potem sobie nie wyrzucała, że cię nie ostrzegłam. Piotrek ma jedną zasadniczą wadę: zbyt przypomina swojego brata. To bliźniacy. Bliźniacy jednojajowi. Tacy jak oni nie tylko wizualnie są do siebie ładząco podobni, ale charaktery również mają takie same. Tak ostatnio wyczytałam w internecie. Sama mi mówiłaś, że przed ślubem Paweł też był miły, zakochany i traktował cię jak księżniczkę. I chyba nadal pamiętasz, co się

potem z nim porobiło. Dlatego ja na twoim miejscu uważałabym na Piotrkę, bo możesz wpaść z deszczu pod rynnę. Owszem, teraz się stara, ale co będzie potem? Natura to natura, krew to krew.

– Przecież lubiła pani Piotra. Wynajęła mu dom...

– Ale od tej sytuacji z Marceliną...

– Pani Wandziu, cóż pani opowiada, przecież Piotr w niczym nie zawinił!

– Ale to zdarzenie mi uświadomiło, że lichy nie śpi. Coś tam wtedy musiało zajść, że Marcelina tak nagle wyjechała.

– Próbowwała go poderwać, ale jej się nie udało, dlatego była wściekła.

– To jego wersja. Marcelina mówi co innego.

– A co mówi? – Czoło Diany pofalowało się z niepokoju.

– Że cały czas, cytuję: wysyłał jej sygnały, że mu się podobała – odparła Wanda.

– To nieprawda – powiedziała cicho Diana.

– Oj, dziecko, dziecko. Nie ufaj mężczyźnie, bo to słodycz zanurzona w truciźnie.

– Pani Wandziu, ależ zrobiła się z pani poetka! Powinna pani uczyć polskiego, a nie chemii i fizyki – mruknęła dziewczyna.

– Nie sarkaj, dziewczyno, bo doskonale wiesz, że dobrze ci życzę.

Diana musiała się ugryźć w język, żeby nie powiedzieć, jaka naprawdę jest Marcelina. Z Wandą było tak: ona mogła narzekać na wnuczkę, ale gdyby ktoś inny to zrobił, to wydrapałaby mu oczy.

– Piotrek nie powinien zatrudniać tego detektywa. Po co wyjmować trupa z szafy? – szybko się zorientowała, że za-

brzmiało to niezręcznie, dlatego się poprawiła. – Po co rozgrzebywać stare sprawy. Dla dobra nas wszystkich lepiej, żeby było tak, jak jest – stwierdziła kobieta, unikając wzroku Diany.

# Rozdział 41

## Piotr

Nazajutrz już z samego rana zaczęliśmy przygotowania do skoku. Kluczowym punktem był samochód; nie mogliśmy jechać naszym, bo teoretycznie byliśmy w klubie studenckim w Krakowie. Wpadliśmy na pomysł, że zostawimy auto w warsztacie samochodowym w celu wymiany skrzyni biegów. Dzięki temu dostaliśmy w zamian pojazd zastępczy. Była to srebrna skoda. Przerobiliśmy białym lakierem numery rejestracyjne na wypadek, gdyby ktoś je zapamiętał. Kupiliśmy malarskie ubrania robocze, rękawiczki chirurgiczne i zabawkowy pistolet, ładząco podobny do prawdziwego. Z pawlacza wyciągnęliśmy gumową maskę przedstawiającą twarz Lecha Wałęsy, w którą zaopatrzyliśmy się już wcześniej z myślą o Juwenaliach, ale nigdy jej nie użyliśmy.

A potem był rzut monetą. Rzucił Paweł. Tym razem orzełka wylosował brat; to on miał być złoczyńcą, moim zadaniem było zapewnić nam alibi.

– Dasz sobie radę? – zapytałem niespokojnie. – Może lepiej to ja zrobię napad?

– Nie. Los wybrał mnie.

Bałem się o brata, bo trudniejsza część zadania należała do niego, ale nie było sensu, żebyśmy we dwóch pojechali do Żurady. Tak było bezpieczniej, bo dwie papużki nierozłączki, za jakie nas wszyscy w Żuradzie uważali, nie mogły przecież nic zrobić w pojedynkę. Godziną W miała być północ. Wtedy w zakładzie nie było nikogo oprócz portiera, który zawsze o tej porze smacznie spał. Dobrze znaleźliśmy przyzwyczajenia siedemdziesięcioletniego pana Władysława, bo wszystko robił jak w zegarku. Nie pasowała do niego nazwa ochroniarza, ponieważ do jego obowiązków przede wszystkim należało

sprzątanie terenu i odbieranie telefonów. Funkcję tę dzielił ze swoim szwagrem. Lepszym od Władka dozorcą był Burek – stary wilczur, któremu zamierzaliśmy dać kiełbasę nafaszerowaną środkami nasennymi. To był tylko kamuflaż, bo prawdopodobnie by nie zaszczekał ani na mnie, ani na brata, a jeśli by to zrobił, to tylko z radości, co mogłoby niestety nam zaszkodzić. Ojciec nie zatrudniał prawdziwych ochroniarzy, a kamery były zainstalowane jedynie przed wejściem głównym, na hali produkcyjnej i w magazynach. Tył budynku, gdzie mieściła się część biurowa i gabinet ojca, w którym stał sejf, nie był zabezpieczony, i właśnie tam, przez okienko w piwnicy złodziej miał wejść do środka. Żurada to spokojna miejscowość, było tam tylko kilka kradzieży. Raz włamano się do sklepu Społem, raz do sklepu Sawickiej i raz pewna Cygan-ka sprzedająca dywany okradła mało roztropną gospodynię, która zostawiła ją na chwilę samą w pokoju. No i jeszcze raz doszło do kradzieży podczas pogrzebu właściciela zakładu samochodowego, ale zrobił to zatrudniony tam Ukrainiec. Do niedawna nikt nawet nie zamykał domu na noc, bo uważano Żuradę za miejscowość w pełni bezpieczną. Każdy każdego znał i każdemu ufał. Dlatego Henryk Cisowski nie zaprzętał sobie głowy profesjonalną ochroną.

W czasie gdy brat pojechał do Żurady, ja, udając Pawła, wybrałem się do Zaścianka. Pięć minut przed północą podszedłem do barmanki, która znała braci bliźniaków, ale ich za bardzo nie rozróżniała. W okularkach, z włosami odpowiednio ułożonymi na żelu i w marynarce idealnie odgrywałem rolę Pawła.

– Cześć, Anka. Nie widziałaś mojego brata? – zapytałem.

– Nie.

– Nie mam zegarka, która godzina? – zapytałem. W dobie komórek pytać o to to mała przesada, ale chciałem, żeby zapamiętała godzinę. – Cholera, spóźniłem się dziesięć minut. – westchnąłem, gdy odpowiedziała na pytanie. – Jeszcze się tro-



chę tu pokręcę, ale gdyby przyszedł i mnie już nie było, to powiedz mu, że wracam do domu.

– Okej.

Dwadzieścia minut później podszedłem do niej ponownie, ale jako Piotr. W toalecie zmieniłem marynarkę na bluzę polarową, którą miałem w plecaczku, zdjąłem okulary i zrobiłem na policzku pieprzyk.

– Hej. Co słychać? – powiedziałem szeroko uśmiechnięty, z miną niepoprawnego uwodziciela. Piotr bardziej jej się podobał niż Paweł – tak jak wszystkim innym dziewczynom. Jedynie Ty preferowałaś okularników.

– Pytał o ciebie twój brat – odpowiedziała z kokieteryjnym uśmiechem.

– Dawno?

– Dochodziła północ. – Spojrzała na zegarek. – A więc dwadzieścia minut temu. Mówił, że wraca do domu.

– Kurwa, nie mógł poczekać? – mruknąłem, udając niezadowolonego.

– Myślał, że już nie przyjdiesz, bo się trochę spóźnił, a ciebie nie było.

– No tak, mój braciszek nie uznaje studenckiego kwadransa dłuższego niż kwadrans. – Ponownie się uśmiechnąłem. – Aniu, ślicznie dziś wyglądasz. Kiedy wreszcie się ze mną umówisz?

– Wtedy, gdy zaproponujesz mi randkę.

– A więc wtedy, gdy zostanę panem magistrem inżynierem, dobrze?

– Dobrze. A kiedy to będzie?

– Za kilka dni.

Alibi mieliśmy zapewnione, bo nie było możliwości, żeby któryś z nas dostał się do Żurady w ciągu niespełna pół godziny.

Pokręciłem się jeszcze parę minut, żeby więcej osób wiedziało, że Piotr Cisowski był w Zaścianku. Chcieliśmy dograć wszystkie szczegóły na wypadek niepowodzenia, a w razie gdybyśmy wpadli, winowajcą miał być ten zły brat – Piotr. Po kwadransie poszedłem do domu. Godzinę później usłyszałem dzwonek komórki. Spojrzałem na wyświetlacz. Był to Paweł.

– Co się dzieje? Wszystko w porządku? – zapytałem pierwszy.

– Nic nie jest w porządku – powiedział i wybuchnął szloch. – Nakryła mnie mama, gdy usiłowałem otworzyć sejf. Ojciec zmienił szyfr. – Tego nie wzięliśmy pod uwagę. – Wystraszyła się i zaczęła uciekać. Poślizgnęła się na schodach i...

– I co? – zawołałem przerażony. – Czy coś jej się stało?

– Nie wiem. Straciła przytomność. Widziałem, jak Władek się nad nią nachylał, a potem wzywał pogotowie.

– A więc żyje – powiedziałem. – Wracaj do Krakowa. Natychmiast.

– Ale muszę się dowiedzieć, co z mamą. – Wzbraniał się Paweł.

– Wracaj, bo wszystko się wyda – powiedziałem.

– Mam to w dupie. Żeby tylko z nią było wszystko w porządku.

– Klon, w niczym jej nie pomożesz. Jutro z samego rana zadzwonimy do ojca. Teraz wracaj.

Przyjechał godzinę później, cały roztrzęsiony.

– Widziałem, jak nadjeżdżała karetka. Mama wciąż była nieprzytomna – wyszeptał.

– Boże, co ona tam robiła o dwunastej w nocy? – zapytałem retorycznie.

– Nie mam pojęcia.

– Opowiedz mi dokładnie, co zaszło?

Na początku wszystko szło jak po maśle. Brat bez przeszkód dojechał do Żurady i tak jak planowaliśmy, zaparkował auto w lasku kilkaset metrów od zakładu. Potem przez dziurę w ogrodzeniu wszedł na teren z tyłu budynku, nakarmił psa kiełbasą i odczekał pół godziny, ukryty w zaroślach. Wyciął w szybie otwór, żeby otworzyć okienko, i bez trudu dostał się do środka. Problemy się zaczęły, gdy wszedł do gabinetu ojca, bo okazało się, że stary zmienił szyfr. Dlatego zaczął wpisywać różne kombinacje cyfr, jakie mu przychodziły do głowy, ale żadna nie pasowała. Nagle otworzyły się drzwi i weszła mama. Kiedy zobaczyła faceta w masce na twarzy, odwróciła się i zaczęła zbiegać po schodach, krzyząc „Ratunku! Złodziej!”. A potem się poślizgnęła.

– Chciałem pobiec za nią i zobaczyć, co się dzieje, ale ujrzałem Władka, który się nad nią nachylał. Powiedział tylko „Rany boskie, pani Lidziu”. A potem wyjął komórkę i zaczął dzwonić na pogotowie. – Przymknął oczy. – Nie wiedziałem, co robić, jak jej pomóc. I nic nie zrobiłem, tylko uciekłem przez okno. Zachowałem się jak tchórz.

– Nie jak tchórz, jak złodziej – mruknąłem. – No bo jesteśmy złodziejami.

– Żeby tylko się nie okazało, że jesteśmy też mordercami – wyszeptał.

– Klon, nie gadaj tak. Mamie nic nie będzie. Zobaczysz. Wszystko się dobrze skończy – pocieszałem brata i siebie.

Niestety nie skończyło się dobrze.

Całą noc nie zmrużyliśmy oka, ale musieliśmy odczekać chociaż do godziny ósmej. Wtedy zadzwoniłem do ojca.

– Tato, to ja, Piotr. Przyjeżdżamy dziś do domu – powiedziałem, jakby nic się nie stało. – Poczujemy się do obrony pracy w Żuradzie.

Chwila ciszy – dla mnie wieczność, a potem słaby głos ojca.

– Mamy nie ma w domu, leży w szpitalu.

– Dlaczego?

– Miała wypadek.

Jest nieprzytomna.

– Ale co się stało? – Wreszcie mogłem zadać to pytanie.

– Spadła ze schodów

– Ale co ona tam robiła w nocy? – Zaraz dotarło do mnie, że popełniłem karygodny błąd.

Ojciec jakby tego nie zauważył.

– Nie było mnie w Żuradzie. Mama rozliczała miesiąc, a potem Władek znalazł ją nieprzytomną przy schodach.

– Zaraz jedziemy do Olkusza – rzuciłem do telefonu i się rozłączyłem.

Pojechaliśmy prosto do szpitala. Po raz pierwszy nie było rzucania monetą, kto jest kim. Paweł był Pawłem, ja Piotrem. Mama wciąż nie odzyskała przytomności. Cztery dni to trwało. Ojciec i Paweł całkiem się rozsypali, ja starałem się jakoś trzymać. Przynosiłem im coś do picia i jedzenia. Byłem na tyle przytomny, że pamiętałem o wysłaniu do Ciebie SMS-a z informacją o wypadku mamy. Nie chciałem Cię denerwować, przecież byłaś w ciąży.

Przez cały ten czas nie opuszczaliśmy szpitala, spaliśmy na zmianę na korytarzu lub w samochodzie. Piątego dnia mama umarła.

To było straszne dla nas wszystkich. Cały świat nam się zawalił. Trzeba było załatwić formalności związane z pochów-

kiem, ale ani ojciec, ani brat nie byli do tego zdolni, dlatego spadło to na mnie. Nie wiem, jakim cudem przeżyliśmy pogrzeb i tę cholerną stypę. Ojciec wciąż był jakby nieobecny. Nie posądzałem go o tak wielką miłość do mamy, w ogóle nie myślałem, że jest zdolny do takich uczuć. Wiedziałem, że mu na niej zależało, ale mimo to zdradzał ją z innymi kobietami. Paweł również był w rozsypce, bo obwiniał się o jej śmierć. Ale odpowiedzialność spoczywała na nas obu – to my dwaj, DWA CHOLERNE KLONY CISOWSKICH, ją zabiliśmy.

Na zewnątrz udawałem twardziela, ale w środku czułem się jeszcze bardziej winny niż Paweł. Zawsze byłem tym rozsądniejszym, bardziej zrównoważonym bliźniakiem, a dopuściłem do sytuacji, która doprowadziła do śmierci mamy. Dopiero ta tragedia otworzyła mi oczy i spowodowała, że dostrzegłem zło, którym byliśmy od dawna nasączeni. Wtedy w pełni do mnie dotarło, kim się staliśmy.

Dzień po pogrzebie mamy do naszego pokoju przyszedł ojciec. Obrzucił nas ponurym spojrzeniem.

– Który z was to zrobił?

– Co, tato? – udawałem głupka.

Spojrzał na mnie lodowato.

– Któryś z was zamordował matkę, do tego był tak głupi, że wygadał się przez telefon – warknął. – Nie chciałem psuć pogrzebu. – Spojrzał na mnie lodowato. – To na pewno byłeś ty, Piotrek. – Wymierzył we mnie wskazującym palcem. – To twoja sprawka. Paweł nie byłby zdolny do czegoś tak nikczemnego. Wiem, że któryś z was włamał się do zakładu i próbował otworzyć sejf. Wiem, że włamywacz był tylko jeden, bo tak powiedziała policja. Miej odwagę, Piotrek, przyznać się, że zamordowałeś własną matkę. Chociaż teraz nie zachowuj się jak tchórz. – Jego głos brzmiał lodowato.

Spuściłem głowę, ale potem spojrzałem ojcu w oczy.

– Tak, to ja.

– Dlaczego? Dlaczego chciałeś mnie okraść? Przecież mieliście wszystko, niczego wam nie odmawiałem. – Gdy nie odpowiadałem, krzyknął: – Mów, dlaczego?!

– Bo miałem długi – wymyśliłem na poczekaniu.

– Jakie długi?

– Zacząłem chodzić do kasyna. Pożyczyłem pieniądze. Gdybym ich nie oddał, straszono mnie, że mnie zabiją.

– Ile tego było?

– Trzydzieści tysięcy złotych.

– A więc zabiłeś swoją matkę za pierdolone trzydzieści tysięcy?

Chwilę patrzył na mnie, a potem wyszedł. Ja i brat siedzieliśmy skuleni w fotelach, milcząc. Niepotrzebne były słowa, wszystko zostało powiedziane przez ojca.

Kilka minut później ojciec ponownie pojawił się w naszym pokoju, trzymając w ręce plik pieniędzy. Stał przede mną.

– Masz tu te trzydzieści tysięcy złotych, dla których zabiłeś swoją matkę, i jeszcze dodatkowe trzy tysiące dolarów. I spierdalaj. – Mówiąc to, rzucił we mnie pieniędzmi. – Spierdalaj z naszego życia. Masz wyjechać z Polski i nigdy tu nie wracać, bo jeśli dowiem się, że wróciłeś, pošlę cię do pudła. Na razie śledztwo jest umorzone, ale w każdym momencie sprawa może być wznowiona. Mam układ z komendantem. Słyszysz? Nigdy tu nie wracaj, dopóki żyję.

Odwrócił się i wyszedł.

## Rozdział 42

### Piotr

Razem z Pawłem wróciliśmy do Krakowa. Całą drogę milczeliśmy, ale gdy tylko przekroczyliśmy próg mieszkania, Paweł przemówił, jakby wcześniej nabierał argumentów do swoich racji.

– Jadę z tobą – powiedział. – W dwóch damy sobie radę. Zostawimy część pieniędzy Dianie, a część weźmiemy ze sobą, żeby mieć na start. Wielu ludzi wyjeżdża za granicę. Jesteśmy w lepszej sytuacji, bo dobrze znamy język angielski i niemiecki, co na pewno nam pomoże w znalezieniu pracy.

– Nie – odparłem stanowczo. – Ktoś musi zostać z Dianą. Ona oprócz nas nie ma nikogo.

– Kiedy się trochę urządzimy, ściągniemy ją do siebie.

– Wtedy się dowie o wszystkim.

– Niekoniecznie. Pozna mojego brata bliźniaka. W naszych uniformach nie jesteśmy identyczni.

– Na pewno się domyśli. Mam inny plan. Ty zostajesz w Polsce i się z nią żenisz. Bierzesz trzydzieści tysięcy, żebyś miał na wypadek, gdyby ojciec sprzeciwił się waszemu małżeństwu. Jeśli postawi ci warunek „albo ona, albo ja”, będziesz miał na początek trochę forsy. Gdy znajdę pracę, będę przysyłał wam kasę, żeby było wam lżej. Ale myślę, że wcześniej czy później ojciec odpuści, bo oprócz ciebie nie ma teraz nikogo.

– Nie, nie zgadzam się. Nie pojedziesz sam na tułaczkę – powiedział, a potem cicho dodał: – Nie chcę, żebyśmy się rozstawali. Nie będę umiał żyć w pojedynkę.

– Nie przesadzaj. Będziesz miał żonę i dziecko, którymi musisz się opiekować. A tak w ogóle to może nawet lepiej, że

zaczniemy życie na własny rachunek. To, co robiliśmy, nie było dobre.

W Pawła jakby strzelił piorun.

– Nie było dobre?! Niby dlaczego? Jesteśmy bliźniakami! Powstaliśmy z tej samej komórki! To natura tak nas stworzyła. Sam mówiłeś, że tylko kilka dni brakowało, a zostalibyśmy bliźniakami syjamskimi. Nie wiem, czy dla mnie nie byłaby to lepsza opcja.

– Przestań pierdolić, Klon! – wybuchnąłem. – Nie ma sensu nawet komentować twoich bzdur. Postanowione, Paweł żeni się z Dianą, a Piotr wyjeżdża.

Brat spojrzał na mnie spod przymkniętych powiek.

– A może ja nie chcę tu zostawać? Może ja wolę być Piotrem? To ja zabiłem mamę, nie ty.

– Znowu pierdolisz. Jeśli ktoś zawinił, to my obaj, ale na pewno nie ty sam. Odpowiedzialność spoczywa na nas obu. Byłeś tam tylko dlatego, że moneta tak zadecydowała.

– A więc dobrze. Teraz też ona zadecyduje, który z nas wyjedzie. – Wyjął z kieszeni pięćdziesięciogroszówkę. – Przedtem ty rzucałeś, teraz ja.

Tak naprawdę to wolałbym zostać w Polsce, bo mógłbym być z Tobą, ale zdawałem sobie sprawę, że brat miałby większy problem z odnalezieniem się w obcym kraju. Był słabszy psychicznie. Nie tylko nie miałby mnie przy sobie, lecz także musiałby borykać się z problemami asymilacji wśród obcych. Obawiałem się, że mogłoby go to przerosnąć. Obaj byliśmy wtedy jeszcze dzieciuchami, ale ja byłem tym piętnaście minut starszym...

Los wybrał mnie na Piotra. Paweł wypertraktował z ojcem, żebym mógł pozostać w Polsce jeszcze tydzień, do obrony pracy magisterskiej. Wątpiłem, czy dyplom AGH z zarządzania przyda mi się za granicą, ale miałem pretekst zostać



w kraju trochę dłużej. Czas podarowany mi przez ojca dzieliłem między Tobą a bratem, bo dla niego rozstanie ze mną było większą traumą niż dla mnie. Już wtedy zrozumiałem, że najwyższy czas, żebyśmy się rozdzielili. Dla dobra nas obu. Ale Paweł myślał inaczej.

Zamiast się przygotowywać do obrony, pół dnia przesiadywałem z bratem, gadając o bzdurach lub obmyślając plany na przyszłość, a popołudnia i wieczory spędzałem z Tobą. Teraz już nie było codziennego losowania. Już na zawsze miałem zostać Piotrem Cisowskim, ale teraz przez ten krótki czas mogłem być codziennie Pawłem. Te dni z Tobą były dla mnie wyjątkowo cenne, bo wiedziałem, że nie będzie już ich więcej.

Pamiętasz, Dianka, te kwiatki ogrodowe, które Ci przynosiłem? Kupowałem je od babinki sprzedającej na chodniku. Czekala na mnie w tym samym miejscu zawsze ze świeżym bukietem.

– Co się stało, że codziennie przynosisz mi kwiaty? – zapytałaś. – Wcześniej nigdy tego nie robiłeś.

– Bo wcześniej byłem głupim i nieokrzesanym bucem – odparłem z uśmiechem i dodałem: – No i nie byłaś jeszcze matką mojego dziecka.

To był najpiękniejszy tydzień mojego dorosłego życia. Choć mówiałaś do mnie „Pawełku”, wreszcie byłem tylko Piotrem, tym prawdziwym, nie udawanym. Prawdziwym sobą. No i nie musiałem się dzielić Tobą z bratem. Świadomość, że już niedługo będę musiał Cię jemu oddać na zawsze, mąciła mi radość, ale starałem się o tym nie myśleć. Chciałem delektować się każdą minutą spędzoną z Tobą, dlatego odpędzałem również wszystkie myśli związane ze śmiercią mamy; już wkrótce będę miał na to całe lata rozmyślań – tłumaczyłem sobie, gdy nachodziły mnie wspomnienia i towarzyszący temu ból. Trochę się dziwiłaś, że tak łatwo przechodzę traumę po utracie mamy, ale przecież nie mogłem ci powiedzieć, że żało-

bę odkładam na później, by nie psuć naszych wspólnych chwil. Idąc na randkę, wszystkie wspomnienia o tej tragedii chowałem głęboko do pudełka i zamykałem na klucz. Ktoś może się dziwić, że to było nienormalne, albo gorzej – pośądzać mnie o nieczułość i brak empatii, ale przez całe te lata zmieniając codziennie swoją tożsamość, stałem się nienormalnym. I nauczyłem się nieczułości i braku empatii. Mając świadomość, że wkrótce stracę Cię na zawsze, nie mogłem goryczą, bólem i wyrzutami sumienia zepsuć tych naszych ostatnich wspólnych chwil. Tym bardziej że musiałem z tego czasu, który nam pozostał, wykroić również kilka godzin dla brata, bo mnie potrzebował bardziej niż ja jego.

Nadszedł dzień obrony pracy magisterskiej i naszego rozstania. Nie liczyłem na to, żeby dyplom i tytuł magistra inżyniera przydał mi się w moim przyszłym życiu zawodowym za granicą, bo nawet żyjąc w Polsce, nie wiązałem z tym dużych planów, ale chciałem zrobić to dla własnej satysfakcji. Natomiast byłem pewien, że moja dobra znajomość języków obcych na pewno przyniesie korzyści.

Obroniłem pracę magisterską na piątkę. Paweł nie był w stanie teraz uczyć się do obrony, dlatego przesunął swój egzamin na wrzesień. Nie mogłem się więc przed Tobą pochwalić, że jestem nie tylko inżynierem, lecz także magistrem. Nie było to teraz jednak dla mnie ważne. Jutro miałem wyjechać z Polski na zawsze i już nigdy Cię nie zobaczyć. Wiedziałem, że muszę to zrobić dla dobra nas wszystkich: dla Ciebie, dla mojego brata i dla siebie samego. Oraz dla naszego dziecka. Wciąż uważałem, że ta mała istotka, która rosła teraz w Tobie, była również moja. Nieważne było, czy te trzydzieści różniących nas punktów z trzech miliardów takich samych, które przyczyniły się do powstania Maleństwa, należały do mnie czy do brata. To dziecko było NASZE.

Tamta noc. Nasza ostatnia noc. Pragnąłem zapamiętać każdą minutę spędzoną z Tobą. Zapisać ją w mózgu, utrwalić na

zawsze w korze płata skroniowego odpowiedzialnego za pamięć. Żebym mógł później na nowo odtwarzać te chwile niczym cyfrowy zapis. Kochaliśmy się pięć razy. Na różne sposoby, w różnych pozycjach. Syciłem się Tobą niczym ambrozją. Przedłużałem stosunki, żeby jak najdłużej być w Tobie. Pieściłem Twoje ciało, delektując się każdym jego fragmentem. Chłonałem Cię wszystkimi zmysłami. Wzrokiem, smakiem, dotykiem, węchem. Słuchałem bicia Twojego serca, Twojego oddechu. Z Twoim smakiem na ustach i języku wpatrywałem się w Ciebie zauroczony. Byłaś taka piękna. Wszystko w Tobie było doskonałe. A ja musiałem Cię odrzucić. Oddać bratu. Zrezygnować ze szczęścia.

Ta noc miała być wyjątkowa, chociaż Ty o tym nie wiedziałaś. Dla Ciebie było to jedno z wielu naszych spotkań, tych, które już minęły, i tych, które w przyszłości namnożą się przez następne kilkadziesiąt lat. Przecież Paweł miał pozostać przy Tobie na zawsze. Jeden Paweł. Ten drugi musiał zniknąć. Rozpłynąć się, usunąć z Twojego życia. Oczywiście nie miałaś o tym pojęcia, dlatego – zmęczona długim dniem i namiętym seksem – zasnęłaś. Ja nie zmrużyłem oka ani na minutę. Cały czas wpatrywałem się w Ciebie. To było nasze pożegnanie. Ostatni raz, kiedy mogłem na Ciebie patrzeć, ostatnie chwile, w których mogłem Cię przy sobie czuć.

Nie wróciłem na noc do naszego mieszkania, chociaż Paweł na mnie tam czekał. Z nim mogłem się spotkać jeszcze nieraz, mogłem pogadać przez telefon lub pisać na komunikatorze. Z Tobą już nie. Dla mnie – Piotra – byłaś stracona już na zawsze.

Po wyjeździe ciągle się zastanawiałem, czy ta ostatnia nasza noc była dla Ciebie też taka wyjątkowa jak dla mnie. Chciałbym wierzyć, że tak.

## Rozdział 43

### Piotr

Nie będę długo przynudzał o moich emigracyjnych problemach. Początki były ciężkie. Nie znałem nikogo, nie wiedziałem, dokąd jądę i kogo spotkam. Wcześniej kilka razy bywałem za granicą, ale były to wyjazdy czysto rekreacyjne i nigdy nie wyjeżdżałem sam, tylko z bratem. Przeważnie bratu i mnie towarzyszyli rodzice, bo mama bała się puścić nas samych, ale dwa razy pojechaliśmy we dwóch na obóz studencki. Podczas wszystkich zagranicznych wypadów męczył nas tylko jeden problem: jaka będzie pogoda, czy nie będzie padać. Mieliśmy zapewnione noclegi i posiłki oraz pieniądze na zaspokojenie wakacyjnych zachcianek. W planie było odpocząć, opalić się i zwiedzić najciekawsze zabytki, o co zawsze dbała mama.

Teraz przede mną stało wiele wyzwań – nowych, trudnych i nieznanych. Nigdy wcześniej nie pracowałem ani fizycznie, ani umysłowo. Nie umiałem niczego, co mogłoby przydać się potencjalnemu pracodawcy. Koledzy ze studiów dorabiali, roznosząc ulotki, pracując w McDonalddie albo na budowie. Niektórzy kelnerowali, rozwozili pizzę lub „stali na promocjach” w hipermarketach. Bracia Cisowscy nie musieli tego robić, bo rodzice dbali o ich studenckie potrzeby. Ich jedynym obowiązkiem była nauka. W Stanach od dawna obowiązuje zwyczaj, że prawie wszystkie nastoletnie dzieci, nawet te bogatych rodziców, pracują w czasie wakacji, żeby poznać smak pracy. W polskiej rzeczywistości jest inaczej. Wysoki status rodziców zobowiązuje! Drogi samochód, modne ciuchy i najnowszy model komórki oraz laptopa latorośli to oznaka zaможności. Moi rodzice nie byli krezusami, ale na tle innych mieszkańców Żurady mogli uchodzić za bogatych, nie cenili jednak zbyt wysoko etosu pracy. Nasz bogaty z domu ojciec

nie musiał na studiach pracować, a mama, choć pochodziła z urzędniczej rodziny, też miała zapewnione najważniejsze potrzeby dzięki stypendium, taniemu akademikowi i kieszonkowemu od rodziców, dlatego nawet im przez myśl nie przeszło, żeby ich synowie mieli zarabiać. Brzmi to trochę jak zarzut skierowany w stronę moich staruszków, ale nie to mam na celu. Po prostu staram się znaleźć usprawiedliwienie, że byłem rozpieszczonym i leniwym nieudacznikiem.

Po opuszczeniu kraju mogłem liczyć tylko na siebie.

Niezbyt mile wspominał ten okres. Cztery lata tułaczki za pracę, stały brak pieniędzy i tęsknota za bratem i Tobą. Robiłem różne rzeczy, poczynając od zmywania naczyń, roznoszenia ulotek i pracy na budowie. Pierwszy okres w nowej pracy był dla mnie trudny, ale gdy odchodziłem do innego zajęcia, byłem bogatszy o parę euro oraz nowe umiejętności i doświadczenia. Kilka razy zostałem okradziony, kilka razy pobity i raz zaliczyłem noc w niemieckiej celi. Ale wiele się nauczyłem, i to nie tylko pracy na budowie. Nie zamierzam się nad sobą rozczulać, wprost przeciwnie, uważam, że taką szkołę życia powinien przejść każdy mężczyzna. To lepsze niż wojско.

Kiedy mieszkałem w Niemczech, parę razy odwiedził mnie Paweł, który przyjeżdżał tam w celu nawiązania kontaktów handlowych. Tak na marginesie, wszystkich niemieckich i angielskich kontrahentów to ja ojcu narailem, a Paweł, po mojej namowie, owe kontakty sobie przypisał. W Niemczech przebywałem trzy lata, później wyjechałem do Anglii. Tam spotkałem brata tylko dwa razy, bo jego obowiązki nie pozwalały mu na więcej wojaży. Utrzymywaliśmy jednak stały kontakt telefoniczny. Rozmowy z Pawłem były potrzebne zarówno jemu, jak i mnie. Źle znosiłem samotność, nie potrafiłem nawiązać bliższych relacji z obcymi ludźmi. Poznałem wielu Polaków, na pozór kolegowałem się z kilkoma tubylcami, ale z nikim się nie zaprzyjaźniłem. Oczywiście uprawiałem z dziewczynami

seks, ale z żadną z nich nie związałem się na dłużej. Kilka spotkań w restauracji, kilka rozebranych randek i znajomość kończyła się rozstaniem. Przyczyna moich problemów w relacjach towarzyskich tkwiła w naszym wzajemnym bliźniaczym uzależnieniu od siebie. Przez dwadzieścia pięć lat moim stałym towarzystwem był brat. Mieliśmy siebie – i to nam wystarczało, nie potrzebowaliśmy innych przyjaciół. Z mężczyznami nie umiałem rozmawiać, a z kobietami nie chciałem. Wciąż miałem uczucie, jakbym zostawił w kraju żonę.

Po roku pobytu w Wielkiej Brytanii zaproponowano mi wyjazd do Australii. Konkretnie zrobił to pewien Sycyliczyk Antonio, który mieszkał w tym samym budynku co ja. Opowiadał, że w Sydney lepiej płacą i jest większe zapotrzebowanie na budowlańców, a on dostał namiar na pewnego przedsiębiorcę, który potrzebował ludzi do pracy.

Nabrałem ochoty na wyjazd. Australia zawsze mnie fascynowała, od kiedy przeczytałem książkę dla młodzieży *Tomek w krainie kangurów*. Według mnie był to całkiem inny świat, inni ludzie i inne życie. Przygoda, przygoda, przygoda.

Mój pomysł nie spodobał się bratu.

– Nie wygłupiaj się, nie zostawiaj mnie! – zawołał do telefonu.

– Zostawiłem cię już cztery lata temu – mruknąłem. – I jakoś świat się nie zawalił.

– Ale mogliśmy się czasem spotykać. A Australia leży na krańcu świata!

– Tam też jest zasięg. Mamy komórki i laptopa. Możemy gadać codziennie na Skypie. Świat się skurczył, jesteśmy teraz jedną wielką wioską – zacytowałem wyświechtany komunał. – Zarobię trochę forsy i wrócę do Europy.

Mimo sprzeciwu brata nie zmieniłem zdania i wykupiłem bilet.

Kiedy wylądowałem w Sydney, miasto mnie rozczarowało, bo oprócz upałów nie różniło się wiele od Londynu, Berlina czy Krakowa. I z pracą też nie było tutaj różowo. Pierwszy pracodawca płacił nie najgorzej, ale pół roku później sprzedał firmę i musiałem radzić sobie sam, bo Antonio poleciał do Adelajdy do dziewczyny, którą poznał na Facebooku. Już miałem wracać do Europy, gdy Włoch zadzwonił z informacją, że ma dla nas obu niezłą ofertę pracy. Zaproponowano nam dużo lepsze wynagrodzenie w porównaniu z zarobkami w Sydney. Nic nie trzymało mnie w tym mieście, dlatego skorzystałem z propozycji i poleciałem do Adelajdy. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że poznam człowieka, który odmieni moje życie. Był nim Bill Williams.

## Rozdział 44

### Piotr

Razem z Antoniem kończyliśmy remontować stuletni dom hodowcy owiec znajdujący się sto mil od Adelajdy, gdy nadszedł jeepeem starszy mężczyzna około osiemdziesiątki. Wszedł do środka niczym do siebie. Wyglądał jak na swój wiek wyjątkowo młodo, zważo się poruszał i tryskał energią.

– Gdzie są Millerowie? – zapytał, podejrzliwie mi się przyglądając.

– Wyjechali do córki, wrócą za tydzień – odparłem. – Do tego czasu powinniśmy już się uporać z łazienkami.

– Szkoda, bo wracam z Adelajdy, dlatego wstąpiłem do nich po drodze. – Wytarł wierzchem dłoni koniuszek nosa. – A cóż brakowało łazienkom, że je wymieniają? Kiedy byłem tu ostatnio, wszystko dobrze działało.

– Pani Miller chciała wprowadzić bardziej nowoczesny design.

– Całkiem babie odpiardoliło – mruknął pod nosem mężczyzna. – Jak to dobrze, że mnie nie ma kto suszyć głowy. Nowoczesny design – prychnął lekceważąco. – A pan to chyba nie stąd? Akcent nietutejszy. Anglik?

– Nie, Polak.

– Aha. Nie za gorąco tu panu, bo u was to podobno zimno? Znam dwie Polki, z jedną chciałem się nawet ożenić, ale mnie nie chciała i wybrała bogatszego. Głupia, bo myślała, że o bogactwie świadczy tylko liczba owiec i akrów ziemi – burknął. Ale nagle jakby zrozumiał, że powiedział za dużo, bo szybko dodał: – Ważniejsze jest bogactwo ducha. Ona była z Krakowa. A pan skąd?



– Z Olkusza, to niedaleko Krakowa. Studiowałem w Krakowie.

– No to może ją pan zna. Barbara Orłowska.

Uśmiechnąłem się w duchu. Czyżby facet myślał, że Kraków to wioska? Nawet w Żuradzie, liczącej zaledwie niewiele ponad tysiąc mieszkańców, nie wszystkich się zna, a co dopiero w Krakowie.

– Nie, nie znam.

– Tak przypuszczałem. – Rozglądał się po wnętrzu. – Widzę, że ściany też przesuwacie. A co jeszcze umiecie robić?

– Wszystko, co związane z wykończeniówką.

– A domy budujecie?

– Jak trzeba, to budujemy.

– Hmm, no to może wybudowałibyście mi nową stajnię dla koni? Macie coś w planach na najbliższy czas?

– Akurat wyleciała nam z grafiku jedna robota – skłamałem, bo nie mieliśmy żadnego grafiku. – Możemy pana wpisać.

– Jeszcze zobaczę. Wcześniej pogadam z Johnem Millerem, czy jest z was zadowolony – odburknął mało kurtuazyjnie.

Porozglądał się po domu, zajrzał do każdego pokoju, a potem wyszedł, nie mówiąc nawet „do widzenia”.

Zjawił się jednak miesiąc później, gdy zwijaliśmy się do Adelajdy. Millerowie ugościli go wykwintną kolacją, a potem zaprosili na drinka. Miał u nich nocować. Już dość mocno podpity wszedł do budynku gospodarczego, w którym mieszkaliśmy, i od razu przystąpił do rzeczy.

– John mówi, że jesteście solidni, a Berta twierdzi, że macie dobry gust, doradziliście jej w wielu sprawach. Akurat dobry gust dla mnie nie ma dużego znaczenia, ale solidność mnie

przekonała. To co, wybudujecie mi stajnię? Potrzebuję też naprawić dach, bo przecieka po ostatniej ulewie.

– Zaraz zobaczę w grafiku – powiedziałem.

– Przestań pierdolić, chłopcze, o pierdolonym grafiku. Wiem, że nie macie teraz żadnej roboty. Bierzecie ją czy nie?

– Okej – powiedziałem, udając wahanie.

Farma Billa Williamsa mieściła się niecałe sto mil od farmy Millerów, a jak na australijskie odległości nie było to daleko.

Tydzień później zaczęliśmy budować stajnię. Wcześniej musieliśmy zburzyć poprzednią szopę, rozwalającą się już ze starości.

Na farmie spędziłem następne pięć lat. Najpierw wybudowaliśmy stajnię, potem naprawiliśmy dach, a później wyremontowaliśmy cały dom, włącznie z łazienkami. Miałem wrażenie, że Bill specjalnie szuka nam zajęć, żebyśmy zostali tam dłużej. Na koniec, kiedy już wszystko zostało wyremontowane, Williams podszedł do mnie i zaproponował pracę człowieka od wszystkiego. Wiele razy ucinał z nami pogawędki, ale z całej ekipy chyba najbardziej ze mną lubił rozmawiać.

– Jestem już stary, potrzebuję kogoś, kto zająłby się moimi sprawami – zaczął. – Z ciebie bystry chłopak i uczciwy, dlatego nie bałbym się trzymać cię w domu.

Wybadał moją uczciwość, podrzucając kiedyś na schodach prowadzących na werandę sto dolarów, a ja je podniosłem i mu oddałem. To był częsty numer, który stosowali niektórzy pracodawcy, dlatego żaden bystry budowlaniec nie dał się na to nabrać.

– Nie wiem, czego pan ode mnie oczekuje – zauważyłem. – No i nie wiem, czy podołam.

– Podołasz, podołasz – burknął swoim zwyczajem. – Gerard ledwo umie czytać i pisać, dlatego nie mogę mu zlecić powa-

źniejszych obowiązków, takich jak zakup paszy czy wykonywanie płatności. Nie zna komputera, a dziś wszystko trzeba załatwiać przez internet.

Gerard rzeczywiście nie był zbyt kumaty w nowoczesnej technologii. Miał pięćdziesiąt pięć lat i całe dorosłe życie pracował przy owcach. Był Aborygenem, tak jak czterej pozostali pracownicy Billa. Farma nie była duża, stado liczyło niewiele ponad dwa tysiące sztuk, dlatego Williams nie musiał zatrudniać więcej ludzi. Jedynie dwa razy do roku, na przełomie lutego i marca oraz września i października, gdy przychodził okres strzyżenia, potrzebna była większa liczba pracowników. Mąż Barbary Orłowskiej w dobrym okresie miał nawet trzydzieści tysięcy sztuk owiec. Tak jak większość australijskich hodowców Bill również specjalizował się w hodowli merynosów.

Zostałem pracownikiem Billa Williamsa. I rzeczywiście zajmowałem się wszystkim, poczynając od spraw biurowych, poprzez zakup surowców i sprzedaż wełny, kończąc na strzyżeniu owiec. Naprawdę nauczyłem się strzyc owce, i to ręcznie nożycami! Potrafię ostrzyć trzysta sztuk dziennie, ale lepszy w tym jest ode mnie Gerard, a kiedyś był Bill. On też nadal brał udział w strzyżeniu. Ale przeważnie robiliśmy to strzyżarkami elektrycznymi, bo trwało dwa razy krócej. Jedna owca daje nawet do sześciu kilogramów sierści rocznie. Wełna to jeden z podstawowych surowców handlowych Australii, na jednego mieszkańca przypadają cztery owce, bo hoduje się ich około stu milionów. Australijskie owce mają bardzo dobre runo. Dla porównania włos człowieka w przekroju to sto dwadzieścia mikronów, a włosie australijskich owiec ma przeważnie piętnaście do dwudziestu mikronów, gdy zwykłe owce, takie jak polskie, dysponują włosiem aż do pięćdziesięciu mikronów. Im cieńsze włosie, tym lepsza i droższa wełna, bo delikatniejsza, bardziej miękka, mniej gryząca i przyjemniejsza w chwycie. Dobra wełna jest cenniejsza niż złoto. Bill miał bardzo dobre barany rozplodowe. Cenę niektórych szacowa-

no nawet na ponad sto tysięcy dolarów australijskich. Najdroższego barana sprzedano na aukcji pod koniec lat osiemdziesiątych aż za czterysta pięćdziesiąt tysięcy. Ale nie był to baran Billa. Było to przed upadkiem przemysłu wełniarskiego w Australii. Kryzys w tej branży trwał wiele lat i niestety nigdy już nie powrócił złoty wiek wełniarstwa australijskiego.

Gdyby Bill chciał, mógłby stworzyć bardziej dochodową farmę, ale... nie chciał. Hodowlę traktował w kategoriach hobby.

– Owce trzymam po to, żebym miał po co rano wstawać – mówił do mnie. – Gdybym miał dzieci, to może bardziej by mi zależało, ale jestem sam jak palec, dlatego nie zamierzam się przemęczać. Trzymam farmę przede wszystkim ze względu dla Gerarda, bo pracuje tu całe życie. I też oprócz mnie i owiec nie ma nikogo. Reszta moich ludzi nie jest tak związana z farmą jak on, są młodzi i mogą w każdej chwili znaleźć inną pracę.

– Mógłbyś jednak bardziej się postarać. Szkoda marnować potencjał. Nasze barany są jednymi z najlepszych w Australii.

– Zapiszę ci jakiegoś w testamencie – zażartował. – Pojedziesz sobie z nim do Polski.

Zaprzyjaźniłem się z Billem. Wprowadził on zwyczaj, że wszystkie posiłki jadł razem z pracownikami. Zatrudnił do kuchni żonę jednego z Aborygenów. Para była bezdzietna i mieszkała na stałe na farmie. Pozostali pracownicy, oprócz Gerarda, raz na miesiąc wyjeżdżali do swoich domów, by po tygodniu ponownie wrócić do owiec. Wymieniali się tak, żeby zawsze ktoś mógł oporządzać owce. Ja nie miałem gdzie wyjeżdżać, tylko czasami jeździłem na weekend do pobliskiego miasteczka, oddalonego o trzydzieści mil od farmy, albo do Adelajdy, ale tam było daleko, bo prawie dwieście mil. Większość wieczorów spędzałem wspólnie z Billem – albo na werandzie, albo przy kominku. Czasami towarzyszył nam Ge-

rard, ale nie zawsze, bo był typem samotnika. Natomiast Bill lubił sobie pogadać, a ja podobno byłem dobrym interlokutorem. Potrafiliśmy przegadać ze sobą kilka godzin i mimo sporej różnicy wieku oraz różnic kulturowych rozumieliśmy się dobrze. Zwierzał mi się z wielu problemów, ale mało wiedziałem o jego przeszłości. Często powtarzał, że nie było czym się chwalić. Aborygeni dawali do zrozumienia, że zdobył pieniądze na farmę w niezbyt uczciwy sposób. Coś tam słyszałem o skoku na bank, do którego miało dojść w latach sześćdziesiątych w Londynie, i ucieczce do Australii, żeby się ukryć przed policją. Coś nie pasowało w tych plotkach, bo przecież Australia to wciąż dominium Wielkiej Brytanii i formalnie głową państwa jest królowa Elżbieta II. Jeśli miał uciekać przed angielską jurysdykcją, powinien schować się w buszu, a nie kupować farmę. Podobno jednak w każdej plotce jest ziarenko prawdy, dlatego nie odrzuciłem opcji, że Bill miał kiedyś przygodę z Temidą.

Polubiłem Billa. Był jedynym człowiekiem, oprócz brata i mamy, którego mogłem nazwać swoim przyjacielem. Miałem z nim lepsze relacje niż z własnym ojcem i dużo lepiej się z nim dogadywałem. Ojca nigdy nie uważałem za przyjaciela, któremu można się zwierzyć z problemów i który postara się je rozwiązać. Mogłem na niego liczyć tylko w kwestii finansowej, ale i to nie zawsze, o czym świadczyło nasze włamanie do jego sejfu. Natomiast Bill sprawiał wrażenie człowieka, który nikogo nie osądzał. Jeden z zatrudnionych Aborygenów miał za sobą wyrok za rozbój, a Gerard siedział w młodości za pobicie kobiety. Ten kazus nie tylko oduczył Gerarda bijatyk i picia wódki, lecz także całkowicie wyleczył z kobiet, których potem przez prawie czterdzieści lat unikał jak ognia. Jednak mimo Billowej wyrozumiałości nie otworzyłem się przed nim całkowicie. Przedstawiłem mu swoją sytuację tylko ogólnie, nie wchodząc w szczegóły, i trochę nagiąłem fakty, żeby były dla niego bardziej strawne. Powiedziałem, że pokłóciłem się z ojcem, który obwinił mnie o śmierć matki, bo przeze mnie

spadła ze schodów, ale pominąłem włamanie. Powiedziałem, że kocham żonę brata, że z nią sypiałem, ale przemilczałem okoliczności temu towarzyszące. Pokazałem mu swoją twarz drania, ale nie łajdaka, którym *de facto* byłem.

Dzięki Billowi udało mi się jakoś znieść samotność i trochę okiełznać tęsknotę. Tęsknotę za Tobą, Pawłem, Polską i Żuradą. Bo bardzo tęskniłem, nawet za ojcem. Nic jednak nie złagodziło tęsknoty za mamą i żalu związanego z tym, co jej zrobiliśmy. Ta trauma spowodowana świadomością, że byliśmy odpowiedzialni za jej śmierć, nigdy mnie ani brata nie opuściła. Nadal mam nocne koszmary z tym związane.

W Australii na farmie Williamsa miałem dużo czasu na rozmyślanie. Wiele zrozumiałem, dużo się nauczyłem i wyciągnąłem sporo wniosków. Pojąłem, że wyjazd z Polski i rozstanie z bratem były dla nas ratunkiem – opcją, która nas uratowała. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że ta rozłąka była lekarstwem dla mnie, ale nie dla Pawła.

Analizując dokładnie nasze „schizofreniczne” zachowanie, stwierdziłem, że każdy psycholog i psychiatra doszukałby się w nas, we mnie i Pawle, poważnych zaburzeń osobowościowych, może nawet czegoś gorszego. Prawdopodobnie powinienem udać się po pomoc do specjalisty, ale Australia i panujące tam odległości nie sprzyjały wizytom u psychoanalityków – w każdym razie tak tłumaczyłem swą bierność w tej kwestii. Najbardziej męczyło mnie to, że czułem wyrzuty sumienia tylko w stosunku do mamy i Ciebie, pozostałe oszustwa i zabawy w przebieranki, które z bratem stosowaliśmy, nie obeszły mnie za bardzo. Dlatego byłem zadowolony, że nie miałem teraz możliwości robić tego ponownie, bo wcale nie byłem pewien, czy za namową brata znowu nie dałbym się w to wciągnąć. Adrenalina towarzysząca naszym zabawom uzależniła nas od mocnych wrażeń; bardziej Pawła, ale mnie również. Mam na myśli nasze randki z dziewczynami, bo to te spotkania nosiły dużo większe znamiona ryzyka, że zostanie-

my rozszyfrowani, niż podmianki personalne na wykładach czy ćwiczeniach.

Pisząc do Ciebie tego maila, chcę się przed Tobą otworzyć. Postanowiłem skończyć z kłamstwami i oszustwami i powiedzieć prawdę, całą prawdę o sobie. Byłem łajdakiem, teraz też nie jestem ideałem, ale jedno jest pewne: kocham Cię. Bardzo Cię kocham. I nigdy nie przestałem Cię kochać. Mimo że mój brat się z Tobą ożenił i miałem świadomość, że zawsze będziesz dla mnie nieosiągalna, to ani na chwilę nie zmieniły się moje uczucia do Ciebie. W moim mniemaniu byłaś żoną nie tylko Pawła, moją również. Wiem, że to chore, ale zawsze tak Cię traktowałem. Tak samo było z dziećmi. Nieważne, czy ojcem biologicznym Igora był mój brat, czy ja, dla mnie pozostanie NASZYM synem. Podobnie jest z Karinką, chociaż w tym przypadku nie ma żadnych wątpliwości co do ojcostwa. Chyba zauważyłaś, że traktuję ich tak samo. To są NASZE dzieci: Twoje, Pawła i moje. I zawsze tak uważałem, nawet mieszkając w Australii. Znam je tak samo dobrze jak Paweł i tak samo są mi bliskie. Brat relacjonował każdy ich dzień, każde wydarzenie; i to ważne, i mniej ważne. Wiedziałem o każdej szóstce i jedyńce, którą Igor złapał w szkole, a o której wiedział Paweł, bo prawdopodobnie nie o wszystkich mu mówiono. Informował mnie o postępach Karinki, o każdym jej nowym ząbku, pierwszym postawionym kroku i odniesionym zwycięstwie w walce z pampersami. Razem z Wami brałem udział w uroczystościach rodzinnych, szkolnych i religijnych. Chrzest, komunია, nawet ślub ojca – wszędzie tam z Wami byłem. Kocham je tak samo mocno jak i Ciebie. Chociaż stracili jednego ojca, to wciąż jest drugi, dlatego nie są półsierotami.

Ja i brat byliśmy w stałym kontakcie. Codziennie spotykaliśmy się przed laptopem, rozmawialiśmy przez Skype'a i dzięki zamontowanym kamerkom mogliśmy na siebie patrzeć. Był to jakiś surogat wspólnych spotkań, namiastka zażyłości, która nas kiedyś łączyła. Mnie to wystarczało. Uważałem swój

*exodus* za konieczną terapię, która przyniesie nam obu moralne i psychiczne uzdrowienie. Natomiast dla brata nasza rozłąka była traumą. Ja potrafiłem dostosować się do życia w pojedynkę, mój biologiczny klon powoli obumierał. Oczywiście nie w znaczeniu somatycznym; obumierała jego psyche. Choć starał się maskować, udając, że wszystko jest okej, zbyt dobrze go znałem, żeby nie dostrzec zmian, jakie powoli w nim zachodziły. Wcześniej, kiedy byłem tuż obok, potrafiłem dostrzec pojawiającą się w nim mroczność i na bieżąco ją wymazywać. Kiedy mnie zabrakło, nie miał kto mu pomóc w walce z szatanem o duszę.

Dianka, nie zrozum mnie opatrzenie: nie mówię, że on był tym złym, a ja tym dobrym, obaj mieliśmy w sobie dużo szarości, ale potrafiłem wypoziomować czerń z bielą, żeby zło w nas nie przeważało. Wiem, że moje słowa trącą patosem, ale proszę o wyrozumiałość, bo nie umiem inaczej tego przedstawić. Nie zamierzam się wybielać, oczerniając Pawła, pragnę jedynie, byś potrafiła choć trochę zrozumieć to, co się potem wydarzyło.

Pod koniec ubiegłego lata Paweł po raz pierwszy przyznał się, że ma kłopoty. Wcześniej, gdy go pytałem, co się dzieje, zbywał mnie ogólnikami.

– Potrzebuję twojej pomocy – powiedział. – Wpadłem w niezłe szambo.

– Co się stało? Powiedz mi wreszcie, o co chodzi. Już od dawna wiem, że masz kłopoty, o których nie chcesz mi powiedzieć – naciskałem.

– Klon, przyjeźdź, proszę. To nie jest rozmowa na telefon ani przez internet. Sam nie dam rady się z tego wyplątać. Musisz mi pomóc, bo...

– Bo co? – jeszcze bardziej się zaniepokoiłem.



– Nie mogę ci więcej powiedzieć. Powiem ci, gdy przyjedziesz do Polski. W każdym razie będąc w Australii, nie będziesz w stanie mi pomóc.

– Nie mogę teraz wyjechać, bo będę potrzebny Billowi. Dopiero po strzyżeniu owiec, najwcześniej w październiku, mogę przylecieć do Polski.

– No trudno, może jakoś wytrzymam do października. Ale pamiętaj, że nie tylko Bill cię potrzebuje, mnie również jesteś potrzebny. – Zrobił krótka przerwę i dodał z sarkazmem: – Widzę, że jakiś Bill jest dla ciebie ważniejszy ode mnie. Pamiętaj, że masz tylko jednego brata, drugiego już nie będziesz miał, bo mama nie żyje. Jeśli liczysz, że Patrycja ci go urodzi, to cię rozczaruję, bo ojciec nie ma zamiaru się rozmnażać.

– Paweł, nie bądź dzieckiem. Gadasz, jakby ci szły ząbki.

– Już przestałem być Klonem, stałem się zwykłym Pawłem? – Zabrzmiało to smutno i gorzko.

– Ależ z ciebie dzieciuch. Dorośnij wreszcie – mruknąłem.

– Aha, według ciebie przestanę być dzieciuchem, gdy zapomnę, że mam brata bliźniaka? Mam cię wyrzucić ze swojego życia, tak jak ty to zrobiłeś ze mną?

– Przestań pierdolić! – warknąłem. – Dobrze wiesz, że mam tu zobowiązania. Czas strzyżenia owiec jest najważniejszym okresem dla każdego hodowcy w Australii, nie mogę zostawić Billa samego z tym problemem.

– Przez całe życie jakoś dawał sobie radę bez ciebie, przecież jego parobkiem jesteś od niedawna.

## Rozdział 45

Dopiero dwa dni później udało się Bieglerowi porozmawiać z Marceliną Kieres. Informację, że dziewczyna jest w Krakowie, przekazał mu Bieda. Komisarz wolał jej nie przesłuchiwać, bo śledztwo nie zostało oficjalnie wszczęte, dlatego zlecił to Markowi. Biegler zostawił rodzinę w domku Świętej Zośki i pojechał do Krakowa. Musiał powiedzieć przez domofon, że jest listonoszem, żeby go wpuściła do środka. Rozpoznała go dopiero wtedy, gdy był już przedpokojem.

– To nękanie! – zawołała. – Zgłoszę to na policję.

– Proszę bardzo. Przy okazji wyjaśnimy powód, dlaczego chcę z panią porozmawiać, a pani tego unika. Opowie im pani, jak to Paweł Cisowski w dniu swojej śmierci zerwał z panią, a pani z żądzy zemsty uszkodziła przewody hamulcowe w jego aucie – zablefował.

– Pan oszalał – parsknęła. – Czego pan ode mnie chce? Nie wierzę, żeby był pan aż takim głupcem, podejrzewając mnie o zamordowanie Pawła z zemsty. Rzeczywiście byliśmy kochankami. Ale to przecież banał: on przystojny i żonaty, a ona chętna na romans z interesującym mężczyzną. I co z tego? Owszem, bardzo mi się podobał, może nawet się w nim zakochałam, ale to nie powód, żebym go zabiła, i to jeszcze w taki sposób. Nie mam zielonego pojęcia o samochodach. Nie potrafię dolać oleju w aucie, bo zawsze robi to tata. Nie wiem nawet, jak wyglądają te cholerne przewody hamulcowe, o które jest tyle szumu. Czy pan naprawdę uważa, że próbowałabym w ten sposób kogoś zabić? Gdybym miała zamiar to zrobić, wybrałabym zabójstwo przez otrucie. Studiuje farmację, dlatego znam się trochę na truciznach. A przecież sekcja nie wykazała w żołądku żadnych śladów substancji trującej, prawda?

– Może właśnie dlatego, że zna się pani na truciznach, wybrała inny sposób zadania śmierci, żeby nie wzbudzać podej-

rzenia? Nie jest wielką sztuką uszkodzić przewody, wystarczy w szkole liznąć trochę fizyki albo poszperać w internecie. – Wypowiadając słowo „trochę”, specjalnie ją przedrzeźnił. – Gdyby pani nie miała niczego na sumieniu, nie unikałaby mnie pani.

– Po prostu nie miałam ochoty z panem rozmawiać – warknęła. – Czego pan chce ode mnie?

– Chcę usłyszeć odpowiedzi na kilka pytań.

– No to niech pan pyta, do cholery!

– Ile trwał wasz romans?

– Prawie rok, za tydzień mieliśmy obchodzić pierwszą rocznicę.

– Gdzie się spotykaliście?

– Przeważnie w Krakowie, a czasami w starym domu babci.

– Czy ojciec i babka o was wiedzieli?

– Nie. Wyszło dopiero teraz, gdy niespodziewanie wyjechałam na wakacje w Bieszczady. Posądzili Piotra, że mnie porwał albo zabił. – Parsknęła śmiechem. – Są na moim punkcie mocno przeczuleni. Przede wszystkim babcia. Życ mi nie daje, ciągle mnie śledzi, wszystkiego zabrania. Dobrze, że tata kupił mi mieszkanie, bo inaczej zwariowałabym w tej cholernej Żuradzie.

– Kiedy Paweł zakończył wasz związek?

– Dzień przed wypadkiem – powiedziała niepewnie.

– Gdzie?

– W moim wynajętym mieszkaniu w Krakowie.

– A kiedy go pani ostatni raz widziała?

Zawahała się na moment.

– W dniu wypadku.

- Z czyjej inicjatywy?
- Mojej.
- Gdzie się spotkaliście?
- Przyjechałam do Żurady.
- Dlaczego chciała się pani z nim spotkać?

Znowu wahanie, a potem westchnięcie.

- Chciałam go przekonać, żeby... żeby nie zrywał.
- Gdzie się spotkaliście?
- W jego samochodzie. Z tyłu podwórka, pod jego domem.

Biegler się domyślił, jak wyglądało to jej przekonywanie.

– Nie obawiała się pani, że ktoś może was zobaczyć? – Mina dziewczyny wystarczyła za odpowiedź. – Rozumiem. Pani chciała, żeby jego żona was zobaczyła.

Marcelina chwilę milczała, a potem wybuchła.

– On wcale jej nie kochał! Widziałam, jak na mnie reago-  
wał. Lubił seks ze mną, bo dawałam mu to, czego ona nie  
umiała mu dać. – Zaraz jednak się zreflektowała, że powie-  
działa za dużo. Jej spłoszone oczy szukały ratunku w dywanie,  
patrzyła na niego tak, jakby chciała wzrokiem zrobić w nim  
dziurę.

Biegler nie zamierzał wgłębiać się w szczegóły. Wychodził  
z założenia, że nikt nie powinien zaglądać do cudzego łóżka  
i interesować się tym, co się tam wyprawia, jeśli się to robi za  
obopólną zgodą.

– I przekonała go pani? – mruknął.

Nie odpowiedziała. Widocznie „przekonywanie” nie było  
zbyt skuteczne. W głowie Bieglera pojawił się impuls: jeśli  
mimo numerku w aucie Cisowski nie zamierzał zmienić zda-  
nia, mogło to dziewczynę bardzo zdenerwować. Wyobraził  
sobie, co mogła czuć odtrącona kochanka, jeśli moment wcze-

śniej pozwalała mu na to, na co żona nie pozwalała. Wściekłość i rozczarowanie mogło rozbudzić w niej chęć zemsty.

Przemyślenia Mark zachował dla siebie. I tak nie usłyszałby prawdy.

Chwilę później opuścił mieszkanie dziewczyny i skierował się w stronę Olkusza. Postanowił jeszcze tego dnia porozmawiać z Leszkiem Kieresem.

Podjechał pod dom Kieresów. Ojciec Marceliny wrócił już z pracy, bo Mark dostrzegł na podjeździe jego samochód. Drzwi otworzyła mu Wanda Kieres. Na widok mężczyzny zmarszczyła brwi, nawet nie starając się ukryć niezadowolenia.

– Dzień dobry. Chciałbym porozmawiać z pani synem. Proszę mi nie mówić, że go nie ma, bo widzę jego auto.

– Leszek śpi, wrócił zmęczony z pracy. Nie ma pan pojęcia, jak ciężki jest zawód lekarza.

– Wiem, bo mój teść i szwagier są lekarzami. Nalegam, żeby zawołała pani syna. Zadam mu tylko kilka pytań i dalej będzie mógł spać – powiedział z domieszką ironii.

W tym momencie w przedpokoju pojawił się Leszek Kieres.

– Mamo, wpuść pana do domu.

Wanda jak niepyszna zdjęła łańcuch z drzwi i wpuściła Marka do środka.

– Może pójdziemy do mojego pokoju? – zaproponował Kieres. – Tam nikt nie będzie nam przeszkadzał – dodał ze złośliwym uśmieszkiem skierowanym do matki.

Kobieta wzruszyła ramionami i skierowała się w stronę kuchni. Słyszając, jak syn zamyka drzwi do swojego gabinetu, ścisnęła gniewnie usta.

Kieres usiadł przy biurku, a Mark w fotelu wskazanym przez gospodarza.

– W czym mógłbym panu pomóc?

– Szukam informacji na temat Pawła Cisowskiego. Wiele wskazuje na to, że jego śmierć nie była przypadkowa. Co mógłby pan o nim powiedzieć? Chyba dobrze pan go znał, bo nie tylko byliście spokrewnieni, lecz także mieszkaliście po sąsiedzku.

– Paweł i Piotr to synowie mojej nieżyjącej kuzynki. Ja i Lidka byliśmy ze sobą bardzo zaprzyjaźnieni. Oboje nie mieliśmy rodzeństwa. Byliśmy w tym samym wieku, chodziliśmy do tej samej klasy zarówno w podstawówce, jak i w liceum. Dużo czasu ze sobą spędzaliśmy, mieliśmy podobne usposobienia i zainteresowania. W dorosłym życiu nadal utrzymywaliśmy tę zażyłość. Jej mąż i synowie również stali się mi bliscy. Dlatego po śmierci Lidki sprzedałem Pawłowi po zaniżonej cenie parcelę, którą odziedziczyłem po dziadkach. Jego żona okazała się przemiłą dziewczyną. Przyznam, że gdyby nie Diana, to nie wiem, czy mielibyśmy tak dobre relacje. Moja mama bardzo polubiła Dianę. Kiedyś przyjaźniła się z jej babcią, dlatego otoczyła dziewczynę opieką niczym dobra ciocia. Ona nie ma nikogo na świecie, tylko dzieci i nas. Jej teść jakoś nie potrafił okazać jej cieplejszych uczuć. Dopiero od niedawna nieco zmienił nastawienie do niej.

Marka bardziej od Diany interesował jej mąż, dlatego wolał przekierować rozmowę na jego temat.

– A jak pan odbierał Pawła Cisowskiego? Czy lubił go pan tak jak jego żonę?

– Dobrze sformułował pan pytanie, panie Marku. – W kąci-  
kach ust mężczyzny pojawił się leciutki uśmiech. – Paweł był mi bliski jako członek rodziny, dlatego musiałem zaakceptować go również z jego wadami, ale dużo bardziej lubiłem Dianę. To z nią chcieliśmy się spotykać, a nie z moim krewniakiem.

– Jakie wady Pawła odstręczały pana od niego?

– No cóż, po śmierci Lidzi bardzo się zmienił. Wcześniej wszyscy postrzegali go jako miłego, sympatycznego i rozsądnego chłopaka, to Piotr uchodził za rozrabiakę. I nagle Paweł zaczął swoim zachowaniem bardziej przypominać brata, a nawet stał się od niego dużo gorszy. Heniek, jego ojciec, uważał, że to przez ożenek. Że Paweł był z Dianą nieszczęśliwy. Że złapała go na dziecko, że nie dorósł do małżeństwa i tak dalej. Wie pan, jak to jest z rodzicami, zawsze usprawiedliwiają własne dziecko, obwiniając drugą stronę. Heniek nie miał racji. Diana bardzo się starała, żeby ich małżeństwo przetrwało. Przymykała oczy na ordynarne zachowanie Pawła, na to, jak ją traktował, a nawet na inne kobiety.

– Czyli Diana wiedziała, że mąż ją zdradzał?

– Na pewno, bo to bystra dziewczyna. Ale wciąż go kochała...

– Czy pan wiedział o romansie Pawła z pańską córką?

– Nie. Dowiedziałem się niedawno. – Leszek pociągnął nosem i podrapał się po głowie, żeby pokryć niezręczność. – Moja córka straciła matkę, gdy była w klasie maturalnej. Przeżyła traumę i dlatego szukała miłości nie tam, gdzie powinna. No cóż, gdy się jest młodym, popełnia się wiele błędów.

– Jak pan myśli, czy Diana wiedziała o ich romansie?

– Nie wiem, ale chyba nie, bo nigdy nie okazywała wrogości w stosunku do Marceliny.

– Czy poznał pan jakichś znajomych Pawła Cisowskiego? Może go pan kiedyś widział w towarzystwie kogoś obcego, kogoś nowo poznanego?

– Nie znałem wszystkich znajomych Pawła. Skąd miałbym wiedzieć, kto jest obcy, a kto nie?

Biegler zorientował się, że jego pytanie zabrzmiało trochę głupio. Odchrząknął i poprawił się drugim pytaniem, również mało profesjonalnym:

– Chodziło mi o kogoś spoza Żurady i Olkusza.

– Olkusz może nie jest metropolią, ale nie jest również Żuradą. Liczy trzydzieści sześć tysięcy mieszkańców. Nie mam pojęcia, czy jakiś jego znajomy był nietutejszy.

– Podobno Paweł nawiązał znajomość z jakimiś Ślązakami. – Tłumaczył się nieporadnie Biegler. – Może go pan spotkał z kimś takim?

– Ślązacy to nie murzyni, wyglądają tak jak reszta Polaków – zauważył z rozbawieniem Kieres.

– No ale często mówią inaczej, mają charakterystyczny akcent. – Widząc minę Kieresa, machnął ręką. – Zresztą, to nieważne.

Kilka minut później Biegler opuścił dom Kieresów niezadowolony z rozmowy, a jeszcze bardziej z siebie. Niepotrzebnie tam poszedł. Nie tylko niczego się nie dowiedział, lecz także się zbłądził. Wchodząc do auta, czuł na sobie wzrok Wandy Kieres, obserwującej go zza firanki.



## Rozdział 46

### Piotr

Do Polski przyleciałem pod koniec października. Na lotnisku w Pyrzowicach czekał na mnie brat. Było to nasze pierwsze od wielu lat spotkanie na żywo. Kiedy objęliśmy się na powitanie, Paweł całkiem się rozkleił, w oczach pojawiły mu się łzy. Mnie też oczy zwilgotniały.

– Cześć, Klon. Dobrze cię widzieć w realu – powiedziałem, żeby przełamać skrępowanie. Ale zabrzmiało to głupio.

– Cześć. – Otarł oczy.

Dwie godziny później byliśmy już w Krakowie w hotelu, który zarezerwowałem przez internet. Zamówiłem posiłek do pokoju i butelkę wódki. Musieliśmy uczcić nasze spotkanie po latach. Kiedy siedziałem obok brata, znowu odżyły we mnie wspomnienia tych lat, kiedy byliśmy nierozłączni.

– Paweł, gdzie twoje okulary? – zapytałem z pewną nostalgią.

– W dziwny sposób poprawił mi się wzrok. Tobie pieprzyk też jakimś cudem zniknął. – Uśmiechnął się.

Teraz różnił nas jedynie zarost. Zapuściłem brodę nie ze względu na modę, tylko z lenistwa, bo nie chciało mi się golić. Natomiast brat miał na twarzy kilkuniedniową szczecinkę.

Kiedy kończyliśmy litrową butelkę absolutu, przystąpiłem do rzeczy.

– Teraz mów, co się dzieje – powiedziałem. – Słucham.

Brat westchnął.

– Wplątałem się w nieciekawe układy – bąknął. – I nie wiem, jak się z nich wyplątać.

- Jakie układy?
- Osobiste – mruknął, a po chwili dodał: – I nie tylko osobiste.
- Osobiste? To znaczy? – Zmarszczyłem brwi.
- Mam romans.
- Zdradzasz Dianę?! – zdziwiłem się i oburzyłem, jakby to mnie zdradzano. – Nic mi o tym nie mówiłeś, gdy gadaliśmy na Skypie. Dlaczego?
- Bo to nie była rozmowa na Skype’a.
- Miałem na myśli, dlaczego zdradzasz żonę?
- Bo nam się nie układa w łóżku.
- Hmm, zapominasz, że wiem, jak Diana zachowuje się w tych sprawach – rzuciłem. – Nigdy nie narzekałem, zawsze była z niej namiętna dziewczyna.
- Może przy tobie, przy mnie raczej nie. Unika ze mną seksu. Albo boli ją głowa, albo potrzebują ją dzieci, albo wymyśla coś innego.
- Miałem ochotę mu powiedzieć, że jeśli unikasz z nim seksu, to musi być w tym jego wina – ale nie powiedziałem.
- Kim jest ta kobieta?
- To Marcelina.
- Co? Marcelina od Kieresów?!
- Tak – powiedział, uciekając oczami w bok.
- Przecież to smarkula!
- Może nią była dziesięć lat temu, ale nie teraz. Gdybyś widział, jakie ma nogi i cycki, przestałbyś się dziwić.
- To dla fajnych nóg i cyków narażasz swoje małżeństwo?! Czy Diana wie o tym?

- Chyba nie.
- Czy to coś poważnego?
- Dla niej tak. Chce, żebym zostawił Dianę – mruknął.
- Chcesz się rozwieść dla tej smarkuli?! Zostawić żonę i dzieci?!
- Nie powiedziałem, że ja chcę, tylko Marcelina.
- I po to jestem ci potrzebny? Żeby jej powiedział: Marcelinko, jestem żonaty i dzieciaty, musisz znaleźć sobie innego faceta? – szydziłem. – Masz fantastyczną żonę i kapitalne dzieciaki i psujesz to, bo jakaś laska dobrze ci robi laskę? Jesteś idiotą, Klon.
- A ty świętoszkowatym prykiem bez polotu i fantazji. Ale zrobił się z ciebie nudziarz!
- Odkąd to fantazją są romanse z siksami? *Notabene*, to zawsze Piotr miał fantazję i głupie pomysły, a Paweł był tym poważnym i mądrym. Wyszedłeś z roli, Klon – warknąłem wściekły, że nie doceniał tego, co miał.
- Miałeś szczęście, bo moneta wybrała ci ciekawsze życie. Gdybyś był na moim miejscu, też byś nie chciał zgnuśnieć. Wiesz, jak to jest mieszkać w takiej dziurze jak Żurada? Codziennie to samo! Dzień podobny do dnia. Ta sama praca, ta sama baba, wrzeszczące bachory i roszczeniowy ojciec, który na każdym kroku dyktuje ci, co masz robić. Nie masz pojęcia, co to znaczy być na garnuszku takiego skurwiela jak nasz stary. Zrobił ze mnie swojego parobka. Nie mam nic do gadania, o wszystkim decyduje ojciec. Nie tylko w firmie, lecz także w moim domu. Rzygać się chce. – Przymknął powieki i nabrał do płuc powietrza. – Nie nadaję się do takiego życia. Byłem za młody, żeby się żenić. Nawet nie wiesz, jakie miałeś szczęście, że to ciebie ojciec wypierdolił z Polski. Bardzo żałuję, że pozwoliłem ci wyjechać. To ja włamałem się do jego biura, ty powinienes tu zostać, tym bardziej że zadurzyłeś się w Dianie.

Bądźmy uczciwi, mnie na niej nie za bardzo zależało. Ożeniłem się z nią, bo mi kazałeś.

Dianka, długo się wahałem, czy powiedzieć Ci prawdę. Wiem, że go kochałaś, wiem, że to Cię zabolę, ale postanowiłem niczego przed Tobą nie ukrywać, bez względu na konsekwencje. Nie chcę wybielać siebie, oczerniając brata. W żadnym razie. Byliśmy tacy sami, przecież różniło nas tylko kilkadziesiąt punktów wśród kilku miliardów identycznych. Wychoywaliśmy się w takich samych warunkach, dopiero później przyszło nam mieszkać oddzielnie. Powtarzam: byłem tak samo zły i tak samo dobry jak mój brat. Jedyne, co nas różniło, to było to, że JA Cię kochałem, a JEMU kazano Cię kochać. Dlatego proszę, nie oceniaj go zbyt surowo.

Koniec dygresji, powracam do meritum.

Z trudem wstrzymałem się z komentarzem, że nie dałby sobie rady sam za granicą. Nie mówiłem mu wszystkiego o tym, jak wyglądały moje początki. Że czasami nie miałem za co kupić chleba i spałem na ulicy, bo mnie okradziono. Że harowałem w pocie czoła za psie pieniądze i że nieraz musiałem schować dumę do kieszeni i prosić, żeby mnie nie wyrzucano z pracy, gdy nie spełniałem oczekiwań szefa. Że nieraz żałowałem swej wspaniałomyślnej decyzji oszczędzenia mu tych wszystkich trudów i upokorzeń. Och, jak bardzo chciałem być na jego miejscu. Nie martwić się o pieniądze, patrzeć, jak rosną dzieci, i nudzić się w towarzystwie żony. Być parobkiem ojca to naprawdę lepsza opcja niż być parobkiem obcego pracodawcy. Spostrzeżenia zatrzymałem dla siebie, powiedziałem tylko:

– Już niedługo przestaniesz być parobkiem, bo przejmiesz po ojcu firmę. Może kiedyś zrozumiesz, jakie to szczęście mieć rodzinę. Czy po to mnie wezwalesz, żeby narzekać na swój parszywy los? – zapytałem kpiąco.

Chwilę milczał, oglądając szklanę z drinkiem, którą trzymał w ręce, potem podniósł na mnie wzrok.

– Mam również inne kłopoty.

– Wyduś wreszcie, o co chodzi.

– Wplątałem się w narkotyki.

– Ćpasz? – Zmarszczyłem brwi.

– Nie, przewożę.

– Co?! – Nie wiem, która opcja była gorsza; czy ta, że mój brat uzależnił się od narkotyków, czy nimi handlował. – Jesteś dilerem?

– Klon, czy ty nie rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie sprzedaję, tylko je przewożę.

– W jaki sposób?

– W meblach ojca wysyłanych na eksport.

– Ojciec o tym wie?

– Oszalałeś? Oczywiście, że nie wie.

– Co to jest? Marihuana?

– Nie, amfa i koka.

– Kurwa, skąd je bierzesz?

– Chciałem dorobić na boku, żeby nie prosić ciągle starego o pieniądze. – Paweł jakby nie słyszał mojego pytania. – Znajomy znajomego zaproponował mi współpracę. Meble są gabarytowo duże i handlujemy nimi od dawna, dlatego transport nie wzbudza podejrzeń.

– Kto ci dostarcza towar?

– Na razie nie mogę ci powiedzieć.

– Jak to, kurwa, nie możesz? Ściągasz mnie z końca świata, żądasz pomocy i nie możesz powiedzieć, kim są te bydlaki?!

– Bo sam nie wiem. Dostarczają mi towar, a potem forszę, gdy ładunek przejedzie bezpiecznie. Nie wiem, skąd biorą towar ani gdzie on potem trafia. Dostarczam meble pod wskazany adres, rozładowują towar, kwotę wystawioną na fakturze wysyłają na konto ojca, a mnie dają forszę do ręki.

– Do ręki?

– Co się tak dziwisz? Czy myślisz, że ja też im wystawiam fakturę jak ojciec, tylko w miejsce „meble”, wpisuję „usługi kurierskie”? Przecież nie mogę wpłacić tego na konto, bo ojciec od razu by się połapał.

– Profesjoniści robią to trochę inaczej. Mają tajne konta w bankach, których nie interesuje, skąd pochodzą pieniądze. Ile dostajesz za kurs?

– Dziesięć tysięcy euro.

– O, nieźle. Gdzie to wszystko trzymasz?

– W domu.

– W domu?! – wydałem okrzyk zdziwienia. – Zresztą nie chcę wiedzieć gdzie. Towar idzie do Niemiec czy Anglii?

– Do Niemiec.

– Czy kierowca tira wie, co przewozi?

– Musi wiedzieć, bo najpierw zawozi tira do bazy na Śląsku i tam dochodzi do załadunku towaru, a ja ponownie plombuję.

– Jest więc w to zamieszana firma transportowa?

– Nie wiem, może tylko kierowca, bo jeździ zawsze ten sam.

– Widzę, że nieźle prosperujesz, więc wszystko gra. To w czym jest problem? – zapytałem sucho.

– Chciałbym się wycofać, a nie mogę.

– To idź na policję.

– Oszalałeś?! Wszystko by się wydało! Poszedłbym siedzieć, jeśli wcześniej by mnie nie zabili. Powiedzieli, że mają układ z policją.

– No to pięknie. – Wypuściłem z płuc powietrze. – To czego ode mnie oczekujesz?

– Sam nie wiem, może coś razem wymyślimy?

# Rozdział 47

## Piotr

Na razie daliśmy sobie spokój, tym bardziej że nic niepokojącego nie działo się w tej sprawie. Nie było następnego kursu, nikt się z Pawłem nie kontaktował. Staraliśmy się nadrobić ten czas, gdy widzieliśmy się tylko na ekranie laptopa. Rozmowa przez telefon czy internet nigdy nie zastąpi bezpośredniego kontaktu, dlatego codziennie się spotykaliśmy albo w Krakowie, albo w przydrożnej knajpce w drodze do Olkusa. Za każdym razem dopytywałem o Ciebie i dzieci, a brat zdawał mi relacje, co robiliście. Któregoś dnia, kiedy poprosiłem, żeby zrobił Ci zdjęcie, spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

– Jeśli tak bardzo chcesz ją zobaczyć, to przyjedź do Żurady – zaproponował.

– Ojciec mógłby się dowiedzieć i byłaby awantura – odparłem, myśląc, że chce mnie przedstawić swojej rodzinie. Moja gęsta broda odróżniała nas obu i mimo dużego podobieństwa nie byłem teraz identyczny jak Paweł.

– Nie to mam na myśli – powiedział z łobuzerskim uśmiechem w kącikach ust. – Wystarczy, że zgolisz brodę i zapuścisz kilkudniowy zarost, a znowu będziemy identyczni. Mogę odwiedzić kilka razy solarium, żeby uzyskać twoją opaleniznę, chociaż od przyjazdu do Polski zdążyłeś już trochę zblednąć. Tylko moja blizna na piersi by nas odróżniała, ale można temu zaradzić, bo jest świeża.

– Wyglupiasz się – mruknąłem. – Przecież już dawno z tym skończyliśmy. Obiecałem sobie, że nigdy więcej tego nie zrobię.

– Ja niczego sobie nie obiecywałem. – Uśmiech nadal tkwił w kącikach warg brata.



Mój sprzeciw widocznie nie był zbyt przekonujący, bo Paweł ciągnął:

– Zrobisz sobie bliznę, a ja swoją rozdrapię, żeby wyglądała na świeżą.

– Jak ją zdobyłeś? – zapytałem wciąż trochę oszołomiony propozycją.

– Zrobiła mi ją Marcelina. Ostra z niej sztuka.

Nie spodobała mi się odpowiedź.

– Czy w pakiecie tej oferty jest również noc w waszej małżeńskiej sypialni? – burknąłem trochę zniesmaczony.

– Jasne. – Uśmiechnął się.

– Przestań pierdolić, Klon.

– Wcale nie pierdołę, ale ty mógłbyś trochę popierdolić. Kiedy miałeś ostatnio jakąś kobietę?

– Naprawdę pozwoliłbyś, żebym przespał się z twoją żoną?

– Cóż się tak temu dziwisz? Przecież nie byłby to precedens, już niejeden raz ci ją odstępowałem.

– Kurwa, nie mów tak, brzmi to okropnie – mruknąłem.

– A czy to nieprawda? Nie przesadzaj, Klon. Zrobiłeś się w tej całej Australii nadwrażliwy. Przecież widzę, że Diana wciąż nie jest ci obojętna. Uprzedzam, że możesz się rozczarować. Znając życie, miałeś niejedną lepszą dupencję. Cóż, po dwójce dzieci ciało kobiety się zmienia.

– Wiesz, Klon, kawał z ciebie gnoja – warknąłem. – Gdybym cię nie znał tak dobrze, to nie chciałbym mieć kogoś takiego wśród znajomych.

– Ale mnie znasz, Klon, dlatego wiesz, że potrafię być miłym facetem. Lubię Dianę. Nikomu nie pozwoliłbym jej skrzywdzić, ale... No cóż, po jedenastu latach nawet najlepsza potrawa może się znudzić.

– Czasami jesteś obrzydliwy.

– Sam zauważyłeś, że tylko czasami. – Uśmiechnął się rozbijając. – Masz teraz okazję sprawdzić empirycznie, czy twoja wydumana miłość nie rozczaruje cię w konfrontacji z rzeczywistością. – Przesłał mi trochę kpiące spojrzenie. – Wiem, Klon, że się w niej wciąż podkochujesz, ale przygotuj się, że to nie jest już ta sama dziewczyna. Zmieniła się. W każdym aspekcie.

Całą noc nie spałem, rozmyślając o propozycji brata. Wiedziałem, że to byłoby nie tylko nie w porządku w stosunku do Ciebie, lecz ja także dużo bym stracił w sferze emocjonalnej i w swoim własnym kodeksie etycznym. Okres pobytu na obczyźnie traktowałem jako swoiste katharsis i jednocześnie odpokutowanie dawnych postępów. Chciałem oczyścić swoją psychę z moralnego brudu, w jaki uwikłałem się z bratem, a jednocześnie dokonać autoterapii, bo wiedziałem, że nasze relacje i zachowania świadczyły o poważnych zaburzeniach psychicznych. Głównym założeniem mojej autoterapii było zerwanie z przeszłością i niepowtarzanie tych samych błędów i występów w relacjach z bratem. Teraz moje samoleczenie miało ponieść sromotne fiasko, ponownie miałem wpaść w tę samą kloakę, w której byłem kiedyś. Z drugiej strony propozycja brata była tak kusząca, że pokonywała wszystkie moje moralne i racjonalne argumenty. Przecież o czymś takim marzyłem przez te długie jedenaście lat, przecież cały czas fantazjowałem, żeby znowu spędzić z Tobą chociaż jedną noc.

Perspektywa ponownego ujrzenia Ciebie i zakosztowania tego, czego tak bardzo zazdrościłem bratu, była silniejsza niż opory natury moralnej. Złapałem rzuconą przynętę.

Musieliśmy odpowiednio się przygotować, żeby pomysł brata nie spalił na panewce. Paweł zrobił cały album zdjęć waszego ogrodu, domu i pomieszczeń. Dał mi swoją komórkę i laptop do przejrzenia, opowiadał ze szczegółami, co się ostatnio wydarzyło w domu, a nawet nagrywał na dyktafon

wasze rozmowy przy stole. On również się przygotował na ewentualne wpadki, mówiąc Ci o nawrotach tej dziwnej choroby, przejawiającej się niegdyś zanikami pamięci.

Ja tymczasem zgoliłem brodę i zapuściłem trzydniowy zarost, taki, jaki nosił Paweł. Wcześniej fryzjer obciął nam włosy na identyczną fryzurę. Potem poszliśmy do solarium; on, żeby opalić całe ciało, a ja miejsce po brodzie, bo skóra była tam bledsza. Kiedy dzień przed zamianą stanęliśmy obok siebie przed lustrem, znowu wizualnie byliśmy identyczni. Zrobiliśmy generalną próbę naszego podobieństwa w ten sposób, że Paweł poszedł do recepcji mnie wymeldować, bo postanowiliśmy zmienić hotel. Brat zdał egzamin na szóstkę, ponieważ recepcjonistka, z którą często gawędziłem, nie rozpoznała podmianki. Przeniosłem się do tańszego hotelu, skąd było bliżej do Olkusza i Żurady.

Na dzień zamiany wybraliśmy czwartkowe popołudnie, gdy ojciec zamierzał wyjechać na dwa dni do Warszawy. Obawiałem się spotkania z nim, bo mógł zadawać pytania związane z firmą, o której działalności nie miałem pojęcia. Tego dnia Paweł przyjechał do mojego hotelu w południe. Przebraliśmy się, zamieniając się nawet bielizną. Dokładnie mi zrelacjonował, co się wydarzyło w waszym domu dzień wcześniej, włączył dyktafon, by odtworzyć nagranie rozmowy przy wczorajszej kolacji i dzisiejszym śniadaniu, instruując mnie na koniec o problemach z bramą wjazdową, która nie chciała się dobrze otwierać.

– Trzymam za ciebie kciuki, Klon – powiedział. – Życzę przyjemnej zabawy – dodał, uśmiechając się cynicznie.

– Jesteś chory – mruknąłem – I ja też, niestety. – Mówiąc to, westchnąłem.

Zbliżając się do Żurady, poczułem dreszcz podniecenia – adrenalina dała znać o sobie. Po drodze kupiłem bukietik żółtych astrów. Przypuszczałem, że chyba robię błąd, bo praw-

dopodobnie Paweł nie kupował Ci kwiatów bez okazji. Otworzyłem bramę, która wyjątkowo się nie zacięła, i wjechałem na podjazd. I wtedy Cię ujrzałem. Uczyłaś Karinkę jazdy na rowerku bez dodatkowych kółek. Serce zaczęło mi bić gwałtownie jak wściekła kołatka u drzwi. Chociaż nie miałaś na twarzy makijażu i ubrana byłaś w dzinsy i szeroką bluzę z polaru, nadal wydawałaś mi się najpiękniejszą i najseksowniejszą dziewczyną na świecie. Nie zmieniłaś się wiele od dnia, kiedy widziałem Cię ostatnio. Byłaś jeszcze piękniejsza niż na zdjęciach. Nie zareagowałaś na mój widok, ale mała mnie dostrzegła.

– Zobacz, tatusiu, umiem jeździć jak duzi ludzie! – zawołała i się przewróciła.

Podbiegłem do dziewczynki, podniosłem i przytuliłem mocno, nie dopuszczając, by pojawiły się łzy.

– To moja wina – powiedziałem. – Ujrzałaś mnie i przestałaś się koncentrować na jeździe, dlatego się przewróciłaś.

Spojrzała na mnie, zdziwiona.

– Tatusiu, co to znaczy „koncentrować”?

Dopiero wtedy się zorientowałem, że w rozmowie z dziećmi używa się prostych słów. Na szczęście tego nie zauważyłaś, zajęta zbieraniem zabawek.

– „Koncentrować” się to znaczy „skupiać”. – Widząc jej minę, dodałem szybko: – To samo co „uważać”. Nie uważałaś, bo na mnie patrzyłaś. Ale teraz ponownie spróbujemy i tym razem na pewno się nie przewrócisz. Łatwiej jeździć po asfalcie niż po kostce, dlatego chodźmy na ulicę.

Po kilkunastu minutach jazdy stwierdziłem, że na tym zakończymy dzisiejszą naukę. Rozglądałem się za Tobą, ale już zniknęłaś w czeluściach domu. Wziąłem z auta kwiaty oraz reklamówkę i wraz z Karinką weszliśmy do wiatrołapu. Pozbyłem się kurtki i butów, po czym założyłem na stopy domo-

we pantofle Pawła. Stałaś przy blacie kuchennym odwrócona do mnie tyłem. Podszedłem bliżej i pocałowałem Cię w policzek.

– Witaj, Dianka – powiedziałem.

Spojrzałaś na mnie ze zdziwieniem.

– Dianka? Dawno tak do mnie nie mówiłaś – mruknęłaś i spojrzałaś na kwiatki. – To dla mnie? Z jakiej to niby okazji?

– Czy nie mogę kupować swojej żonie kwiatów bez okazji?

– Nigdy tego nie robisz. Kupujesz tylko na imieniny, urodziny, w Dzień Kobiet, no i w walentynki. – Ostatnie słowo wybrzmiało goryczą. – Siadaj, zaraz dokończę kolację. Wcześniej dziś wróciłaś z pracy.

Po chwili otworzyły się drzwi przedpokoju i wszedł Igor. Bez słowa skierował się ku schodom na piętro.

– Cześć, Igor – zawołałem.

– Cześć – odburknął.

– Chodź przywitać się ze starym ojcem. – Staralem się nadać słowom lekkości, ale przyspieszone bicie serca świadczyło o zdenerwowaniu, gdy patrzyłem na chłopca. Zawsze podświadomie czułem, że to ja byłem ojcem biologicznym Igora. No cóż, był bardzo do mnie podobny... tak jak do Pawła.

– Już się przywitałem, muszę coś sprawdzić w kompie – mruknął.

– Przyjdź, nie pożałujesz. Mam coś dla was.

– Z jakiej okazji? Przecież dziś jest normalny dzień.

Zauważyłem Twoje zdziwione spojrzenie. Czułem, że robię następne błędy, „gafy” – przypomniałem sobie wymyśloną przez nas nazwę. Mimo to postanowiłem zaryzykować, żeby ten dzień był wyjątkowy dla wszystkich. Może go zapamiętacie wśród całej rzeszy innych podobnych dni?

– Normalny nienormalny – powiedziałem wesoło. – Wygrałem dziś w totka trochę pieniędzy.

– Co, kasyno ci nie wystarcza? – mruknęłaś.

Hmm, o hazardzie mi nie wspominałeś, Klon – pomyślałem z niezadowoleniem. Widzę, że o wielu sprawach mi nie powiedziałeś.

– W kasynie nie byłem całe wieki – odparłem i dodałem ciszej: – Nie przy dzieciach.

– Nasze dzieci są bystre, widzą wiele rzeczy, których byśmy nie chcieli, żeby widziały.

– Dianka, nie psuj nam dnia – mruknąłem. – Dla ciebie też coś mam. Chodźcie do stołu.

Wziąłem reklamówkę.

– To dla ciebie, Karinka – powiedziałem, wręczając jej lalkę Barbie i komplet ubranek.

– O, super, takiej nie mam – zawołała radośnie.

– Wiem, że nie masz.

– Skąd wiesz, tatusiu, przecież nigdy nie zaglądasz do mojego pokoju?

– Zaglądam wtedy, gdy tego nie widzisz. A to dla Igora.

Igor dostał grę komputerową.

– Prosiłeś mnie o tę grę już od dawna, a więc ci kupiłem.

– Super! Dziękuję, tato. – Chyba gra sprawiła mu naprawdę radość, bo się uśmiechnął.

– Teraz coś dla mamy – powiedziałem i wyciągnąłem zielony T-shirt z nadrukiem naszego zdjęcia sprzed jedenastu lat zrobionego w Ojcowie.

Widziałem, jak zapłonęły Ci oczy.

– Dziękuję – powiedziałaś cicho i się odwróciłaś. Dostrzegłem, że zwilgotniały Ci oczy, ale szybko je przetarłaś. – Była dziś u nas Marcelina, jutro ma egzamin i jedzie do Krakowa. Chciała, żebyś zmienił jej koło w samochodzie.

– Niech jej ojciec to zrobi, ja nie mam czasu – mruknąłem. – Nie wpuszczaj jej, gdyby przyszła. Wymyśl coś. Że się kąpie albo że już śpię.

Wzruszyłaś tylko ramionami. Chyba jednak wiedziałaś, że Twój mąż ma z nią romans.

Ale dziś to ja byłem Twoim mężem, nie Paweł.

Wieczór spędziliśmy bardzo miło. Dzieciaki siedziały z nami aż do godziny dziewiętej, dopóki nie wysłałaś ich do łóżka.

– Dzieci, do spania – powiedziałaś.

– Dziś ja położę ich do łóżka, dobrze? – zapytałem.

– Co takiego?! – obruszył się Igor. – Mnie nikt nie kładzie do łóżka.

– Wiem, ale chciałbym zainstalować tę grę. Najpierw opowiem bajkę Karince.

Cały czas mnie bacznie obserwowałaś. Czulem na sobie Twój wzrok. Wiedziałem, że zastanawiasz się, dlaczego dziś Twój mąż zachowuje się inaczej.

Kiedy wróciłem od dzieci, siedziałaś w fotelu i oglądałaś film na TVN.

– Widzę, że *Milionerzy* już się skończyli? – zapytałem retorycznie. Wiedziałem od brata, że oglądasz każdy odcinek tego teleturnieju. – Czy Hubert dał dzisiaj komuś zarobić?

Wzruszyłaś ramionami.

– Chcesz piwo? Zaraz ci przyniosę – powiedziałaś, zrywając się z fotela.

- Dziś mam ochotę na szampana. Wypijemy?
- Jakoś nie mam ochoty.
- Dlaczego? Przecież go lubisz? Proszę, napij się ze mną.  
Chwilę milczałaś, potem utkwiałaś we mnie wzrok.
- Paweł, co się dzieje? Dlaczego dziś zachowujesz się tak dziwnie?
- Dziwnie? Dlatego, że chcę się napić z tobą szampana?
- Nie tylko. Wszystko dziś robisz inaczej.
- Bo... chciałbym, żeby dziś było tak jak kiedyś... Pamiętasz Ojców?
- Bardzo dobrze pamiętam – powiedziałaś i przymknęłaś powieki.
- I tylko tyle, nic więcej. Liczyłem, że powiesz, „bo wtedy się w tobie zakochałam”. Ale nie doczekałem się tych słów.
- Naprawdę nie chcesz piwa? Mogę ci przynieść z lodówki – zaproponowałaś.
- Nie, dziękuję. Jesteś jedną z nielicznych żon, która proponuje mężowi piwo.
- Bo zawsze wieczorem pijesz co najmniej dwie butelki mocnej tatry.
- Nie mam ochoty na browara. Oprócz szampana mam jeszcze wino. Twoje ulubione porto.
- Nie piłam tego od lat. Dobrze, napijemy się wina.
- Alkohol trochę rozpędził Twoją podejrzliwość i rezerwę. Fajnie nam się rozmawiało, prawda? Siedzieliśmy w fotelach do godziny dwudziestej trzeciej.
- Pora spać, jutro wczesnie wstajesz – zauważyłaś.
- Postanowiłem zrobić jutro bumelkę. Nie ma ojca, mogę iść na wagary.



Zadzwonił leżący na stole telefon Pawła, bo się zamieniliśmy komórkami. Spojrzałem na wyświetlacz, ujrzałem napis „Tłumaczka”, ale wiedziałem, że to numer Marceliny. Nie odebrałem, tylko wyłączyłem głośnik.

– Chodźmy do łóżka – powiedziałem cicho.

– Nie idziesz do swojego gabinetu?

– Nie.

– Okej. Kto wcześniej korzysta z łazienki?

– Ty skorzystaj z górnej, a ja z dolnej – powiedziałem. Bałem się, że mogłabyś zasnąć, gdybym ustąpił Ci pierwszeństwa.

Wziąłem szybki prysznic, więc byłem w łóżku przed Tobą. Zjawiałaś się w bawełnianej koszulce z nadrukiem w niebieskie kropki, natomiast ja nie miałem na sobie nawet bokserek. Wino dodało mi odwagi, dlatego bezceremonialnie ściągnąłem z Ciebie koszulę nocną.

– Dziś niepotrzebna. Zadbam o to, żeby nie było ci zimno – wymruczałem, całując Cię w szyję.

W pierwszej chwili jakbyś się wahała, ale po chwili dołączyłaś do moich pieszczot.

Pamiętasz tę noc? Ja zapamiętałem ją na zawsze. Tak jak poprzednie, które razem spędziliśmy. Wszystkie je zapamiętałem. Wszystkie nasze wspólne godziny były dokładnie posegregowane i skrzętnie schowane w specjalnych szkatułkach, do których tylko ja miałem klucz. Czekały tam, aż do nich zajrzę i odtworzę w pamięci niczym ulubione filmy. A zaglądałem do nich bardzo często. Pamiętałem prawie wszystkie nasze rozmowy, Twoje słowa, Twój śmiech. Pamiętałem każdy szczegół Twojej twarzy, każdy element Twojego ciała.

Teraz miałem dostać w prezencie nowe godziny z Tobą, by dodać je do kolekcji dawnych wspomnień. Czekając na Ciebie

w łóżku, byłem pełen obaw i niepewności. Bałem się, czy nie odkryjesz mojego oszustwa. Podobno w łóżku człowiek odsłania się najbardziej. Lęk, że rozpoznasz w leżącym obok mężczyźnie kogoś, kto nie jest Twoim mężem, wręcz mnie paraliżował, a serce wpadło w tachykardię. Łomotało tak mocno, że bałem się, czy tego nie usłyszysz. Na szczęście udało mi się opanować strach. Obawy jednak wciąż pozostały. Czy podołam jako mężczyzna? Czy Cię nie rozczaruję? I czy sam się nie rozczaruję Tobą. Tak, tego też się bałem, bo wciąż chciałem zachować piękno moich wspomnień. Nie psuć ich. Wciąż chciałem widzieć w Tobie tamtą Dianę sprzed lat. No cóż, jestem szalonym, sentymentalnym romantykiem. To Ty zrobiłaś ze mnie romantyka, wcześniej byłem cynicznym pragmatykiem, trzeźwo stąpającym po ziemi, z makiawelicznymi pomysłami – których piętno odcisnęło się też na Tobie.

Z ulgą stwierdziłem, że nadal jesteś moją cudowną, wymarzoną dziewczyną.

Ta noc okazała się jeszcze piękniejsza od poprzednich. Czas jakby stanął w miejscu, znowu byliśmy młodzi, znowu byliśmy dwójką zakochanych studenciaków. Nie było tych jedenastu lat rozłąki. Twoje ciało wciąż było cudownie pociągające, otwarte i chętne na miłość. Ale nie od razu. Początkowo byłaś spięta, jakby nieprzystępna, dopiero moje pocałunki i moja czułość Cię rozpałyły.

Pamiętasz, jak Cię pieściłem? Jak Cię całowałem? Jak zlizywałem z Ciebie posmak żalu, rozczarowania i goryczy? Bo doskonale wiedziałem, co wtedy czułaś. I wiedziałem dlaczego. Chciałem choć na krótko pokazać Ci innego Pawła, tamtego sprzed lat. Przywrócić magię tamtych spotkań, tamtych naszych erotycznych chwil. Chyba zadziałało. Pamiętasz, jak później oddawałaś mi pieścizoty i pocałunki? Czy Tobie też było tak dobrze jak mnie? Chyba tak...

Zastanawiałem się, dlaczego nie zauważyłaś podmiarki. Seks ponoć jest najlepszym wykrywaczem takich oszustów jak ja i Paweł. Chociaż ciało miałem identyczne jak brat, ale *ars amandi* w moim wykonaniu musiało się różnić. Ty jednak nie zauważyłaś różnicy. Prawdopodobnie dlatego, że wciąż miałaś zakodowane w pamięci nasze przedmałżeńskie harce. Moje erotyczne zachowania nie były Ci całkiem obce, przecież kiedyś kochałem się z Tobą w podobny sposób. Zresztą jakiej normalnej kobiecie mogłoby przyjść do głowy tak absurdalne podejrzenie, że jej własny mąż wpuszcza do małżeńskiego łóżka swojego sobowtóra?

Kochaliśmy się tylko dwa razy, chociaż miałem ochotę i możliwości fizyczne na więcej, ale mogłoby to wzbudzić Twoje podejrzenie. No i byłaś zmęczona. Pamiętam, jak już prawie zasypiając, wyszeptałaś w moją pierś:

– Szkoda, że nie jesteś zawsze taki jak dziś. Szkoda... – I zasnęłaś.

W przeciwieństwie do Ciebie długo nie mogłem zasnąć, udało mi się to dopiero nad ranem. Mój sen nie trwał długo, obudziłem się, gdy wracałaś od Karinki płaczącej w sąsiednim pokoju. Spojrzałem na zegarek. Godzina szósta, na dworze jeszcze panowała ciemność. Wsunęłaś się cicho do łóżka. Dotknąłem dłonią twojego uda.

– Śpij, jeszcze wcześniej – powiedziałaś.

– Nie chce mi się już spać. Chce mi się ciebie – wymruczałem Ci w szyję.

– Teraz? Nigdy tego nie robimy.

– No to dziś zrobimy pierwszy raz.

– Nawet zębów nie umyłam.

– Nie szkodzi. Ja też. Pokochamy się na brudaska.

Poranny seks trochę nas zmęczył, dlatego oboje usnęliśmy, ale nie trwało to długo, bo do pokoju wpadła Karinka.

– Mamusia, ty jesteś goła – zauważyła ze zdziwieniem. – Dlaczego? Zawsze jesteś ubrana.

– Dziś było mi gorąco – powiedziałaś, naciągając w pośpiechu koszulę nocną. – Już wstaję. Trzeba obudzić Igora do szkoły.

Pół godziny później siedzieliśmy przy stole. Moje pierwsze rodzinne śniadanie. Zgiełk, pośpiech, grymaszenie i kłótnie dzieciaków – cudowne chwile.

– Zaraz wracam, tylko odwiozę Igora do szkoły, a Karinę do przedszkola – powiedziałaś.

Miałem ochotę powiedzieć, że zrobię to za Ciebie, ale obawiałem się wpadki w przedszkolu. Brat nie poinstruował mnie w tej kwestii. Nie miałem pojęcia, w której Karina jest grupie ani jak się nazywa przedszkolanka.

Zostałem sam. Niedługo. Chwilę po Twoim wyjściu usłyszałem dzwonek. W drzwiach stała Marcelina.

– Dlaczego nie odbierałeś ode mnie telefonu? – zapytała z wściekłością w głosie i w oczach.

– Bo nie mogłem. Diana była cały czas w pokoju.

– Odkąd to tak bardzo obchodzi cię Diana? Mogłeś coś wymyślić.

– Nie mogłem. Idź stąd, bo zaraz wraca moja żona – syknąłem.

– I co z tego? Jest za głupia, żeby się czegoś domyślać. – Wzruszyła ramionami.

– Mylisz się, już coś podejrzewa.

– No i dobrze. W końcu sytuacja się wyklaruje.

– Ciekawe, co powiedzą na to twój ojciec i babka – mruknąłem.

– Mam to w nosie. Chcę być z tobą. Muszą to zaakceptować.

– Zadzwoń do ciebie wieczorem, teraz już idź.

Niestety zauważyłaś wychodzącą z domu Marcelinę. Nic nie powiedziałaś, ale czułem, że już się skończyła nasza idylla.

Rzeczywiście weszłaś do domu i w progu powiedziałaś:

– Wychodzę na zakupy.

– Diana, poczekaj, zrobisz je później. Chciałbym... wypić z tobą kawę.

– Nie mam czasu, wypij sam – powiedziałaś chłodno i bardzo stanowczo.

Paweł był w błędzie – wiedziałaś o Marcelinie. Dlaczego udawałaś, że nie wiesz o ich romansie? Dlaczego nie zrobiłaś awantury jak każda normalna żona?

Nie wiedziałem, jak się zachować. Powiedzieć, że mam w nosie Marcelinę, że to tylko nic nieznaczący romans? Czy udawać, że nie ma żadnego romansu, a Marcelina to tylko sąsiadka, a potem oburzyć się fochami żony?

– Dianka, proszę, zostań...

– Idę – przerwałaś mi, chwytając torbę na zakupy.

I taki był koniec mojego snu.

Nie było sensu czekać na Twój powrót. Widziałem, że wczorajsza magia minęła, że nic już nie wskóram, mogłem tylko zaszkodzić. Byłem wściekły na Pawła, na Marcelinę i na siebie, że ją wpuściłem do domu. Zamknąłem drzwi i wyszedłem na podjazd. Już miałem wsiadać do samochodu, gdy nieoczekiwanie nadjechała żona ojca. Nie braliśmy z Pawłem pod uwagę sytuacji, że mogę spotkać tu nową panią Henrykową Cisowską. Z pewnym zainteresowaniem zacząłem się przy-

glądać mojej młodej macosze. Znałem ją ze zdjęć i filmików przysyłanych przez brata, ale w realu była dużo ładniejsza – nie w moim typie, ale ładna. Przywodziła na myśl dobrze zakonserwowane czterdziestoletnie telewizyjne celebrytki. Takie, których największym życiowym problemem jest złamany paznokieć i pierwsza pojawiająca się zmarszczka na twarzy.

– Dzień dobry – powiedziałem chłodno. Z tego, co mówił Paweł, nie byli w dobrej komitywie.

Wysiadła z samochodu i przybliżyła się do mnie.

– Dlaczego wczoraj nie przyszedłeś? Przecież wiedziałeś, że nie ma w domu twojego ojca. Czekałam...

Zgłupiałem. Na coś takiego nie byłem przygotowany. Nie wierzyłem własnym uszom. Może źle zrozumiałem jej słowa?

Szybko się opanowałem. Wzruszyłem ramionami, czekając na jej ruch. Ale milczała.

– Co tu robisz? – zapytałem dyplomatycznie.

– A co w tym dziwnego, że macocha odwiedza dom swojego pasierba? – powiedziała, kokieteryjnie się uśmiechając. Kiedy językiem zmysłowo oblizała usta, nie było już żadnych wątpliwości. – Nie martw się o Kieresów. Leszek jest w pracy, a Wanda maszerowała do sklepu.

– Ale jest Marcelina – mruknąłem.

– Tak? Nie widziałam jej auta. Kiedy się spotkamy? – zapytała.

– Teraz nie mam czasu, muszę pilnie jechać do Krakowa. Mam ważne spotkanie. Zadzwoń do ciebie.

– Wczoraj nie odbierałeś ode mnie telefonu.

Aha, „Tłumaczka” to nie Marcelina – przeleciało mi przez głowę. Oskóruję mojego brata.

– Bo nie mogłem. Cześć, zamknij za sobą bramę.

– Poczekaj, to ja też już jadę.

Całą drogę przeklinałem w duchu Pawła. Ale skurwiel z tego mojego brata! Co jak co, ale o romans z macochą w życiu bym go nie podejrzewał. Tym bardziej że ciągle podkreślał, jak bardzo jej nie znosi. Wpadłem do hotelu, nie reagując na zdziwioną minę recepcjonistki.

– Kiedy zdążył się pan przebrać, panie Piotrze? – zaszczębiotała. – Przed chwilą widziałam, jak pan wchodził do pokoju ubrany w popielatą marynarkę.

– Hokus-pokus, pani Dorotko – odparłem z grzecznościowym uśmiechem zawodowego czarusia.

Wpadłem do pokoju jeszcze bardziej wściekły.

– Miałeś się nie ruszać z pokoju – warknąłem do brata rozpartego w fotelu.

– Musiałem wyjść, żeby coś przekąsić. Jak było? Jak się udała noc z moją żoną?

– Wiesz co, Klon? Przez te lata zrobił się z ciebie kawał skurwysyna – wysyczałem.

– O co ci chodzi? Coś poszło nie tak?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś, że rzniesz żonę naszego starego?! – wrzasnąłem.

Zmieszał się. Odchrząknął.

– Skąd wiesz?

– Przyszła dziś rano do twojego domu.

– Głupia cipa.

– Jak mogłeś zrobić to ojcu? Gdy się o tym dowie, masz przerażane! Wylecisz na zbity pysk z jego firmy. Jak wtedy utrzymasz dom, rodzinę? Dureń z ciebie, Klon! Cholerny dureń i łajdak. – Zamilkłem na chwilę. – Nie poznaję cię. Co się z tobą stało przez te jedenaście lat – powiedziałem cicho.

– Gdybyś był przez tyle lat na garnuszku u starego, tobyś się nie dziwił – odparł spokojnie. – Tyle upokorzeń, ile mi zafundował, tyle starganych nerwów, tyle wstydu. Za to wszystko, co mi zrobił ten bydlak, zasłużył na rogi. Wiesz, że ten drań kiedyś uderzył mnie w twarz pięścią? Prawie na oczach mojej żony. Patrycja też ma go dość. Dlatego oboje postanowiliśmy się na nim odegrać i chociaż w ten sposób poprawić sobie własny wizerunek.

– Rzeczywiście fajny sposób na poprawę swojego ego: przyprowadzić ojcu rogi z jego żoną. Pasierb posuwający macochę! Super zemsta! – zakpiłem.

– Żebyś wiedział! Kiedy sobie pomyślę, że pukam jego dupę, od razu poprawia mi się humor.

– „Pukam jego dupę” – mruknąłem – Klon, wyrażaj się bardziej precyzyjnie, bo zbiera mi się na wymioty.

Parsknął śmiechem. Ja też się roześmiałem, ale zaraz spoważniałem.

– Klon, strasznie nawywijałeś – westchnąłem. – Mam w dupie starego, Patrycję i Marcelinę, ale szkoda mi Diany. Jako ojciec też dałeś dupy.

– Hmm, słowo „dupa” jest równie uniwersalne jak słowo „pierdolić”. Coś ostatnio masz mały zasób słownictwa, Klon. A kiedyś byłeś taki elokwentny, braciszku.

Zmarszczyłem brwi.

– Nie dowcipkuj. Nie masz z czego. Nie spisałeś się jako mąż i ojciec – powiedziałem smutno.

– Wiem, Klon – odparł, przymykając powieki. Chwilę tak siedział z zamkniętymi oczami i milczał. – Dałem klapę po całości. I jako mąż, i jako ojciec. To ty powinieneś być na moim miejscu. Bardziej się do tego nadajesz. – Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek. – Jak ci poszło z Dianą?



– Dobrze, nie zorientowała się. – Przerwałem na chwilę. – Ale dziś spieprzyła wszystko Marcelina, bo wpadła do waszego domu z pretensjami, że nie chciałem jej wczoraj rznąć. Widziała ją Diana, jak wychodzi z domu. – Rzuciłem bratu wściekłe spojrzenie. – Ona wie o was.

– Wątpię. Gdyby wiedziała, toby mi zrobiła awanturę, nie sądzisz? Czy coś mówiła na ten temat? A może ty się czymś wsypałeś?

– Ależ skąd. Sprawiała wrażenie, że wie, bo nie chciała... przebywać ze mną dłużej i poszła na zakupy.

– Nie chciała znowu z tobą pofiglować?

Patrzyłem na brata z niechęcią, z trudem hamując napływającą wściekłość.

– Zastanawiam się, czy odstąpiłbyś również swoją żonę jakiemuś innemu facetowi, gdybyś miał na tym coś zyskać.

– Nie – powiedział stanowczo. – Dobrze wiesz, że nie. Mogłem to zrobić tylko z tobą. Lubię Dianę. Nie kocham, ale lubię. Nigdy nie pozwoliłbym zrobić jej krzywdy. Dlatego nigdy nie brałem pod uwagę porzucenia jej dla innej kobiety. Ale wiem, że nie jest ze mną szczęśliwa. Dużo lepiej byłoby jej z tobą, Klon. Dzieciom też. – Zawahał się. – Pamiętasz film *Zamiana* ze Stefanie Powers, który oglądała nasza mama?

## Rozdział 48

Nazajutrz po południu Biegler ponownie wsiadł do samochodu i pojechał do Żurady. Tym razem postanowił odwiedzić Henryka Cisowskiego, a dopiero później zajrzeć do Piotra. Zajeżdżał pod okazałą posiadłość, której nie powstydziliby się nawet prezes Orłenu Obajtek. Brama na podjazd była otwarta, dlatego wjechał dalej. Zadzwoił dzwonkiem u drzwi. Po chwili w progu stanęła bardzo ładna kobieta w bliżej nieokreślonym wieku. Wiedział od Piotra, że ma czterdzieści lat, ale wyglądała dużo młodziej.

Kiedy się przedstawił i wyjaśnił powód swojej wizyty, Cisowska z niechęcią wpuściła go do środka.

– Męża jeszcze nie ma, nie wrócił z pracy, a jego syn Piotr już tu nie mieszka.

– Chciałbym porozmawiać również z panią.

– Nie wiem o czym. – Patrycja wzruszyła ramionami.

– O pani drugim pasierbie, Pawle.

– Nie rozumiem, po co Piotr pana wynajął.

– Jak już pani wspominałem, ktoś usiłował go zabić. Prawdopodobnie ma to związek z jego bratem bliźniakiem.

– Niby dlaczego?

– Bo byli identyczni. Możliwe, że ktoś wziął Piotra za jego brata. Śmierć Pawła również wzbudza wiele wątpliwości – dodał.

Kobieta aż się zachnęła.

– Przecież to niedorzeczność! Chce pan być mądrzejszy od policji?! Umorzono śledztwo, bo stwierdzono wypadek.

– Niektórzy olkusczy policjanci również zaczynają zadawać sobie pytanie, czy to nie było morderstwo.

– Ma pan na myśli Drewniaka? – prychnęła lekceważąco. – Chce się po prostu pozbyć rywala.

– Nie rozumiem, o czym pani mówi.

– Ten gliniarz smali cholewki do Diany, a Piotr stoi mu na drodze.

– Tak? Nie wiedziałem. Hmm, nie widzę związku, przecież pani pasierb sam dąży do wyjaśnienia wszystkich okoliczności śmierci brata.

Kobieta w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Pawła przed jego śmiercią?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– Czy było to w dniu, kiedy miał wypadek?

– Już panu mówiłam, że nie pamiętam.

– Jak może pani nie pamiętać dnia, w którym zginął pani kochanek?

Zbladła, jakby odpłynęła jej z twarzy cała krew.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Kiedy z panią zerwał? W tym dniu czy wcześniej?

– Proszę przestać pleść takie androny! – zawołała oburzona.

– Podobno zerwał z panią i ze swoją drugą kochanką. Zwierył się z tego pewnej osobie, dlatego proszę nie kłamać. Po zerwaniu wpadła pani w gniew i uszkodziła jego przewody hamulcowe, tak?

– Nie! Mieliśmy ze sobą romans, ale go nie zabiłam! Naprawdę. Pan nie wie, jak to jest być żoną takiego człowieka jak Henryk – zaczęła chlipać. – Oboje byliśmy nieszczęśliwi, zarówno Paweł, jak i ja, dlatego szukaliśmy pocieszenia. Wychodząc za mąż za Henryka, nie przypuszczałam, że to wszystko będzie tak wyglądać.

W tym momencie usłyszeli otwierane drzwi wejściowe. Na twarzy kobiety pojawiło się przerażenie.

– Błagam, proszę nie mówić mężowi – wyszeptała.

Po chwili do pokoju wszedł Henryk Cisowski. Mark ze zdziwieniem zauważył, jak nagle wyraz twarzy Patrycji Cisowskiej się zmienił. Jej mina nie wyrażała żadnych silnych emocji, tylko spokój i małe znudzenie. Dobra z niej aktorka – pomyślał Mark. Wręcz znakomita!

Kobieta zerwała się z fotela, podeszła do męża i pocałowała go w policzek.

– Co tak wcześniej, kochanie? – zapytała niewinnie. – Wiedziałeś, że Piotr zatrudnił prywatnego detektywa?

– Coś mi wspominał. – Mówiąc to, mężczyzna wyciągnął rękę do Bieglera. – Henryk Cisowski.

– Mark Biegler.

– Słyszałem, że jest pan Austriakiem.

– Od kilku lat czuję się bardziej Polakiem niż Austriakiem, chociaż mam dwa obywatelstwa.

– Dwa? Dziwne. Podobno bardzo rzadko się to zdarza. Tylko w sporadycznych sytuacjach można mieć w Austrii dwa obywatelstwa. Jest to zastrzeżone jedynie dla Amerykanów i Żydów. Austriacy pozwalają na podwójną państwowość tylko wyjątkowym osobistościom, na przykład takim jak Arnold Schwarzenegger.

– Nie tyle ja jestem wyjątkową osobistością, ile moja macocha. – Mark się uśmiechnął. – Dzięki szerokim znajomościom Gretchen wśród wpływowych austriackich notabli udało jej się to dla mnie załatwić. Przez całe swoje życie byłem Austriakiem, ale w moich żyłach płynie również polska krew.

– Kim jest pańska macocha? Też jakąś sławną aktorką?

– Ależ skąd! – Biegler się roześmiał. – Gretchen Biegler nie miała nic wspólnego ze srebrnym ekranem. Była hotelarką i filantropką. Niestety już nie żyje.

– Przykre, gdy odchodzą bliscy – zauważył Cisowski. – Piotr mówił, że chciałby pan ze mną porozmawiać. Zapraszam do mojego gabinetu.

Biegler podążył za gospodarzem. Obiecał Piotrowi, że na razie nie będzie wspominać Henrykowi o romansie żony z jego synem.

– Muszę się napić czegoś mocnego. Panu też zrobić drinka? – zapytał Cisowski, otwierając barek i napełniając szklankę alkoholem.

– Dziękuję, przyjechałem samochodem.

– Zatrzymał się pan w domku Świętej Zośki? No to może pan zostawić tu auto i zrobić sobie mały spacer, to zaledwie kilka kilometrów. Albo każę któremuś z moich ludzi odwieźć pana do domu.

– Nie, dziękuję za alkohol. Widzę, że pan też mnie zna ze słyszenia. – Biegler uśmiechnął się uprzejmie.

– Tak, Żurada to mała miejscowość. Oprócz tego Piotr mi o panu opowiedział. Podobno znacie się z Australii?

– Tak.

– Hmm, ma pan wiele profesji. Hotelarz, dziennikarz, pisarz i detektyw. No, no, a ja jestem tylko stolarzem.

– I inżynierem z dyplomem AGH – dodał Biegler.

– No cóż, przejąłem po ojcu smykałkę do mebli. W szkole i na studiach często musiałem mu pomagać. Płacił mi jak dobremu stolarzowi, chociaż nie umiałem za wiele, ale musiałem poznać tajniki zawodu. Tak jak mój brat. Jestem ojcu bardzo za to wdzięczny, bo chociaż miał ciężką rękę i nieraz dał mi w skórę, to jednak wiele mu zawdzięczam. Gdyby nie on,

nie byłbym w tym miejscu, w którym jestem teraz. Gniłbym na jakiejś urzędniczej posadce za nędzne pieniądze i za chwilę poszedłbym na emeryturę. – Machnął ręką. – Ale to nieważne. Przejdźmy do meritum. Czy dowiedział się pan czegoś ciekawego?

– Na razie zbieramy informacje. Mamy kilka tropów. – Odchrząknął. – Wszystko wskazuje na to, że wypadek Piotra nie był przypadkowy. Ktoś specjalnie w niego wjechał. Prawdopodobnie ma to związek z pana drugim synem, Pawłem. Jego śmierć też wzbudza wiele wątpliwości. Możliwe, że ktoś uszkodził przewody hamulcowe w jego aucie.

Cisowski zmarszczył brwi.

– Czy to pewne? W takim razie nie rozumiem, dlaczego olkuska policja umorzyła śledztwo.

– Ekspertyza była niejednoznaczna. Ale biorąc pod uwagę pewne inne okoliczności, bardzo możliwe, że ktoś uszkodził je specjalnie.

– Jakie to okoliczności?

– Będę wobec pana szczery, bo upoważnił mnie do tego pański syn, który jest moim zleceniodawcą. Paweł wmieszał się niefortunnie w niefajne sprawy. W handel narkotykami.

– Był dilerem?

– Nie, kurierem. Przewoził narkotyki do Niemiec. Wykorzystał to, że wasza firma handlowała z Niemcami.

Cisowski pobladł, a potem zaraz poczerwieniał.

– Co takiego? Proszę mówić dokładniej – powiedział wzburzony.

– Przewoził narkotyki w pańskich meblach.

Cisowski wstał gwałtownie i ponownie podszedł do barku. Nalał do szklanki jeszcze więcej alkoholu. Biegler przyglądał mu się w milczeniu.

- Czy policja już o tym wie? – zapytał.
- Nie. Policja olkuska jeszcze się do tego nie dogrzebała, ale zrobił to mój znajomy, który pracuje w krakowskiej policji.
- Dla kogo mój syn przewoził narkotyki?
- Jeszcze nie wiemy, ale wszystko wskazuje na to, że zamieszany jest ktoś z firmy TransSilesia. Właściciele albo pracownicy. Czy mógłby mi pan dostarczyć informacji dotyczących załadunku i dat przewozu towaru do Niemiec? W ciągu ostatnich kilku miesięcy przed śmiercią syna korzystaliście z usług tylko jednej firmy przewozowej, TransSilesii, prawda?
- Tak. Ale niedawno zmieniliśmy przewoźnika.
- Dlaczego?
- Bo znaleźliśmy tańszego i bardziej solidnego. Przedtem oni ustalali termin przewozu. Teraz już wiem, z jakiego powodu. – Spojrzał na Bieglera. – Wolałbym nie drażnić tego tematu, bo możemy mieć kłopoty, gdy policja się o tym dowie. Będą mnie prześwietlać, czy czasami nie maczałem w tym palców.
- Nie chciałby pan poznać prawdziwej przyczyny śmierci syna?
- W czym mu to pomoże? Jedynie zbryzga opinię zarówno jemu, jak i PoLiHenowi. A to może się odbić na działalności naszej firmy.
- Nie boi się pan o bezpieczeństwo drugiego syna? Mogą ponownie zaatakować, bo wiemy już na pewno, że to nie był wypadek, tylko usiłowanie zabójstwa.
- Henryk westchnął głośno i przymknął powieki.
- Jaki związek mają obie te sprawy?
- Prawdopodobnie wzięto Piotra za Pawła. Może myśleli, że Paweł podszywa się pod brata albo że sfingował swoją śmierć.

– Że zabił własnego brata? Przecież to ewidentna bzdura. Mafiosi nie mogą być aż tak głupi.

– Nie myśli pan ich kategoriami. Ci ludzie mają inny kodeks moralny. Dla nich zabójstwo to tylko sposób na rozwiązanie problemu.

Przez chwilę Cisowski w milczeniu sęczył drinka.

– Wspominał pan coś o kilku tropach – zauważył, nie patrząc na Bieglera.

– Hmm, inny motyw można znaleźć w życiu osobistym pańskiego syna.

– Co pan przez to rozumie?

– Paweł zdradzał żonę.

– I kochanka uszkodziła mu przewody hamulcowe? – Cisowski zaśmiał się sceptycznie. – To następny nonsens.

– Niekoniecznie. Musimy wziąć pod uwagę różne warianty.



## Rozdział 49

### Piotr

*Zamiana*. Pamiętałem dobrze ten serial. Opowiadał o bliźniaczkach, które zamieniły się miejscami. Mamie bardzo się podobał, miała go na taśmie wideo. Chociaż byliśmy wtedy kilkuletnimi dziećmi, też go oglądaliśmy.

– Jedna siostra udawała drugą. Bogata i piękna singielka zapragnęła wcielić się w rolę swojej siostry, kury domowej, żony profesora uczelni i matki dwójki dzieci. A ta druga chciała posmakować jej życia, które wydawało się jej fascynujące – powiedział Paweł.

– A pamiętasz, jak ta druga skończyła? Zamordowano ją – przypomniałem bratu.

– Zginęła w wypadku samochodowym na skutek zamachu na jej życie – dopowiedział brat. – Hmm, co byś powiedział na podobną zamianę? – mówiąc to, nie odrywał oczu od mojej twarzy.

Zamurowało mnie. Takiej propozycji się nie spodziewałem.

– Mówisz poważnie? – zapytałem, wciąż oszołomiony.

– Tak, całkiem poważnie. Zdałeś próbę, nikt się nie połapał...

Nagle mnie oświeciło.

– A więc to tak. Zaplanowałeś to już wcześniej, dlatego mnie tu ściągnąłeś – powiedziałem cicho.

– Tak. – Podniósł hardo głowę. – Widzę, że ci na niej dalej zależy. Z tobą byłaby szczęśliwa, dzieci też miałyby lepiej. Nie jestem dobrym ojcem.

– Mógłbyś ich odstąpić ot tak? – zapytałem z niedowierzaniem. – Przecież to twoje dzieci. Wychowujesz je, kochają cię.

– Ja też je kocham. Ale nie jestem dla nich taki, jaki powinienem być. Naprawdę dla nas wszystkich byłoby lepiej, gdybyśmy się zamienili miejscami.

– Nie wierzę – kręciłem głową. – Naprawdę mógłbyś ich nigdy więcej nie zobaczyć?

– W tym jest problem. Chciałbym się z nimi widywać, na przykład w wakacje. Raz w roku spędzić z nimi miesiąc urlopu.

– Chyba żartujesz. Wybij to sobie z głowy! – wybuchłem oburzony.

– Nie unoś się. Wiem, że byś się na to nie zgodził. Ale mógłbym ich widywać jako wujek Piotr. Wszystko przemyślałem. Jeśli Diana się nie zorientowała, to wszystko może się udać. Już odegrałem w pracy i w domu kilka aktów jako chory cierpiący na zanik pamięci. Nawet zarejestrowałem się na wizytę do psychiatry.

– Przestań pierdolić. Z Dianą udało mi się na krótką metę, ale gdybym przebywał z nią dłużej, na pewno by się połapała, że coś nie gra. A ojciec? On szybko by się zorientował w oszustwie – zauważyłem cierpko.

– Jemu byś powiedział prawdę. Całą prawdę. Zwaliłbyś winę na mnie. Zresztą to ja byłem wtedy w jego gabinecie, to mnie się mama wystraszyła. Mógłbyś mu wspomnieć również o Patrycji. Jestem pewny, że wcześniej czy później przyjmie syna marnotrawnego. – Zawahał się. – Ojcem się nie przejmuję, z Marceliną i Patrycją zerwę sam, żebyś nie miał z nimi kłopotów. Gdyby się Diana o nich dowiedziała, mam nadzieję, że potrafiłbyś ją jakoś udobruchać. Uważam jednak, że jej nie możesz powiedzieć całej prawdy o naszych przebierankach, bo byłoby to zbyt ryzykowne. Głównym problemem są jednak ci ze Śląska... Dziś się odezwali... – Utkwił we mnie wzrok. – Nie chciałbym cię narażać na niebezpieczeństwo, Klon. Musisz sobie uświadomić, że zapakowałbyś się w bagno. Nie

chciałbym, żeby coś ci się stało. W ogóle nie powinienem wychodzić z taką propozycją, ale jestem egoistą i wiem, że obaj nie jesteśmy na właściwym miejscu. Ja nie jestem tu szczęśliwy, a ty byłbyś. Tylko ci cholerni Ślązacy... Naprawdę żałuję, że w to wszedłem. Byłem głupi i pazerny. Dlatego musisz się zastanowić, bo gdyby coś ci się stało, to... nie wiem, jak bym sobie z tym poradził.

– Masz na myśli, gdyby mnie zabili?

– Tak. Bo to też trzeba brać pod uwagę. Przemysł dobrze to wszystko i daj mi odpowiedź. Gdybyś się nie zdecydował, to nie miałbym do ciebie żadnych pretensji.

Myślałem całą noc. Perspektywa powrotu na stałe do Polski i życia z Tobą była tak kusząca, że niwelowała wszystkie inne minusy tej zwariowanej transakcji. Wiedziałem, że brat nie przesadzał z obawami – zadzierać z mafią narkotykową to nie przelewki. Zdawałem sobie również sprawę, że ten problem lepiej potrafię rozwiązać niż Paweł. On był zbyt impulsywny, zbyt narwany i zbyt mało rozważny.

Podjąłem decyzję, postanowiłem stać się Pawłem Cisowskim. Do zamiany ról musieliśmy obaj się dobrze przygotować. Rola Piotra była dużo mniej skomplikowana, wystarczyłoby zadzwonić do Billa i powiedzieć mu, że nie wracam do Australii. Dużo więcej wysiłku wymagało wejście w skórę Pawła. Udawać męża i ojca przed żoną i dziećmi, przed pracownikami i znajomymi, z którymi obcowało się przez jedenaście lat, to nie lada wyzwanie. Może sfingować wypadek samochodowy? Wciągnięcie w to służby zdrowia i lekarzy specjalistów wiązało się jednak z dużym ryzykiem. W dzisiejszych czasach, przy różnorodnych badaniach i skomplikowanych aparaturach, dużo łatwiej niż dwadzieścia lat temu udowodnić symulowanie. Na razie postanowiliśmy na jakiś czas odłożyć termin i ostateczny sposób rozwiązania problemu zamiany. Chcieliśmy się teraz trochę zrelaksować, pobyć ze sobą i jak najwięcej dowiedzieć się o sobie nawzajem. Brat opowiadał mi o lu-

dziach zatrudnionych w zakładzie ojca i o problematyce firmy, przytaczał różne anegdotki i ciekawostki z pracy. Pstryknął pracownikom zdjęcia i dołączył krótkie notki z ich życia, żebym mógł coś o nich wiedzieć. Obaj zdawaliśmy sobie sprawę, że pomoc ojca w naszym przedsięwzięciu byłaby konieczna. Nie wiedzieliśmy, jak by zareagował na podmiankę, ale mieliśmy nadzieję, że po pierwszym szoku i chwilowej wściekłości wzburzenie kiedyś by mu przeszło. Był ojcem, raczej nie potrafiłby wyrzucić ze swojego życia aż dwóch synów. Gdyby się dowiedział o niebezpieczeństwie, jakie groziło jednemu z nich, prawdopodobnie nie odwróciłby się i pomógł. Mnie nie wydał policji, tylko wyrzucił z kraju. Ale nie wiadomo, jak zareagowałby na wieść, że jeden z jego synów przyprawiał mu rogi; może lepiej byłoby zatrzymać to w tajemnicy.

Pewnego grudniowego dnia Paweł zadzwonił z informacją, że coś mu wypadło i przyjedzie do mnie dużo później niż zwykle. Podobno miał rozwiązać jeden ze swoich osobistych problemów. Nie wchodził w szczegóły, tłumacząc, że to rozmowa nie na telefon i o wszystkim opowie mi później. W tym dniu planowaliśmy iść na dancing. Kilka razy o to prosił, ale zawsze odmawiałem, w końcu jednak się zgodziłem. W drodze do Krakowa zadzwonił do mnie. Było już po dwudziestej drugiej, ale zamierzał wracać do domu dopiero nazajutrz. Chwilę gadaliśmy. Kazałem mu kupić po drodze jakiś alkohol, bo barrek był pusty, a hotelowy bufet zamknięty. Wtedy nie wiedziałem, że to nasza ostatnia rozmowa, że nigdy więcej go nie zobaczę...

Kiedy długo się spóźniał, podświadomie poczułem, że stało się coś złego. Zadzwoniłem na policję. Powiedzieli mi o wypadku. A potem o jego śmierci.

Wpadłem w jakieś dziwne odrętwienie. Leżałem w łóżku, zwlekając się tylko do toalety. Trwało to kilka dni. Przez ten czas ani razu nie wyszedłem z pokoju hotelowego. Nie jadłem,

prawie nie piłem, aż zaniepokoiła się recepcjonistka. Przyszła do pokoju i gdy mnie ujrzała, zamierzała zadzwonić po lekarza. Dopiero na hasło „doktor” wziąłem się w garść; nie chciałem zamieszania wokół swojej osoby.

Nie było mnie na pogrzebie brata, ale w tym samym dniu poszedłem na grób, gdzie zobaczyła mnie jakaś jego znajoma. Na mój widok tak mocno się wystraszyła, biorąc mnie za ducha, że miałem ochotę się roześmiać. Uciekała stamtąd jak oparzona. Kogoś mi przypominała, ale nie mogłem skojarzyć kogo.

Nie zamierzałem wracać do Australii, ale zadzwonił do mnie Gerard z informacją, że Bill miał udar i leży nieprzytomny w szpitalu. Lekarze mówili, że jego stan jest ciężki. Postanowiłem polecieć do Adelajdy i pożegnać się z Billem. Był jedynym człowiekiem, którego mogłem nazwać swoim przyjacielem.

Niestety nie odzyskał przytomności. Miesiąc później umarł. Spełnił swoją obietnicę i w testamencie podarował mi dziesięć baranów rozplodowych. Farmę zapisał Gerardowi, a dwa miliony dolarów, które miał na koncie, oddał na fundusz pomocy Aborygenom. Sprzedałem swoje barany, dostałem za nie osiemset tysięcy dolarów australijskich.

# **Część czwarta**

**Cisowscy**

## Rozdział 50

Pewnego poranka Diana zauważyła na swoim smartfonie przy ikonce Gmaila małą jedynekę, znak, że dostała nową wiadomość. Otworzyła laptopa, bo nie lubiła czytać w telefonie, i ze zdziwieniem stwierdziła, że e-maila wysłał Piotr.

Przeczytała wiadomość: Dianka, w załączniku znajdziesz to, czego nie śmiałem powiedzieć Ci w oczy. To historia dwóch braci. Bliźniaków, którzy powstali z jednej zygoty.

Piotr zajechał pod dom ojca. Nie miał z nim kontaktu od trzech dni. Był trochę niespokojny, ponieważ ojciec nie odbierał telefonu.

Nacisnął przycisk dzwonka.

– Otwarte – usłyszał.

Wszedł do środka.

– Dlaczego nie zamykacie drzwi na zamek, jeszcze was ktoś kiedyś napadnie – mruknął.

Ojciec nie zareagował, siedział nieruchomo w fotelu i gapił się na czarny ekran telewizora. Zaniepokoiło to Piotra. Podszedł bliżej.

– Tato, co się dzieje? Źle się czujesz?

– Nic mi nie jest.

– Jest Patrycja?

– Nie.

– Kiedy wróci, bo chciałbym z tobą pogadać?

– Nie wróci. – Znowu lakoniczna odpowiedź.

– Dlaczego? Co się stało?

Dopiero teraz Cisowski podniósł wzrok na syna.

– Czego mi jeszcze nie powiedziałeś? – zapytał z wyrzutem. – Czy to wszystko, co mówiłeś, to też kłamstwa?

– O co ci chodzi, tato? – Naprawdę nie wiedział. Biegler twierdził, że nie mówił ojcu o romansie żony z Pawłem.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś, że ta ździra rznąła się z moim synem?! – wysyczał Henryk.

– Skąd o tym wiesz?

– Obcemu facetowi powiedziałeś, a zataiłeś to przede mną?

– Musiałem powiedzieć detektywowi prawdę, bo ta sprawa może mieć znaczenie dla śledztwa. Obiecał, że ci nie powie – mruknął Piotr.

– Jeszcze lepiej! Znalazłeś współnika w obcym facecie do oszukiwania własnego ojca – parsknął gniewnie.

– Tato, zrozum, nie chciałem się wtrącać do waszego małżeństwa i przykładać ręki do rozwodu. Pawła już nie ma. Patrycja sprawiała wrażenie miłej kobiety, a ja znałem tylko jedną wersję, z ust Pawła. – Tłumaczył się. – Czy to Patrycja wszystko ci wyznała?

– Nie bądź imbecylem, oczywiście, że mi nie powiedziała. Słyszałem ich rozmowę. Bieglera z tą szmatą.

– Jak się jej pozbyłeś? Podobno nie macie intercyzy.

– Co, boisz się, żeby mnie za bardzo nie oskubała? – zapytał szyderczo Henryk. – Zastanawiasz się, ile forsy zostanie dla ciebie po mojej śmierci?

– Tato, nie pierdol! – warknął Piotr. – Mam w dupie twoje pieniądze, mam swoje.

– A dlaczego mi nie powiedziałeś, że twój braciszek przewoził narkotyki pod szyldem PoLiHenu?



– Nie chciałem zbrukać Pawła... On teraz nie może się bronić. Zawsze tak było, nigdy żaden z nas nie wydał drugiego – odparł cicho.

– Nie chciałeś go zbrukać?! – Cisowski przedrzeźnił Piotra. – Ale zbrukałeś mnie i naszą firmę! Czy wiesz, że teraz policja może również mnie podejrzewać o przemyt?! Jeśli zaczną węszyć, mogą doszukać się czegoś, co może mi zaszkodzić. Zawsze unikałem gliniarzy jak zbutwiałego drewna.

– Na razie policja o niczym nie wie. Biegler obiecał, że dopóki nie będą mieli konkretów, o niczym nie powiedzą policji. Trop prowadzi na Śląsk.

– Wiem, Biegler mi coś mówił. – Cisowski przymknął powieki i zapytał cicho: – Czy naprawdę byłem takim złym ojcem? Dlaczego Paweł mi to zrobił? Dlaczego mnie tak nienawidził? Zrozumiałbym ciebie, bo cię wyrzuciłem z domu, ale on? Przecież wszystko, co robiłem, to z myślą o nim i dzieciach.

Zapadła długa chwila ciszy. W pokoju aż wibrowało od emocji, tych wypowiedzianych i tych przemilczanych. Zaczynało być niezręcznie, dlatego pierwszy odezwał się Piotr.

– Podobno na każdym kroku go upokarzałeś. Uderzyłeś go przy żonie.

– Kłamstwo. Diana tego nie widziała. A powiedział ci, dlaczego to zrobiłem?

– Nie.

– Tak właśnie myślałem – mruknął Henryk. – Bo za moimi plecami kręcił interesy z Florkiem. Wyniósł mu projekt nowych mebli.

– Florek zajmuje się meblami? Przecież to mechanik samochodowy, zawsze naprawiał auta – zdziwił się Piotr. – Ostatnio byłem w jego zakładzie, żeby mi wyregulowali gaźnik. Rozmawiałem z nim. Nic nie wspominał, że robi meble.

Piotr znał Włodzimierza Florka od lat, bo należał do dobrych znajomych Kieresa i ojca. Do czasu rozvodu Florków wszystkie trzy rodziny często się odwiedzały. Mężowie pili wódkę, kobiety plotkowały, a dzieci bawiły się w chowanego. Synowie Włodzimierza byli w tym samym wieku co Piotr i Paweł.

– Już ich nie robi. Myślał, że to żaden problem wejść w nową branżę. Ale nawet pomoc Pawła mu nie pomogła, bo splajtował.

– Słyszałem, że dalej się kumplujecie. Chodzicie razem na wódkę, wasze żony się lubią...

– Co ma piernik do wiatraka?! Przecież nie jestem monopolistą, każdy może robić meble. Ale chyba mogę wymagać trochę lojalności od własnego syna, nie sądzisz?

Piotr wrócił do domu, trochę podenerwowany rozmową z ojcem. Nie udało się go udobruchać, wciąż miał pretensje, że nie powiedział mu prawdy. Piotr uważał, że prawda jest przereklamowanym towarem, czasami lepiej ją trzymać w zamknięciu. Ostatnio tego typu refleksje nachodziły go coraz częściej. Nie był pewien, czy dobrze zrobił, wysyłając e-maila do Diany. Minęły już dwa dni, a nie było żadnej reakcji z jej strony. Co miało oznaczać jej milczenie? Że nim gardzi, że go nienawidzi? Że to koniec?

Wyjął z lodówki butelkę piwa i nie przelewając go do szklanki, usiadł w fotelu naprzeciwko telewizora, ale go nie włączył. Miał ochotę do niej zadzwonić, poprosić o spotkanie, ale wiedział, że to nie ten moment. Rozmyślenia przerwał mu jazgot nadjeżdżającego samochodu. Czyżby to była Diana?

Kiedy otworzył drzwi wejściowe, na jego twarzy rozlało się rozczarowanie. To nie była Diana, tylko Mark Biegler.

– A, to pan. Proszę do środka – mruknął. – Już myślałem, że pan o mnie zapomniał.

– Jakbym mógł zapomnieć, panie Piotrze – odparł z uśmiechem detektyw, siadając w fotelu. – Wcześniej chciałem zdobyć trochę informacji. Przepytałem kilku ludzi, poszperałem w internecie, zastanowiłem się nad tym wszystkim i wyciągnąłem wnioski.

– Szkoda, że robiąc to wszystko, nie potrafił pan dotrzymać złożonej obietnicy. Teraz ojciec ma do mnie pretensje. Poniekąd uzasadnione.

– Co ma pan na myśli?

– Patrycję i jej romans z moim bratem.

– Hmm, nie powiedziałem mu o tym.

– Ale usłyszał waszą rozmowę, co na jedno wychodzi.

– To stąd ten pański minorowy nastrój? Według mnie powinien się o tym dowiedzieć – bąknął Biegler.

– Ale nie od pana!

– Panie Piotrze, odniosłem wrażenie, że pan również chciał ojca poinformować o romansie jego żony, ale nie swoimi ustami.

– Zresztą dajmy już temu spokój. Napije się pan czegoś?

– Poproszę wodę mineralną gazowaną.

Chwilę później obaj siedzieli w fotelach, jeden ze szklanką mineralnej, a drugi z kuflem następnego piwa.

– Czego się pan dowiedział i jakie wyciągnął wnioski? – Piotr zacytował ironicznie słowa detektywa.

– No cóż, nie ma tego dużo. Niekoniecznie ta sama osoba doprowadziła do śmierci pańskiego brata, która najechała pana. Prawdopodobnie przyczyną wypadku Pawła były uszkodzone przewody hamulcowe, bo ekspertyza samochodu tego

nie wyklucza. Trudno byłoby uszkodzić auto komuś obcemu. Według mnie łatwiej przysłoby to zrobić osobie mieszkającej w Żuradzie. Może zrobił to któryś z pracowników PoLiHenu albo ktoś z bliskich mu osób? Odrzucam pańskiego ojca i szwagierkę, chociaż też mogli mieć powód...

– Wielkie dzięki, że ich pan odrzuca, i że mnie nie wciągnął na tę listę – zakpił Piotr. – A kogo pan nie odrzuca?

– Jest kilka takich osób. Marcelina, Patrycja, Wanda Kieres i Leszek Kieres.

– Powiedzmy Marcelina i Patrycja mogłyby mieć powód, ale Wanda i Leszek?! Przecież to nonsens.

– I tu się pan myli. Oni bardziej mi pasują do tego niż Marcelina. Zauważyłem, że dziewczyna jest oczkiem w głowie zarówno babki, jak i ojca. Nie wierzę, żeby nie wiedzieli o tym romansie. Może jej nie powiedzieli, bo znając jej charakter, zdawali sobie sprawę, że niczego nie osiągną. Dlatego lepszą opcją było usunięcie problemu.

– Paweł z nią zerwał, problem sam się usunął – zauważył Piotr.

– Może tego nie wiedzieli. Nie jest tak trudno uszkodzić przewody. Wystarczy poczytać trochę w internecie. Kieres zna się na autach, a jego matka uczyła w szkole fizyki, prawda? – Zrobił małą przerwę. – Również Patrycja mi do tego pasuje. Żona pańskiego ojca jest wspaniałą aktorką. Mogła to zrobić w akcie zemsty albo z czysto pragmatycznego powodu. Może pański brat ją postraszył, że powie o wszystkim ojcu? To zimna, wyrachowana kobieta.

Piotr milczał, przysłuchując się słowom Bieglera. Po chwili ściągnął brwi i zbladł, jakby przypomniał sobie coś złego.

– Skąd pan wie, że przewody były uszkodzone?

– Można dojść do takich wniosków, czytając dokładnie ekspertyzę. Nie jest napisane jednoznacznie, że przewody prze-

rwały się na skutek uderzenia w drzewo czy „zmęczenia” materiału. Mógł się również ktoś do tego przyczynić.

– To dlaczego policja to zignorowała?

– Nie wiem. Może woleli, żeby to był wypadek? Poza tym rodzina nalegała, żeby zakończyć sprawę.

– Taak? – Piotr zmarszczył brwi. – Kto z rodziny nalegał?

– Pański ojciec złożył prośbę, żeby nie nachodzono rodziny, żeby pozwolono im przeżywać żałobę w spokoju.

Piotr się zamyślił, a po chwili spojrzał w oczy detektywa.

– Jest jeszcze jedno wytłumaczenie pękniętych przewodów. – westchnął. – Paweł mógł zrobić to sam.

– Jak to?

– Brat brał pod uwagę sfigowanie wypadku samochodowego. Teraz mi się przypomniało, że kiedyś coś wspominał o uszkodzeniu przewodów – powiedział cicho.

– Przecież to byłoby bez sensu. Nie lepiej skierować auto na drzewo i samemu markować uderzenie?

– Też mu to mówiłem. To tylko sugestia, proszę nie traktować tego poważnie. – Westchnął. – Przekonałem ojca, żeby pokazał panu listy przewozowe, muszą tam być nazwiska kierowców. Ojciec mówił, że tym zajmował się Paweł, ale mu się wydawało, że towar odbierały zawsze te same osoby. I jeszcze jedno – tata wspominał, że Paweł za jego plecami nawiązał współpracę z Włodzimierzem Florkiem, kumplem od wódki ojca i Kieresa. Paweł nic mi o tym nie mówił.

– Mogę dostać namiar na tego Florka i czegoś się o nim dowiedzieć?

Po wyjściu detektywa Piotr włączył laptop. Zalogował się i otworzył pocztę. Mimo że na telefonie przy ikonce Gmail nie było znaku informującego o nowej wiadomości, wolał się

upewnić. Wciąż czekał na e-maila od Diany. Poczta była jednak pusta. Zamknął komputer i wrócił na fotel. Jakiś czas później usłyszał dzwonek u drzwi. Czyżby Biegler sobie o czymś przypomniał? Poszedł otworzyć.

W drzwiach stała Diana. Oczy jej płonęły z wściekłości. Nic nie mówiąc, podniosła rękę i z całych sił wymierzyła mu mocny policzek. Stała jeszcze chwilę, wciąż rzucając wzrokiem pioruny, a potem bez słowa się odwróciła i wróciła do samochodu.

– Diana, przepraszam... – powiedział bardziej do siebie niż do dziewczyny.

Patrzył, jak z impetem zatrzasnęła drzwiczki auta i z piśkiem opon wyjechała na drogę.

## Rozdział 51

Biegler zajechał pod warsztat Włodzimierza Florka znajdujący się tuż przy Osiedlu Młodych. Wiedział od Piotra Cisowskiego, że to kolega Leszka Kieresa, że znają się od podstawówki i wciąż się ze sobą przyjaźnią. Henryk Cisowski dokołoptował do nich później, kiedy ożenił się z Lidką, kuzynką Leszka. Słyszał, że Florkowi całkiem nieźle się powodziło, miał kilka zakładów samochodowych, ale najlepiej prosperujący był ten przy Osiedlu Młodych. Warsztat wybudował na dawnych polach ornym rodziców, którzy również pochodzili z Żurady. Po rozwodzie z pierwszą żoną Florek przywoził do Henryka Cisowskiego swoją nową partnerkę, koleżankę jednego z jego synów. Synowie znienawidzili ojca za to, że porzucił ich matkę dla ich rówieśniczki i zerwali z nim kontakt. Dopiero gdy ich matka wspaniałomyślnie wybaczyła byłemu mężowi w zamian za wysokie alimenty, ponownie nawiązano relacje rodzinne.

Florek okazał się średniego wzrostu pięćdziesięcioośmiolatkiem o wysportowanej sylwetce i ogolonej na łyso głowie. Podobno wolał fryzurę *à la* Kojak niż udawanie, że wciąż ma włosy. Uścisk dłoni Florka był mocny, Biegler z trudem zamaskował grymas bólu.

– Słyszałem od Leszka, że jest pan prywatnym detektywem. Chyba nieźle można na tym zarobić, patrząc na pański samochód. Ten audik to nówka, prawda? Musiał kosztować z trzysta tysięcy.

– Mam sentyment do audi – mruknął Mark. – Podobno Paweł Cisowski też miał audi. Z tego, co wiem, naprawia pan wszystkie samochody Cisowskich.

– Tak. I wszystkie droższe auta mieszkańców Żurady. Ja też pochodzę z Żurady.

– Kiedy ostatnio naprawiał pan samochód Pawłowi Cisowskiemu?

– Jakoś jesienią. Jeśli pana to interesuje, mogę sprawdzić.

– Byłbym zobowiązany.

Florek otworzył komputer i wystukał na klawiaturze nazwisko Pawła Cisowskiego.

– Mam. Było to dwudziestego ósmego listopada ubiegłego roku.

– Więc niedługo przed jego wypadkiem?

– Tak – westchnął Florek.

– Co mu pan naprawiał?

– Nie ja, tylko moi ludzie. Pompa mu wysiadła. Chociaż auto miało zaledwie pięć lat, było dość wadliwe. Ciągłe coś mu się psuło. Mam tu notatkę, że układ hamulcowy był do roboty. – Mężczyzna znowu westchnął. – Pamiętam tę rozmowę. Zaproponowałem mu, żeby zostawił swojego audika w warsztacie na kilka dni, to zrobimy mu wszystko na cacuś-bigosik, razem z blacharką, bo miał duże wgniecenie na lewym błotniku. Jednak się nie zgodził, mówiąc, że teraz bardzo potrzebuje auta i zgłosi się dopiero w drugiej połowie grudnia.

– Czy były to usterki zagrażające bezpieczeństwu?

– Nie. Kazałem mu tylko uważać na hamulce, a poza tym to były same drobiazgi. Najgorzej prezentowała się blacharka. Żartowałem z niego, że wstyd jeździć takim odrapańcem. A on odpowiedział, że nie opłaca mu się robić blacharki, bo się przymierza do kupna nowego samochodu.

– Słyszałem, że pan i Paweł Cisowski mieliście jakieś wspólne interesy.

– Heniek tak panu powiedział? To nie było tak, jak on to przedstawiał. Widziałem, że chłopak nie za dobrze się czuje w firmie ojca, dlatego zaproponowałem, żeby poszedł na swo-



je. Wie pan, relacje biznesowe ojciec–syn nie zawsze się należą do idealnych, gdy obaj chcą grać rolę samca alfa. Rozumiałem go, bo z moimi synami też się nie mogłem dogadać, dlatego wolałem im dać pieniądze na własne biznesy. Zaproponowałem Pawłowi, żeby na jakiś czas wszedł ze mną w spółkę, a ja mu za pół roku odsprzedam firmę. Nie czułem się za dobrze w meblarstwie. Musiałem zrealizować kilka wcześniej zawartych umów, dlatego potrzebowałem jego pomocy, żeby móc mu szybciej odsprzedać swój biznes. Ale dowiedział się o tym Heniek i miał do mnie i do Pawła straszne pretensje. No to się wycofaliśmy z tego projektu.

– Czy znał pan jakichś znajomych Pawła Cisowskiego, z którymi prowadził interesy na Śląsku?

– Nie. Wie pan, ja się kumplowałem z jego ojcem, a nie z nim – odparł, wzruszając ramionami. – Rzadko się spotykaliśmy, tylko gdy przyjechał zrobić coś z autem albo gdy był w domu ojca lub Leszka Kieresa.

– Co się stało z pańską firmą meblarską?

– Odsprzedalem za bezcen maszyny i narzędzia. Nie miałem wyrobionej marki, bo za krótko byłem na rynku – westchnął.

– Z usług jakiego przewoźnika pan korzystał?

– Przewoźnik był z Krakowa, firma Transpol.

## Rozdział 52

Diana była sama w domu. Teść zabrał dzieci do swoich krewnych w Kalwarii Zebrzydowskiej, dlatego postanowiła to wykorzystać i umyć okna. Pragnęła zająć się czymś, żeby nie rozmyślać o e-mailu od Piotra. Zdołała umyć jednak tylko jedno okno, bo była zbyt rozdygotana wewnątrz. Złość i wściekłość mieszały się z rozczarowaniem i rozgoryczeniem. Co za dranie! Jak mogli jej to zrobić?! Czuła się zbrukana i splugawiona. I wykorzystana jak prostytutka. Dlaczego się nie domyśliła, że jej ukochany Paweł to doktor Jekyll i pan Hyde? Ależ była z niej idiotka! Bezmyślna, ograniczona umysłowo kretynka!

Nienawidziła ich obu. I Pawła, i Piotra. Przez jedenaście lat mieszkała z dewiantem seksualnym. Tolerowała jego podłość, zdrady i chamskie zachowanie. Tolerowała, bo wciąż miała na siatkówce oczu obraz tamtego Pawła, gdy nie byli jeszcze małżeństwem. Wciąż liczyła, że jej mąż kiedyś znowu się zmieni, że stanie się taki jak wtedy, przed laty w Krakowie.

Hmm, no i się doczekała. Przez kilka godzin była znowu szczęśliwa. Bo znowu wrócił jej dawny Paweł. Ha, ha, ha, Paweł! – zaśmiała się ironicznie.

Czasami miała podejrzenia, coś nie grało, coś nie pasowało, ale odrzucała wszystkie wątpliwości, tłumacząc je amnezją Pawła, o której się dowiedziała z karty zdrowia męża. Po jego śmierci, gdy pojawił się Piotr, podejrzenia znowu wypełzły na wierzch, miały jednak inny charakter – myślała, że Paweł udaje Piotra. Ale kiedy na horyzoncie pojawił się Biegler, wszystkie wątpliwości rozpieczęły się po kątach. Była zbyt szczęśliwa, by zaprzętać sobie głowę jakimiś nieścistościami.

Piotr. Jego też nienawidziła. Nienawidziła... i kochała.

Diana potrzebowała uspokoić rozszalałe nerwy. Otworzyła barek i wyjęła butelkę wódki. Rzadko piła mocne trunki, ale musiała jakoś wziąć się w garść. Aż dwa dni czytała e-maila, bo zawsze coś jej w tym przeszkadzało; albo pani Wandzia, albo Karinka, która nieoczekiwanie się rozchorowała. W końcu jednak musiała dokończyć czytanie i dowiedzieć się prawdy.

Tak, Piotr miał rację, mówiąc, że prawda to wartość przereklamowana, czasami lepiej żyć w niewiedzy.

Usiadła przy stole i otworzyła laptopa. Zalogowała się i kliknęła ikonkę poczty. Znowu przystąpiła do przeglądania e-maila. Kiedy czytała miłosne wyznania Piotra i słowa dotyczące ich intymnych chwil, pod powiekami zebrała się wilgoć. Po chwili strużki łez zaczęły wypływać na zewnątrz. Przetarła wierzchem dłoni mokre policzki i z rozmachem zamknęła klapę laptopa. Wstała gwałtownie z krzesła i ruszyła w stronę barku, żeby zrobić następnego drinka. Właśnie opróżniała szklanekę, gdy usłyszała dzwonek u drzwi.

Znowu pani Wanda? Cóż tym razem ta baba chce ode mnie – pomyślała ze złością, ale zaraz się tego zawstydziła. Przecież pani Wandzia była dla niej jedyną życzliwą duszą w tej cholernej Żuradzie. Poprawiła włosy, schowała naczynie do zmywarki i poszła otworzyć drzwi.

To nie była Wanda, tylko Piotr. Stał oparty o futrynę drzwi i patrzył na Dianę wzrokiem zbitego psa. Nieoczekiwanie cała nagromadzona złość wypłynęła z niej i gdzieś się ulotniła.

Chwilę stali nieruchomo, patrząc na siebie w milczeniu: ona z wyrzutem i żalem, on z zawstydzeniem i pokorą.

– Wejź do środka, bo pani Wandzia obserwuje nas zza firanki – mruknęła.

## Rozdział 53

Mark Biegler zajechał pod zakład meblarski Henryka Cisowskiego. PoLiHen prezentował się okazale – wielka hala produkcyjna i jeszcze większy magazyn, gdzie składowano materiały na produkcję mebli i gotowe już wyroby. Firma Cisowskiego zatrudniała dwadzieścia osób. Większość pracowników mieszkała w Żuradzie, spoza było tylko pięciu.

Henryka zastał w biurze. Mężczyzna przyjął detektywa mało wylewnie. Pokazał mu dokumenty interesujące Bieglera: listę zatrudnionych osób i listy przewozowe oraz nazwiska kierowców. Biegler wszystko skrzętnie notował.

– Mogę panu przysłać skan tych papierów – burknął Cisowski.

– Dziękuję, oszczędzi mi to trochę czasu. – Mark do podziękowania dołączył również uśmiech. Chciał przełamać lody, bo widział, że starszy Cisowski za nim nie przepadał. – Chciałbym jeszcze porozmawiać z pana pracownikami.

– Po co? Znam ich od lat. Pracują tu całymi rodzinami. Są zadowoleni z pracy, bo nieźle zarabiają. Niektórzy nawet przyuczają się u mnie do zawodu. Nie mam nic przeciwko, żeby sobie dorabiali, montując ludziom kuchnie po godzinach pracy. Wiem, że nie kradną materiałów. Raz jeden podkradał zamki i uchwyty, ale brygadzysta go wyrzucił i zgłosił na policję. Facet dostał wilczy bilet i chociaż był dobrym stolarzem, nikt go potem nie chciał zatrudnić, no i wyrobił sobie w Żuradzie opinię złodzieja. Od tego czasu sytuacja nigdy się nie powtórzyła. Mam do nich pełne zaufanie. Domyślam się, że trochę na mnie psioczą, ale szanują i na pewno by niczego nie kombinowali za moimi plecami.

Jeśli własny syn kombinował, to tym bardziej może to robić pracownik – pomyślał Mark. Chyba podobne myśli przeleciały

Cisowskiemu przez głowę, bo na czole pojawił mu się mars.

– Zresztą niech pan ich sprawdzi, dziś nie można ufać już nikomu na tym świecie.

Mark skierował się ku drzwiom, ale w ostatniej chwili się odwrócił i zapytał:

– Czy zawsze korzystał pan z usług TransSilesii?

– Nie. Cały czas miałem olkuskiego albo krakowskiego przewoźnika. Ale Paweł stwierdził, że nie są solidni, i wziął TransSilesię.

– Skąd miał na nich zamiar?

– Od mojego znajomego Włodzimierza Floraka. Korzystał z ich usług i bardzo ich zachwalał.

Tydzień później Biegler zadzwonił do Piotra, prosząc o spotkanie. Umówili się po południu w domu Henryka Cisowskiego, co trochę zdziwiło Marka.

– Chciałem, żeby tata był przy naszej rozmowie – powiedział Piotr, kiedy w trójkę siedzieli w fotelach ze szklankami napojów w ręce. Cisowscy w szklankach mieli piwo, a Biegler mineralną. – Powinien o wszystkim wiedzieć z pierwszej ręki. Nie chcę już mieć przed nim żadnych tajemnic.

– A więc zaczynamy – mruknął detektyw. – Wpadliśmy na trop siatki handlarzy narkotyków ze Śląska, dla których pracował Paweł. To właściciele TransSilesii, ojciec i syn, oraz Włodzimierz Florek.

– Co, Florek?! – krzyknęli chórem Cisowscy.

– Tak. Przyjrzelśmy mu się bliżej, trochę go przycisnęliśmy i zaczął sypać. Poszedł na współpracę.

– O kurwa! – Henryk chwycił się za głowę. – Znałem tego typka od trzydziestu sześciu lat! Gościłem go w domu, trakto-  
wałem jak przyjaciela, a ten drań zabił mojego syna?

– Tego nie wiemy. Florek zaprzecza, że miał coś wspólnego ze śmiercią Pawła. Ale powiedział, że jego kumple ze Śląska są zamieszani w zamach na pana, panie Piotrze. Żona Florka widziała pana na cmentarzu i powiedziała o tym mężowi, myśląc, że to duch Pawła. Florek zaczynał podejrzewać Pawła o sfingowanie swojej śmierci. Ale nic nie wspominał o tym wspólnikom, którzy nie wiedzieli, że Paweł miał brata bliźniaka. Pech chciał, że syn wspólnika przebywał w Krakowie i trafił na Piotra. Był przekonany, że to Paweł. Podobno podszedł do pana, a pan udał, że go nie zna. Było tak?

– Przypominam sobie taką sytuację. Mówił coś, że jestem mu winien kasę. Powiedziałem, że to pomyłka.

– To samo mówili ci Ślązacy, dlatego postanowili ukarać Pawła, że wziął zaliczkę i nie wywiązał się z zadania, a potem sfingował własną śmierć.

Piotr zbladł.

– Paweł mnie nie ostrzegł? – zacisnął szczęki. Przymknął powieki i głośno wypuścił powietrze z płuc. – Nie rozumiem, dlaczego mi nie powiedział.

– Bo nie miał tych pieniędzy. Dostał je Florek i miał je przekazać Pawłowi. Ale ten po jego śmierci nie przyznał się do tego wspólnikom i zachował pieniądze dla siebie.

– Dlaczego pozwolił tym draniom na zamach na Piotra? Ależ skurwysyn z tego Florka – wysyczał Henryk, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Podobno nie wiedział, że planowali go zabić. Dopiero po fakcie im powiedział, że Paweł miał brata bliźniaka identycznego jak on. I dlatego dali panu spokój i już nie było więcej zamachów na pańskie życie. Hmm, to się trzyma kupy.

– Mówi pan, że nikt z nich nie przyznaje się do zamordowania Pawła? – cicho zapytał Henryk.

– Nie przyznają się. Chyba trzeba im wierzyć.

- W takim razie kto zabił mojego syna?
- Tato, możliwe, że był to zwykły wypadek.
- Florek wspominał, że hamulce w audi były niesprawne – wtrącił Mark.
- A Paweł ich nie naprawiał, bo chciał to wykorzystać i sfin-gować wypadek, który miał być alibi mojej przyszłej amnezji – dodał Piotr. – Może myślał, że wiedząc o wadliwych hamul-cach, potrafi zapanować nad autem i wyhamować?
- Mówił ci o tym i ty mu na to pozwoliłeś?! – oburzył się Henryk.
- Coś kiedyś bąknął, że potrafi zatrzymać auto bez hamul-ców. Ale nie mówił nic konkretnego o przewodach hamulco-wych. Wtedy to zignorowałem.
- Trzeba więc teraz iść drugim tropem – mruknął Biegler. – Trójka Kieresów i pańska żona.
- Dajmy już temu spokój – powiedział Henryk i dodał sta-nowczo: – Zabraniam panu drążyć dalej ten temat. Paweł nie żyje, nic go już nie wskrzesi.
- Tata ma rację – przytaknął Piotr. – Czy tata nie będzie miał problemów, jeśli teraz policja wie już o wszystkim? Czy nie będą chcieli go zrobić we współudział w przemyśle?
- Nie. Dzięki temu, że pan współpracował z nami. – Słowa skierował do Henryka. – Nie mówiłem panu, ale nieoficjalnie korzystam z pomocy pewnego sympatycznego krakowskiego komisarza policji – powiedział, dołączając uśmiech.

## Rozdział 54

Piotr żwawo kroczył w stronę domu Diany. Tego dnia ojciec, na jego prośbę, wziął dzieciaki i razem ze swoją nową przyjaciółką pojechali na kilka dni do Zakopanego. Ową przyjaciółką była rehabilitantka Iwona Czajka. Nowa partnerka ojca dużo bardziej pasowała Piotrowi niż Patrycja. Była wdową, w stosownym wieku względem ojca i nie leciała na jego pieniądze. Na razie nie planowali małżeństwa ani nawet nie zamieszkali ze sobą. Iwona była niezależna finansowo, miała własne, pięknie urządzone mieszkanie na Osiedlu Młodych, dlatego nie szukała mężczyzny z dużą kasą, tylko z dużym sercem. Piotr zażartował, że powiększone serce świadczy o chorobie wieńcowej, a ona jako rehabilitantka powinna o tym najlepiej wiedzieć.

Ojcu dość łatwo udało się uwolnić z zaborczych rączek Patrycji; Piotr myślał, że będzie z tym większy problem. Henryk zapłacił Patrycji za swoją wolność dwupokojowym mieszkaniem na osiedlu Słowiki, zwanym przez olkuszian Smerfami, oraz przelewem na kwotę dwustu tysięcy złotych. Chciała więcej, posiłkując się brakiem intercyzy, ale adwokat ojca wybił jej to z głowy.

Ostatnio w nowym życiu Piotra wszystko dobrze się układało. Diana mu wybaczyła, starając się wymazać z pamięci wszystkie sensacyjne wyznania przeczytane w e-mailu.

– Miałeś rację, mówiąc, że prawda to przereklamowana wartość. Czasami człowiek jest szczęśliwszy, nie znając wszystkich jej szczegółów – mówiła.

– Ale dla osoby ukrywającej prawdę jej wyznanie jest wybawieniem od koszmarów – powiedział Piotr. – Musiałem zrzucić z siebie te wszystkie tajemnice i sekrety, bo zbyt mi ciążyły. A co by było, gdybyś to wszystko kiedyś sama odkryła?



– Nigdy bym ci już nie zaufała – odparła cicho.

– Więc widzisz, że nawet najgorsza prawda jest lepsza niż najpiękniejsze kłamstwo.

Piotr stanął przed drzwiami Diany i zadzwonił, chociaż miał klucze do jej domu.

– Jesteś już? No to chodź, czekam na ciebie z obiadem. Nie ma dzieci w domu.

– Wiem, ojciec mi mówił, że weźmie dzieciaki, żeby lepiej poznały nową babcie – oznajmił i dodał żartobliwie: – Ojciec zaczyna myśleć pragmatycznie. Kiedy facet skończy czterdziestkę, powinien oglądać się nie za długimi nogami i ładnym biustem, tylko za białym fartuchem z pielęgniarką w środku, bo w razie zawału lub udaru będzie miał go kto ratować. Z braku pielęgniarki rehabilitantka też może być. No i rehabilitantka ma jeszcze jedną wielką zaletę: za darmo będzie masować mu plecy. A masażyści nieźle się cenią.

– Hmm, tak dla twojej wiadomości: Marcelina przeniosła się z farmacji na pielęgniarstwo. Szybko się nią zajmij, bo może cię w tym ubiec ojciec – mruknęła. – Sam mówiłeś, że pielęgniarki mają lepsze wzięcie niż rehabilitantki.

– Nie bądź złośliwa. Cisowscy już się wyleczyli z młódek.

– To ty też kiedyś miałaś pociąg do lolitek?

– Nie. Od jedenastu lat czuję pociąg tylko do jednej kobiety – objął ją od tyłu, całując w szyję. – Mój żołądek nie czuje głodu, za to inny narząd jest bardzo spragniony – wymruczał w jej włosy.

– Najpierw zaspokoimy jedno trzewia, a potem drugie. Nie będę odgrzewać obiadu.

Kiedy zjedli zupę szczawiową i zrazy w sosie grzybowym z ziemniakami, poszli do pokoju Diany. Dawna sypialnia ma-

łżeńska wciąż nie była używana. Diana nadal nie mogła tam spać.

Kochali się powoli, niespiesznie. Jak para małżonków, która zdążyła poznać wzajemne pragnienia i oczekiwania, a teraz rozkoszuje się swoją obecnością i świadomością zespolenia. Delektowali się sobą niczym wytworną potrawą, z wolna dryfując ku spełnieniu. Wkrótce jednak porwał ich gwałtowny żywioł zmysłów i wyrzucił w krainę szczęśliwości fajerwerkami ekstazy.

Później leżeli zmęczeni, wtuleni w siebie, głośno łapiąc powietrze. W pewnym momencie Piotr zerwał się z łóżka.

– Dokąd idziesz?

– Zaraz wracam – powiedział tajemniczo. Chwycił z łazienki ręcznik frotté i się nim okręcił wokół bioder.

Diana słyszała otwierane drzwi wejściowe. Po co on wychodzi na zewnątrz – pomyślała zaniepokojona. Jeszcze tego brakuje, żeby Kieresowie ujrzeli go gołego, ubranego tylko w ręcznik.

Po chwili Piotr wrócił, ale bez ręcznika, osłaniając swe przyrodzenie wielkim bukietem kwiatów. Kobieta parsknęła śmiechem.

– Skąd wzięłeś te kwiaty?! Przechowywałeś je u pani Wandzi?

– Zostawiłem przed drzwiami.

– Z jakiej to okazji?

– Zaraz zobaczysz.

Nieoczekiwanie ukląkł przy łóżku przed leżącą Dianą.

– Pani mojego serca, moja bogini Diano, czy wyjdiesz za mnie? – zapytał wesoło, trzymając kwiaty i wyciągając drugą rękę z otwartym eleganckim puzderkiem i mieniącym się w nim pierścieniem z oczkiem z diamentu.

Po chwili wesoły wyraz znikł mu z twarzy. Dziewczyna ani się nie uśmiechnęła, ani nawet nie patrzyła mu w oczy.

– Co się dzieje? – zapytał zaskoczony. – Nie musimy brać od razu ślubu, możemy jeszcze poczekać, żeby skończył się okres żałoby, albo nawet dłużej. Ale chcę już teraz zostać twoim oficjalnym narzeczonym. Ojciec nie ma nic przeciwko. Z dziećmi jeszcze nie rozmawiałem, ale bardzo mnie lubią, czasami nawet się mylą, mówiąc do mnie „tato”... – Wyrzucał z siebie słowa jak z kałasznikowa. – Sama dobrze wiesz, jak bardzo cię kocham. Dzieci również...

– To ja zabiłam Pawła – przerwała mu w pół zdania.

– Co? – Jakby nie usłyszał. – Wiem, że go bardzo kochałaś, ale...

– Nie słuchasz mnie. Zabiłam twojego brata. Otrułam go.

Piotr przez chwilę patrzył na nią zdezorientowany, a potem nagle pobałdł.

– Nie, to niemożliwe. Przewody były uszkodzone. Coś ci się pomyliło...

– Podałam mu w piwie tabletki nasenne.

Zerwał się z kolan. Rzucił na łóżko kwiaty i pierścioneł.

– Naprawdę zabiłaś mojego brata?!

– Wyślę ci dziś maila, już go napisałam. Przeczytasz, zrozumiesz. Idź do domu. Nie mam siły o tym wszystkim teraz opowiadać – powiedziała, unikając jego spojrzenia.

W pośpiechu wciągnął na siebie spodnie i koszulę. Skarpetki schował do kieszeni. Wzburzony zbiegł po schodach, chwycił kurtkę i wybiegł z domu Diany. I z domu Pawła.

Dianę obudziły promienie świtu mozolnie przebijające się przez zasłony w oknie. Wstała z łóżka i poszła do łazienki. Wzięła prysznic, nawet nie wklepując w twarz kremu, szybko

się ubrała. Wszystkie czynności wykonywała jak na autopilocie. Nie myślała. Starła się nie dopuszczać do siebie żadnej myśli ani uczucia. Niczym marionetka sterowana potrzebą oczyszczenia duszy wyszła z domu. Nie odpowiedziała na powitanie Wandy ani uśmiechem, ani machnięciem dłoni, tylko wsiadła do auta. Nie zatrzymując się po drodze, skierowała się w stronę komisariatu policji.

– Słucham, pani do kogo? – zapytał dyżurny policjant.

– Do komisarza Dariusza Drewniaka – odparła matowym głosem.

– Zaraz sprawdzę, czy jest.

Był. Na widok kobiety szeroko się uśmiechnął.

– Cześć, Diana. Co tu robisz? Czyżbyś chciała wypić ze mną poranną kawę? – Kiedy zobaczył jej minę, uśmiech szybko zniknął mu z twarzy.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedziała głosem wyprutym z emocji.

– Chodź do mojego pokoju. Coś dziś źle wyglądasz.

Usiadła na wskazanym krześle. Policjant siedzący przy drugim biurku na znak Darka zerwał się i zostawił ich samych.

– Słucham. Co cię do mnie sprowadza?

– To ja zabiłam mojego męża. Podałam mu do piwa środki nasenne.

# Rozdział 55

## Diana

Witaj, Piotrze. Nie wiem, od czego zacząć. Chyba od spotkania Pawła, bo wtedy się wszystko zaczęło. Był maj, kończyłam studia licencjackie, a w wolnym czasie kelnerowałam w jednej z krakowskich kawiarenek w Rynku Głównym. I od pół roku nie miałam nikogo na świecie. Po utracie babci, jedynej naprawdę bliskiej mi osoby, stałam się chyba najbardziej samotną istotą w Krakowie. Nie miałam nic, nie miałam nikogo. Mimo to z wszystkich sił starałam się nie popaść w rozpacz. Było mi bardzo ciężko, ale nie mogłam zaszyć się w bólu i podporządkować marazmowi. Babcia by tego nie chciała. Codziennie rano powtarzałam sobie niczym mantrę jej słowa: „Żyj normalnie, nie rozpaczaj!”. Wyszukiwałam w głowie argumenty przemawiające za tym, że warto wyjść z łóżka i iść świata naprzeciw. Nie mam już babci, ale mam młodość, inteligencję i urodę, dlatego MUSZĘ się postarać, by nie być nieszczęśliwą – przekonywałam siebie, zwlekając się z trudem z pościeli.

Rozwodzić się nad tym, jak bardzo przeżyłam odejście babci, byłoby zwykłym truizmem. Przecież była dla mnie matką i ojcem, opiekunką i przyjaciółką, powierniczką i nauczycielką. I nagle, pewnego dnia, jej zabrakło. Chyba bez trudu można sobie wyobrazić, co wtedy czułam.

Finansowo dość dobrze sobie radziłam. Miałam rentę, stypendium i wynagrodzenie z tytułu umowy-zlecenia oraz napiwki przewyższające pensję. Gorzej było w sferze psychiczno-emocjonalnej – tu panowały pustki. Nie miałam żadnej bliskiej przyjaciółki ani chłopaka, bo babcia wychowała mnie na grzeczną pensjonarkę. Radziła mi cierpliwie czekać na tego jednego jedyne – pięknego i szlachetnego rycerza na białym koniu, który kiedyś zjawi się pod moim domem i zastuka

w okno, a potem zawiezie mnie na owym pięknym rumaku wprost przed ołtarz. Wciąż powtarzała mi swoje ulubione powiedzonko: siedź grzecznie w kącie, a znajdą cię. Kiedy z nią mieszkałam, rzeczywiście stosowałam się do tego, ale w Krakowie powoli zaczynałam się wyłamywać. Mimo usilnych poszukiwań wciąż nie spotkałam chłopaka, któremu byłabym gotowa oddać swoje romantyczne serce i dziewicze ciało. Chodziłam na randki, ale wszystkie spotkania kończyły się na kawie i kilku niewinnych pocałunkach.

I wtedy na mej drodze, a dokładnie na płycie Rynku Głównego, pojawił się Paweł. Słowo „Żurada” przywołało nostalgię i wspomnienia o babci, dlatego pokonałam wrodzoną nieśmiałość i pierwsza nawiązałam rozmowę. Podobał mi się ten chłopak, a jeszcze bardziej mi się spodobał, kiedy pojawił się pod pomnikiem „Adasia” w okularach na nosie. Okulary zawsze mi się kojarzyły z inteligencją, mądrością i wrażliwością. Zakochałam się w nim jednak dopiero w Ojcowie. I właśnie wtedy poczułam, że to ten jedyny, wyśniony, na którego kazała mi czekać babcia. A to, że pochodził z Żurady, potraktowałam jako znak wysłany mi przez nią prosto z niebios. Trochę rozczarowało mnie nasze pierwsze zbliżenie, bo gdzieś ulotniła się ta bliskość i ciepło, które czułam poprzedniego dnia, ale następna noc ponownie przywróciła magię więzi, która nas połączyła w Ojcowie. A potem było jak w kalejdoskopie: raz cudownie, raz zwyczajnie, raz pokrewieństwo dusz, a raz jedynie koleżeńska życzliwość. Czułość, tkliwość i namiętność przeplatały się z chłodną fizyczną żądzą seksualnego zaspokojenia. Jedno spotkanie przynosiło szczęście i duchowe zespolenie, drugie jedynie relaks i erotyczną przyjemność. Nie mogłam się w tym wszystkim połapać. Miałam wrażenie, jakby ktoś wrzucił mnie do emocjonalnego kotła i mieszał w nim, dorzucając coraz to nowsze odczucia. Nie mogłam rozgryźć mojego ukochanego. Nie wiedziałam, co do mnie czuł, kim dla niego byłam i jak się zachowa następnego dnia. Ta jego zmienność i nieobliczalność zarówno mnie przerażały, jak

i w pewien sposób fascynowały. Zawsze z niepokojem czekałam, jaki Paweł będzie tego dnia. Raz go kochałam, innym razem jedynie lubiłam. Raz pragnęłam i pożałowałam, a jeszcze kiedy indziej jedynie go zaspokajałam, bo nie potrafił wciągnąć mnie w wir erotycznego szaleństwa. Ta jego zmienność wzbudzała we mnie poważny niepokój. Obawiałam się, czy to nie są symptomy wczesnej schizofrenii. Kochać schizofrenika to duże wyzwanie. Ciągle przychodził mi do głowy *Doktor Jekyll i pan Hyde*.

Nie miałam pojęcia, że PAWŁA tworzą dwaj mężczyźni.

Już na pierwszej randce wiedziałam, że Paweł mieszkał z bratem. Z bratem, ale nie bliźniakiem! O tym, że jesteście bliźniakami jednojajowymi, dowiedziałam się dopiero po ślubie.

Te trzy miesiące naszej znajomości bardzo różniły się od reszty mojego życia. Dni były pełne skrajności i niepewności, co przyniesie jutro. Czy będę kochana i czy mój chłopak się mną nie znudzi, bo czasami sprawiał takie wrażenie. Zapra-  
gnęłam stabilizacji, chciałam wprowadzić pewną równowagę w nasze relacje, dlatego sięgnęłam po często stosowany przez kobiety manewr – nieplanowaną ciążę. Nieplanowaną przez mężczyznę. Postawiony przed takim faktem facet musiał się wreszcie określić. Mężczyźni z reguły długo się wahają, zastanawiając się, czy to ta kobieta, z którą chcą się zestarzeć, i czy to już ten moment na stabilizację. Cięża często pomaga im w podjęciu decyzji. Dziecko potrafi związać dwoje ludzi. Czasami na krótko, czasami na zawsze. Postanowiłam spróbować tej metody, zaryzykować i postawić wszystko na jedną kartę – czy mój chłopak zostanie ze mną, czy ograniczy się do płacenia alimentów, czy każe usunąć. Tej ostatniej opcji nie brałam pod uwagę. Pomijając względy moralne, bardzo pragnęłam mieć kogoś do kochania, kogoś bliskiego, żeby już nigdy nie być samotną.

Pierwsza reakcja mojego ukochanego na ciążę nie była zbyt satysfakcjonująca, ale kilka godzin później bardzo ładnie się zrehabilitował. Ta jego zmienność powoli przestała mnie już dziwić i niepokoić, bo wykluczyłam schizofrenię. Przez kilka następnych dni wypełniały mnie prawdziwa euforia i szczęście. Paweł był taki czuły, troskliwy i kochający. Taki cudowny. Taki bliski. Chociaż przeżył tragedię, bo umarła mu mama, nie zmąciło mu to radości z przyszłego ojcostwa. Każdą chwilę chciał spędzać ze mną. Moja obecność tłumiała ponoć jego rozpacz po stracie matki i była najlepszym lekiem na traumę żałoby.

To były najpiękniejsze dni mojego życia. Niestety nie trwały długo. Minął radosny błogostan i ekstaza miłosnego upojenia – nieoczekiwanie z dnia na dzień zniknął Paweł romantyk, by znowu pokazać twarz oschłego pragmatyka. Chociaż mi się oświadczył i zamierzał wkrótce przedstawić mnie ojcu, wciąż tęskniłam za tamtym Pawłem.

Pierwsza moja wizyta w jego rodzinnym domu pozostawiła po sobie niemiłe wspomnienia. Ojciec przyjął mnie bardzo chłodno, nie starając się nawet ukryć niezadowolenia z wyboru syna. Kiedy usłyszałam, że zażądał zrobienia testu na ojcostwo, przez całą noc płakałam. Paweł pocieszał mnie i cały czas stał za mną murem, mimo to zabrakło w nim tej serdeczności i czułości, którymi mnie niedawno obdarzał. Zniknęła gdzieś dawna bliskość i ulotniło się pokrewieństwo dusz, ale w głębi serca wciąż liczyłam, że kiedyś wróci tamten mężczyzna, którego pokochałam w Ojcowie.

Był ślub i małe przyjęcie dla najbliższej rodziny Cisowskich, bo nie zaprosiłam nikogo z moich krewnych, tylko jedną koleżankę. No i rozpoczęło się moje nowe życie – życie Diany Cisowskiej. Czy było lepsze od życia Diany Barczyk? Sama nie wiem. Nie było w nim babci, ale pojawili się Kieresowie. Miałam cudowne dzieciaki, piękny dom i żadnych problemów finansowych. No i męża. Niestety nie tamtego, w którym się



kiedyś zakochałam. Czekałam na niego, wciąż cierpliwie czekałam, ale nigdy już nie wrócił. Czasami próbowałam poruszyć z Pawłem ten temat, ale zawsze mnie zbywał.

– Nie wiem, o co ci chodzi – mawiał. – Nie zmieniłem się, zawsze taki byłem. Może to przez amnezję. Przecież od początku wiedziałaś, że na nią cierpię.

– To nie przez amnezję. Przedtem mogliśmy szczerze ze sobą rozmawiać, ale teraz jakby wyrósł między nami mur. Zniknęło pokrewieństwo dusz.

– Nie wiem, co masz na myśli. Jak zwykle przesadzasz.

– Naprawdę się zmieniłeś.

– Zawsze mi to zarzucałaś – mruknął.

– No tak, ale potem się zdarzało, że znowu bywałeś inny.

– Przed chwilą sama właśnie przyznałaś, że zawsze się zmieniałem.

– Nie, teraz się nie zmieniasz, teraz zawsze jesteś taki sam.

Parsknął śmiechem.

– Posłuchaj, co mówisz. Przecież brzmi to paradoksalnie. Zarzucasz mi, że się zmieniłem, a potem mówisz, że chciała-byś, żebym się znowu zmienił.

Dałam spokój tłumaczeniom, bo mąż nie potrafił – albo nie chciał – mnie zrozumieć. Na początku małżeństwa układało się między nami dość dobrze. Dość dobrze, ponieważ nie było już tamtej dawnej euforii towarzyszącej naszym zbliżeniom ani duchowej bliskości. Minął szal pożądania, który kiedyś rozpałał nasze zmysły do ekstazy, w to miejsce pojawiła się rutyna, seksualność ograniczyła się jedynie do zaspokojenia fizycznych potrzeb – potrzeb Pawła, bo dla mnie te sprawy już przestały być istotne. My, kobiety, pragniemy seksualnego zbliżenia jako ukoronowania duchowej jedności, seks jest dla nas jedynie spoidłem więzi, nie kwintesencją związku. Ow-

szem, niektóre z nas potrzebują seksu w tych samych proporcjach co mężczyźni i jest on dla nich istotą rzeczy, ale Diana Cisowska do nich nie należy. Przed ślubem, kiedy Paweł przeobrażał się w romantyka, kiedy naszym zbliżeniom towarzyszyły jego czułość, wrażliwość i ciepło, pragnęłam seksu na równi z nim. Gdy w alkowie zabrakło uczuciowego podkładu, szłam do łóżka z obowiązku, żeby zadowolić jego, nie siebie. Czasami również we mnie odzywało się pożądanie, ale nie zdarzało się to często. Prawdopodobnie ta moja bierna postawa była przyczyną jego przyszłych zdrad. Widocznie nie dawałam mu tego, czego potrzebował.

Paweł nie należał do idealnych mężów, ale też nie był tym złym. Choć nie łączył nas żar namiętności ani duchowe zespolenie, to również nie występowała lodowata pustka. To przede wszystkim zasługa dzieci, które cementowały nasz związek. Doceniałam fakt, że mam dom i rodzinę, że nie jestem już sama na świecie. Dzięki teściowi mieliśmy zapewniony wysoki standard życia. Piękny dom, dwa samochody, pełną szafę modnych ubrań i wycieczki do egzotycznych krajów. Jedyne, co mnie uwierało, to moja stagnacja zawodowa. Chciałam pracować i też mieć finansowy udział w naszym dobrobycie. Niestety nie pozwolili mi na to ani mąż, ani teść. Obaj uważali, że jestem potrzebna dzieciom. Że podstawową funkcją kobiety jest rola matki. Że macierzyństwo to powołanie każdej kobiety, natomiast obowiązkiem mężczyzny jest zapewnienie rodzinie odpowiedniego poziomu życia. Rola matki i żony coraz bardziej jednak przestawała mi wystarczać. Brakowało mi pracy i własnych pieniędzy. Moje pragnienie samowystarczalności finansowej wzmogło się wraz ze zdradami męża. Choć podświadomie wiedziałam, że Paweł mnie nie zostawi dla innej kobiety, to czułabym większy psychiczny komfort, gdybym miała własne pieniądze. Dlatego pomimo oporów Pawła postanowiłam zaraz po ukończeniu przez Karinkę czterech lat poszukać zatrudnienia. W tym celu zapisałam się na studia magisterskie, bo z dyplomem magi-

stra łatwiej przekonać pracodawcę, że potrzebuje akurat ciebie.

No i zrealizowałam swoje plany – zaczęłam wreszcie pracować. Ale nie musiałam się sprzeciwiać mężowi... bo mąż już nie żył.

# Rozdział 56

## Diana

Z biegiem lat seksualna oziębłość zaczęła się u mnie pogłębiać, a oczekiwania Pawła w tej kwestii były coraz większe. Zwykle współżycie ubarwione pieszczotami przestało mu wystarczać. Miał coraz większe żądania, które wypełniałam z niechęcią. Stosunek oralny – tak, ale analny – nie. Ostry seks z kajdankami może być, ale sprawianie mi bólu już nie. Ciało miałam posiniaczone i miejscami poobcierane. Nigdy mnie nie uderzył pod wpływem złości... Hmm, jedynie miłości. Nie miał preferencji typowych dla BDSM, tego, co robił w łóżku, nie można było nazwać sadomasochizmem, ale bardzo to przypominało. Musiałam ukrywać przed dziećmi i otoczeniem siniaki, malinki i ślady ukąszenia. Czasami któreś z dzieci zainteresowało się, dlaczego mam „ziazi” na ramionach i nogach, ale tłumaczyłam to niegroźnymi upadkami, otarciami o płot czy zawadzeniem o drzwi lub kant stołu. Pomimo upałów chodziłam ubrana w spodnie i koszule z długimi rękawami, zapiętymi pod samą szyję. Dzieci mogłam zbyć, teść moimi obrażeniami się nie interesował, ale z panią Wandą i jej synem miałam większą przeprawę.

– Nie traktuj mnie jak idiotkę – stwierdziła kiedyś Wanda. – Jestem stara, ale nie ślepa. Wiem, że on cię bije. Jeśli się go boisz, to razem pójdziemy na policję. W każdej chwili możesz się do nas przeprowadzić.

– Pani Wandziu, ileż razy mam powtarzać, że Paweł mnie nie bije – odpowiadałam zniecierpliwiona. – Nigdy mnie nie uderzył w gniewie.

– Jeśli nie w gniewie, to jeszcze gorzej o nim świadczy, bo z premedytacją – mruknęła. – Diana, naprawdę cię nie rozumiem. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Teraz mał-

tretowana kobieta nie musi się bać męża. Istnieje niebieska linia, można tam zadzwonić i ktoś ci pomoże.

Pan Leszek też mi nie wierzył.

– Diana, wiem, jak wyglądają obrażenia po upadku – stwierdził, marszcząc brwi. – Dlaczego w taki upał chodzisz w golfie?

– Bo boli mnie gardło.

– Zapominasz, że jestem lekarzem. Chociaż moi pacjenci zawsze milczą, to znam się na chorobach. – Anginy na pewno się nie leczy, chodząc w golfie. Pokaż gardło, obejrzę. – Pokręcił z dezaprobatą głową, widząc moją minę. – Jeśli się go boisz, to ja z nim porozmawiam. Albo z Henrykiem.

– Nie! Proszę mi uwierzyć, Paweł mnie nie bije.

Powtórzyłam mężowi, że moje „miłosne” obrażenia zwracają uwagę Kieresów.

– Gównu powinno ich obchodzić, co robimy w łóżku – warknął.

– Nie mówiłam im, że mi to robisz w nocy. Oni myślą, że jestem przez ciebie maltretowana.

– Hmm, to im powiedz prawdę – uśmiechnął się, mrużąc oczy. – Powiedz, że lubimy ostry seks.

– Ty lubisz – mruknęłam.

– Cóż, jeśli ci to nie odpowiada, znajdę sobie inną, która lubi takie zabawy.

Musiało mi odpowiadać, bo nie chciałam, żeby znalazł sobie kochankę. Odpowiadało mi moje życie, życie pani Diany Cisowskiej. Patrząc z perspektywy czasu na nasze małżeństwo, stwierdzam, że nie byłam z nim nieszczęśliwa. Naprawdę. Problemy w alkowie to zaledwie mały wycinek naszej rzeczywistości. Niezbyt dla mnie przyjemne minuty w łóżku

były wynagradzane dobrymi godzinami przy stole i na kanapie.

Tak było przez pierwsze lata małżeństwa, później między nami zaczynało się coś psuć. Drzemiący w moim mężu niespokojny duch zaczął powoli budzić się ze snu. Na początku pojawiły się w naszej sypialni łóżkowe eksperymenty, a jakiś czas później w innych łóżkach inne kobiety. Tak jak prawie każda z nas, kobiet, wyczułam, że byłam zdradzana. Akurat to nie przeszkadzało mi aż tak bardzo, bo w pewien sposób zostałam zwolniona z przykrych dla mnie obowiązków, niestety miało to również negatywny wpływ na resztę naszego pożycia i dotknęło nasze dzieci. Pawła ciągle nie było w domu, a gdy się w nim pojawiał, bywał zmęczony lub rozdrażniony i nigdy nie miał dla nas czasu. Należał do mężczyzn, którzy szybko się nudzą i potrzebują dość sporej dawki adrenaliny i wyrafinowanych podniet, żeby ich egzystencja nabrała ciekawych barw. Dlatego szybko nudził się również kochankami. Wiedziałam, kiedy kończył się pewien etap w jego pozamałżeńskim życiu i kiedy rozpoczynał nowy. Ten okres przejściowy, ta „era niczyja” należała do mnie. Wtedy więcej czasu spędzał w domu i większą uwagę poświęcał mnie. Mimo licznych zdrad nie obawiałam się, że porzuci mnie dla innej. Żadna z kochanek nie była dla mnie zagrożeniem. Miałam świadomość, że nie zostawi mnie i dzieci dla miłych chwil spędzonych w cudzym łóżku; może mógłby to zrobić w imię miłości, ale wątpiłam, czy Paweł by potrafił naprawdę pokochać jakąś kobietę.

Wiedziałam zarówno o Marcelinie, jak i o Patrycji. Wyczuwona na zdrady męża żona zawsze rozpoznaje u niego zainteresowanie inną kobietą, a gdy ich adresatka również wysyła pewne sygnały, wtedy wewnętrzny kobiecy radar odbiera wszystkie niuanse i magazynuje w swojej świadomości i podświadomości. Prawdopodobnie tuż przed wypadkiem zainteresowanie Pawła obiema kochankami już przeminęło, bo coraz częściej zaczął zabiegać o moją uwagę w małże-

ńskiej sypialni. Jego charakterystyczne spojrzenia, które przesyłał mi przy kolacji, dawały znak, że planował ze mną aktywną noc. Szybko znalazłam skuteczny sposób, żeby ostudzić jego erotyczne umizgi – był nim koktajl z mocnego piwa i tabletek nasennych. Paweł od dawna miał w zwyczaju wypijać po kolacji dwa piwa, co ułatwiało mu zaśnięcie. Hmm, a spał jeszcze lepiej, gdy dosypałam mu dwie zmiażdżone pastylki.

Tamtego feralnego dnia wrócił do domu dość późno, bo około dwudziestej pierwszej, dlatego kolację zjadł sam. Od razu dostrzegłam jego wzrok ślizgający się po moim ciele.

– Dzieci już śpią? – zapytał.

– Nie wiem, ale są w łóżkach.

– To postaraj się szybko ich uśpić. – Uśmiechnął się, spoglądając na mnie spod półprzymkniętych powiek. – Muszę się tobą jeszcze nacieszyć.

Jeszcze nacieszyć... Hmm, dopiero teraz dotarł do mnie prawdziwy sens tych słów.

Tego wieczoru wyjątkowo nie miałam ochoty na seks. Byłam zmęczona i bolała mnie głowa. Postanowiłam sięgnąć po mój niezawodny sposób – piwo z wkładką na dobranoc. Otworzyłam lodówkę, ale nie było tam ani jednej butelki. Zadzwoeniłam do pani Wandy, której syn również lubił piwo. Poprosiłam ją o odstąpienie dwóch butelek. Po chwili sama przyniosła mi do domu dwie puszki piwa, bo nie miała już butelkowego. Widząc Pawła w fotelu, nie została dłużej, tylko szybko wróciła do siebie. Nalałam do kufla trochę piwa i dodałam zmiażdżone tabletki, żeby się nie spieniło, a potem powoli dołałam resztę. Zaniiosłam Pawłowi do jego gabinetu, a sama poszłam na górę, by zobaczyć, co z dziećmi. Kiedy po kwadransie zeszałam na dół, ujrzałam Pawła zakładającego kurtkę.

– Dokąd idziesz?

– Dostałem przed chwilą telefon, że muszę jechać po zamki do mebli. Idź spać, nie czekaj na mnie.

Nie zdążyłam zaprotestować, bo usłyszałam przeraźliwy wrzask dochodzący z pokoju Karinki. Szybko tam pobiegłam, myśląc, że coś złego stało się córeczce. Na szczęście tylko zobaczyła pająka. Zdziwiona faktem, że o tej porze roku pająki nie śpią, tylko łążą po pokoju, wzięłam go na łopatkę i wyrzuciłam przez okno.

Kiedy wróciłam na parter, Pawła już nie było. Momentalnie przypomniało mi się piwo. Wystraszona zajrzałam do jego pokoju. Na biurku oprócz laptopa i biurowych przyborów nie było niczego innego. Pobiegłam do strefy kuchennej. Na blacie stał kufel. Pusty. Chwyciłam za komórkę i pospiesznie wybrałam numer Pawła. Nie odbierał. Zadzwoiłam ponownie, ale znowu nie odebrał. Wykonałam jeszcze dwa telefony i nadal bez skutku. Przez chwilę zastanawiałam się, czy wysłać do niego sms, ale nie wiedziałam, co w nim napisać. Nie jedź, bo zaśniesz? Bo regularnie cię dokarmiam tabletkami nasennymi? Nie miałam pojęcia, gdzie pojechał po te zamki. Jeśli wypił piwo, to chyba niedaleko – pocieszałam się w myślach.

Niczego nieświadoma poszłam spać. Tuż przed północą zadzwoniła do mnie szlochająca Patrycja, że Paweł miał wypadek na drodze do Krakowa i jest na oddziale intensywnej terapii w szpitalu w Olkuszu, bo tam było bliżej niż do Krakowa. Obudziłam panią Wandę i poprosiłam, żeby przyszła przypilnować dzieci, a sama wsiadłam do auta i pojechałam na OIOM. Kiedy przyjechałam na miejsce, Paweł już nie żył.



# Rozdział 57

## Diana

Mocno przeżyłam jego śmierć. Wszyscy myśleli, że cierpię z powodu utraty mężczyzny, którego bardzo kochałam. Nikt nie podejrzewał prawdziwej przyczyny mojego bólu i rozpacz. Bo moją traumą była świadomość, że go zabiłam. Dziwne, ale stał mi się dużo bliższy po śmierci niż wtedy, gdy żył. Przez pół roku ciągle czułam jego obecność. Był przy mnie w dzień i w nocy. Towarzyszył mi w domu i na ulicy, gdy byłam sama i wśród ludzi. Ani na chwilę mnie nie opuszczał. Najgorsze były noce. Bezsennność męczyła mnie na przemian z koszmarami; najpierw nie mogłam zasnąć, a później ponure majaki zaczynały wypełniać moją głowę i całe ciało. Nie mieściły się we mnie, promieniowały na zewnątrz. Czułam, jakby zmora mnie przyduszała, potem anektowała łóżko i cały pokój. Pochłaniała tlen z powietrza i właczała w jego miejsce zgniły odór śmierci. Wstrzymywałam oddech, żeby nie wpuścić do płuc tego obrzydlistwa, próbując siłą woli jak najdłużej blokować jego dostęp. Ale ten okropny fetor wdzierał się ustami i nosem, a potem faszerował mnie trupim jadem. Wtedy się budziłam. I już nie zasypiałam aż do rana.

Dziwne, ale wszystko ustąpiło, gdy się pojawiłeś w Żuradzie. I w moim życiu. Czy Twój przyjazd spowodował, że Paweł zostawił mnie w spokoju? Może rzeczywiście istnieje po śmierci jakiś duch, ciało astralne albo jakaś inna niematerialna energia, która nie od razu opuszcza ziemski padół, bo ma tu jeszcze coś do zrobienia? Może ta częśćka Pawła czekała na Ciebie?

Twój przyjazd wprowadził do mojej dotychczasowej egzystencji niepokój i wiele emocjonalnego zamętu. Na początku najbardziej bałam się o dzieci, nie wiedząc, jak zareagują na po-

jawienie się sobowtóra swojego ojca, później zaczęłam obawiać się również o siebie. Wciąż miałam zakodowane, że jesteś tym gorszym bratem. Wiedziałam, jaki był Paweł, dlatego świadomość, że Piotr jest ciemniejszą jego wersją, wręcz mnie przerażała, bo niestety coraz bardziej mi się podobał ten gorszy brat. Uważałeś, że kochałam Pawła i nigdy nie będę potrafiła pokochać Ciebie tak mocno jak jego. Myliłeś się – kochałam Pawła, ale tego z Ojcową, tego, który mi się oświadczył, który codziennie kupował dla mnie kwiatki ogrodowe, a który potem nagle zniknął...

Pamiętam, jaka byłam zniesmaczona Twoimi słowami, że Paweł nie miałby nic przeciwko, żeby jego brat sypiał z jego żoną. Teraz zrozumiałam, dlaczego tak uważałeś.

Mimo waszej identycznej fizjonomii nawet przez moment nie przeleciała mi przez głowę tak kuriozalna myśl, że sypiałam z dwoma FACETAMI! Oczywiście było wiele dziwnych i zagadkowych spraw dotyczących Pawła, ale starałam się racjonalnie je wytłumaczyć, przez jakiś czas nawet podejrzewając, że jesteś Pawłem. Jednak nigdy nie brałam pod uwagę tak absurdalnej i okropnej opcji, że sypialiscie ze mną na zmianę. Że używaliście mnie jak wspólnej prezerwatywy!

No cóż, miałam o tym zapomnieć, przecież Ci wybaczyłam...

Piotrze, teraz wiesz już wszystko. Początkowo myślałam, że potrafię jakoś dalej żyć ze świadomością, że jestem morderczynią. Tłumaczyłam sobie, że przecież w świetle prawa i w oczach ludzi śmierć mojego męża była wypadkiem samochodowym. Zamknięto sprawę, schowano do lamusa, nie groziła mi kara. Mogłam spokojnie prowadzić życie wdowy, matki dwójki dzieci, a w przyszłości poślubić mężczyznę, który potrafiłby dać nam wszystkim bezpieczeństwo i szczęście. Ale prawda, chociaż głęboko schowana w mojej duszy, zbyt mocno mnie uwiera. Gdy patrzę na siebie w lustrze, moja twarz zbyt często mi przypomina, co zrobiłam. Dlatego nie mogę

dłużej żyć w kłamstwie, nie mogę ukrywać swojej zbrodni, tym bardziej nie mogę tworzyć nowego związku, którego kanwą jest oszustwo.

Jutro z samego rana idę na policję. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że Drewniak umorzył śledztwo i uznał to zdarzenie za wypadek drogowy. Czyżby zignorowano w ciele Pawła obecność tabletek nasennych? A może Drewniak nie przyłożył się solidnie do pracy? Może z lenistwa sknocił dochodzenie? Nie mogę jednak do tego dopuścić, by ominęła mnie kara. Nie chcę uciekać sprzed miecza Temidy. Przeze mnie nie żyje człowiek. Może nie był ideałem, ale nie zasłużył na śmierć. Dotychczas milczałam, bo było mi na rękę, że policja nie odkryła zaistniałych faktów. Ale moje sumienie bardziej mi doskwiera niż perspektywa więzienia. Muszę pozbyć się tej toksyny i wyznać prawdę, a sąd osądzi, jaką mi wymierzyć karę.

Na koniec chciałabym poruszyć kwestię dla mnie teraz najważniejszą. Przyszłość moich dzieci. Opiekę nad nimi przekazuję nieformalnie Tobie i Twojemu ojcu. Oddaję je w dobre ręce, ponieważ wiem, że będziecie dla nich dobrymi opiekunami, bo ich kochacie.

## Rozdział 58

Diana wyszła z komisariatu pełna euforii. Dawno nie było jej tak dobrze i lekko na duszy jak teraz. Jedno wypowiedziane zdanie ściągnęło z niej ciężar zbrodni, który ją przygniatał od kilku miesięcy.

– Diana, w treści żołądkowej nie ma żadnej wzmianki o piwie – powiedział Dariusz Drewniak, patrząc na trzymane w dłoniach sprawozdanie patologa z sekcji zwłok Pawła Cissowskiego.

– Jak to? – wydukała, zdziwiona.

– Są niestrawione resztki kolacji, którą zjadł tego wieczora, ale nie ma żadnej wzmianki o środkach nasennych i alkoholu. Twój mąż nie mógł wypić pół litra piwa, nie pozostawiając żadnego śladu. Badania toksykologiczne wykluczają alkohol w jego organizmie. Mówiłaś, że znalazłaś pusty kufel na kuchennym blacie? Prawdopodobnie mąż, zamierzając wsiąść wkrótce do auta, wylał zawartość do zlewu.

– Przyznaję, że się zdziwiłam, gdy dostrzegłam kufel na kuchennym blacie, a nie na biurku – powiedziała kobieta jakby do siebie, a nie do komisarza. – Paweł nigdy nie zanosił pustych naczyń do kuchni, zawsze musiałam po nim sprzątać. – Nagle jej twarz pojaśniała. – Tak! Tak właśnie musiało być. Odebrał telefon, zanim zdążył wypić piwo, dlatego zaniósł kufel do kuchni i opróżnił go, wylewając jego zawartość do zlewu.

– Jeśli bardzo ci zależy, żeby się dowiedzieć, czy otrułaś swojego męża, czy nie, to napisz oficjalne pismo, że żądasz powtórnej sekcji zwłok i umotywuuj swój wniosek, a ja przekonam komendanta, żeby pozytywnie go rozpatrzył – powiedział komisarz z wesołymi błyskami w oczach. – Przecież wiesz, że cię lubię.

Wtedy Dianie puściły nerwy i wybuchła płaczem.

– Co ty wyprawiasz, dziewczyno?! – zawołał Drewniak. – Dlaczego ryczysz?

– Gdybyś wiedział, jakie przeżywałam katusze, zrozumiałbyś mój płacz – odparła, chlipiąc.

– Wątpię, chyba bym nie zrozumiał. Ja na twoim miejscu skakałbym z radości, a nie płakał.

– U mnie jest inaczej, nie skaczę z radości, tylko płaczę. – odparła, wycierając oczy wierzchem dłoni.

Policjant zatrzymał wzrok na twarzy kobiety i spoważniał.

– Wiesz, Diana, radzę ci nie rozpowiadać wszystkim naokoło, że bez wiedzy męża faszzerowałaś go środkami nasennymi.

– Nie powiem nikomu – bąknęła, pociągając nosem.

– Teraz jedź do domu, nie zrobię żadnej notatki z twojej dzisiejszej wizyty. Hmm, powiem kumplom, że przyszłaś tu do mnie prywatnie, zaprosić mnie na kawę. – Uśmiechnął się do dziewczyny.

– Dziękuję. Bardzo ci dziękuję, Darku. Jestem dziś taka szczęśliwa.

Wracała do domu przepelniona radością. Nie otruła Pawła! Nie jest morderczynią. Prawdopodobnie był to wypadek, a jeśli ktoś go zabił, to na pewno nie ona. Po chwili spochmurniała. To podłe z jej strony; jej mąż nie żyje, a ona jest szczęśliwa. Ale zaraz ponownie wróciła radość, gdy dojechała do domu i ujrzała wysoką męską sylwetkę. Był to Piotr. Trzymał w rękach metalowe grabie i usuwał nimi z trawnika uschłe liście.

Wypadła z auta jak strzała i podbiegła do mężczyzny.

– Paweł nie wypił tego piwa! – zawołała. – Nie zabiłam go. Autopsja nie wykazała żadnego alkoholu ani środków nasen-

nych – dodała ciszej. Po chwili się opanowała. – Przeczytałeś mojego maila?

– Tak. Przepraszam za wczorajsze zachowanie. Dlaczego pojechałaś na policję? Wysłałem ci SMS-a, żebyś tego nie robiła. – Przytulił ją do siebie, a potem pocałował.

– Chodźmy do domu, bo pani Wanda nas zobaczy – powiedziała.

– I co z tego? Jej zdanie się nie liczy, ważna jest opinia twoich dzieci i ewentualnie ich dziadka, a oni nie mają nic przeciwko naszemu związkowi. Wiem, bo przed chwilą ich zapytałem. Godzinę temu ojciec wrócił z nimi z Zakopanego i teraz sprzątają swoje pokoje.

## Rozdział 59

Mark Biegler przeglądał raport z sekcji zwłok Pawła Cisowskiego, który dostarczył mu komisarz Bieda. Udało mu się nieformalnymi drogami zdobyć od olkuskiej policji jego kopię. W pewnym momencie Mark zmarszczył brwi.

– Rysiek, zobacz, patologiem, który robił sekcję, był Leszek Kieres.

– O cholera, wcześniej nie zwróciłem na to uwagi – komisarz Bieda spojrzał na nazwisko widniejące na dokumencie. – Hmm, w tym układzie wszystko nabrało innego kolorytu.

– Od początku coś mi się nie podobało w zachowaniu Kieresów. Powinniśmy całą trójkę wziąć pod obserwację. Jutro jadę do Żurady, żeby pogadać z Piotrem Cisowskim. – Spojrzał na policjanta. – I jak, dostaniesz w końcu ten awans? Wykrycie szajki narkotykowej powinno być sowicie nagrodzone przez wasze służby. Według mnie już dawno powinienesz zostać podinspektorem, a nawet inspektorem.

– Może według ciebie, ale nie naszych władz. Jestem krnąbrny, niewygodny politycznie i mało prawomyślny. Ale obiecano mi premię za dociekliwość i dobry instynkt. Trochę podpadłem katowickiej policji, że wywęszyłem pod ich nosem coś, czego oni nie zauważyli. Teraz się dopytują, jak wpadłem na ślad TransSilesii. Boję się, żeby nie odkryli naszej współpracy, bo miałbym przewalone. Nam, policjantom, nie wolno dorabiać poza godzinami pracy.

– No to w końcu przejdziesz na emeryturę. Mam zamiar zrobić licencję prywatnego detektywa i oficjalnie otworzyć agencję detektywistyczną.

– Co takiego? Czemuż to? Nie wystarcza ci dziennikarstwo i pisanie kryminałów? No i przecież masz te swoje hotele...

– Hotelami zarządzają Berta Schmidt i moja siostra, ja jestem tylko w radzie nadzorczej, natomiast moje dziennikarstwo i pisanie książek nie kolidowałyby z pracą detektywa. – Biegler wzruszył ramionami. – Rysiek, po prostu nudzę się w domu. Albo ślęcę przed laptopem, albo zabawiam dzieci. Do tego ta pandemia. Chcę się wyrwać z domu. Nie ukrywam, że liczę na współpracę z tobą. Nieoficjalną albo oficjalną, kiedy już zostaniesz panem emerytem.

Biegler zostawił rodzinę w domku Świętej Zośki i wybrał się do Żurady. Przyjechali tu z żoną i dziećmi na weekend, bo Marta nabrała ochoty na grzybobranie. Mark zajechał przed dom, w którym mieszkał Piotr. Gospodarz, uprzedzony telefonicznie, czekał na niego przed domem i grabił trawnik.

– Dzień dobry. Widzę, że pan jest zajęty. Ale nie będę długo zawracał panu głowy – powiedział do Piotra.

– Przy domu zawsze jest coś do roboty. Wczoraj uporałem się z liśćmi Diany, a dzisiaj walczę z liśćmi Wandy Kieres. W przyszłym roku będzie musiała robić to sama albo komuś zapłacić.

– A co? Wyprowadza się pan?

– Po ślubie zamieszkam w domu Diany.

– O, to decyzja już zapadła?

– Tak, ślub weźmiemy na wiosnę. Oświadczyłem się dzieciakom i oświadczyzny zostały przyjęte. – Uśmiechnął się na wspomnienie chwili, gdy klęczał przed Karinką i prosił o rękę jej mamy. Natomiast z Igorem załatwił to dzień wcześniej po męsku, bez klękania.

– No to gratulacje. – Biegler odchrząknął w pięść. – Zaistniały nowe okoliczności, dlatego chciałbym się z panem skonsultować, co mam robić dalej.



– Myślałem, że już wszystko zostało wyjaśnione. – Piotr zmarszczył brwi.

– No nie do końca. Okazuje się, że patologiem przeprowadzającym sekcję był Leszek Kieres. To rzuca na sprawę inne światło. Są podstawy do ekshumacji zwłok pańskiego brata. Ale rodzina zmarłego musiałaby napisać oficjalne...

– Nie – przerwał mu w pół zdania kategorycznym tonem Piotr. – Nie zgadzamy się na ekshumację ani na nową sekcję zwłok.

– Hmm, czy pan wie, że Kieresowie mogą być zamieszani w śmierć pańskiego brata?

– Policja nigdy nie wszczęła oficjalnego śledztwa w sprawie morderstwa. Nie ma żadnych dowodów ani nawet poszlak, że było to zabójstwo.

– Ale mam przeczucie, które rzadko mnie zawodzi, że ta śmierć nie była przypadkowa.

– To nieistotne – oznajmił ostro Piotr. – Nic już nie zwróci Pawłowi życia, a może spowodować niesnaski w rodzinie. Kieresowie są nam bardzo bliscy, dlatego nie chcę robić zamieszania. Ojciec również. – Przesłał Bieglerowi twarde spojrzenie. – Mam nadzieję, że nie postąpi pan wbrew naszej woli.

Marka trochę zdziwiła stanowcza i wręcz wroga postawa Cisowskiego.

– Panie Piotrze, proszę się nie unosić. Zrobię tak, jak sobie pan zażyczy. Przecież to pan mnie wynajął.

## Rozdział 60

Leszek Kieres siedział z matką na kanapie i razem oglądali *Milionerów*. Wanda oderwała wzrok od ekranu telewizora i spojrzała na syna.

– Czy Drewniak poruszył z tobą ponownie kwestię sekcji Pawła? – zapytała.

– Nie, tylko wtedy.

– A sprawiał wrażenie zainteresowanego wynikami autopsji?

– Raczej nie. A dlaczego pytasz?

– Boję się, że mogą zrobić ekshumację zwłok i wtedy będą problemy.

Mężczyzna westchnął głośno.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Drewniak wyraźnie zasugerował, że nie zamierza wznawiać sprawy. Jeśli ma jakieś wątpliwości, to raczej do ekspertyzy samochodu. – Przerwał na chwilę. – Musiałem to zrobić. Byłem pewien, że to jedna z was podała mu te cholerne tabletki.

– Nie przypuszczałam, że podejrzewałeś również mnie – mruknęła Wanda, kręcąc głowę z dezaprobatą. – Marcelina zawsze była narwana, a więc mogłeś ją podejrzewać, a Diana... No cóż, gdybym ja miała ze swoim mężem takie życie jak ona, dawno bym go otruła.

– Mamo, nie wydaje mi się, żeby Diana chciała go zabić. To prawdopodobnie był tylko zbieg okoliczności. Przecież sama widziałaś, jak bardzo przeżywała jego śmierć. To nie mogło być morderstwo z premedytacją. Nigdy w to nie uwierzę. Dziwię się, że jej nie zapytałaś, dlaczego dosypała mu te środki nasenne.

– Po co miałabym pytać? Lepiej, żeby nie wiedziała, że wiemy. To dobra dziewczyna, wdała się w ojca, nie w matkę.

– Uważam, że o tym też powinniśmy jej powiedzieć – odezwał się cicho Leszek.

– Nie. Piotrek ma rację, prawda jest przereklamowanym towarem. Co by to dało?

– Może by się ucieszyła, że oprócz Cisowskich ma jeszcze inną rodzinę. – Mężczyzna przytknął oczy. – Chciałbym, żeby kiedyś powiedziała do mnie „tato” – wyszeptał.

– Czy nie wystarczy, że widzi naszą miłość do niej i dzieci?

– Mamo, to nie to samo.

– Poczekajmy jeszcze trochę, aż dzieci będą trochę starsze. Karinka i Igor teraz tego nie rozumieją.

Wiek dzieci wcale nie był główną przyczyną, że Wanda wstrzymywała się przed powiedzeniem Dianie prawdy, musiałyby ją również poinformować o wszystkim, co się wtedy przed laty wydarzyło.

Starsza kobieta głośno westchnęła i wróciła myślami do tamtego dnia, gdy wzburzona Celina wpadła do jej domu.

– Urszula jest w ciąży – powiedziała, szlochając.

– O Boże, to niemożliwe – odparła Wanda, ale w duchu wcale nie była zdziwiona.

Wiedziała, że wcześniej czy później tak się to skończy. Cała Żurada plotkowała na temat Ulki. Co chwila widziano ją z innym chłopakiem i przeważnie pijaną. Niestety odziedziczyła po ojcu skłonność do alkoholu, przecież już w podstawówce zaczynała eksperymenty z używkami. I niekoniecznie była to tylko wódka, prawdopodobnie sięgała również po narkotyki. Wanda niejednokrotnie zwracała Celinie uwagę, żeby lepiej pilnowała córki, ale ta zawsze jej broniła i ją usprawiedliwiała. Wrodzone predyspozycje to jedno, zawsze jednak istnieje

sposób, żeby temu zaradzić. Powinna udać się z dziewczyną do psychologa albo jeździć z nią na terapię odwykową. Ale Celina nie wierzyła, że tak młoda osoba mogła być już uzależniona; w ogóle nie brała pod uwagę, by jej córka w wieku kilkunastu lat została alkoholiczką.

– Kto jest ojcem?

– Nie chce mi powiedzieć.

– I ty przechodzisz nad tym do porządku dziennego?! Musi ci powiedzieć.

– Mówi, że go kocha, ale on nie może się z nią ożenić.

– Niby dlaczego? Nie może czy nie chce? – Wanda się skrzywiła i spojrzała z ukosa na przyjaciółkę. – Może jest żonaty.

– Coo? O Boże.

– Podobno widywano ją z Heńkiem Cisowskim – powiedziała cicho Wanda.

– Bzdura! Nie wierzę, przecież on jest dużo od niej starszy! Ma dwoje dzieci i świata nie widzi poza Lidką.

– Owszem, ale to dziwkarz. Sama raz widziałam, jak Ula wysiadała z jego samochodu.

– Może ją tylko podwoził?

– Może.

Dwa dni później Celina znowu do niej przyszła. Była jakaś dziwna, nie zachowywała się jak zwykle.

– Siadaj, Celinko. I co, Ula ci powiedziała, z kim jest w ciąży?

– Tak, ale nie wie dokładnie z kim.

– Coo?

– Było ich dwóch. W jednym się zakochała, ale gdy z nią zerwał, zaczęła spotykać się z innym. Dlatego nie wie, z którym

zaszła.

– Co to za chłopaki?

– Heniek Cisowski i... twój Leszek.

Wanda poczuła, jakby dostała obuchem w głowę.

– Nie, to niemożliwe – wyszeptała.

– Tak mi powiedziała Urszula.

– Ona kłamie! To nie mógł być Leszek! Wymyśliła to sobie! Heniek jest żonaty, dlatego chce zrobić w dziecko kawalera. Leszek ma dziewczynę. Porządną. Razem studiują. Na pewno by jej nie zdradzał. Nawet nie wiem, czy on w ogóle z kimś sypia. Ale na pewno nie z Ulką!

– Niby dlaczego nie? Bo uważasz, że Ula jest kurwą? To nieprawda. Urszula mówiła, że spała tylko z dwoma, wcześniej nikogo innego nie było. To ten drań odebrał jej dziewictwo!

– I ty w to wierzysz?! Nie bądź idiotką, Celina. Wszyscy w Żuradzie wiedzą, że puszcza się z każdym, kto się nawinie.

– Wierzę Urszuli. Uważam, że nie tylko ona powinna ponieść konsekwencje, ale również ten, który zrobił jej dziecko. Obaj powinni poddać się badaniom na ojcostwo.

– Dobrze wiesz, że takie badanie może jedynie wykluczyć, a nie potwierdzić ojcostwa. – Wandę ogarnęła złość zarówno na Ulkę, jak i jej matkę. – Nie dopuszczę do tego, żebyście zmarnowały życie mojemu synowi.

– A mojej córce można zmarnować życie?

– Jak śmiesz porównywać Leszka z Ulką?! Mój syn niedługo skończy medycynę, zostanie lekarzem. Ma odpowiednią dla siebie dziewczynę, nie pije, nawet nie pali. Dobrze wiesz, że z Ulki to wywłoka.

Wtedy Celina podeszła z roziskrzonymi oczami do Wandy i uderzyła ją w twarz. Wandę sparaliżowało. Stała oniemiała,

wciąż nie mogąc uwierzyć w to, co się stało.

– Nie waż się mówić tak o moim dziecku – wysyczała Celina i wyszła, trzaskając drzwiami.

Więcej już nie pojawiła się w jej domu. Nie wszczęła również żadnych kroków, żeby stwierdzić, kto jest ojcem dziecka.

Wanda nie mogła doczekać się przyjazdu syna do domu. Nie wierzyła Ulce. To było niemożliwe. Jej Leszek nigdy by się nie zainteresował dziewczyną pokroju Barczykówny. Kiedy wreszcie chłopak przyjechał do Żurady, Wanda zamknęła się z nim w pokoju, bo nie chciała, by mąż usłyszał ich rozmowę.

– Czy to prawda, że spałeś z Ulką Barczyk? – Leszek nie odpowiedział, tylko spuścił wzrok na podłogę, co wyjątkowo ją zdenerwowało. – Odpowiadaj! Ta wywłoka jest w ciąży.

Leszek pobladł, głośno przełknął ślinę.

– Skąd wiesz, mammo?

– Jej matka mi powiedziała. Chcą cię wrobić w ojcostwo. – Przez chwilę w milczeniu przyglądała się synowi. – A więc to prawda. Jak mogłeś zadawać się z tą pijaną smarkulą, mając taką fajną dziewczynę jak Grażyna? – Syn milczał. – Co tak stoisz jak ciele? Powiedz coś wreszcie.

– A co mam powiedzieć? Ula jest taka piękna...

– Nie przeszkadzało ci, że sypiała z każdym frajerem, który się koło niej zakręcił?! Nie wiedziałeś, że przed tobą zadawała się z Heńkiem Cisowskim?!

– Wiedziałem – przytaknął, spuszczać głowę. – Powiedziała, że tylko z nim.

– A ty oczywiście jej uwierzyłeś? – zapytała ironicznie. Z niesmakiem pokręciła głową. – Nie pomyślałeś o Grażynie? Przecież jesteście zaręczeni! Co będzie, gdy się o tym dowie? A może wolałbyś ożenić się z tą ździżą?!

– Jasne, że nie. Ale... Jeśli to moje dziecko?

– Uważam, że powinna usunąć ciążę. Dla dobra wszystkich. Zresztą nie wiadomo, jakie byłoby to dziecko, przecież ona ciągle pije.

– To co mam zrobić? Zaproponować jej pieniądze na zabieg?

– Siedź w Krakowie, nie przyjeżdżaj do Żurady – mruknęła Wanda.

– Mamo, ale chyba powinienem iść do niej – powiedział cicho.

– Jeśli sama nie przyszła do ciebie, to znaczy, że nie jest pewna, czy to twoje. Wracaj jeszcze dziś do Krakowa i nie przyjeżdżaj tutaj. My z ojcem będziemy cię odwiedzać. Zajmij się Grażyną.

Leszek posłuchał matki, nie przyjechał do domu nawet na święta. Było to zbyt ciche, bo Celina i Urszula nie zamierzały niepokoić ani Kieresów, ani Cisowskich. Rzadko widywano je w Żuradzie, prawie nie wychodziły z domu. Celina wzięła urlop bezpłatny i pilnowała córki, żeby nie zrobiła czegoś głupiego. Zaraz po urodzeniu córeczki sprzedały dom i wyjechały. Wanda przypuszczała, że wróciły do Golkowic.

Nie wpłynął do sądu pozew o ustalenie ojcostwa, a ani Leszek, ani Heniek bez przymusu sądowego nie poczuli się do płacenia alimentów. Lata płynęły, bliźniacy Cisowskich rośli, Leszek został lekarzem i poślubił Grażynę. Powoli zapomniano o Celinie i Urszuli Barczyk. Wanda dwa razy spotkała Barczykową na cmentarzu w dniu Wszystkich Świętych, ale ze sobą nie rozmawiały, udając, że się nie znają. Ktoś kiedyś powiedział Wandzie o śmierci Urszuli, to jednak jej nie obeszło. Starła się zapomnieć o Celinie, Ulce i jej dziecku, wyprzeć ze świadomości całą tę sytuację, ale nie było to łatwe, ponieważ Leszek i Grażyna długo nie mogli mieć dzieci. Przesądna Wanda uważała, że to kara boska za to, jak potraktowała obie Barczykowe. Modliła się gorliwie, przeproszała Boga

i obiecywała pokutę. Bóg chyba wysłuchał jej modlitw, bo po dziewięciu latach na świat przyszła Marcelina. Upragnione i długo wyczekiwane dziecko przeważnie jest rozpieszczane i hołubione przez rodzinę; podobnie było w przypadku Marceliny. Kieresowie nie widzieli świata poza córeczką, co niestety w przyszłości odbiło się na jej charakterze. Najpierw była nieznośną dziewczynką, potem nieznośną nastolatką, by kiedyś stać się próżną, samolubną i egocentryczną młodą kobietą. Wanda widziała wady wnuczki, ale rozpieszczała ją podobnie jak rodzice Marceliny.

Aż tu nagle pewnego dnia w życiu Wandy i Leszka pojawiła się Diana Barczyk. Kieresowa zaczęła gorąco wierzyć, że na tym świecie nic nie dzieje się bez przyczyny. Nieoczekiwane zjawienie się narzeczonej Pawła Cisowskiego spędziło sen z powiek nie tylko jego ojcu, lecz także Wandzie i Leszkowi. Kiedy Heniek poprosił Leszka o zrobienie Dianie testu genetycznego, by porównać go z genomem Cisowskich, on również postanowił sprawdzić swój. Wynik wskazywał na ich bliskie pokrewieństwo. I wtedy Kieresowie musieli wreszcie zaakceptować fakt, że Leszek był biologicznym ojcem dziewczyny. Grażyna i Marcelina oczywiście nie miały o niczym pojęcia i nigdy się o tym nie dowiedziały. Nie powiedziano prawdy też Dianie, bo według Wandy tylko by to jeszcze bardziej skomplikowało sprawę.

Celina potraktowała pojawienie się wnuczki jako element boskiego planu i swojej szansy na odkupienie. A kiedy się okazało, że dziewczyna była mądrą, miłą i empatyczną osobą, naprawdę ją pokochała – jak babcia wnuczkę.

Leszek również starał się nagrodzić dziewczynie lata bez ojca, dlatego za półdarmo sprzedał młodemu Cisowskiemu działkę i zawsze był gotów przyjść jej z pomocą. Z każdym dniem Diana stawała mu się coraz bliższa, co trochę dziwiło jego żonę i wzbudzało zazdrość u Marceliny. Po śmierci Grażyny ta więź jeszcze bardziej się pogłębiła, dlatego było mu przy-



kro, gdy obserwował, w jaki sposób Paweł traktował żonę. Kieres uważał, że ten gnojek nie zasługiwał na tak wspaniałą dziewczynę jak Diana. Denerwowała go też postawa Henryka wobec synowej, że jej nie doceniał i wciąż patrzył na nią przez pryzmat Urszuli. Z drugiej strony trochę mu pasowało, że relacje między synową a teściem nie układały się najlepiej, bo dzięki temu Diana bardziej łągnęła do wujka męża niż do jego ojca. Pewnego dnia Leszek ze zdziwieniem zauważył, że Diana stała mu się nawet bliższa niż Marcelina. Dzieci młodych Cisowskich kochał tak samo mocno jak Henryk, ich oficjalny dziadek. Najbardziej teraz pragnął wyznać Dianie prawdę i prosić o wybaczenie. Dawno by to już zrobił, ale matka mu odradzała, mówiąc, że mogliby stracić zaufanie Diany i całkiem zrazić ją do siebie. Chociaż zdawał sobie sprawę, że z biegiem czasu wyznanie prawdy stanie się coraz trudniejsze, ze względu na matkę wciąż milczał.

Im bardziej kochał swoją nieślubną córkę, tym bardziej nienawidził jej męża. Widział, jak ją traktował, jak się do niej zwracał i jak ją zdradzał. A gdy zobaczył, że ten drań całował Marcelinę, coś w nim pękło. Znienawidził go. Postanowił się z nim rozprawić raz a dobrze. I wtedy stał się cud – któregoś pięknego dnia na stole sekcyjnym ujrzał zwłoki Pawła Cisowskiego.

Policja zarządziła autopsję, ponieważ ratownicy medyczni mieli wątpliwości dotyczące przyczyny śmierci. Kiedy Leszek zbadał, co znajduje się w żołądku Pawła, wpadł w panikę. Ktoś zaserwował zmarłemu piwo ze sporą dawką środków nasennych. Patolog wciąż miał na siatkówkach oczu powidoki zapłakanej w kuchni Marceliny i matki idącej do domu Diany z dwiema puszkami piwa. Tabletki nasenne mogła podać Pawłowi również Diana. Ale nieważne, która z tych kobiet to zrobiła – wszystkie były bardzo drogie jego sercu. Nie mógł dopuścić, żeby któraś z nich miała kłopoty przez tego łajdaka. Dlatego w wynikach sekcji przemilczał obecność środków nasennych i piwa w treści żołądkowej.

# Epilog

## Rok później

Piotr wpadł do domu Kieresów, jakby go gonił wściekły dingo. Akurat Wanda i jej syn siedzieli przed telewizorem i oglądali TVN24, słuchając nowych wieści związanych z epidemią. Głośno dysząc, z przerażeniem w oczach zawołał:

– Ciociu, proszę, zajmij się dziećmi, bo Dianie odeszły wody. Muszę ją odwieźć do szpitala.

Kieresowie zerwali się na nogi.

– Jadę z wami – oznajmił stanowczo Leszek. – Wszyscy mnie znają w szpitalu, więc łatwiej wam będzie dostać się na oddział. Mamo, idź do dzieci.

Kilka minut później byli już w samochodzie. Za kierownicą usiadł Leszek, a z tyłu Diana i obejmujący ją Piotr. Cisowski był bardziej przerażony niż żona.

– Kochanie, nie denerwuj się, bo mnie też się to udziela – powiedziała Diana spokojnie, starając się nie okazywać bólu. – Przechodziłam przez to dwa razy, wiem, jak to wygląda.

– A ja pierwszy raz, dlatego się nie dziw, że się boję – mruknął Piotr. – Wtedy były pojedyncze porody, a teraz jest ciąża bliźniacza.

– Najwyżej zrobią mi cesarkę – uspokajała Diana.

– A jak się nie obudzisz?

Leszek, słysząc to, gniewnie spojrzał w lusterko.

– Piotrek, przestań pieprzyć. Masz ją uspokajać, a nie straszyc – warknął.

– Przepraszam. – Ale po chwili dodał: – Boże, żeby tylko wszystko się dobrze skończyło. I żeby nie było problemów przez tego cholernego koronawirusa.

– Kurwa, Piotrek, bo cię wysadzę! – warknął Kieres. – Zachowuj się jak mężczyzna.

– Wujku, łatwo ci mówić, bo to nie twoja żona ma rodzić w czasie tej cholernej pandemii! – odpalił podenerwowany mężczyzna. – Ciekaw jestem, jak byś się zachowywał, gdyby na miejscu Diany była Marcelina.

Leszek nagle poczuł, jakby ktoś uderzył go w twarz, ale nie zareagował na zaczepkę Piotra. I wtedy podjął decyzję – nie zważając na konsekwencje, musi wyznać Dianie prawdę. Nie da się dłużej wodzić matce za nos. Dość tego. Obserwował w lusterku siedzącą w tyle auta młodą parę. Musiał przyznać, że Piotr był dużo lepszym partnerem, mężem i ojcem niż Paweł. Jakie to dziwne, że można się tak bardzo zmienić! W dzieciństwie i młodości to Piotrek był tym, który stwarzał problemy wychowawcze. Widocznie pobyt za granicą dobrze mu zrobił – pomyślał w duchu.

Heniek też był zadowolony ze zmiany, jaka dokonana się w synu. Zauważał to także w pracy. Początkowo Piotr nie chciał pracować u ojca, gdy jednak ten zaproponował mu przejęcie PoLiHenu, zgodził się, ale dość niechętnie, co zdenrowowało Henryka.

– Kurwa, co za czasy. Szczeniak robi łaskę, że przejmie rozkręcony i dobrze prosperujący biznes. – Henryk narzekał do Leszka. – Inni muszą się dorabiać od zera, ryzykować pieniędzmi, otwierając swój interes, a ten ma wszystko podane na tacy i jeszcze kręci nosem.

– No cóż, Piotrek też się dorabiał od zera, i się dorobił. Swoją drogą nie przypuszczałem, że barany są takie drogie. Siedemdziesiąt tysięcy dolarów za jednego beczącego tryka?

– Dolarów australijskich, nie amerykańskich – bąknął Henryk, któremu było trochę nie w smak, że syn dostał tak dużo pieniędzy od obcego człowieka. – Australijski jest tańszy o ponad złotówkę od amerykańskiego.

– Co nie zmienia faktu, że Piotrek jest milionerem i nie potrzebuje twojej forsy. Woli sukces zawdzięczać sobie, a nie ojcu.

– Nie przesadzaj: pieniądz to pieniądz. Gdy się jest mądrym i dojrzałym życiowo mężczyzną, to nie ma większego znaczenia, w jaki sposób zdobyło się forszę.

– Heniek, dobrze wiesz, że się mylisz. Lepsze i bardziej wartościowe są pieniądze zarobione przez samego siebie niż te otrzymane od kogoś.

– Zapominasz, że tych siedmiuset tysięcy dolarów australijskich też nie zarobił sam, tylko dostał w spadku.

– Przecież oprócz nich ma na koncie również swoich przyoszczędzonych czterysta pięćdziesiąt tysięcy dolarów. I to amerykańskich – Leszek uśmiechnął się złośliwie. – Nie deprecjonuj jego osiągnięć.

– Nie deprecjonuję. Jestem z niego dumny. Gdybym wtedy wyrzucił z domu również Pawła, to może też by wyszedł na ludzi. I może by żył – mruknął Cisowski, głośno wzdychając.

Generalnie wszyscy polubili Piotra dużo bardziej niż Pawła. Nawet dzieci. Wiadomość o ślubie ich mamy z wujkiem Piotrem przyjęły entuzjastycznie i zaraz po oficjalnej ceremonii zaślubin zaczęły nazywać go „tata”. Kiedy wujek zamieszkał w ich domu i zajął miejsce ojca, zaakceptowały to z entuzjazmem i radością. Prawdopodobnie sytuację ułatwiło wizualne podobieństwo ojczyrna do zmarłego ojca, no i nie dało się ukryć, że zastępczy tata okazał się dużo lepszym od tego prawdziwego. Często się z nimi bawił, zawsze miał dla nich czas i nigdy nie tracił cierpliwości.

Ze względu na pandemię i obostrzenia z tym związane ślub był skromny, jedynie w gronie najbliższej rodziny. Przyjęcie odbyło się w domu Henryka. Wynajęto catering i didżeja, chociaż osób było zaledwie trzydzieści, ale i tak więcej, niż pozwalały na to władze, bo wprowadzono zakaz przyjęć ślubnych. Trochę się obawiano donosów jakiegoś „praworządne-go” sąsiada, ale na szczęście policja nie musiała interweniować. I co najważniejsze – nikt z gości się nie zaraził.

Diana miała poród stosunkowo lekki, dlatego obyło się bez cesarki. Dzięki znajomościom Kieresa pozwolono mężczyznom wejść do szpitala i czekać w poczekalni. Po dwóch godzinach nerwówki – bezsensownego miotania się Piotra po korytarzu, nerwowego postukiwania nogą siedzącego na ławce Leszka i niezbyt miłej rozmowy oczekujących na poród panów – wreszcie zza szerokich drzwi wyszedł położnik.

– Gratulacje, panie tatusiu – powiedział. – Ma pan dwie piękne córki. Są identyczne niczym dwie krople wody.

– A jak czuje się żona? – zapytał z lękiem w oczach Piotr.

– Wszystko w porządku. Teraz odpoczywa, bo nieźle się pracowała.

Uradowany Piotr najpierw chwycił w objęcia lekarza, a potem Leszka Kieresa.

– Wujku, przepraszam za swoje zachowanie. Teraz mogę zacząć się zachowywać jak prawdziwy mężczyzna – powiedział z radosnymi błyskami w oczach.

– Gratulacje – powiedział Leszek, starając się przepędzić wilgoć zbierającą się pod powiekami. – Ogromnie się cieszę.

Diana z dziewczynkami wróciła do domu dopiero po dziesięciu dniach. Przytrzymano je trochę dłużej, bo jedna z córeczek dostała biegunki. Wkrótce wszystko wróciło do normy

i pozwolono im opuścić szpital. Na ich powitanie Karinka, Igor i Piotr przystroili dom w baloniki i serpentyny. Był to pomysł Karinki, która często oglądała na amerykańskich filmach, że tak Amerykanie witają powracających ze szpitala. Piotr nie miał nic przeciwko temu, poczynił odpowiednie zakupy, a potem dwa wieczory przeznaczyci na ozdabianie domu.

– Och, te amerykańizmy – mruzczała pod nosem pani Wanda, ale chętnie pomagała w wycinaniu kolorowych literek. – Małpujemy ich we wszystkim, jakbyśmy nie mieli własnych zwyczajów. Kto przedtem słyszał o jakichś walentynkach czy Halloween.

– Ciociu, co ci przeszkadza święto zakochanych? – droczył się z nią Piotr.

– Niech zakochani wyznają sobie miłość codziennie, a nie raz w roku. Najpierw dają dziewczynom serduszka, a zaraz potem traktują je różgą.

– Ciociu, trzeba wzbogacać zwyczaje i obyczaje w to, co dobre. Przecież choinka to też nie jest polski zwyczaj, przyszedł do nas z Niemiec.

– No ale ten cały Halloween to przecież jakieś pogańskie święto.

– Wcale nie. Halloween nie jest amerykański, przyszedł do nich z Irlandii w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku. A Irlandia to przecież równie katolicki kraj jak Polska.

– No niech ci już będzie. Daj, to nadmuchar jakiś balonik.

Teraz oboje Kieresowie wraz z Henrykiem i jego nową partnerką oczekiwali przyjazdu pani Cisowskiej i dwóch pań Cisowskich. Zabrakło Marceliny, która ostatnio rzadko pojawiała się w Żuradzie.

– Będę zmieniać im pieluchy – oznajmiła Karinka. – Ale tylko te z sikami. Tatuś będzie zmieniał te z kupą.

- Jesteś za mała na przewijanie dzieci – zauważył Igor.
- Właśnie że nie! Tatuś powiedział, że będę mogła to robić. Umiem zmieniać pieluchy, robiłam to moim lalkom – zawołała buńczucznie.
- Ciszej, Karinka, bo mi bębenki w uszach popękają. – Skrzywił się Henryk. – O, już nadjeżdżają. Idę pomóc Piotrkowi.
- Ja też z tobą pójde. Wezmę torbę od Diany – zaoferował Leszek.

Wanda niespokojnie krążyła po pokoju. Jej syn siedział w fotelu, ale również był niespokojny. Długo odwlekali na ten moment, jednak Leszek w końcu postawił na swoim. Może i prawda rzeczywiście jest przereklamowana, ale oczyszcza człowieka. Muszą jej to powiedzieć. Henrykowi już Leszek powiedział. Podobno Cisowski od dawna się tego domyślał, ale nie poruszał tematu, czekając, aż przyjaciel sam to zrobi.

Były jednak sprawy, które nigdy nie mogły wyjść na jaw. Diana nigdy nie może się dowiedzieć, co naprawdę wykazała autopsja. Henryk również.

Pewnego dnia do domu Kieresów przyszedł Piotr i wprost o to Leszka zapytał.

- Dlaczego, wujku, sfalszowałeś wyniki sekcji?
- Skąd o tym wiesz?
- Diana mi wszystko opowiedziała. Nie chciała go zabić, nie wiedziała, że w tym dniu będzie jeździł samochodem. Podała mu środki nasenne w piwie, żeby... dawał jej spokój w nocy.
- Wiedziałem, że Diana nie mogłaby rozmyślnie nikogo skrzywdzić – powiedział cicho Leszek.

– Ona nie może się nigdy dowiedzieć, co zrobiłeś, wujku. Bardzo męczyła ją świadomość, że przyczyniła się do śmierci Pawła. Odżyła, gdy Drewniak jej powiedział, że sekcja niczego nie wykazała. – Zawahał się. – Mój ojciec też nie powinien o tym wiedzieć.

– To oczywiste, nikomu nie powiem.

– Dlaczego, wujku, to zrobiłeś?

– Bo to moja córka.

Heniek wiedział, Piotrek wiedział, a teraz przyszła kolej, żeby wreszcie również Diana się o tym dowiedziała.

Kieresowie usłyszeli dzwonek u drzwi. Serce obojgu zaczęło bić gwałtownie. Spojrzeli na siebie, jakby chcieli dodać sobie odwagi. Wanda głośno przełknęła ślinę.

– Wejź. Otwarte – zawołała.

Młoda kobieta weszła do pokoju.

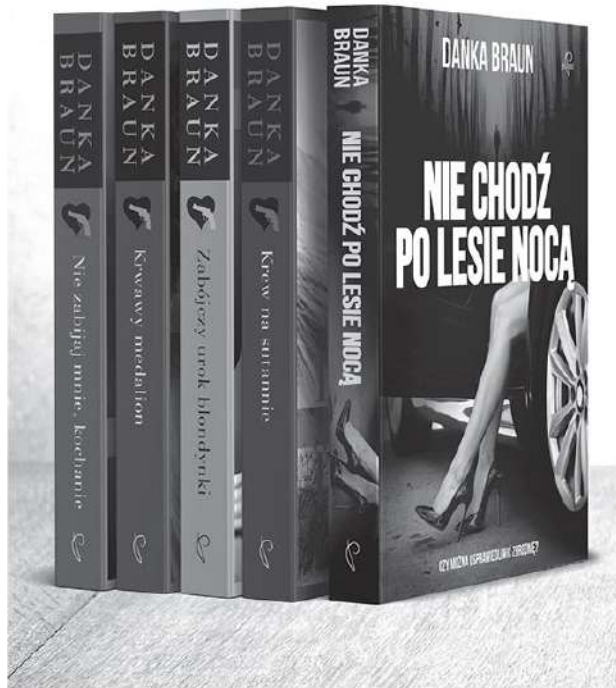
– Nie oglądacie *Milionerów*? – zapytała.

– Nagrywamy. Usiądź, proszę – powiedział Leszek. Nabrał do płuc powietrza jak przed skokiem w głęboką wodę. – Diana, chcemy ci o czymś powiedzieć...

Wanda Kieres nie miała odwagi patrzeć na wnuczkę, pocierając nerwowo dłoń o dłoń, w myślach przygotowywała się do swojej spowiedzi. Musiała opowiedzieć Dianie o ostatnim spotkaniu z jej babcią. Winna to była Dianie i Celinie.

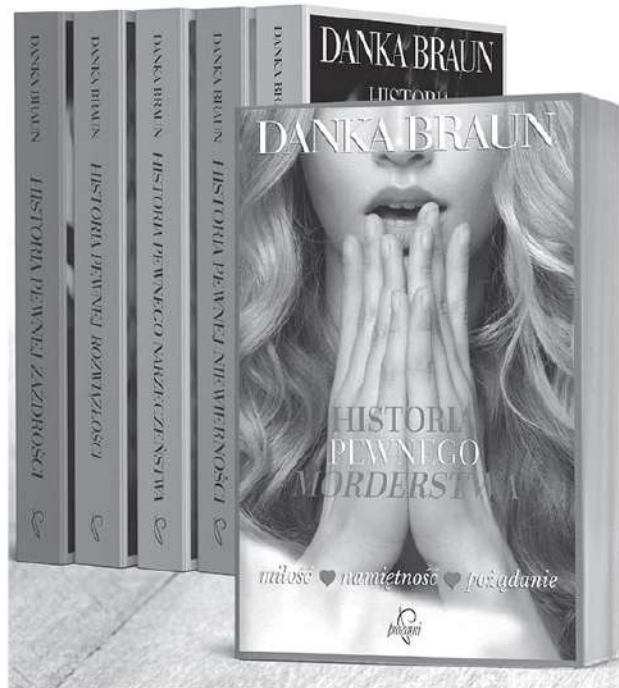


Wydawnictwo Prozami poleca



Pakiet dostępny w księgarni wysyłkowej:  
[www.literaturainspiruje.pl](http://www.literaturainspiruje.pl)

## Pasjonująca saga o rodzinie Orłowskich



Pakiet dostępny w księgarni wysyłkowej:  
[www.literaturainspiruje.pl](http://www.literaturainspiruje.pl)

***Powieści obyczajowe, kryminały, thrillery  
Wciągające i niebanalne  
Zaczytaj się!***



**Wydawnictwo Prozami**

[www.prozami.pl](http://www.prozami.pl)

Księgarnia wysyłkowa  
[www.literaturainspiruje.pl](http://www.literaturainspiruje.pl)